Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.

port wydawniczy
literatura.net.pl
KLIKNIJ TUTAJ

Alfred Rambaud

PIERŚCIEŃ CEZARA

Powieść

Tytuł oryginału:
LÀNNEAU DE CÉZAR

Wydawnictwo „Tower Press”
Gdańsk 2001

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Część pierwsza

PARYZOWIE LUTECJI

WSTĘP

Znużony długoletnimi trudami wojennymi, osłabiony wiekiem i ranami, osiadłem wreszcie na stałe w Szarej Skale, mojej wsi rodzinnej, leżącej nad Rzeką Bobrów, dopływem Sekwany, niedaleko miasta Lutecji. Wspomnienia te zapisuje dla mych dzieci i wnuków, by wiedziały, że ich ojciec i dziad nie szczędził krwi i zdrowia w wielkiej wojnie o niepodległość Galii. Będę opisywał wszystko może zbyt szeroko, bo starzy lubią opowiadać o swej młodości, a żołnierze – o swych czynach wojennych. Sądzę jednak, że ta szczegółowość mych wspomnień nie będzie zbyteczna, moje bowiem wnuki i prawnuki, ba! nawet moje dzieci nie mogą sobie po prostu wyobrazić, do jakiego stopnia zmienił się cały świat i nawet ten mały nasz zakątek rodzinny, odkąd na wybrzeżach Sekwany ukazały się po raz pierwszy złote orły legionów rzymskich.

Gdy wspominam swoje lata dzieciństwa i pierwszej młodości, a później przenoszę się myślą i wzrokiem do ludzi i rzeczy współczesnych, to zdaje mi się, żem się przesiedlił z jednej gwiazdy na drugą lub żem przeżył z dziesięć pokoleń ludzkich. A mam wszak dopiero lat osiemdziesiąt i czuję się zupełnie zdrów na ciele i duszy. Włosy moje, jakkolwiek pokryte już szronem starości, pozostały dotąd obfite, zębami mogę jeszcze gryźć orzechy, a na wspomnienie dawnych bojów czują, iż miecz drży mi u boku, i zdaje mi się, że i teraz jeszcze dzida nie zaciążyłaby mej starej dłoni.

Wspomnienia swoje układam i piszę w języku Rzymian, mimo że walczyłem ze wszystkich sił z nimi i jakkolwiek – wbrew zdaniu wielu innych naczelników galijskich – nie uważam, by panowanie ich nad nami było nieodwołalne. Ale nie umiem pisać w żadnym ze znanych mi narzeczy Celtów lub Bolgów. Sądzę nawet, że nikt spomiędzy nas, Galów, mimo wysokiego chociażby wykształcenia w szkołach druidów, nie zdołałby pisać w żadnym z tych narzeczy, które są dobre tylko do mówienia. A przy tym język Rzymian znany jest powszechnie teraz we wszystkich krajach Celtyki – jak i po całym świecie zresztą. I pisząc jak Rzymianie mogę mieć nadzieję, że gdyby moje dzieci lub wnuki chciały kiedy pokazać te zwoje papirusu jakiemu znakomitemu gościowi z dalszych stron, aby i on mógł poznać dzieje naszej wielkiej wojny o niepodległość Galii – zawsze zostanę zrozumiany.

Rozdział I

SZARA SKAŁA I RZEKA BOBRÓW

Pamiętam siebie od wczesnego bardzo dzieciństwa jako zupełnie małego jeszcze pędraka, bawiącego się w piasku na wybrzeżach Rzeki Bobrów, gdzie rozłożyła się wioska mego ojca. Dom nasz, który obecnie synowie moi przebudowali na wzór rzymski, zachowując w nim tylko stosowniejszy dla naszego klimatu dach pochyły i spadzisty, w owej dobie przypominał raczej dużą stodołę o słomianej strzesze.

Mieszkanie składało się z jednej tylko ogromnej sali na dole, która zajmowała całą długość domu, oraz ze znacznie mniejszej izby przybudowanej na piętrze, co na owe czasy stanowiło w naszych stronach wielką jeszcze rzadkość. Ściany tego domostwa były zbudowane z potężnych, z grubsza tylko ociosanych kłód drzewa; szpary pomiędzy nimi pozatykano rzniętą słomą, przemieszaną z gliną, olbrzymia zaś strzecha słomiana, najeżona niby sierść zwierzęcia, pokrywała dom niemal całkowicie, zwieszając się nad ścianami tak nisko, że nasi wojownicy dobrze musieli schylać karku, aby wejść przez drzwi do wnętrza. Powierzchnia tej strzechy przedstawiała dziwne nierówności i załamania, gdyż strzecha z jednej strony była wyższa aniżeli z drugiej, w dodatku u szczytu zdobiły ją trzy wysokie żerdzie, wskutek czego z daleka dom nasz z owymi trzema żerdziami, sterczącymi wysoko ponad nim, przypominał mi zawsze olbrzymiego byka o zjeżonej sierści i wygiętym grzbiecie, na którym stoją zadumane trzy długonogie żurawie. Przy tym, ponieważ słomę strzechy umocniono u szczytu ubitą gliną i kawałami darniny, rósł i kwitł tam prawdziwy ogród wiszący z nasianych przez wiatr traw i kwiatów polnych.

Przodkowie nasi mało dbali o symetrię i wygodę, toteż kilka nierównej wielkości otworów, które zastępowały nam okna, wycięto w ścianach domu to wyżej, to niżej, dym zaś z ogniska wychodził w powietrze do góry wprost przez umyślnie pozostawioną w tym celu dziurę w dachu. Co prawda, to, zanim wyszedł, hulał sobie po trosze i po mieszkaniu, wyciskając obecnym łzy z oczu, zwłaszcza służbie pracującej przy ognisku. Podłogę, ubitą z gliny, pokrywały rozrzucone to tu, to ówdzie wiązki słomy, na których siadano za dnia, a na noc, zebrane po kilka razem, służyły za posłanie. Dla znakomitych zaś gości, którzy nocowali u nas, te posłania z wiązek słomy przyrzucano jeszcze puszystą skórą niedźwiedzią, lisią lub wilczą.

Od tej surowej prostoty dziwnie odbijała rozwieszona po ścianach broń wyborna, która świadczyła o zasobności domu i upodobaniu gospodarza w rzemiośle wojennym. Były więc tam miecze z brązu, a nawet najprzedniejsze stalowe, krótkie włócznie do ciskania, długie, ciężkie dzidy, ozdobne tarcze i hełmy.

Pomiędzy tymi rzeczami świeciły tu i ówdzie drogocenne i pięknej roboty naczynia ze złota, srebra lub bursztynu: misy, wazy, kubki lub czary. Te piękne i kosztowne rzeczy pochodziły ze zdobyczy wojennych mego ojca i dziada, i takichże jeszcze skarbów pełna skrzynia dębowa stała w jednym rogu sali, a zawierała nawet pewien zapas monet bitych w złocie, srebrze i brązie.

Mieszkanie mojej matki na piętrze domu było urządzone ze znacznie większą wygodą, ba! nawet zbytkownie. Stało tam duże łoże dębowe i kilka takichże krzeseł, wszystko trwałej ro-

boty, a zdobne płaskorzeźbą; podłogę zaścielał kobierzec wzorzysty, a ściany zasłaniały piękne tkaniny o żywych barwach. Ojciec mój bowiem swą żonę, a moją matkę, niezmiernie szanował i kochał; i cokolwiek tylko mógł zdobyć z rzeczy cennych lub rzadkich, czy to w wyprawach wojennych, czy też przez stosunki handlowe z Paryzami Lutecji, wszystko to przeznaczał dla niej.

Pewnego razu w potyczce z Germanami pomiędzy tłumem wojowników ujrzał męża olbrzymiej postawy, noszącego wspaniały złoty naszyjnik. Pośrodku tego złotego łańcucha tkwił ogromny bursztyn, otoczony dokoła drobniutkimi, lecz świecącymi jak małe słońca kamyczkami.

– Jakże pięknie byłoby mej Eponinie w tym naszyjniku!... – pomyślał mój ojciec.

I bez wahania rzucił się z mieczem w dłoni na owego wodza germańskiego. Po krótkiej, lecz zaciętej walce powrócił z naszyjnikiem, głową nieprzyjaciela – i potężnym cięciem przez twarz, po którym głęboka blizna pozostała mu na całe życie.

– Zapytacie może: po co mu była potrzebna ta głowa nieprzyjaciela?... A oto posłuchajcie, bo teraz obyczaj ten już zaniknął.

Strzechę naszego domu zdobiły różne trofea, przede wszystkim myśliwskie, a więc czaszki żubrów, łosi, jeleni, niedźwiedzi, dzików i tym podobne, następnie zaś także czaszki wrogów, zabitych na wyprawach wojennych. Im więcej naczelnik galijski miał na strzesze swego domu tych ozdób, szczególnie czaszek nieprzyjacielskich zatkniętych na kijkach wbitych w słomę, tym większy dlań szacunek odczuwał gość, wchodzący po raz pierwszy do domu, rozumiał bowiem, iż wchodzi pod dach wielkiego wojownika, sławnego z męstwa i czynów orężnych.

Tak więc frontowa część dachów naszych domów stawała się kromką naszych zwycięstw. Lecz pod gołym niebem na strzesze umieszczano tylko czaszki pospolitych wojowników, czaszki zaś wodzów, owinięte w kosztowne tkaniny, składano ze czcią do skrzyni zawierającej najcenniejsze zdobycze wojenne, skąd wydostawano je tylko w dni uroczyste lub w razie odwiedzin jakiegoś znakomitego gościa, przy czym opowiadało się zazwyczaj, w jakich okolicznościach głowa ta została oddzielona od tułowia wroga.

Dom nasz oraz przyległy ogród i podwórze otaczał dokoła żywopłot, poza ogrodem zaś rozciągała się wioska, złożona z szeregu chałup, podobnie wraz z podwórkami i ogrodami okolonych żywopłotem. Niektóre chaty, stanowiące mieszkania wojowników, podobne były do naszego domu, tylko mniejsze; inne zaś, uboższe, należały do rolników, którzy częściowo byli wolnymi ludźmi, częściowo zaś niewolnikami, pochodzącymi przeważnie ze zdobyczy wojennej. Chałupy te były tak niskie, że pokrywająca je słoma spuszczała się prawie do ziemi. Wchodziło się do nich niemal na czworakach. Większość ich była zbudowana z kłód nie ociosanych, zdarzały się jednak między nimi budowle jeszcze pierwotniejsze, na przykład okrągłe jak ule chałupy z trzciny, związanej u góry, z wierzchu zaś pokrytej słomą dla ochrony od chłodu, albo też lepianki z gliny i słomy lub nawet wprost – szałasy z gałęzi, nieraz jeszcze zielonych.

Całą wieś wraz z naszym domem otaczał dookoła wysoki częstokół o ciężkiej dębowej bramie zamykanej na drewnianą zasuwę, co wystarczało, aby nas bronić w dzień od niespodziewanego wtargnięcia. W nocy zaś wsi strzegły nasze psy tak wielkie i złe, że się niewiele różniły od wilków. Dzieliły z nimi tę straż nocną nasze wieprze, olbrzymie, wpółdzikie, które chrząkając i ryjąc ziemię wałęsały się nocą swobodnie po całej wiosce. Biada nieszczęsnemu złodziejowi, któremu by się udało przedostać przez częstokół!... Psy i wieprze byłyby go natychmiast rozszarpały, a nawet pożarły, tak iż z biedaka nie pozostałoby ani śladu. Rzecz jednak oczywista, wieś nasza znajdowała się głównie pod ochroną bogów.

Najwięcej u nas były czczone boginie Epona i Bobona; pierwsza jako szczególna opiekunka koni, druga – bydła rogatego. Wieśniacy nasi wystawili obu boginiom u dwu przeciwległych krańców wioski coś w rodzaju posągów, czyli właściwie wprost dwa słupki drewniane,

z których jeden miał u szczytu wyciosaną z drzewa głowę konia, drugi zaś takąż głowę byka o dużych rogach. W pewne poświęcone boginiom dni roku pierwotne te figury oblewano krwią ofiar.

Dookoła wzgórza Szarej Skały rozciągały się olbrzymie lasy, których granic nie znaliśmy dokładnie. Szumiały tam wspaniałe dęby i buki, brzozy i smukłe sosny podobne do kolumn świątyń rzymskich. A ponieważ te drzewa rosły niezmiernie blisko jedno od drugiego – wiązały jeszcze je ze sobą zielone sploty bluszczu, jemioły i dzikiego winogradu – tworzyło więc to taką zwartą masę roślinności, że poza pewnymi udeptanymi już drogami i ścieżkami niepodobna było przedostać się tędy bez topora, w niektórych zaś miejscach nawet promienie słoneczne nie przenikały gęstwiny.

Dalej w tych lasach rozlewały się grząskie bajora i bezdenne trzęsawiska, z wierzchu pokryte złudnie zielenią traw, ponad którą – i to właśnie w miejscach płytszych – sterczały nieraz rosochate rogi uwięzłych tam jeleni.

Niewielu tylko śmiałków odważało się zapuszczać nazbyt daleko w głąb tej puszczy, a nawet psy nasze, które nieraz polowały same na drobniejszą zwierzynę, wracały z tych wycieczek do lasu przerażone jakieś, drżące, z podgiętym ogonem, i cisnęły się skomląc do nóg swych panów. Lecz na całym naszym wzgórzu Szarej Skały i nawet dalej, w pewnym promieniu dokoła niego, grunt był już wykarczowany, oczyszczony starannie i uprawny dzięki pracy naszych wieśniaków, którzy zasiewali na nim pszenicę, żyto, jęczmień, owies, soczewicę i proso.

U podnóża Szarej Skały przepływała rzeka, zwana Rzeką Bobrów. Bierze ona początek w południowo-zachodnich górach daleko od nas, niosąc mętne wody do Sekwany pod Lutecją. Była zaś podówczas niezmiernie kapryśna: to zraszała dobroczynnie nasze pola i łąki, płynąc sobie spokojnie w gliniastym łożysku, to znów niespodzianie wzdymała się gniewnie i z nieoczekiwaną wściekłością tłukła o brzegi, unosząc ze sobą nasze zasiewy, nieraz część stad, a niekiedy i pasterzy. Czasem ni stąd, ni zowąd zmieniała kierunek i w miękkim gruncie przebijała sobie nowe łożysko, zostawiając nam w zamian straconego w ten sposób obszaru stare łożysko, które zazwyczaj bardzo prędko porastało trawą i krzakami.

Wieśniacy nasi przypisywali jej namiętności żywej istoty, aby więc ułagodzić ją i przebłagać, nieraz sypali w jej nurty nocą przy świetle księżyca ziarna zboża. Nawet ojciec mój podzielał ich poglądy, pamiętam bowiem, że pewnego roku po wielkiej powodzi wyjechał na kilka dni z trzema tylko wiernymi sługami na jakąś tajemniczą wycieczkę w kierunku południowo-zachodnim; dopiero później dowiedziałem się, że składał ofiary u źródeł Rzeki Bobrów, lejąc w jej wody mleko i wino i zabarwiając je krwią zabitego na ofiarę konia, po czym rzucił jeszcze w te zdradliwe fale trzy złote monety, trzy srebrne i trzy brązowe.

Nazwa „Rzeka Bobrów" pochodzi stąd, że mnóstwo bobrów mieszkało istotnie na jej brzegach, zwłaszcza o jakie parę tysięcy kroków za wzgórzem Szarej Skały, nieco w górę rzeki, gdzie jej wody tworzyły kilka odnóg i wysp. Była tam cała kolonia tych zwierząt w liczbie zapewne kilkuset, zwana przez nas „Miastem Bobrów".

Podrósłszy o tyle, żem począł wędrować sobie po całym wzgórzu i jego najbliższych okolicach, nieraz zbiegałem ku osadzie bobrów, by się przypatrzyć ich ruchliwemu i pracowitemu życiu.

Z prawdziwą przyjemnością widziałem, jak te rozumne i ładne zwierzątka o wąsatych pyszczkach, mające sierść gęstą i lśniącą, płaski, pokryty łuską ogon, tylne łapy z palcami spiętymi błoną jak u kaczek, przednie zaś opatrzone ostrymi i długimi pazurami – snuły się i krzątały po wybrzeżu i wśród wód rzeki. Silnymi pazurami przednich pięciopalczastych łap wykopywały sobie w ziemi, ale tuż nad wodą, nory lub też budowały z gałęzi domki, doprawdy przypominające niektóre z chat naszych wieśniaków. Najciekawsze było jednak, jak budowały groblę. Najpierw niektóre bobry ostrymi zębami ścinały co cieńsze młode drzewka, potem, również zębami, zaostrzały je u dołu, aby je łatwiej było wbić w ziemię, gdy tymcza-

sem inne bobry, nurkując pod wodą, wykopywały tam doły. Następnie przysiadłszy na tylnych łapach, trzymając zaostrzone kołki w przednich, wbijały je w dno rzeki, przy czym wyprowadzały nimi w ten sposób dwie tak prawidłowe linie, równe jak pod sznur, że mógłby im tego pozazdrościć niejeden rzymski inżynier.

Po ukończeniu tej pracy wstępnej bobry zręcznie i szybko – jak wprawni koszykarze – zaplatały giętkimi witkami te dwa rzędy pali, następnie przestrzeń między nimi zapełniały żwirem, piaskiem, kamieniami, kawałkami drzewa, a wreszcie na to wszystko nanosiły sporo miękkiej gliny, którą tak mocno ubijały płaskimi ogonami – przypominając mi przy tej pracy kobiety, co piorą kijankami odzież – że glina stawała się twarda i połyskliwa jak kruszec. Po dokonanej pracy przy budowie grobli miłe te zwierzątka, dumne widocznie ze swego dzieła, poczynały przebiegać w wesołych podskokach po grobli z jednego końca na drugi i pogwizdując przyglądały się z zadowoleniem swej robocie.

Aby móc podglądać to życie Miasta Bobrów, kładłem się zazwyczaj pośród wysokiej trawy opodal ich osady, mając pod ręką łuk i strzały. Z początku moje przybycie wywoływało w osadzie bobrów wielki popłoch; zwierzęta z pośpiechem nurkowały do rzeki, a trwożliwe ich pogwizdywania płoszyły nawet inne bobry, pracujące daleko na groblach lub na wyspach rzeki. Widocznie jednak były zbyt ciekawe, aby się długo ukrywać, wkrótce bowiem nad ciemnawymi falami rzeki, ostrożnie wysuwając się z wody, ukazywały się okrągłe, wąsate główki, które rzucały na mnie spojrzenia pełne nieufności i trwogi i zaraz chowały się pod wodę – aby po chwili się wynurzyć i ukradkiem znów spojrzeć na mnie. Stopniowo miłe te główki poczynały ukazywać się na powierzchni wody coraz to liczniej, ładnymi, rozumnymi oczami przyglądając mi się coraz dłużej. Aż wreszcie zrozumiawszy widać, że im z mej strony nie grozi niebezpieczeństwo, najpierw ostrożnie wysuwały się na brzeg, następnie poczynały tam chodzić i skakać, a wkrótce brały się znów do przerwanej roboty. Pracowały z takim zapałem, że niektóre spomiędzy nich, zapędzając się po kamienie lub żwir, przeskakiwały z rozpędu przez moje wyciągnięte na trawie nogi. W końcu nawet samice z małymi wychodziły z nor i chatek na wybrzeże i lekceważąc sobie moją obecność grzały się na słońcu oraz karmiły spokojnie swe młode, przyglądając się pracy mężów i braci. Niekiedy zresztą ni stąd, ni zowąd w osadzie powstawał nagły popłoch. Zazwyczaj jednak nie ja bywałem jego przyczyną, lecz albo zabłąkany jeleń, który z wielkim szumem gałęzi wyskakiwał na wybrzeże z lasu, albo przebiegające mimochodem tamtędy stado dzików... Nic jednak nie mogło zniechęcić tych dzielnych zwierząt do pracy. Przeszkadzali im nieraz nieproszeni goście różnego rodzaju lub szalała rzeka, zrywając wszystkie ich groble i tamy, gdy jednak niebezpieczeństwo mijało, czworonożni budowniczowie, pogwizdując sobie, natychmiast odważnie wznawiali robotę.

Ludność naszej wioski otaczała to Miasto Bobrów wielkim poszanowaniem, a to tym więcej, że bobry przepowiadały ponoć pogodę oraz powodzie. Ojciec mój twierdził nawet, że oddają nam znaczne usługi, gdyż dzięki tamom i groblom powstrzymują nieco przypływ wód, nie dopuszczając w ten sposób nazbyt nagłych i zbyt silnych powodzi. Nikt też z mieszkańców Szarej Skały nie byłby się ważył zabić bobra. Nasi starzy wieśniacy utrzymywali nawet, że niegdyś dawno, bardzo już dawno, przodkowie ich, mieszkańcy Szarej Skały, żyli wspólnie z bobrami i mówili nawet wspólnym z nimi językiem; z zabobonnym szacunkiem też patrzyli na te małe gryzonie, widząc w nich dusze swych przodków, które wcieliły się w ciała tych zwierząt, albo też uważając ich za swych dalekich krewnych.

Nie wiem, o ile to może być prawdą. Prawdą jest jednak, że nasi sąsiedzi z Lutecji z dawna już nadali mieszkańcom Szarej Skały przezwisko „Bobrów", a myśmy się tym nie obrażali wcale, przeciwnie – dumni byliśmy z tego miana! Mój ojciec, dziad i pradziad, jakkolwiek pochodzący z innego plemienia niźli nasi wieśniacy, na swych tarczach i znakach wojennych nosili bobra wyrobionego z brązu, w postawie siedzącej, trzymającego w przednich łapach kołek zaostrzony u góry jak dzida. A należy wiedzieć, że nawet imię mego ojca–Beboryks,

nadane mu przez jego ojca, a mego dziada, w starożytnym miejscowym języku oznacza „króla bobrów". Słowem, nas – Paryzów z Szarej Skały – zwano ogólnie „Bobrami" i „Bobrami" też zostajemy nadal i na zawsze – jeżeli tylko moje wnuki nie poczną się wstydzić swego starego nazwiska i idąc za przykładem innych nie przybiorą jakiego imienia na wzór nazwisk rzymskich.

Rozdział II

MIESZKAŃCY SZAREJ SKAŁY

Ludność Szarej Skały stanowi część plemienia Paryzów, których największa wieś, Lutecja[1], leży na jednej z wysp Sekwany. Plemię to, jakkolwiek, mówiąc bez przechwałki, najznakomitsze ze wszystkich plemion Galii, jest wszakże jednym z najszczuplejszych, zamieszkując bowiem oba brzegi Sekwany oraz wybrzeża rzek: Marny, Oise, Essonny i paru innych mniejszych, zasiedla nie więcej nad dziesięć do dwunastu mil kwadratowych przestrzeni. O swych przodkach wieśniacy nasi opowiadają nader dziwne i zgoła nieprawdopodobne rzeczy. Na przykład, jakoby oni w łodziach z wydrążonych pni drzewnych pływali ongiś po dolinach naszego kraju, które podobno były wówczas rozległymi, głębokimi jeziorami. Wskazują nawet dotąd jakieś otwory w występach skał, wyglądające rzeczywiście jak dzieło rąk ludzkich. Starożytni wojownicy – o ile mamy wierzyć słowom wieśniaków – musieli toczyć walki z jaszczurami stustopowej długości, które połykały wołu jak muchę, ze straszydłami wodnymi o łabędziej szyi i rybiej łusce, ze skrzydlatymi smokami, ze słoniami, znanymi nam z opowiadań, które rzekomo wówczas były porosłe długim włosem, ba! nawet pospolite niedźwiedzie miały być ponoć tak olbrzymie, że stanąwszy na tylnych łapach głowami sięgały wierzchołków drzew! Psów nie umiano jeszcze układać do polowania, natomiast owi starożytni ludzie oswajali sobie jelenie, na których jeździli i których łanie doili, jak my doimy krowy. Nie znali też jeszcze żelaza, ani nawet brązu, i do walki używali tylko toporków kamiennych.

Lecz owa pierwotna ludność naszego kraju została następnie pokonana przez Celtów i Bolgów i częściowo wytępiona, częściowo wygnana, częściowo zaś zamieniona w niewolników. Potomkowie ich zapomnieli już swej dawnej mowy i mówią w naszym języku. Musi być w ich bajdach szczypta prawdy, nieraz bowiem przeorując nasze pola znajdujemy w ziemi toporki lub groty z kamienia, a zdarza się, zwłaszcza w miejscach głęboko rozmytych przez wodę, odkopać nawet szkielet jakiegoś olbrzymiego a nie znanego nam potwora. Wieśniacy nasi utrzymują nadto, jakoby w rozciągających się ku zachodowi od Lutecji nieprzebytych puszczach można napotkać jeszcze niekiedy ludzi z tego niemal doszczętnie zaginionego już plemienia, żyjących pomiędzy dzikimi jak oni zwierzętami.

Nie mam najlżejszej wątpliwości, iż to jest prawda, opowiadania te bowiem potwierdza pewne zdarzenie z czasów mego dzieciństwa, którego sam byłem świadkiem. Jeden z wojowników mego ojca, nazwiskiem Dumnak, wraz z nierozłącznym towarzyszem i przyjacielem, którego zwano Arwirag, obaj z rzędu tych zuchwałych śmiałków, co to nie lękają się ni bogów, ni ludzi, ni dzikich i niebezpiecznych zwierząt, postanowili udać się na wyprawę my-

[1] Dzisiejszy Paryż.

śliwską właśnie w głąb tej puszczy zachodniej, by ją nieco zbadać. Cały tydzień nie było ich widać z powrotem, tak iż w Szarej Skale poczęto nawet obawiać się, że zginęli; wreszcie ukazali się znowu na placu przed domem mego ojca, przywożąc jakieś dziwne stworzenie, skrępowane sznurami i przytroczone do siodła Dumnaka. Dumnak odtroczył je i tak bez ceremonii cisnął z góry przed progiem naszego domu, jak gdyby to był jakiś tobół podróżny. Lecz ów tobół począł się zaraz poruszać i dało się zeń słyszeć gniewne mruczenie i dźwięki jakieś – dźwięki ludzkiego głosu... Dumnak zeskoczywszy z siodła przeciął myśliwskim nożem sznury krępujące potwora i rzekł:

– Sądzę, że teraz można go już rozwiązać, gdyż od trzech dni nic w ustach nie miał, może więc będzie łagodniejszy... Spytajcie Arwiraga, ile trudu kosztowało jego ujęcie. A i potem niemało sprawiał nam jeszcze kłopotu...

I zrzuciwszy kubrak, pokazał szeroką, jakkolwiek niezbyt głęboką ranę na ramieniu, której wszyscy poczęli się ciekawie przypatrywać, nie mogąc zrozumieć, jakim by narzędziem mogła być zadana. Lecz Dumnak rozstrzygnął wątpliwości, gdyż wyjął zza pasa jakiś dziwny przedmiot i rzekł:

– Patrzcie, oto jest oręż tego potwora! Doprawdy, szczerze podziękowałem w myśli mej matce za to, że wydała mię na świat z takimi mocnymi kośćmi! A gdybym nie uskoczył natychmiast, nie tylko ramię moje, lecz i głowa nie byłaby cała!

To mówiąc podał memu ojcu podłużny, płaski kamień rzeczny, przypominający kształtem toporek, zaostrzony z jednej strony jak ostrze siekiery, z drugiej zaś zwężony mocno jak gwóźdź ogromny i tym węższym właśnie końcem wetknięty w otwór w jelenim rogu, a przywiązany doń sznurem z łyka.

Kiedyśmy oglądali z zajęciem ów toporek kamienny, człowiek leśny, który dotąd tylko mruczał głucho, porwał się nagle na równe nogi, wydając jakiś groźny, gardłowy, chrapliwy krzyk podobniejszy do krótkiego ryku raczej niźli do głosu człowieka. Dumnak skoczył doń natychmiast i pochwycił z tyłu za ramiona; jednakże tylko z pomocą kilku wojowników udało mu się po uporczywej walce pokonać to ryczące wściekle, kąsające i drapiące stworzenie – tak silne, a zarazem tak zwinne i zręczne, że wywijało się wojownikom z rąk jak wąż, aby wydostać się na swobodę. Byłem małym chłopięciem podówczas, toteż przestraszyłem się ogromnie tego nie znanego mi, dzikiego zwierza i dopiero po dłuższej chwili, gdy odważyłem się wreszcie doń zbliżyć, przekonałem się, iż to jest – człowiek. Wzrostu był raczej niskiego, lecz barczysty, o potężnych muskułach ud i ramion; całe ciało porośnięte włosami, ręce długie, czoło niskie, nos szeroki i nieco spłaszczony, duże, silne szczęki o grubych wargach przypominały zwierzę drapieżne, a spod lasu gęstych czarnych włosów, spadających mu aż do pasa, świeciły niewielkie czarne oczy o wyrazie okrutnym i zarazem trochę przestraszonym. Lecz ten dziki człowiek miał na sobie jaką taką odzież, a mianowicie coś w rodzaju tuniki ze szczurzych skórek oraz na szyi długi naszyjnik z muszel – może jakiś talizman?... Minę miał posępną i chmurną. Stał nieruchomo, o ile go pozostawiono w spokoju, tylko czasami spoglądał spode łba, ukradkiem, w stronę lasu. Gdy jednak kto doń podchodził i przypatrywał mu się, poczynał zaraz ciskać się i rzucać, szczerząc z wściekłością duże i jak u wilka ostre zęby.

Dumnak począł nam opowiadać:

– O trzy dni drogi stąd wśród prawie niedostępnej gęstwiny leśnej spostrzegliśmy dużą pieczarę w skale, z której dochodził nas ciężki zaduch. Nic dziwnego – u wejścia bowiem do jaskini leżało kilka na pół odartych z mięsa i na pół rozkładających się trupów zwierząt. Pomimo iż deszcz począł padać właśnie, woleliśmy schronić się raczej pod występ skały niźli wejść do jaskini zamieszkałej – jak sądziliśmy– przez jakiegoś czworonożnego drapieżnika. Raptem z czarnego jej otworu wypadł na nas niespodzianie ten oto dzikus, który na pierwszy rzut oka zrobił na mnie wrażenie nie człowieka, tylko jakiegoś olbrzymiego włochatego kłębka. Odskoczyłem mimo woli. Ten ruch bezwiedny ocalił mię od śmierci, gdyż toporek ka-

mienny, który widzicie, świsnął mi tuż koło głowy i zadrasnąwszy cokolwiek ucho zranił ciężko w ramię. Na szczęście dziki z rozpędu potknął się o korzenie drzewa i rozciągnął jak długi na ziemi, my zaś naturalnie skorzystaliśmy z tego natychmiast i rzuciwszy się nań z dwu stron mimo jego zaciętego oporu pokonaliśmy go i związali sznurami. Możecie teraz osądzić, czy to nam przyszło łatwo! Gdyśmy się jeszcze szamotali, z przeraźliwym krzykiem przemknęła koło nas jakaś podobna do naszego jeńca istota, prawdopodobnie jego godna małżonka, która uciekła z dwojgiem małych w głąb lasu. Weszliśmy następnie do jaskini, aby przy świetle pochodni rozejrzeć się w niej trochę, lecz nic tam nie było godnego uwagi, zaduch zaś panował w niej tak przykry, że pośpieszyliśmy wyjść na świeże powietrze. Należałoby jednak dać mu coś zjeść.

Przy tych słowach Dumnak ostrożnie rozwiązał rękę jeńca.

– Może mu przynieść kawałek pieczonego mięsa? – odezwałem się na to.

– Pieczonego mięsa... jemu?! – roześmiał się Dumnak. – Ależ moje dziecko, ten pan wcale nie jest tak wybredny!... Zobaczysz zaraz.

Mówiąc to odwrócił się i zręcznym ruchem zabił drzewcem dzidy przechadzającego się dumnie po podwórzu koguta, który zabierał się właśnie do wyśpiewania swego triumfalnego: kukuryku! Po czym drgającego jeszcze ptaka podał człowiekowi leśnemu. Ten wyrwał mu go z ręki, zadrasnąwszy ją przy tym trochę swymi długimi paznokciami, i wpił ostre zęby w koguta tak głęboko i chciwie, że aż zatrzeszczały kości ptaka, a pierze posypało się dookoła; parskał też, sapał i fukał przy jedzeniu jak dziki kot, gotów kąsać i drapać, gdyby ktoś ośmielił się wyciągnąć rękę po jego jadło.

Próżne były usiłowania Dumnaka, aby tego człowieka leśnego oswoić. Co prawda, mniej trochę kąsał i drapał, lecz nie spuszczał oczu z lasu. Stojąc przykuty u słupa przed domem Dumnaka, to z bezsilną wściekłością targał swe więzy, ciskając się i miotając na wszystkie strony, a skakał nieprawdopodobnie wysoko, to znów wpadał w głuchą rozpacz. Nie chciał brać pokarmu i w końcu pewnego dnia sam sobie roztrzaskał głowę o węgieł domu Dumnaka, dokąd mógł się zbliżyć na swym dość długim łańcuchu. Nikt go nie żałował zresztą. Ojciec mój prosił już nawet przedtem kilkakrotnie Dumnaka, aby uwolnił wieś od tego „wstrętnego zwierzęcia", obawiał się bowiem, aby ten dzikus nie uczynił mi jakiej szkody, gdyż lubiłem mu się przyglądać.

Czy ten człowiek urodził się dzikim, czy zdziczał wśród głuchej puszczy pomiędzy zwierzętami?... Tego wam powiedzieć nie umiem. Wracam więc do opisu naszego rodzinnego gniazda, Szarej Skały.

Do ojca mego należały wszystkie ziemie w dolinie Rzeki Bobrów, a nawet trochę przyległych jeszcze, pradziad mój bowiem, pochodzący z plemienia Bolgów, zdobył je zbrojną ręką. Osobnymi wioskami w dolinie rzeki rządziło piętnastu naczelników, którzy wobec tego, że wszystko, co posiadali, otrzymali niegdyś od mych przodków, obowiązani byli stawać w razie potrzeby ojcu memu do pomocy z całą swą siłą zbrojną i walczyć z wspólnymi wrogami pod jego znakiem wojennym. Nazywali go swym starszym bratem, siebie zaś – młodszą bracią; i ustalił się obyczaj, że we wszystkich swych zatargach i sporach obierali go sobie za sędziego. Nawet najbliższa posiadłość mego ojca, czyli Szara Skała, była także obszerna, w górę bowiem rzeki rozciągała się do osady bobrów, w przeciwną zaś stronę sięgała stóp góry Lukotycji, obejmując prócz wioski, gdzieśmy mieszkali, kilkanaście innych, które ojciec mój często objeżdżał, pilnując w nich gospodarstwa.

Uprawą ziemi zajmowali się u nas wolni przeważnie ludzie z klasy rolników, którym ojciec mój dawał sprzężaj, narzędzia do pracy, a w razie nieurodzaju ziarno siewne, w zamian zaś dzielił z nimi plony ich żniwa i przychówek bydła. Wieśniacy ci ojca mego zwali swym ojcem i chętnie pracowali na naszą i własną korzyść na tej wspólnej roli, bardzo zadowoleni, iż oddając naczelnikowi z Szarej Skały część swych plonów, mogą być w zamian pewni jego

opieki na wypadek nieurodzaju lub też najazdu nieprzyjacielskiego, co zdarzało się dość często. Ubierali się prawie tak samo jak mój ojciec i inni naczelnicy z doliny rzeki – to jest w długie wełniane płaszcze w pasy zielone i czerwone lub też w kratę z tychże barw, a do swych czapek przypinali – również jak ich panowie – pióra czaple; toteż człowiekowi z innych okolic dość było spotkać kogokolwiek z naszych, na przykład na targu w Lutecji lub gdzieś, w drodze, aby zaraz powiedzieć sobie:

– A! to jest człowiek z doliny Rzeki Bobrów. – Albo: – A! to jest Bóbr. – Lub: – To jest któreś z dzieci Beboryksa.

Lecz oprócz ludzi wolnych pracowali u nas na roli niewolnicy pochodzący ze zdobyczy wojennej albo spośród potomków dawnej ludności tego kraju, niekiedy zaś po prostu kupieni przez mego ojca czy dziada od kupców z Lutecji w zamian za zboże, bydło lub trzodę chlewną. Za dobrego rumaka bojowego dawano czterech niewolników. Stanowili więc oni własność naszą, tak samo jak bydło lub konie, powinnością też ich było oddawać panu cały owoc własnej pracy. Lecz ojciec mój obchodził się z nimi tak sprawiedliwie i po ludzku, jak i z wolnymi rolnikami, karmiąc ich w lata nieurodzaju i broniąc od złego obejścia, więc też i oni byli nam szczerze oddani i przychylni, a to tym bardziej, że większość ich od dawna już osiadła na naszych gruntach. Gdym przebiegał mimo chałup naszych wieśniaków – wolnych lub niewolnych – przeprowadzany ich przyjaznymi słowami i spojrzeniami, nieraz słyszałem, jak szeptali pomiędzy sobą:

– Patrzcie, patrzcie, jak pięknym i silnym staje się nasz mały Wenestos! Będzie z czasem zupełnie taki, jak jego ojciec: groźny tylko dla wrogów, a dobry dla swych dzieci, rolników!

W razie wielkiej potrzeby ojciec mój mógł ich wszystkich powołać pod broń – i w takich wypadkach stawiali się bez oporu, gotowi walczyć i umrzeć za niego. Lecz rolnicy tak potrzebni nam byli do uprawy ziemi, że wzywano ich na wojnę niezmiernie rzadko, w wypadkach szczególnie groźnego niebezpieczeństwa tylko, na pospolite zaś wyprawy wojenne udawali się zazwyczaj jedynie wyćwiczeni w sztuce wojennej wojownicy: więc jeźdźcy, którzy mieli prawo do noszenia złotego naszyjnika, a mieli najwyborniejszy, drogi oręż, oraz skromniej już uzbrojeni piesi wojownicy, którzy z uwagi na dłuższe lata służby lub też ze względu na męstwo i zasługi przechodzili nieraz później do klasy jeźdźców. Jedni i drudzy byli, jak to mówiono podówczas, „wiernymi" mego ojca. Wojownicy większą część czasu ćwiczyli się wspólnie z mym ojcem i pod jego kierunkiem w ujeżdżaniu półdzikich koni, ciskaniu włócznią, szermierce mieczem i dzidą, poza tym uczyli się śpiewać pieśni wojenne i poznawać różne prawa wojenne, które należało szanować; tak na przykład prawa heroldów, przyjeżdżających z obozu nieprzyjacielskiego w jakimś poselstwie, a chociażby nawet z wyzwaniem. Każdy z naszych wojowników miał w wiosce swój dom, większość – żony i dzieci, zazwyczaj jednak u schyłku dnia zgromadzali się wszyscy u nas na wieczerzy. Ojciec mój zasiadał na poczesnym, cokolwiek wyższym miejscu za stołem, dalej po obu stronach inni według zasług i starszeństwa; siedząc na wiązkach słomy raczyli się mięsem łosi, jeleni, dzików, a także zwierząt domowych: wołów, baranów i świń. Najdzielniejsi a najmężniejsi otrzymywali od mego ojca najlepsze kąski. Popijano zaś mięsiwo sikerą[2] i miodem, a w uroczystości nieraz nawet drogim winem italskim, przy czym ucztowano tak częstokroć do późna w noc. Ojciec mój mawiał, że obfitość mięsa i dobre wino rozwijają odwagę i przytomność umysłu, toteż nie żałował niczego dla swych towarzyszy broni. Gdy raz jeden z wojowników zauważył żartem, że mają u stołu wodza drewniane łyżki jak wieśniacy, ojciec natychmiast pchnął posłańca do Lutecji, aby zamówić u tamecznych złotników łyżki złote dla jeźdźców, dla pieszych zaś wojowników srebrne i – ofiarując im je, gdy były już gotowe, rzekł półżartem:

– Takich dzielnych wojów, jak wy, nie kupię za złoto ani za srebro!... Z wami zaś zdobędę srebra i złota, ile zechcę...

[2] Rodzaj piwa, które starożytni Galowie wyrabiali z jęczmienia.

Wiedział zaś w rzeczy samej wybornie, że ludzie ci są gotowi iść za nim w ogień i wodę, a w najgorętszym zamęcie bitwy, w najgroźniejszym niebezpieczeństwie, nie odstąpią go na krok; gdyby zaś poległ, ani jeden spomiędzy nich nie byłby pozostał przy życiu. Byli oni towarzyszami jego zabaw i uczt, jego wypraw łowieckich i wojennych i „wiernymi" mu – naprawdę – na śmierć i życie.

W ten sposób mój ojciec karmił codziennie przy swoim stole trzydziestu wojowników: dziesięciu jezdnych i dwudziestu pieszych. Co wieczór w owej ogromnej sali na dole ustawiano niski a długi stół złożony z paru z grubsza ociosanych desek wspartych na kozłach, salę oświetlano jasno pochodniami i biesiadnicy zasiadali na wiązkach słomy do uczty, rozweselani przy niej nie tylko sikerą i miodem, lecz nadto pieśniami naszego ślepego barda Wandila, który przy dźwiękach harfy opiewał bohaterskie czyny mych przodków lub opowiadał różne legendy z dziejów Galii i Wysp Brytańskich. Stół biesiadny mego ojca wydłużał się jeszcze, gdy odwiedzał nas któryś z sąsiadów lub z obywateli Lutecji, albo podróżny czy kupiec przejezdny, którym nie odmawiano nigdy gościnności i noclegu. Wówczas miód i sikera lały się jeszcze obficiej, harfa starego Wandila dźwięczała jeszcze rozgłośniej, a nieraz przyłączały się do niej harfy innych bardów, okoliczni bowiem bardowie znając wspaniałomyślną hojność mego ojca garnęli się do nas tak chętnie, jak muchy do miodu. Ojciec mój żył więc tak, jak gdyby król pomiędzy swymi wiernymi poddanymi. Sława jego męstwa a gościnności rozchodziła się daleko po Galii, głoszona przez bardów, którzy śpiewali o nim, iż złoto, tworzące się rzekomo z kurzu ziemi pod każdym uderzeniem kopyt jego konia, lało mu się z rąk kaskadami; że dom jego był domem zaczarowanym, gdyż ściany jego rozsuwały się w miarę, jak przybywało gości; że z piwnic nigdy nie ubywało sikery, miodów i wina; ba! że dość mu było nawet cisnąć ogryzioną kość wieprzową w chlewy Szarej Skały, aby zeń powstał zaraz żywy wieprz – tak, jak się to działo podobno w jakimś zaczarowanym zamku brytańskim, gdzie także porżnięte i zjedzone woły, barany i wieprze rzekomo znów powstawały do życia ze swych kości.

Wybaczmy jednakże bardom tę skłonność do przesady i upiększania prawdy, dzięki nim bowiem żyją w pamięci ludzkiej wspomnienia sławnych czynów, męstwa i cnót wielkich bohaterów.

Rozdział III

BEBORYKS I EPONINA

Jako małe dziecko, nie brałem udziału w tych ucztach; nie wolno mi było nawet podczas nich wchodzić do sali. Ojciec mój nie pieścił mnie wcale i publicznie – to znaczy na ulicach naszej wioski i na placu przed domem – nigdy nawet nie zwracał się do mnie. Taki był bowiem obyczaj dawnych Galów; i wojownik byłby się wstydził okazać kobiecą tkliwość względem swych dzieci. Pomimo tę pozorną obojętność czułem, iż ojciec mój kocha mnie bardzo, jakkolwiek jego wyniosła, pełna powagi postać wzbudzała we mnie pewną obawę. Wzrostu był wysokiego, cerę miał jasną i świeżą, oczy jasnoszare jak stal, a wesołe i bystre, włosy długie i wąsy barwy miedzi, ubierał się zaś zwykle w niebieską wełnianą tunikę bez rękawów i szerokie czerwone spodnie przewiązane u stóp pozłacanymi rzemykami, a na to wszystko zarzucał obszerny płaszcz z tkaniny wełnianej, niezmiernie wygodny zarówno w domu, jak w podróży, który można było zarzucić sobie czy to na jedno ramię, czy też na drugie, zapiąć na klamrę pod szyją lub też zawinąć w kształcie szarfy i obwiązać się nim, na przykład podczas bitwy, czy wreszcie złożyć go w kilkoro i podłożyć sobie na siodło. W stroju wojennym ojciec mój wyglądał wspaniale. Wkładał naówczas długie buty ze skóry rudawożółtej opatrzone brązowymi ostrogami, bardzo szeroki, zastępujący nam, Galom, poniekąd zbroję, pas – również z brązu, od którego na rzemykach zwieszały się z przodu płytki brązowe dla ochrony żołądka od ciosów. Na lewym ramieniu nosił niedużą owalną tarczę splecioną z łozy, pomalowaną i wstawioną w kutą brązową obręcz, a wzmocnioną nadto takimże brązowym, krzyżem z małą figurką bobra u szczytu. U boku zwisał mu krótki miecz iberyjski z najwyborniejszej stali, z rękojeścią z kości słoniowej, rzeźbioną w kształt lwiej głowy. W prawej ręce trzymał dzidę o długim grocie. Głowę pokrywał hełm, co prawda z brązu, ale obłożony cały cienkimi blaszkami złota, a zakończony, zwyczajem galijskim, wysokim rżniętym grzebieniem, u którego szczytu powiewały szumnie pióra czaple, z obu stron zaś wznosiły się rozpostarte szeroko dwa skrzydła orle. Błyszczący w promieniach słońca naszyjnik ze złotych blaszek oraz złote bransolety na ramionach i u przegubu ręki dopełniały tego świetnego stroju. Ojciec, odziany weń, wydawał mi się samym bogiem wojny, zwłaszcza gdym go widział w tym stroju wojennym, harcującego na wspaniałym rumaku bojowym, który się wspinał i rzucał pod nim.

Na wyprawę wojenną jechało za nim dziesięciu jeźdźców, z których jeden piastował w ręku drzewce jego znaku wojennego, a wszyscy mieli złote naszyjniki i czaple pióra u hełmów. Za nimi postępowało dwudziestu pieszych wojowników, trzymając wysoko do góry dzidy, które tworzyły jak gdyby las nad ich głowami; hełmy ich zdobiły jelenie, bycze i baranie rogi, niektórzy zaś nosili czapki zastępujące im hełmy, a zrobione wprost z głów wilków, dzików i niedźwiedzi. Zdawało się, że ci groźni wojownicy mogą podbić chyba świat cały!... Wyglądali tak dzielnie i pięknie, że matka moja, która patrzyła zwykle na ich odjazd z okna swego mieszkania na piętrze, uśmiechała się nawet przez łzy. Czasami spojrzenie ojca padało na mnie, gdym stał przy drodze i przyglądał im się szeroko otwartymi oczyma; zwracał się więc wówczas do mnie, ale to zupełnie tak, jak gdyby do jakiegoś obcego dziecka, mówiąc obojętnie:

– Odejdź stąd, chłopcze, bo możemy cię stratować!

Zmartwiony tym chłodem ojca, pocieszałem się w objęciach matki, która darzyła mnie niezmierną i jawną tkliwością. Nawet gdym był sporym już chłopaczkiem, nieraz porywała mnie na ręce jak małe dziecko i nosiła po pokoju tam i z powrotem, pieszcząc mnie, całując, bawiąc się mną a podrzucając mnie do góry – albo też sadzała mnie na kolanach i obsypywała pieszczotami, pocałunkami, a niekiedy oblewała łzami, niezrozumiałymi zgoła dla mnie podówczas. Spędzałem też w jej mieszkaniu na piętrze nieraz długie godziny, zwłaszcza gdy ojca nie było w domu; i niekiedy – jeśli matka nie mając pilnego zajęcia pozwalała mi na to – bawiłem się przystrajając ją w powyciągane przeze mnie ze skrzyń drogie, o pięknych żywych barwach tkaniny, w różne cenne klejnoty oraz wtykając kwiaty polne w jej jasne niby promienie słoneczne włosy, a następnie śmiałem się i skakałem z radości widząc, jak w tym wszystkim była piękna!...

Bo matka moja w rzeczy samej była bardzo piękna. Jej bogate jasnoblond włosy były tak gęste i długie, że gdy je rozpuściła, to okrywały ją całą aż do ziemi niby płaszczem złocistym; oczy miała duże a błękitne jak niebo w dzień pogodny, o wyrazie łagodnym i marzycielskim, małe usta i cerę białą a delikatną. Żona, córa i siostra dzielnych wojowników, wcale nie brała za złe memu ojcu, że opuszcza ją tak często, wyjeżdżając to na wyprawy wojenne, to na równie prawie niebezpieczne wyprawy łowieckie na grubego zwierza, to wreszcie na uczty do naczelników z sąsiedztwa. Ale że czasami smutno jej było samej, więc poświęcała mi wówczas więcej jeszcze czasu niż zwykle.

Ubrana w czasie nieobecności męża w ciemne szaty bez żadnych ozdób, z włosami posypanymi białym, dobrze przesianym popiołem, lubiła mi opowiadać różne legendy i podania o bogach. A więc o Heolu czyli Belenusie, bogu słońca zsyłającym nam na ziemię dobroczynne światło i ciepło, i siostrze jego, Belizanie, która oświeca nam noce dając łzy rosy, urodzaj roślin i przyrost bydła, a jest przy tym łagodną boginią, nie wymaga bowiem żadnych krwawych ofiar, tylko obiaty z mleka. Dalej opowiadała o Teutatesie, ponurym i groźnym bogu, którego czczą i obawiają się powszechnie we wszystkich krajach Celtyki, bo dusze zmarłych prowadzi po śmierci w swe straszne państwo podziemne; mówiła jeszcze o miotającym błyskawicami i piorunami Tarannusie i Ezusie, grozie i gospodarzu głuchych lasów. Matka zniżała głos prawiąc mi o tych trzech bogach, gdyż były to bóstwa straszliwe, których gniew można przebłagać tylko obiatą z krwi ludzkiej. Z westchnieniem opowiadała mi o Kamulu, bogu wojny, który się kocha w zgiełku bitw i szczęku oręża; z uśmiechem zaś o różnych pomniejszych bóstwach, przeważnie dobrych, które zamieszkują rzeki, jeziora i lasy, gdzie chowają się czasem za korę drzew. Wskutek ich obecności z drzew rąbanych niekiedy łzy płyną i rozlegają się jęki. Uczyła mnie także modlitw do bogów, które posłusznie powtarzałem za nią, dziwiąc się w duchu, że mówi w jakimś zaledwie zrozumiałym dla mnie języku. Czasem, jak gdyby zapominając o mej obecności, zastanawiała się nad tym; kto stworzył bogów i cały świat, skądeśmy się tu wzięli na nim i dokąd pójdziemy po śmierci, co będzie w państwie podziemnym Teutatesa, a co w kręgu szczęśliwości, czy nie można by wiedzieć, czy w nim znajdzie się razem z mężem i dzieckiem?...

Będąc bardzo pobożną, nieraz pościła surowo, odprawiała długie modły i rozzuwszy lewą nogę składała bogom ofiary i obiaty najpierw u domowego ogniska, następnie na wybrzeżu naszej rzeki, a wreszcie na skraju puszczy, gdzie kazała zawieszać na najstarsze dęby czy to jakąś tkaninę, czy welon, a czasem nawet i klejnot. Wyjeżdżała z domu zazwyczaj tylko dla składania tych ofiar, cała okryta cienką, lecz dość gęstą zasłoną pokrywającą jej czoło i nawet trochę oczy, na łagodnym koniu, którego dosiadała bokiem, opierając się nogami o przywieszoną u siodła w miejscu strzemienia małą deseczkę. Niekiedy zaś zapominała trochę o bogach i gdy następował u niej okres takiego zobojętnienia, zdarzało się, że nawet służebnice nasze musiały jej przypominać, iż w letnie przesilenie dnia z nocą trzeba rozpalić ognisko na pagórku, w dzień zaś zimowego przesilenia – przynieść do domu choinkę i ustroić ją w skrawki barwnych tkanin i płonące pochodnie, aby ucieszyć tym dusze zmarłych przodków.

Dnia tego, poświęconego czci zmarłych, gaszono też u nas ognisko, rozpalano zaś je ponownie nazajutrz o świcie ogniem przyniesionym ze szczytu góry Lukotycji od ołtarza bogini Belizany.

Pamiętam, jak pewnego razu w czasie nieobecności mego ojca przyjechał na mule do Szarej Skały jakiś sędziwy starzec w długiej, czarnej szacie, z białymi jak śnieg, lecz gęstymi, rozsypującymi mu się po plecach, długimi włosami, z obnażoną szyją i ramionami, w sandałach, związanych prostymi rzemykami. Nie zdobiły go kosztowności, ani też nie miał zgoła oręża. Lecz na jego wyniosłym czole, w mądrych a przenikliwie i surowo patrzących spod nawisłych brwi oczach, w szlachetnej postawie tyle było powagi i dziwnego majestatu, że doprawdy wyglądał na coś wyższego nad wojownika, nad wodza, ba – króla nawet. Nasza ludność wieśniacza na jego widok pośpiesznie wychodziła z chat i padała przed nim plackiem, starając się w tej pozycji podpełznąć jak najbliżej ku niemu, aby pocałować kraj jego szaty, a przynajmniej dotknąć się chociaż sierści jego muła. I wojownicy nasi powychodzili również ze swych domów i stojąc przed nimi kłaniali się staremu druidowi nisko a ze czcią, w której się dawało odczuć trochę obawy.

Matka moja także wyszła na jego powitanie przed dom. A gdy stanął przed nią, przyklękła i pochyliwszy z pokorą głowę skrzyżowała ręce na piersi. Starzec położył na jej głowie obie dłonie i wzniósłszy wzrok ku niebu wypowiedział kilka słów w jakimś niezrozumiałym dla mnie języku. Potem podniósł ją z klęczek, wszedł do domu, sam usiadł na miejscu poczesnym i skinieniem ręki oddaliwszy wszystkich obecnych długo sam na sam z nią rozmawiał. Gdy wyjeżdżał, matka odprowadziła go przed dom i na pożegnanie znów padła przed nim na kolana pochylając głowę niżej jeszcze niż przedtem, lecz jej twarz miała teraz wyraz takiej pogody, takiego rozradowania wewnętrznego, jakiegom nie widział na niej dotąd nigdy. Orszak naszych wojowników towarzyszył druidowi w jego powrotnej drodze, za nimi zaś postępowali wieśniacy, prowadząc konie obładowane zarżniętymi baranami i kurami.

Druid ten przyjeżdżał do nas niekiedy potem i ojciec mój, o ile był w domu, okazywał mu takąż głęboką cześć jak wszyscy. Gdy pozostawał na rozmowie z matką, ojciec nie wchodził nawet wcale do domu; gdy wyjeżdżał – przyoblekał się w swój paradny strój bojowy i sam jechał konno na czele towarzyszącego druidowi orszaku, postępujące zaś za nim konie obładowywano na jego rozkaz hojniejszymi jeszcze darami.

Pewnego razu po wyjeździe druida matka kazała zawołać mnie do siebie i gdyśmy pozostali sami, ucałowała mnie z większą jeszcze tkliwością niż zwykle, następnie zaś rzekła do mnie:

– Posłuchaj mię, synu, i staraj się dobrze zapamiętać, co ci teraz powiem. Ten czcigodny starzec, tak święty i taki mądry, potwierdził mi tylko to, co przeczuwałam już sama nieraz. Istnieje tylko jeden Bóg najwyższy, który zawiera w sobie wszystkie bogi i który stworzył wszystko, sam zaś nie ma początku ani końca. Aby stać się dla nas zrozumiałym, przyjmuje on na siebie postacie Belenusa i Belizany, Teutatesa, Tarannusa, Ezusa i Kamula. Jeśli więc kiedy będziesz zanosił modły do którego z tych bóstw, módl się tak, aby modlitwa twoja godna była dosięgnąć Tego, w którym się zawierają one wszystkie. Bądź sprawiedliwym! Bądź mężnym! Bo wieczne szczęście czeka dobrych, a otchłań mroków – złych. I kochaj matkę tak, jak ona cię kocha. U nóg matki wysłużyć można prawo wejścia pomiędzy błogosławionych tak samo, jak i w ogniu bitwy.

Źle jeszcze wówczas rozumiałem te słowa matczyne, zapadły mi one jednak głęboko w duszę i nieraz później przypominały się w życiu. W owej wiośnianej wszakże dobie mego życia starałem się zazwyczaj uwolnić tylko co prędzej od podobnych rozmów, aby lecieć do mych rówieśników z wioski. Bawiliśmy się społem wybornie, bez różnicy stanu, synowie jeźdźców, pieszych wojowników i wieśniaków – i to najczęściej w wojnę. Kupa śmieci w kącie podwórza wyobrażała *oppidum* (miasto obronne), które zdobyć było zadaniem jednej partii, kiedy druga, broniąca go, zasypywała nieprzyjaciela gradem pocisków. Te składały się

zazwyczaj z szyszek, lecz w zapale bitwy porywało się nieraz z ziemi i drobne nawet kamyki, toteż wielu z nas wynosiło z takiej zabawy guzy, sińce oraz porwaną odzież. Gdym powracał do domu po zabawie ociekający potem, a niekiedy i krwią nawet, zabłocony, oberwany, lecz dumny, żem zwycięsko odparł atak nieprzyjacielski na *oppidum,* lub też żem je zdobył zuchwałym szturmem, matka niepokoiła się o mnie i czasem nawet robiła mi wymówki za zniszczoną odzież. Lecz ojciec z niezwykłą mu pobłażliwą czułością spoglądał wówczas na mnie.

– Daj mu pokój! – mówił do żony – nie łaj go... I ja w jego wieku niemało rwałem i wałałem odzieży. On mi obiecuje stać się z czasem dzielnym wojownikiem, a to najważniejsze!...

Rozdział IV

BARD

Szukałem też niekiedy rozrywki w towarzystwie ślepego barda Wandila. W niepogodę siadywał on zazwyczaj w naszej sali na dole przy ognisku, w piękne zaś dni zawsze mogłem być pewien, że go znajdę na dużym kamieniu pod dębem, stojącym samotnie nieco opodal od wioski. Stary Wandilo wygrzewał się tam w promieniach słońca i trzymając swą nierozłączną towarzyszkę – harfę na kolanie, a przebierając od niechcenia palcami po jej strunach, śpiewał sam sobie półgłosem. Kochał mnie jak rodzonego syna, czcząc we mnie zarazem potomka krwi królewskiej, witał mnie zawsze przyjaźnie, poznając już nawet po odgłosie kroków, i chętnie śpiewał dla mnie różne stare legendy. Siadywałem zwykle przed nim w kucki na trawie z łokciami na kolanach, brodą wspartą na dłoni i nie spuszczając wzroku z jego niewidomych oczu słuchałem śpiewu.

Najbardziej mi się podobała legenda o mym dalekim przodku, Hu-Gadarnie. Wandilo śpiewał, jak Hu-Gadarn królował z początku w jakimś rozległym kraju na północy, gdzie w przeciągu blisko sześciu miesięcy było jasno jak w dzień, podczas zaś następnych sześciu ustawicznie prawie panował mrok. Naród jego dzielny był i możny, lecz pewnego razu olbrzymy morskie wypowiedziały mu wojnę i nasłały na jego państwo wojsko groźnie spiętrzonych bałwanów morskich. Przez trzy miesiące Hu-Gadarn wojował z tymi górami wody i tam, gdzie błyskał jego straszliwy miecz, fale cofały się z przerażeniem. Krew ludzi i owych olbrzymów morskich lała się strumieniami; morze to wzdymało się groźnie, zalewało brzegi, to się cofało, lecz zwycięstwo nie przechylało się stanowczo ani na jedną, ani na drugą stronę. Aż wreszcie bogowie morscy, którym ciągłe burze przeszkadzały ucztować w ich podwodnych pałacach z korali, oraz bogowie niebiescy – niezadowoleni, iż niebo pokryte jest wciąż chmurami, zebrali się na naradę i postanowili wdać się w tę sprawę. W rezultacie tej narady bogów rozbłysnął nagle na niebie świetny siedmiobarwny łuk tęczy, na nim zaś ukazali się nieśmiertelni: bogowie w złotych hełmach i zbrojach oraz boginie w śnieżnobiałych zasłonach, usianych gwiazdami. Ojciec nieśmiertelnych ruchem rozkazującym wyciągnął rękę – i heroje musieli zaprzestać walki. Palmę zwycięstwa przysądził Hu-Gadarnowi, lecz kazał mu opuścić ten kraj i iść dalej na zachód, wciąż na zachód, gdzie miał znaleźć pole do nowych bohaterskich czynów i dalszych zwycięstw. Hu-Gadarn natychmiast wyruszył w drogę wraz z

całym swoim ludem, wojownikami, kobietami i dziećmi, z wozami wojennymi, opatrzonymi z obu stron w ostre kosy, z procami olbrzymich rozmiarów, z których można było zabić od razu setkę ludzi, ze wszystkimi swymi stadami i całym dobytkiem. Szli długie miesiące kierując się wciąż na zachód, a po drodze zwyciężając olbrzymów i smoki oraz podbijając różne wrogie narody. Rozlewny Ren o spienionych nurtach przegrodził im drogę. Lecz Hu-Gadarn wsparł się tylko mocno na swej dzidzie i jednym potężnym susem przeskoczył na drugą stronę, potem zaś z przeciwległego brzegu przerzucił przez rzekę swój miecz, po którym, jakby po moście, przeszli jego wojownicy, przejechały wozy i przepędzono stada. Następnie przed wędrowcami wzniósł się groźnie łańcuch gór wysokich; lecz Hu pochwycił ręką jedną górę, drugą zaś ręką górę sąsiednią i z taką mocą pchnął je w dwie przeciwne strony, że się pomiędzy górami utworzyło szerokie przejście. Na dźwięk jego rogu spadały same z zawias bramy miast obronnych, mury rozpadały się, a zastępujące im drogę wojska nieprzyjacielskie rozpraszały się przed nim we wszystkie strony, jak liście jesienne rozpraszają się pod tchnieniem burzy. Spieniane, gniewnie szumiące morze chciało wreszcie zatrzymać pochód Niezwyciężonego. Lecz Hu ciął po nim potężnie mieczem i pomiędzy przerażonymi falami, które się cofnęły i rozstąpiły, utworzyła się droga, którą wędrowcy przeszli na Wyspę Brytańską pomiędzy dwiema ścianami wodnymi, wysokimi na trzysta stóp, spoza których przyglądały im się różne potwory morskie.

W ten sposób Hu-Gadarn osiedlił swój naród częściowo na wyspie, którą obecnie zowią Pryden albo Brytanią, wówczas zaś zwano Wyspą Miodową, częściowo zaś w Galii. Nadał swemu ludowi mądre prawa nauczył go pracować na roli za pomocą sochy i brony, na koniec pozostawiwszy w różnych krajach mnogich synów królami udał się – tym razem już sam jeden – znów dalej na zachód, idąc po falach oceanu tak swobodnie, jak gdyby szedł po zżętym polu. Doszedłszy krańców horyzontu począł schodzić zwolna na drugą stronę – i w blaskach zachodzącego słońca skrył się tam w krainie nieznanej, skąd już nie wrócił.

Wandilo przestał śpiewać, ale srebrne dźwięki strun jego harfy, trącanych z lekka palcami, drżały jeszcze chwilę w powietrzu, cichnąc zwolna jak głos kogoś, kto odchodzi od nas hen daleko!...

– Jakież to piękne! – wołałem prawie ze łzami w oczach. – Jak piękne!

I myślałem sobie w duszy, że jednak chyba nigdy, nigdy nie potrafię dorównać temu przodkowi. Rozerwać łańcuch gór, przesadzić jednym skokiem Ren... Wszystko, czego dokonał, zdawało mi się tak strasznie trudne! Zresztą, gdy dorosnę, to jeszcze zobaczymy!...

– Czemu nie śpiewasz dalej, Wandilo? – zapytałem po chwili. – Czybyś nie chciał mi zaśpiewać o Brennusie w Grecji i Rzymie?

I harfa ślepego barda poczynała dźwięczeć znowu. Lecz nie była to, jak przed chwilą, pieśń pełna uroczystej, niemal religijnej powagi, jeno dźwięki w rytmie niecierpliwym, śpiesznym, wojowniczym. Słychać w nich były kolejno to krok mierzony pieszego wojska, to galop jeźdźców, to szczęk oręża i uderzenia ciężkimi tarczami o mury, to znów triumfalne fanfary zwycięstwa. Stary bard opiewał bowiem teraz zwycięski pochód Galów, których niezliczone zastępy, podobne wzburzonym potokom górskim na wiosnę, spływają ze skalnych szczytów i przejść Alp w żyzne doliny Italii. Oto przechodzą rzekę Po, przechodzą Arno; przed nimi lecą skowronki, wskazując im drogę poprzez wąwozy górskie, lasy i doliny; łanie służą im za przewodników przy przejściach przez brody rzeczne; lasy rzedną przed nimi, a wody w rzekach i jeziorach rozstępują się. Galowie, dmąc w bycze rogi, dumnie przechodzą miasta etruskie mijając portyki wspaniałych świątyń i pałaców, gdzie stojące między kolumnami posągi bogów o oczach z emalii, o kędzierzawych, ufryzowanych włosach i brodach z niemym zdumieniem spoglądają na mijających ich zwycięzców. Okrzyki wojenne Galów i odgłosy ich uderzeń drzewcami dzid o tarcze z brązu napełniają przerażeniem doliny Italii. Galowie przechodzą je po stosach trupów łamiąc linie zakutych w żelazo wojowników, którymi Rzymianie usiłują im zagrodzić drogę.

Oto przed nimi skała Kapitolu z olbrzymim posągiem boga, który siedząc na złotym tronie w lewej dłoni trzyma orła, prawą zaś dzierży pioruny. Tu i ówdzie po murach miasta biegają jak mrówki w popłochu przerażeni wojownicy, spoza murów zaś słychać zawodzenia i szlochy niewiast i dzieci. Bramy miasta otwarte, a nad miastem unosi się bladolica Rozpacz. Wzdłuż ulic drzwi pałaców także stoją otworem i w głębi, na posadzkach wyłożonych płytami marmuru widać posągi podobne do ludzi oraz ludzi podobnych do posągów. Mają długie białe brody, białe włosy i gęste białe brwi nad nieruchomymi oczami; białe są trony z marmuru, na których siedzą, białe także małe alabastrowe stołeczki, na których spoczywają ich stopy obute w purpurowe sandały – i każdy z nich w prawej dłoni trzyma białe jak śnieg berło z kości słoniowej[3]. Królowie to czy bogi? Wykuci z marmuru czy żywi?

Czarodziejska harfa Wandila śmieje się szyderczym a srebrzystym śmiechem, gdy bard opowiada, jak zuchwała dłoń Gala pociąga za jedną z tych bród, aby się przekonać: ludzieli to czy posągi? Struny jej zaś drżą z lekka przy opowieści, jak zabijają tych ludzi–bogów, jak padają w gruzy wyniosłe pałace i świątynie, oddane płomieniom na pastwę, jak wznoszą się całe góry trupów. Lecz za chwilę znowuż śmieją się srebrzyście, gdy stary bard opowiada o gęsiach, które przeraźliwym krzykiem rozbudziły straż rzymską przeszkodziwszy w ten sposób Galom wedrzeć się pod osłoną nocy na Kapitol. Potem staremu harfiarzowi aż głos drży i rwie się z rozpierającej mu piersi dumy i dzikiego zachwytu, gdy opowiada, jak przed wojownikami Galami patrycjusze rzymscy pochylają nisko dumne głowy, ofiarując im złoto za ocalenie swego Kapitolu, złoto – w zamian za życie, złoto – jako wykup za swe matrony i dziewice. I złoto z cichym, dźwięcznym brzękiem sypie się wciąż a wciąż na szalę wag olbrzymich. Złoto, złoto, złoto!... Złoto w monecie, w bryłach, w kunsztownych, cudnej roboty naczyniach. Złoto, złoto... Jeszcze! I jeszcze! I jeszcze!... Bo zwycięski Brennus na drugą szalę rzucił swój miecz olbrzymi z brązu – tak ciężki, że sześciu Rzymian nie mogło go udźwignąć. Więc wznoszący się na szali coraz wyżej stos złota zwiększa się jeszcze opłakiwanymi gorzko przez kobiety ich klejnotami, potem idą nań medale, pierścienie i ostrogi wojowników, ba! nawet zhańbione brutalnymi ciosami topora posągi bogów muszą oddać swe złoto i klejnoty...

– Złota!... Więcej złota!... – woła Brennus.

Lecz Rzym, wspaniały, bogaty Rzym, nie ma już złota...

– Jeśli więc nie macie już złota – woła Brennus z szyderczym śmiechem – to nie potrzeba wam także żelaza, aby bronić miasta, ani bram, aby je ochraniać!

I nastąpiwszy nogą złożone na ziemi sztandary rzymskie każe Rzymianom rzucać tam miecze, dzidy, zbroje i hełmy. Góra żelaza wznosi się obok góry złota. Nigdy już płatnerze rzymscy nie będą na swych kowadłach kuli mieczów: Rzym złożył na to przysięgę. Z murów miasta Brennus każe zerwać brązowe wrota: nigdy już nie będą chodziły na zawiasach i zamykały miasta: Rzym złożył na to przysięgę. Gal będzie mógł wchodzić do miasta i wychodzić zeń, kiedy mu się podoba. Gdy zechce, stanie w Rzymie jako zwycięzca, by obejrzeć prace swych niewolników i wziąć należną sobie daninę od dzieci Wilczycy: Rzym złożył na to przysięgę.

Wojsko Galów objuczywszy zdobyczą muły całej Italii wraca w domowe pielesze do lepianek z gliny i słomy, które teraz nawet ostatni z żołnierzy może sobie przybrać po królewsku. Gdy zaś znacznie później Rzymianie będą opowiadali, że ich wielki Kamillus nadbiegł rzekomo z odsieczą i odebrał „barbarzyńcom" sztandary swej armii i daninę swego narodu, to Galia roześmieje się tak szyderczo i głośno, że ten śmiech rozlegnie się nie tylko po wszystkich krajach galijskich, lecz i w wąwozach Alp i Apenin i ponad Po, nad Arno, pod Rzymem i nad Tuluskim Jeziorem wreszcie, w którego wodach, poświęconych bogom Celtyki, spoczywają te bryły złota, z których niegdyś były zrobione posągi bogów rzymskich.

[3] Senatorowie rzymscy, których Galowie, wedle podania, wzięli za posągi.

Dalej Wandilo opiewał bohaterskie czyny innych wojowników galijskich, którzy w zwycięskim pochodzie zdeptali ziemie Grecji i nawet Azji – jak pod piorunami i błyskawicami rozgniewanego boga greckiego wdarli się na skałę Delf, jak drżał przed nimi Akropol, przedtem podobnie jak Kapitol rzymski, jak obrabowali greckiego Apollona w taki sposób, jak to uczynili bracia ich z Jowiszem Rzymian; jak złamali szeregi falang greckich i zmusili do ucieczki jeźdźców; jak wstrzymali śmiercionośny pęd wozów zbrojnych w kosy, zwyciężyli królów wschodnich dumnie paradujących na grzbietach słoni, roznosząc sławę imienia Galów aż do szczytów Kaukazu, ba! nawet aż do lodowców niebotycznych gór Hindustanu!

Słuchając tych pieśni, pogrążałem się w zadumę. Niekiedy jednak wywoływały one we mnie takie podniecenie, żem po prostu nie mógł usiedzieć na miejscu: twarz mię paliła gorącym rumieńcem, oczy pałały, ręce i nogi drżały z niecierpliwości. Zdawało mi się, że to ja sam biorę udział w tych pełnych sławy wyprawach wojennych, że to ja ciosami mego miecza rozbijam hełmy rzymskie i greckie, że przede mną uciekają w popłochu patryc j usze rzymscy i królowie Hellady i Wschodu, żem to ja wdrapał się na skałę Kapitolu, brał szturmem Akropol i że na moje skinienie lały się rzeki krwi i złota.

– Dość! Dość! – wołałem wówczas w uniesieniu.– Nie śpiewaj więcej, Wandilo! Poczekaj, daj mi urosnąć!

I opuszczając nagle ślepego barda biegłem do wojowników mego ojca, z którymi na ogół byłem w wielkiej przyjaźni, i cały rozgorączkowany krzyczałem im:

– Nauczcie mnie nareszcie władać mieczem i dzidą! Nie jestem już dzieckiem! Gdy odlecą żurawie, skończę lat dziesięć! Ja także chcę iść na wyprawę wojenną do Italii, aby walczyć tam z Rzymianami!

Na to jeden z młodych wojowników odpowiedział śmiejąc się:

– Teraz nie ma potrzeby szukać Rzymian tak daleko.

Lecz te słowa zasmuciły widocznie starszych, którzy w milczeniu pokiwali tylko smutno głowami.

Rozdział V

WYCHOWANIE PRZYSZŁEGO WOJOWNIKA

Wojownicy mego ojca lubili mię bardzo, nieraz bawili się ze mną, wdawali się ze mną w rozmowy, a gdym podrósł nieco, uczyli mnie sztuki wojennej. Głównymi mistrzami w tej sztuce byli Dumnak i Arwirag, nierozłączni przyjaciele i obaj tęgie zuchy. Nauczyli mnie władać mieczem i dzidą, ciskać włócznią, strzelać z łuku i procy, chociaż bowiem tych dwu ostatnich rodzajów broni nie uważano za oręż szlachetny, przydawały się jednak często na polowaniu. Poza tym nauczyli mnie siedzieć mocno i jak się należy na koniu, kierować nim, przy czym Dumnak był gotów sam podrażnić mego wierzchowca, aby ten niespodzianie rzucał się lub stawał dęba; Arwirag zaś, roztropniejszy i ostrożniejszy, miarkował jego zbytnią gorliwość obawiając się nie bez słuszności, abym przy tej nauce nie skręcił karku.

Ze wszystkich jednak naszych wojowników najbardziej lubiłem starego Prydana. Był to mąż w podeszłym już wieku, który służył jeszcze pod rozkazami mego dziada i w pewnej bitwie dostał takie straszliwe cięcie mieczem przez twarz, że mu wypłynęło lewe oko i na

resztę życia pozostała głęboka blizna. Mówiono mi, że odznaczał się niezwykłym męstwem, lecz nie miał zwyczaju przechwalać się swą odwagą, jak to czyniło wielu, nigdy nie opowiadał o swych przewagach wojennych, nie przymawiał się o podarunki i nie schlebiał wodzowi. Stał się też z piechura jeźdźcem bardzo późno, a następnie długo przebywał wśród koniuszych, czyli jeźdźców, którzy nie mają jeszcze prawa do noszenia złotego naszyjnika. Za pańskim stołem jadł i pił umiarkowanie, w chałupie zaś swej mieszkał samotnie, to znaczy, że prócz niego nie było tam ludzi, pełno miał za to różnych żywych istot, skrzydlatych i czworonożnych, gdyż zwierzęta niezmiernie lubił i doskonale umiał oswajać. Na dachu jego chałupy leżało koło, na którym para bocianów uwiła sobie gniazdo, u drzwi uwiązany na sznurku kręcił się i biegał tu i ówdzie młody lis, nad drzwiami zwisała duża klatka z parą sójek i uczoną sroką, która umiała wygwizdywać kilka zwrotek pieśni Wandila, wewnątrz zaś w mieszkaniu pełzał wąż, skakały dwie wiewiórki, biegał młody zajączek, kryły się po kątach dwa jeże, ponadto kilka królików, kotka z kociętami i nieduży piesek dopełniały „towarzystwa". Piesek był niezdatny do polowania i straży domu, lecz właśnie Prydano dziwnie lubił zwierzęta słabe i bezbronne. Wszyscy jego domownicy godzili się ze sobą wcale dobrze. Najmilszą jego rozrywkę w czasie wolnym od zajęć wojskowych stanowiło wałęsanie się po lasach, polach i łąkach, na które jego jedyne oko z wielką spoglądało czułością; szczególnie zaś lubił przyglądać się niebu, zabarwionemu zwłaszcza poranną lub wieczorną zorzą, wskutek czego inni wojownicy żartowali sobie czasem z niego mówiąc, że Prydano jest czarownikiem i rozmawia z obłokami.

Odwiedzałem jego mieszkanie często, a i jemu moje odwiedziny zdawały się sprawiać przyjemność. I tak też pomiędzy mną, małym chłopakiem, a tym steranym w bojach starym wojownikiem zawiązała się szczera przyjaźń. Prydano zabierał mnie czasem ze sobą na długie wycieczki. Wiedział najlepiej, gdzie rosną najpiękniejsze poziomki, gdzie się kryją najwyborniejsze orzechy i inne owoce leśne, gdzie i jak zastawiać sidła lub łowić raki i ryby! Wędrowaliśmy tak razem nieraz dość daleko, dochodząc niekiedy aż do skalistych wzgórz na wybrzeżu Sekwany, skąd było widać jak na dłoni Lutecję z jej mnóstwem drewnianych, słomą krytych chałup, zbudowanych na wyspie, a otoczonych dokoła wysokim częstokołem, i jej dwoma mostami przerzuconymi przez prawy i lewy rękaw Sekwany. Lutecja widziana w ten sposób, z góry, przypominała płaską łódź o dwu wiosłach, a trochę także i mrowisko, bo na jej dużym placu pośrodku między mostami i po wąskich a krętych uliczkach snuli się ustawicznie jak mrówki liczni jej mieszkańcy. Lutecja bowiem, jako największa wieś w kraju Paryzów, lub jak już wówczas poczynano nazywać, miasto, liczyła aż osiem tysięcy mieszkańców, a całych półtora tysiąca domów! W owej dobie uważałem ją za największe miasto świata. Sąsiednie zaś pomniejsze wysepki nie były wcale zamieszkane, niekiedy też podpływaliśmy do nich na łodzi, aby tam zapolować lub zastawić sidła na wydry, gdy tymczasem dokoła nas fruwały przerażone wtargnięciem do ich królestwa dzikie kaczki, gęsi, łabędzie, czaple i inne wodne ptactwo.

Pewnego razu Dumnak, Arwirag, Prydano i ja wyjechaliśmy we czwórkę z Szarej Skały o wschodzie słońca, zamierzając dotrzeć do góry Kamula i zapolować w błotnistych lasach na prawym brzegu Sekwany. Koniom naszym zadaliśmy dobrze obroku przed drogą i wzięliśmy dla nich i dla siebie pożywienie na cały dzień. Chociaż było to już jesienią i w ciągu ostatniego tygodnia padały silne deszcze, które nam wyrządziły nawet sporo szkód w gospodarstwie, ten dzień właśnie wypadł wyjątkowo ciepły i słoneczny, jechaliśmy więc raźno i wesoło, gawędząc, gdy nagle w jakiejś wyrwie z boku drogi, głęboko rozmytej przez ostatnie deszcze, ujrzeliśmy sterczące olbrzymich rozmiarów kości. Wyglądały tak dziwnie, że zaciekawiło nas, jakiego zwierzęcia mogły to być kości. Zeskoczywszy więc z koni poczęliśmy je odgrzebywać. Znaleźliśmy przede wszystkim kość grzbietową potwornych rozmiarów, następnie odpowiedniej do niej wielkości kości rąk i nóg – wszystko należące bez wątpienia do jakichś olbrzymów.

– To są z pewnością kości tych wysokich jak drzewa wojowników Hu-Gadarna! – odezwałem się. – Cóż dziwnego, że mając takie długie nogi mogli przeskakiwać rzeki, lub też z takimi kośćmi grzbietowymi dźwigać bramy z brązu, jak my nosimy tarcze. Legendy, które śpiewa Wandilo, podają widocznie najrzeczywistszą prawdę!

Prydano i Arwirag uznali to moje przypuszczenie za zupełnie prawdopodobne. Musiały to być kości wojowników Hu-Gadarna, a może jegoż samego nawet! Dumnak zaś tymczasem uśmiechając się pod wąsem pracował w milczeniu toporem opodal między bryłami głazów, aż wreszcie odkopawszy coś przywołał nas do siebie i pokazał, co odkrył. Była to czaszka tak potwornej wielkości, że w każdym z jej otworów ocznych można by zmieścić spore cielę, co zaś najdziwniejsze, że z jej przodu wyrastały dwa jak gdyby kły, ale to kły długości wzrostu dwóch ludzi, łukowato zagięte i występujące przed nią daleko naprzód.

– Nie ma co, ładnym chłopcem był ten wasz Hu-Gadarn! – zaśmiał się Dumnak, pokazując nam tę czaszkę.

Cokolwiek dalej napotkaliśmy i wykopali czaszkę dziwniejszego jeszcze potwora o niezmiernie wydłużonych naprzód szczękach, opatrzonych dwoma podwójnymi rzędami zębów tak ostrych i spiczastych, jak groty strzał. Nie było rady – musieliśmy zgodzić się z Dumnakiem, że to są raczej szczątki owych olbrzymich zwierząt, które już wyginęły.

Matka niechętnie mię puszczała na podobne wycieczki, zwłaszcza z Dumnakiem, lękała się bowiem jego zawadiackiego usposobienia i uważała, że pora mi nauczyć się już czego innego oprócz hasania konno i strzelania z łuku lub procy. Świątobliwy starzec–druid, który niekiedy przyjeżdżał do nas, namawiał, aby mię oddać do szkoły druidów, znajdującej się w głębi lasów. Byłbym się tam nauczył – oprócz nauki świętych obrządków oraz hymnów i modlitw do bóstw – badać tajemnice gwiazd, właściwości różnych roślin leczniczych lub trujących, a także prawa różnych ludów Galii, aby móc później rozsądzać różne sprawy i zatargi, z którymi by się do mnie zwracano.

Lecz ojciec mój za nic się nie chciał zgodzić, aby syn jego miał zostać czym innym niźli wojownikiem, a i matka bodaj że w głębi duszy nie byłaby życzyła sobie widzieć mnie przyobleczonym na całe życie w szatę druida.

Stanęło więc na tym, że stary kapłan przysłał nam tylko jednego ze swoich uczniów, który miał mię kształcić. Ale te wszystkie hymny i wiersze święte, które usiłował wtłoczyć mi do głowy, nie trzymały mi się w niej jakoś, po miesiącu więc nauki młody druid zniecierpliwił się i rzekł do mej matki:

– Bogowie dali co prawda Wenestosowi mocną głowę, ale widocznie po to tylko, aby łatwiej mogła znosić ciosy miecza lub dzidy – i widzę, że nie wyrośnie zeń nic innego, jak tylko myśliwy na jelenie i ludzi. Żałuję, że z niego taki mały osiołek. Ale to nic, będzie jednak dzielnym zuchem i na koniu dobrze będzie wyglądał!

Jednak matka moja nie chciała się z tym zgodzić, abym miał pozostać osiołkiem, toteż sprowadziła do mnie jeszcze pewnego Lutecjanina, który dużo podróżował po świecie, i ten nauczył mnie trochę mówić w języku Rzymian i pisać galijskie wyrazy rzymskimi literami. Na nieszczęście nie mógł być u nas dłużej nad kilka miesięcy. Gdy wyjeżdżał, matka moja dała mu kilka sztuk złota, ojciec zaś dwanaście baranów. Ja natomiast po skończonej nauce począłem teraz z większym jeszcze zapałem ćwiczyć się we władaniu orężem i polować.

Rozdział VI

STAJĘ SIĘ WOJOWNIKIEM

Pewnego razu ojciec uderzył mnie mocno drzewcem dzidy między łopatki, skoro zaś nie poleciałem nosem do ziemi, lecz przeciwnie – mocno stałem na nogach, ojciec uznał, że można już mnie pasować na wojownika. Miałem wtedy lat szesnaście. Ojciec, obchodząc uroczyście to moje dojście do wieku męskiego, wydał wspaniałą ucztę, na którą zostali zaproszeni wszyscy naczelnicy okoliczni wraz z ich „wiernymi" oraz dwunastu znakomitszych obywateli Lutecji. O mieszkańcach Lutecji opowiem wam później, teraz zaś skorzystam ze sposobności, aby zaznajomić was z niektórymi naczelnikami z okolic Rzeki Bobrów, sąsiadami i podwładnymi mego ojca.

Najdalej mieszkał od nas Cyngetoryks, wioska jego bowiem leżała aż u źródeł rzeki, pomiędzy jeziorami. Był to typowy Celt średniego wzrostu, o okrągłej głowie, żywych czarnych oczach i takichże czarnych brwiach i wąsach. Włosy zaś miał nieco zrudziałe od wody wapiennej, której pospolicie używano u nas do mycia głowy. Dobry był z niego towarzysz do wypitki i do wybitki. Ale lubiąc dużo mówić, przechwalał się przy tym bez miary swą siłą i odwagą, kłamał zarazem, jak gdyby mu za to płacono. Słysząc opowiadania o jego łowach, można się było dziwić, że w lasach pozostało jeszcze trochę zwierzyny, jego zaś zdumiewające czyny wojenne wzbudzały niepokój, czy nie zbliża się czasem koniec świata.

– Zabiłem dnia tego przeszło stu ludzi! – opowiadał.

– No, no! – protestował mój ojciec. – Po cóż tak przesadzać?

– No, więc powiedzmy: pięciu! – zgadzał się dość łatwo Cyngetoryks – i nie mówmy więcej o tym!

Inny zaś nasz sąsiad, pochodzący jak i my z plemienia Bolgów, Bojoryks, który posiadał wioskę na prawym brzegu rzeki u skraju puszczy, był mężem istotnie nadzwyczajnej siły a olbrzymiego wzrostu. Ten naprawdę dokonywał niezwykłych rzeczy. Gołymi rękami zdusił niedźwiedzia, grubą czterodrachmową monetę zwijał między palcami, jak gdyby to był listek, na potężnych zaś barkach mógłby, zda się, dźwigać bramy z brązu, jak ongi wojownicy Hu-Gadarna. Bojoryks nie miał zwyczaju chełpić się swymi czynami wojennymi, lecz jego ciężka pięść, nawet bez żadnego oręża, mogła w rzeczy samej uśmiercić tych dziewięćdziesięciu pięciu ludzi, których nie stało do rachunku Cyngetoryksowi. Trzymał się nieco pochyło, jak gdyby wstydząc się, że jest tak niezmiernie duży, jeść zaś i pić lubił dobrze, przy ucztach jadł też zawsze w milczeniu, nie tracąc czasu na próżne gawędy, mógł zaś wlewać w siebie chyba całe beczki napoju. Sam widziałem, jak duży dzban sikery wychylił od razu, prawie jednym łykiem, jego zaś potężne szczęki przegryzały kości baranie tak łatwo, jakby to były delikatne kosteczki kurczęcia. Posiliwszy się, odsapywał niekiedy z taką siłą, że aż siedzący naprzeciwko, a zajęci rozmową biesiadnicy oglądali się ze zdumieniem. Swoją drogą był to człowiek dobroduszny, spokojnego i łagodnego usposobienia. Bez gniewu też znosił częste docinki Cyngetoryksa, który lubił pożartować sobie z niego, chociaż przyznać należy, nie odważał się posuwać w swych żartach zbyt daleko. Bo gdy się Bojoryks rozgniewał, co mu się zdarzało na szczęście bardzo rzadko, stawał się nad wszelki wyraz niebezpiecznym.

Inny znowuż nasz, sąsiad, Karmanno, mieszkał w wiosce zbudowanej na wzgórzu zwanym Czerwoną Górą, niedaleko od Szarej Skały. Był to mężczyzna wysoki i chudy, przyjemny współbiesiadnik, gdyż miał dużo rozsądku, spostrzegawczości i nawet dowcipu, trzeba go było jednak umieć rozruszać i wyciągnąć na rozmowę, był bowiem trochę nieśmiały i wsku-

tek tego przeważnie zachowywał się milcząco. Nieśmiałość ta, być może, miała źródło w jego ubóstwie. Płaszcz miał z grubej wełnianej tkaniny, jaki noszą wieśniacy, a ubarwiony najtańszą farbą, która też spłowiała prędko od słońca i deszczu. Spodnie nosił połatane, ubogiego zaś tego przyodziewku nie przyozdabiał żaden klejnot oprócz złotego naszyjnika jeźdźca – a mocno podejrzewam, że i ten naszyjnik był bodaj pozłacany tylko. Drużyna jego składała się z pięciu ludzi – gdy inni naczelnicy przyjeżdżali z dwunastoma i więcej zbrojnymi – i nie miała nawet hełmów, które zastępowały głowy zwierząt leśnych: dzików czy niedźwiedzi. Rzecz w tym, że wioska Karmanna leżała na bardzo nieurodzajnej ziemi; skąpe jej plony zaledwie mogły wyżywić jego wojowników i wieśniaków, tych zaś miał bardzo niewielu, bardziej bowiem przedsiębiorczy i ruchliwi rolnicy uszli w inne strony, szukając bogatszego pana i gleby wdzięczniejszej. Dumnak, który lubił nadawać wszystkim przezwiska, Cyngetoryksa zwał Kogutem, Bojoryksa Żubrem, a Karmanna – nie wiedzieć czemu – Kukułką.

Zbyt wiele zajęłoby mi czasu, gdybym chciał wam opowiadać o każdym z naszych gości, dość żem nie mógł sobie życzyć lepszych widzów dla swych pierwszych popisów w sztuce wojennej. Każdy z tych przyjaciół przywiózł mi coś w darze. Sąsiedzi z Lutecji ofiarowali mi pas szeroki z wyzłacanego brązu, kunsztownej roboty ich sławnych na całą Galię złotników. Od Cyngetoryksa dostałem wspaniałą tarczę. Bojoryks włożył mi na głowę piękny hełm z dwoma ogromnymi skrzydłami orlimi. Nawet ubogi Karmanno ofiarował mi miecz z najwyborniejszej hartowanej stali, osadzony w mocnej, doskonałej rękojeści, co wprawiło w zachwyt znawców.

Trzeba było teraz pokazać, żem wart tych darów. Ubrałem się więc w ów pas brązowy Lutecjan, w hełm, przypasałem miecz, ująłem w rękę włócznię i dosiadłszy konia począłem harcować na placu przed naszym domem; popisując się przed gośćmi przesadzałem rowy, brałem przeszkody i atakowałem nader walecznie... słup drewniany, w który w pędzie ciskałem włócznią, lub też uderzałem go mieczem i tarczą. Wszyscy oklaskiwali zręczność moją i winszowali mi powodzenia.

Po tych popisach rozpoczęła się uczta, a raczej uczty, w ciągu trzech dni bowiem bawiło i ucztowało w Szarej Skale trzydziestu naczelników oraz dwustu ludzi z drużyną. Toteż zabrakło oczywiście miejsca nawet w naszej ogromnej sali na dole i wypadło ustawić stoły wprost na placu przed domem. Prócz biesiadników wszyscy nasi wieśniacy, zwolnieni na te trzy dni uroczystości od wszelkich prac polnych, siedzieli opodal stołów po prostu na ziemi w kucki i raczyli się tym, co pozostawało z uczty wojowników. A pozostawało sporo, bo na to święto napieczono mnóstwo całych wołów i baranów, które nadziewano wewnątrz pieczonymi gęśmi, kaczkami, kurami, czaplami, żurawiami i jeżami.

Solone szynki wieprzów i dzików pobudzały pragnienie, toteż kubki i dzbany, podawane z rąk do rąk, krążyły ustawicznie. I ostatni pastuch podczas tej wielkiej uroczystości na cześć moją dostawał do woli sikery i miodu, ba! nawet win italskich.

Ostatniego zwłaszcza dnia uczta była szczególnie gwarna i wesoła. Wandilo śpiewał najlepsze swe pieśni; ale próżno się trudził, gdyż w końcu nikt go nie słuchał, wszyscy bowiem mówili równocześnie. Nawet Karmanno rozgadał się i wygłaszał nauki moralne tak mądre, jak gdyby był starym druidem, a głównie, popijając drogie wino italskie ze złoconego kubka, powstawał przeciwko rozpowszechniającemu się coraz to więcej zbytkowi, zwłaszcza przywozowi win z Italii, przepowiadając, że to zgubi Galię. Cyngetoryks, prawiąc o swych bohaterskich czynach, uśmiercał tysiące nieprzyjacielskich wojowników, których mój ojciec z uporem usiłował wskrzeszać. Dwaj biesiadnicy spomiędzy przyjezdnych poróżnili się między sobą i wzięli się do oręża. Dumnak zaś i Arwirag w swej roli gospodarzy w Szarej Skale rzucili się ich godzić, a godzili tak umiejętnie, że na twarzach wszystkich czterech ukazały się guzy i sińce. Lutecjanie, podochoceni winem, wskoczyli na stół i tam pomiędzy misami i dzbanami rozpoczęli jakiś azjatycki taniec, co się Bojoryksowi nadzwyczaj podobało. Chichocąc a pokrzykując z uciechy palnął na ochotę pięścią w stół z taką mocą, że się stół zała-

mał i tancerze społem z częścią zaskoczonych tym wypadkiem gości znaleźli się raptem pod szczątkami stołu i pokrywających go przed chwilą naczyń.

Od czasu tych uroczystości więc zostałem wojownikiem. Matka odtąd poczęła mię traktować jako drugiego gospodarza domu, ojciec zaś jako towarzysza broni. Nie wstydził się już teraz publicznie rozmawiać ze mną i okazywać mi swego przywiązania i niecierpliwie wyczekiwał okazji, abym w jakiej potyczce mógł zdobyć sobie złoty naszyjnik jeźdźca.

Rozdział VII

CEZAR W GALII

Krążyły wówczas po całej Galii wieści o bliskiej wojnie z Rzymem. Mówiono, że Rzymianie, którzy od dość dawna siedzieli sobie spokojnie w swej Prowincji[4], przeszli teraz jej granice, mając na czele jednego ze swych najznakomitszych wodzów, który nawet podawał się za potomka bogów, ściślej bogini Wenus, coś w rodzaju naszej Belizany, tylko o gorszej sławie. Helweci, którym za ciasno było wśród skał, naszli krainę Eduów i o mało nie zdobyli już ich bogatego *oppidum* Bibrakte[5]. Gdy nagle na pomoc Eduom nadbiegł ów właśnie wódz rzymski, Cezar, Helwetów pobił na głowę i zmusił do cofnięcia się w skaliste góry i wąwozy. Powiadano, że z trzydziestu tysięcy Helwetów wróciło do ojczystego kraju nie więcej nad stu. Wkrótce potem tenże wódz rzymski wyruszył przeciw dzikim Germanom i nie uląkłszy się bynajmniej groźnego wyglądu tych zaszytych w skóry zwierzęce olbrzymich wojowników, pokonał ich i zmusił do cofnięcia się w głuche lasy i błota ich kraju. W Szarej Skale, jak i wszędzie, niemało rozprawiano o tym i wielu wysławiało dzielność legionów rzymskich oraz geniusz wojenny Cezara, chwaląc go za to, że obronił Galię od najścia Helwetów i Germanów.

– Należałoby nam wszystkim stanąć pod jego sztandarami – dowodził jeden z wojowników – tam to można zdobyć sławę i bogate łupy wojenne! Rzymianie zawsze cenili męstwo Galów i Cezar chętnie przyjmuje dzielnych wojów. Iluż to naszych walczy już pod jego znakami wojennymi!

– Prawda – odpowiadali inni – ale iluż to naszych padło pod ciosami mieczów rzymskich! Przypomnijcie sobie te galijskie plemiona w Italii, które zostały najpierw zdziesiątkowane, następnie ujarzmione i pozbawione gruntów przez Rzymian[6]. A i z czegóż się utworzyła Prowincja Rzymska? Z naszych ziem galijskich i takichże plemion, zgiętych przemocą pod to samo jarzmo! Czy nie widzicie, że Rzymianie dążą do tego, aby podbić świat cały? Ich chciwości wszystkiego jest za mało, nawet państw Azji i Afryki, prócz ziemi Europy. Naprzód zawojowali Galię nad rzeką Pad, którą obecnie zowią Galią Przedalpejską; potem Galię

[4] Późniejsza Prowansja, Delfinat i Langwedocja.

[5] Galia w owej epoce dzieliła się na osiemdziesiąt przeszło państewek, które żyły między sobą w niezgodzie; zamieszkiwały zaś ją trzy główne plemiona: Celtów, Bolgów, czyli Belgów, i Akwitanów. Kraina Eduów odpowiada dzisiejszej Burgundii. Bibrakte na wzgórzu Boevray to późniejsze Autun. Helwecja – starożytna nazwa Szwajcarii.

[6] Mowa o Lombardii, zwanej wówczas Galią Przedalpejską.

Nadrodańską; teraz przychodzi kolej na naszą Galię. Nie, nie! Lepiej by nam było pójść raczej na pomoc Helwetom, a nawet królowi Germanów, z którym łączy nas wspólność niebezpieczeństwa i który jest człowiekiem mężnym i walecznym, niźli walczyć pod złotymi orłami Rzymian.

Rzymianie!... Jeśli nie chcą siedzieć w swoim Rzymie, to niechże przynajmniej szanują granice Prowincji, którą zowią Rzymską, a którą ukradli Galii!

– Jeśli Cezar pobił Helwetów – odpowiadali stronnicy Cezara – to tylko dlatego, że Eduowie sami go wezwali na pomoc.

– Nie mówcie o Eduach! Nie pierwszy to raz winni są przywoływania Rzymian. Z głupoty czy próżności wmówili w siebie, że są braćmi Rzymian, i korzą się przed nimi ze służalczą uniżonością w zamian za nadzwyczajnie zaszczytny tytuł ich sprzymierzeńców. Eduowie są narodem zdrajców. To jest lud zepsuty bogactwem swej ziemi. Aby mieć zbyt w Italii na swe produkty rolne, trzody i naczynia gliniane i cynowe, gotowi są – oby Tarannus spuścił na nich pioruny! – zaprzedać całą Galię! A i bliżsi nasi sąsiedzi, Remowie[7], także niewiele więcej warci. Ba! głupsi bodaj jeszcze od tamtych! Wyobrażają sobie, że pochodzą od Remusa, brata Romulusa, wykarmionego przez wilczycę. Zaiste! Nie ma się co pysznić takim pochodzeniem!

– Ależ Cezar po zwyciężeniu Helwetów i Germanów powrócił spokojnie do Prowincji Rzymskiej.

– Aby tam tworzyć nowe legiony. Zapewne. Zobaczycie, że prędko wróci. Rozpocznie znów zwykłą rzymską politykę: pokłóci nas, Galów, pomiędzy sobą, aby tym łatwiej pokonać każdy lud z osobna. Poczekajcie tylko, poczekajcie!

Rozprawy takie toczono podówczas wszędzie, nawet pomiędzy ludem wieśniaczym. Rolnicy, porzucając nieraz nie dokończoną bruzdę, pasterze śród swych stad na polu, drwale oparci na siekierach około nadrąbanych pni drzewnych – wszyscy roztrząsali sprawę polityki Rzymu. W roku następnym wzburzenie umysłów wzmogło się jeszcze. Mówiono, że cała północna Galia się podnosi, słusznie obawiając się najścia Rzymian, ponieważ ci nazbyt już zbliżyli się do niej; że mieszkańcy lewego brzegu Renu wystawili trzysta tysięcy wojownika; że wszystkie plemiona galijskie pomiędzy Mozelą a Zatoką Brytańską biorą się do broni. Co kilka dni prawie zjawiali się u nas wysłańcy innych ludów galijskich błagając, abyśmy także wzięli za oręż, i przedkładali nam, że sprawa ich jest poniekąd sprawą całej Galii, gdyż po zgnieceniu ich ludu Rzymianie wezmą się do nas. Ustawicznie dochodziły też nas z różnych stron podniecające, chociaż nieraz sprzeczne ze sobą wieści. Wojownicy mego ojca drżeli z niecierpliwości i chęci do boju, szczególnie Dumnak i Arwirag, którzy zaciskając zęby i pięści chodzili po uliczkach naszej wioski w groźnym milczeniu, z pobladłymi z bezsilnego gniewu twarzami.

– Kiedyż wyruszamy nareszcie?... kiedy? – pytaliśmy wszyscy mego ojca, który widocznie się mieszał wobec takiej postawy swych wojowników nie wiedząc, co postanowić.

Przed wszystkimi domami naszej wioski poczęto czyścić zbroje i hełmy, ostrzyć miecze oraz groty dzid i strzał. Naczelnicy przysyłali do mego ojca swych ludzi z zapytaniami, czy nie każe im stanąć pod bronią. W końcu więc ojciec mój wybrał się do senatorów Lutecji, aby się naradzić z nimi i dowiedzieć, co Lutecjanie zamierzają i jak się myślą zachować.

– Wydać wojnę Rzymowi?! Cóż znowu! To byłoby szaleństwem! – odpowiedziano mu. – Was, Bobrów, chroni jeszcze trochę Sekwana, ale na naszą wyspę i miasto od razu spadnie ta burza, jeśli tylko będziemy o tyle nieostrożni, aby ją wywołać. Czyż nie wiecie, że Cezar znajduje się stąd tylko o cztery dni drogi z sześciu starymi legionami i dwoma świeżo sformowanymi? Ze swymi sprzymierzeńcami galijskimi będzie miał razem osiemdziesiąt tysięcy ludzi! Przy tym ma on zwyczaj działać z szybkością piorunu, gdy oto Bolgowie stracili już

[7] Lud żyjący w okolicach dzisiejszego Reims.

dwa miesiące czasu. Głoszą, że ze sprzymierzonymi sobie ludami mogą mieć ponoć aż trzysta tysięcy wojowników. Lecz my ich nie liczyliśmy; a najważniejsze to, że nasze ludy galijskie trzymają się, jak wiadomo, przede wszystkim zasady: „każdy sam za siebie". Zobaczycie, że gdy tylko ukażą się złote orły legionów rzymskich, wszyscy porozbiegają się natychmiast po swych wioskach. W dodatku wszyscy oni są głupi. Nerwiowie na przykład walczą nie inaczej, jak powiązani pomiędzy sobą łańcuchem, aby w ten sposób żywą ścianą powstrzymać napór nieprzyjaciela. Jakże to, zaprawdę, wygodnie walczyć, będąc związanym! Rzymianie zaś wcale nie są tak ograniczeni i jeśli ci się zdarzy widzieć ich w boju, to sam przyznasz, że trudno o lepszych żołnierzy. I czemu to Bolgowie wzywają Rzymian? Trzeba było siedzieć cicho. Chcecie naszej rady? Włóżcie miecze do pochew...

Ojciec mój wrócił z wycieczki na wyspę nader przygnębiony. Nasi wojownicy oraz naczelnicy z rzeki, którym ojciec powtórzył słowa senatorów Lutecji, tak byli nimi dotknięci i oburzeni, że odtąd Bobry poczęli się nawet boczyć na wyspiarzy. Nie pozostawało naprawdę nic innego, jak tylko siedzieć cicho. Ludy galijskie bowiem na południe od Sekwany, okazując najzupełniejszą obojętność na losy Bolgów, ani myślały brać się do oręża. Cezar zaś znajdował się rzeczywiście tylko o cztery dni drogi od nas. Niedługo też doszła nas wieść, że samo tylko zbliżenie się legionów rzymskich skłoniło armię sprzymierzoną galijską do zaprzestania oblężenia Bibrax, następnie zaś, po porażce nad Aisne, armia ta, jak to przepowiedzieli Lutecjanie, rozpierzchła się we wszystkie strony, bo każdy ze sprzymierzonych pośpieszył bronić swych ognisk domowych. Swesjonowie, Ambianie, Bellowakowie kapitulowali uzyskawszy dość łagodne warunki poddania się za wstawiennictwem Eduów i Remów. Ale kilka innych ludów, zwłaszcza Nerwiowie i Atrebatowie, pod wodzą dzielnego Boduognata odważnie stawili czoło nieprzyjacielowi. Nad rzeką Sambrą rozegrała się zacięta walka. Zdawało się przez czas niejaki, iż armia rzymska nie zdoła oprzeć się naciskowi Galów: konnica rzymska i numidyjska zachwiały się, sprzymierzeńcy galijscy Cezara zmuszeni zostali do ucieczki, jedna z kohort rzymskich zniesiona omal do szczętu, ba! utraciła nawet sztandar. Cezar zmuszony był sam wziąć tarczę w rękę i zbierać rozproszone legiony a zawracać je na pole walki. Lecz wyższość wojennej taktyki rzymskiej oraz uzbrojenia i oręża żołnierzy dały w końcu zwycięstwo złotym orłom legionów. Z sześćdziesięciu tysięcy wojowników nerwieńskich uszło z życiem i wolno tylko pięciuset ludzi. Plemię Nerwiów zostało w ten sposób niemal wytępione, zwłaszcza że swych jeńców wojennych Rzymianie od razu sprzedali do niewoli, odsyłając ich natychmiast gdzieś w dalsze strony. Nigdy jeszcze dotąd nie słyszeliśmy o podobnych okropnościach! Nasze bowiem wojny galijskie nie bywały tak dalece okrutne – i tylko bardzo zgrzybiali starcy pamiętali podobnie krwawe walki i podobnie wielkie straty z czasów najścia Cymbrów. Przy wieczornych biesiadach w Szarej Skale wojownicy przestali pobrzękiwać mieczami i wygrażać Rzymowi i najzuchwalsi nawet śmiałkowie siedzieli teraz cicho w ponurej zadumie nisko opuściwszy głowy. Matka moja oraz inne niewiasty gorzkimi łzami opłakiwały los zaprzedanych w niewolę wojowników nerwieńskich i osieroconych ich kobiet i dzieci, a i my, mężowie, jakkolwiek łez nie roniliśmy, czuliśmy jednak, jak gdyby noże ostre przeszywały nam serca. Wyrzucaliśmy też sobie w milczeniu, że nie uczyniliśmy nic, aby przeszkodzić zgubie tysięcy braci naszych. Na cóż się przydały żubrza siła Bojoryksa, męstwo Dumnaka, spryt i zręczność Cyngetoryksa oraz sława czynów wojennych mego ojca, potomka Hu-Gadarna? Lecz mimo to nasuwała się zarazem nam wszystkim uporczywa, choć nie wypowiedziana myśl, żeśmy jednak uniknęli strasznego nieszczęścia.

Rozdział VIII

W ARMORYCE

Odkąd stałem się wojownikiem, bezczynność ciążyła mi nieznośnie. W końcu nadeszła chwila, gdy czekać dłużej nie miałem po prostu mocy. Powiedziałem więc ojcu:

– Ojcze! Mam przecie lat osiemnaście. Ty w moim wieku już zdobyłeś sławę. Pozwól mi wyruszyć w świat szeroki, jak to czynili przodkowie nasi.

Ojciec nie odpowiedział nic na to, tylko poszedł na górę naradzić się z matką, która po tej rozmowie płakała bardzo. Następnie zawołał Dumnaka i Arwiraga i kazał im przygotować się do drogi, uprzedzając, że mają mi towarzyszyć. Gdyśmy byli gotowi do wyjazdu, ojciec dał mi trzos pełen monet ze znakami najznakomitszych naczelników i największych miast Galii i nadto jeszcze połowę przełamanej monety.

– Nie pozwalam ci jechać do krajów leżących nad dolną Sekwaną – rzekł – gdyż mówią, że Cezar udaje się tam właśnie. Zbyt młodym jesteś jeszcze, aby występować do walki z Rzymianami! Lecz skoro chcesz zobaczyć trochę świata, jedź do Armoryki, kierując się na południowy zachód przez kraje Karnutów, Cenomanów i Wenetów. Gdy przybędziesz do kraju Wenetów, rozpytaj o miasto Gesocribate[8] i tam o senatora Houela, któremu pokażesz tę połówkę monety. On był moim gościem i ja byłem jego gościem, podróżowaliśmy razem na wyspę Brytanię i odbyliśmy wspólnie niejedną kampanię wojenna. Jestem pewien, że przyjmie cię gościnnie.

Matka dała mi kilka klejnotów dla żony i córek Houela, zasunęła za pas drugi trzosik złota, wsunęła mi na palec pierścień z czerwonym kamykiem, mającym chronić mnie od wszelkich niebezpieczeństw, prosiła, abym strzegł się morza i nie zapominał wznosić modłów do bogów, w końcu zaś rzuciła mi się na piersi i zalała łzami. Pożegnawszy się z rodzicami i domownikami wyruszyłem wreszcie z towarzyszami o cudnym poranku wiosennym, przy wesołym szczebiocie ptaszków, które tak cieszyły się widocznie życiem i blaskami słońca, jak ja w tej chwili. Mijaliśmy w podróży coraz to nowe wioski i grody, wszędzie podejmowani gościnnie. Przejeżdżaliśmy nieznane krainy, aż mię to poczęło wprawiać w zdumienie, że świat jest tak ogromny. W Armoryce, pięknym kraju pokrytym lasami przeważnie dębowymi, w których brzęczy niezmierna mnogość pszczół, spotykaliśmy po drodze bardzo nielicznych tylko mieszkańców. Ludzie ci, niedużego wzrostu a śniadej cery, zbrojni w topory żelazne lub z brązu, przyodziani w kozie skóry, spoglądali na nas podejrzliwie. Słyszeliśmy, jak poza naszymi plecami porozumiewali się ze sobą na odległość wśród swoich lasów, wydając okrzyki sowy. Nie zaczepiali nas zresztą, a gdyśmy się do nich zwracali z pytaniami, odpowiadali nam w języku, który zaledwie mogliśmy zrozumieć. Nareszcie pewnego poranka ujrzeliśmy przed sobą ze szczytu wzgórza szeroko ścielącą się u skraju horyzontu ciemnawą smugę.

– Morze! Morze! – wykrzyknęli wesoło moi towarzysze, wymachując dzidami.

Było doń jednak jeszcze dość daleko. I długo musieliśmy jechać to wspinając się na wzgórza, to schodząc po ich zboczach w dół, zanim ujrzeliśmy znów z któregoś szczytu jakąś dziwną wioskę nad zatoką morską. Patrząc w ten sposób z góry, zdawało się, że jest zbudowana jak gdyby w głębi studni i zupełnie odgrodzona od reszty świata, dookoła bowiem otaczały ją wysokie skały urwiste, z jednej zaś strony broniły do niej przystępu ciemne fale mo-

[8] Dzisiejszy Brest.

rza. U wybrzeża zatoki kołysało się na falach mnóstwo łodzi różnych rozmiarów, wszystkie opatrzone masztami, żaglami i całą siecią lin. Dachy chat pokrywały skóry zwierząt morskich, przyciśnięte ciężkimi kamieniami lub kotwicami, aby ich wichry morskie nie zerwały; część mieszkańców tej wioski mieszkała w pieczarach skalnych, a inni wprost w dużych łodziach, przewróconych dnem do góry i wspartych na podstawkach. Mieszkańcy tego rodzaju domów musieli oczywiście wpełzać do swego schronienia na brzuchach. Zawieszone przed chałupami na żerdziach suszyły się ryby błyszczące jak srebro oraz czerwonawej barwy sieci, rozciągnięte na niskich podstawkach; to tam, to ówdzie walały się szkielety jakichś nie znanych mi zwierząt morskich, a ponad całą wioską unosiła się ostra woń ryb.

Przed jedną okazalszą nieco chatą zatrzymałem konia i zapytałem stojącego u progu mężczyzny, który się nam z ciekawością przyglądał.

– Czy tu mieszka senator Houel?

– Senator Houel nie żyje – brzmiała odpowiedź.

– Więc, być może, miał syna?

– Tak, synem jego jest senator Galgak i tam oto jest dom jego.

Udaliśmy się więc do tego domu, który był w gruncie rzeczy prostą chałupą, cokolwiek większą od innych w tej wiosce, lecz bardzo skromną w porównaniu z naszym wspaniałym domem w Szarej Skale. Z chałupy tej wyszedł mężczyzna średniego wieku, o szlachetnym wyrazie twarzy, ogorzałej od wiatrów morskich. Podałem mu powierzoną mi przez ojca połowę monety, objaśniając zarazem pokrótce, kim jesteśmy. Galgak wziął ją i wszedł do domu, po chwili zaś wrócił stamtąd z drugą połową tejże monety, którą przyłożył do mojej. Pasowały do siebie doskonale.

– Na bogów morza! Zawszem myślał, że przyjedziesz kiedy do mnie, to jest że twój ojciec przyjedzie! – rzekł. – A więc on żyje i jest zdrów? A mój ojciec utonął: pochłonęło go podczas burzy morze wraz z siedmiu innymi rybakami. No, schodźcież z koni, wejdźcie do mego domu.

Tak staliśmy się przyjaciółmi senatora Galgaka, który się okazał niezmiernie serdecznym i gościnnym. W domu jego, pełnym sieci oraz różnych przyrządów rybackich, sypialiśmy na pościeli z wodorostów (pomiędzy które zaplątały się niekiedy raki), na obiad i wieczerzę jadaliśmy wyborne ryby, najczęściej jakieś szerokie i płaskie jak tarcze lub inne o ogromnej głowie i okrągłych dużych oczach, oba gatunki doskonale; za napój zaś służył nam jabłecznik lub tłuszcz zwierząt morskich. W razie niepogody, gdy nie można było wypłynąć na morze na połów ryb, podawano nam je suszone, wędzone lub też solone. Mięso pojawiało się na stole bardzo rzadko, wino wcale. Nawet konie nasze musiały się przyzwyczaić chrupać częściej wodorosty i trawy morskie opłukane w wodzie słodkiej niźli owies i siano. Dumnak mówił, że czuje, iż mu poczynają wyrastać błony pomiędzy palcami rąk i nóg jak u kaczek i gęsi, i przepowiadał, iż na skutek takiego żywienia nasze konie staną się w końcu końmi morskimi i poczną harcować po falach!

Ogromnie lubiłem wyjeżdżać na morze na połów ryb. Łódź Galgaka była obszerna i mocna, a wiosła miała tak ciężkie, że z trudem tylko mogłem nimi poruszać, jakkolwiek rybacy miejscowi wiosłowali nimi równo i bez wysiłku, przyśpiewując sobie monotonnie w rytm swej pracy. Dla ochrony od wilgoci ubieraliśmy się wszyscy w płaszcze i spodnie z płótna, nasyconego tłuszczem rybim.

Wyjeżdżaliśmy dość daleko w głąb morza i tam dopiero spuszczaliśmy do wody około raf kosze na ryby, zastawialiśmy sieci lub też zarzucaliśmy wędki. I zanim ryba dała się wziąć na przynętę, kładliśmy się spać na dno łodzi, rozkosznie kołysani rytmicznym ruchem fal. Galgak, chcąc mi zrobić przyjemność, powiózł mnie pewnego razu na dłuższą wycieczkę łodzią wzdłuż wybrzeży, przeważnie bardzo wysokich i skalistych, o które z szumem i pluskiem rozbijały się ustawicznie fale, ciskając na nie gniewnie swe białe piany. Te wysokie ściany skalne były błyszczące jak srebro, to znów ciemne i ponure a groźne. U stóp ich często można

było widzieć wygrzewające się na słońcu jakieś dziwne zwierzęta o okrągłych głowach i pyszczkach opatrzonych wąsami, które z daleka przypominały mi nasze bobry. Nad skałami i morzem unosiły się tysiące białych ptaków o wąskich i długich skrzydłach, które zlatywały nieraz aż ku wodzie i bujały na falach; parę razy zaś z oddali dostrzegłem na morzu jakieś olbrzymie ciemne masy, wyrzucające wysoko do góry podwójną fontannę wody. Galgak powiedział mi, że to są ogromne zwierzęta morskie.

W pewnym miejscu wybrzeża na wysokim płaskowzgórzu skalnym zwróciło moją uwagę mnóstwo sterczących tam monolitów – olbrzymich głazów, które stały tak regularnie jedne za drugimi, jak gdyby szeregi legionów Cezara. Galgak opowiedział mi, że według zabobonnej wiary ludzi miejscowych, są to wojska wysłane w pogoń za Hu-Gadarnem i na jego skinienie skamieniałe. Wyjaśnił mi jednak zaraz, że to są bajki i że monolity te są po prostu głazami chroniącymi grobowce dawnych wodzów, których ciała, zwłaszcza znakomitszych naczelników, przywożą z daleka nawet, aby pochować tutaj właśnie. Galgak wierzył tylko, że umarli przewracają się czasem w swych mogiłach i dlatego rozlega się niekiedy szczęk ich oręża. Opowiadał mi, że w niektórych miejscach na tym wybrzeżu wychodzą nocami spod głazów i pagórków malutkie karzełki i wziąwszy się za ręce tworzą koło a pląsają przy blasku gwiazd. Biada spóźnionemu podróżnikowi, jeśli wypadkiem znajdzie się między nimi. Zmuszają go tańczyć razem i tak go zatańczą na śmierć. A wychylające się z fal morza skały innymi grożą niebezpieczeństwami. Przede wszystkim gęsto koło nich krążą zwykle wodnice – półkobiety, półryby – które wychylając się z fal do połowy ciała, ramionami i miłym głosem wabią do siebie rybaków, aby ich następnie wciągnąć ze sobą w głębinę na dno i tam pożreć. A także są tam straszydła, zwane przez rybaków druidami morskimi, które ukazując się nagle na tych skałach, błogosławią rozbitkom rękami o długich, spiętych błoną – jak u ptaków wodnych – palcach, a następnie wyławiają ich z wody i – pożerają. Galgak wskazał mi też wąwóz, gdzie w czasie zimowego przesilenia dnia z nocą zgromadzają się dusze wszystkich zmarłych w tym roku i czekają, dopóki jeden z bogów nie zabierze ich do swej łodzi i nie odwiezie do jakiejś dalekiej, bardzo dalekiej krainy, której dosięgnąć nie mógł dotąd nikt z żeglarzy, jakkolwiek Armoryka liczy ich tak wielu i tak odważnych.

Potem Galgak przewiózł mnie koło okropnego cypla, w którego skałach znajduje się pieczara, prowadząca aż w samą głąb kręgu mroków. Przejście pomiędzy tym cyplem skalnym a nie mniej od niego straszną wyspą, zamieszkaną przez wodnice i druidów morskich, jest tak niebezpieczne, że całe dno morza w tej wąskiej cieśninie usiane jest resztkami rozbitych łodzi. Dość było troszkę tylko zboczyć w jedną lub w drugą stronę, aby trafić właśnie pomiędzy te dusze, które niedaleko stąd ciemną nocą odjeżdżają na łodzi tajemniczego boga o zakrytym obliczu ku dalekim, nieznanym brzegom.

Armorykanie są też śmiałymi żeglarzami i w swych wyprawach po bursztyn, fiszbin, cynę, a czasem i niewolników, zabiegają aż do tych dalekich krain, znanych mi z dziejów Hu-Gadarna, gdzie to noc trwa całych kilka miesięcy, a na górach z lodu wylegują się białe niedźwiedzie. Jeden z przyjaciół Galgaka, zagnany burzą daleko na południe, spędził nawet dłuższy czas w jakiejś nie znanej dotąd żeglarzom armorykańskim krainie, podobno o pięknej bardzo roślinności, skąd powróciwszy wreszcie przywiózł ze sobą sporo złota w proszku i – zupełnie czarną kobietę! Inni zaś żeglarze, również zagnani burzą, po długiej, długiej wędrówce na falach oceanu przybili niegdyś pono do takiego brzegu, gdzie widzieli ludzi o skórze barwy czerwonej, którzy walczyli wypuszczając z łuku zatrute strzały, jeńców zaś wojennych ponoć zjadali. Wsparty na krawędzi łodzi przesiąkłej zapachem ryb i mokrych sieci słuchałem tych opowieści z szeroko otwartymi oczami, dotychczas nie mogąc się jeszcze wydziwić w duszy, że świat jest aż tak wielki!

Rozdział IX

MOJE PIERWSZE KROKI WOJENNE

Oswoiłem się z morzem i nauczyłem, wybornie pływać, sterować i wiosłować, a ogorzałem na wietrze jak stary marynarz. W gruncie rzeczy wolałbym jednak używać raczej miecza i dzidy niźli wiosła. Nie miałem wszakże zamiaru pozostawać tu na zawsze! Los spełnił moje życzenie, a jakkolwiek pamiętałem dobrze, że ojciec kazał mi unikać legionów rzymskich, lecz i cóżem był winien, że one same przyszły do mnie?

Do wioski, w której mieszkałem, nadbiegł pewnego dnia goniec z krainy Wenetów z wiadomością, iż Cezar buduje flotę na dolnej Loarze i ma wyruszyć przeciwko Wenetom i w ogóle przeciwko całej Armoryce. Cokolwiek przedtem rozesłał we wszystkie okoliczne miejscowości zaufanych ludzi, aby zebrać zapasy żywności, wziąć zakładników i zarazem przewiedzieć się, co tam słychać. Weneci zatrzymali tych wysłańców jako szpiegów i zapowiedzieli, że uwolnią ich tylko w takim razie, jeśli Cezar uwolni zakładników wziętych przezeń przemocą u Wenetów i ich sprzymierzeńców. Cezar skorzystał z pozoru i oświadczył, że w osobach jego żołnierzy, którzy byli wyprawieni w charakterze posłów, zostało obrażone prawo. Zażądał też od kilku ludów nadbrzeżnych, zwłaszcza Piktów i Santonów, rywalizujących zawsze z Wenetami w kupiectwie, aby mu użyczyli swej floty. I ci, powodowani więcej zawiścią względem sąsiadów niźli obawą Rzymian, bezwstydnie spełnili jego życzenia. Weneci prosili więc o pomoc wszystkich swych sprzymierzeńców, przekładając im, że Rzymianie zagrażają nie im tylko, lecz całej Armoryce. Galgak po naradzie ze starszyzną swego ludu rzekł do mnie:

– Jutro wyruszam z wszystkimi swoimi ludźmi. Lecz zatarg ten was się nie tyczy, możecie więc pozostać tu, w mym domu, i czekać mego powrotu, o ile wrócę.

– Jadę jednak z tobą! – odpowiedziałem mu bez wahania.

Nazajutrz więc z rana wyruszyliśmy z portu we dwadzieścia dużych łodzi, każda z załogą trzydziestu ludzi, umiejących zarówno dobrze władać mieczem, jak wiosłami. Dumnak i Arwirag cokolwiek wcześniej jeszcze udali się nad dolną Sekwanę, aby tam szukać sławy i guzów. Przed wypłynięciem na otwarte morze marynarze złożyli na chwilę wiosła i pochylili głowy przed wznoszącymi się nad brzegiem ich zatoki kilkoma niekształtnymi bryłami granitu, symbolizującymi bogów opiekuńczych ich wioski, a najstarszy wiekiem z wioślarzy wypowiedział głośno modlitwę, składając bogom obietnicę w imieniu wszystkich, że w razie szczęśliwego powrotu ofiarują im hojną obiatę. Wiatr sprzyjający wydymał nasze żagle, toteż niezadługo połączyliśmy się z flotami sprzymierzeńców. Było nas społem obecnie dwieście pięćdziesiąt statków i około ośmiu tysięcy wojownika.

W pierwszych tygodniach wojny szczęście przechylało się raczej na naszą stronę. Cezar ze swymi legionami przyszedł lądem do kraju Wenetów. A ponieważ floty swej wciąż jakoś nie mógł się tam doczekać, więc zmuszony był oblegać od strony lądu miasta wenetyjskie, zbudowane wszystkie na wysuniętych daleko w głąb morza przylądkach, które przypływ zamieniał w wyspy. Rzymianie oblegając je cierpliwie i z uporem wysilali się niepomiernie, musieli bowiem walczyć nie z nami tylko, lecz i z morzem, podczas odpływów wznosząc pracowicie trwałe nasypy, na których ustawiali machiny oblężnicze. Przy tej pracy narażeni byli na chmary strzał i pocisków i od nas z morza, i od oblężonych, tracili mnóstwo czasu i ludzi. Jeśli zaś z oblężonego miasta powiadomiono nas, że nie będą w stanie utrzymać się dłużej, podpływaliśmy doń cichaczem w nocy, korzystając z przypływu, i przewoziliśmy kolejno

mieszkańców wraz z ich dobytkiem w pobliskie, bezpieczniejsze miejsca, ostatni zaś zbiegowie podpalali *oppidum*. Gdy więc Rzymianie wchodzili tam wreszcie jako zwycięzcy, znajdowali tylko ruiny i zgliszcza. Ba! wściekając się w bezsilnej złości widzieli wojowników, z którymi tak niedawno walczyli twarzą w twarz u ścian grodu, jak bezpieczni na naszych statkach pokazywali im teraz, śmiejąc się, z daleka języki! Powtarzało się to jak najregularniej przy oblężeniu każdego miasta wenetyjskiego.

Lecz zabawy te skończyły się, gdy flota rzymska wyszła na koniec z ujścia Loary, ruszając na nas. Statki sprzymierzeńców Rzymian, Piktów i Santonów, które stanowiły znaczną część tej floty, były równie dobre i mocne jak nasze, lecz rzymskie galery o trzech rzędach wioseł wyglądały jak kruche cacka. Cała wyższość ich nad naszymi łodziami polegała na tym tylko, że dzioby ich okute były żelazem, na nich zaś oraz na burtach statków wznosiły się wysokie drewniane wieże, których przeznaczenia nie znaliśmy wówczas. Mieliśmy więc przed sobą bitwę morską, niezbyt groźną, jak się to nam zdawało. W razie przegranej jednak moglibyśmy zostać pozbawieni prawie zupełnie możności odwrotu, z jednej bowiem strony zbliżała się ku nam flota nieprzyjacielska, poza sobą zaś mieliśmy wznoszące się amfiteatralnie wybrzeże, całe zapełnione stalowymi hełmami, gdyż główne siły legionów pozostały na lądzie. Kilku też ze starszych naczelników armorykańskich doradzało, aby odpłynąć raczej dalej na morze, gdzie Rzymianie nie byliby mogli podążyć za nami, gdyż galery ich były zbyt wątłe, by walczyć z burzliwym oceanem. Obecnie, gdy rozpamiętywam te czasy, muszę przyznać, że rada ta była istotnie rozumna. Pozostawilibyśmy Rzymianom tylko jałową, opustoszałą okolicę, Wenetowie zaś albo byliby uszli na statkach własnych i naszych i schronili się w dalsze, bezpieczniejsze miejsca, albo też nawet pływając po morzu przeczekaliby, aż głód wygna Rzymian z tego ubogiego skalistego kraju. Lecz większość nas, wojowników, tak się rwała do bitki, żeśmy ani słyszeć nie chcieli o odstąpieniu, rada też starszych została odrzucona. Na dany sygnał flota rzymska ruszyła do ataku, mając widocznie nadzieję ostrymi, kutymi w żelazo dziobami galer poprzebijać nam boczne ścianki naszych łodzi. Rzymianie nie wiedzieli jednak, że te statki galijskie budowano z tak niezmiernie twardego drzewa wiekowych dębów armorykańskich, że mogły nawet atakować same. W wyniku tego pierwszego natarcia dwie rzymskie galery poszły na dno wraz z wioślarzami i załogą wojenną. Z wysokości swych drewnianych wież na galerach Rzymianie zasypywali nas deszczem pocisków ognistych, na których paliły się nasycone smołą pakuły. Lecz i my odpowiadaliśmy im gradem pocisków nie mniej zabójczych. Gdy więc owe dwie galery rzymskie zatonęły, zdawało mi się, że bitwa już jest wygrana, i począłem nawet głośno wyrażać swą radość.

– Zaczekaj jeszcze, zaczekaj! – powiedział mi Galgak. – Wiedz, że Rzymianom nigdy nie zbywa na różnych chytrych a przemyślnych sposobach wojennych. Czy umiesz dobrze pływać?

– Naturalnie – odpowiedziałem, trochę zdziwiony.

– Więc przygotuj się: zdejm ten oto ciężki pas z brązu i w ogóle wszystko, co by mogło ci utrudniać ruchy w wodzie.

Spojrzałem na Galgaka ze zdumieniem. Dowódcy bowiem galer rzymskich powstrzymywali właśnie pęd swych statków i nawet zawrócili je nieco, jakby się cofali. Równocześnie jednak na ich drewnianych wieżach ukazały się jakieś nie znane mi dotąd narzędzia, przypominające długie kosy wsparte na podstawkach.

– Cóż to, czy Rzymianie zabierają się kosić zboże? Alboż to teraz pora żniwa? – rzekłem do Galgaka ze śmiechem.

– Zaczekaj, zaczekaj – odparł mi ten znowu. – Dałbym najlepszą łódź za to, aby powiał teraz wiatr z północy, gdyż wówczas byłbym przemknął pomiędzy tymi galerami i uszedł w dal morską. Wiatr zaś właśnie pędzi rzymskie galery na nas. Doprawdy aż złość bierze, żeśmy dobrowolnie weszli w pułapkę! Nie ma co, trzeba stanąć do walki. Ale te kosy nie wróżą nic dobrego.

Zaledwie skończył, gdy galery uszykowane wszystkie w jeden długi rząd ruszyły znów wprost na nas, miarowo uderzając wodę wiosłami. Nagle z ich wież pochyliły się olbrzymie kosy ku naszym statkom, ścinając z nich maszty wraz z żaglami, rejami i całym olinowaniem tak łatwo, jak się żnie kosą zboże w polu. Wszystko to naturalnie poleciało na nasze pokłady, zabijając, raniąc, a już w najlepszym razie przykrywając jak siecią wojowników. Równocześnie nasze wysunięte naprzód statki poczęto chwytać hakami i przyciągać do jednej z galer, niektóre znalazły się niespodzianie między dwiema galerami, skąd natychmiast przerzucano na nie pomosty – i Rzymianie z dobytymi mieczami i okrzykami zwycięstwa runęli na nie. Zawiązał się więc bój na miecze jak na lądzie, w którym, ma się rozumieć, byliśmy stroną słabszą i musieliśmy ponieść porażkę. Armorykanie bowiem nie mieli ani hełmów, ani żadnej zbroi, nawet takich pasów z brązu, jakie nosiliśmy my, Paryzowie. I cóż znaczył ich ubogi oręż w porównaniu z uzbrojeniem żołnierzy rzymskich? W dodatku po stronie Rzymian była nawet przewaga liczebna i Cezar, stojąc na brzegu, ciągle podsyłał w łodziach na pomoc świeże siły.

– No, teraz będziesz miał sposobność popisać się umiejętnością pływania! – rzekł do mnie Galgak półgłosem.

Czynimy ostatni rozpaczliwy wysiłek. Rzymianie cofają się nieco przed naszymi toporami. Korzystając z tego pośpiesznie przeskakujemy, ja i Galgak, przez burtę łodzi i dajemy nurka. Wypływamy na powierzchnię na chwilkę tylko, by zaczerpnąć powietrza, następnie nurkujemy znowu, starając się odpłynąć możliwie jak najdalej. Wypłynąwszy powtórnie na chwilę uchwyciliśmy jakiś szczęśliwie płynący po morzu kawał masztu i wsparliśmy się nań podbródkami tylko, by móc się odwrócić i rzucić okiem na to, co się dzieje na polu bitwy. Na pokładach wszystkich już prawie naszych dwustu pięćdziesięciu statków widniały połyskujące w słońcu stalowe hełmy żołnierzy rzymskich, którzy zrzucali ze statków w morze naszych wojowników jak ptaki z gniazda. Galery o okutych żelazem dziobach i długich wiosłach napadały jak jastrzębie nasze biedne łodzie galijskie. Nad morzem unosiły się triumfalne fanfary trąb rzymskich i okrzyki zwycięstwa. Na powierzchni fal pływały resztki połamanych masztów, strzaskanych wioseł, kawały desek oderwanych od łodzi oraz tysiące małych czarnych punkcików – głów ludzkich, głów braci naszych, po których Rzymianie bili bez litości wiosłami lub drzewcami dzid, albo też celowali w nie z proc i łuków. Niektórzy z tych nieszczęsnych pływaków, widocznie znużeni śmiertelnie, wyczerpani, opadli z sił, podpływali do brzegu, chcąc tam wylądować – może oddać się w niewolę. Lecz i tam rozszalałe, pijane rzezią żołdactwo zabijało ich jednego po drugim jak foki... Dzięki naszemu kawałowi masztu dopłynęliśmy szczęśliwie do jakiejś maluchnej wysepki w pobliżu i ukryliśmy się wśród porastających ją krzaków i wysokiej trawy. Gdy poczęło zmierzchać, odważyliśmy się wychylić ostrożnie głowy spomiędzy zarośli. Słońce wspaniale zachodziło za krwawopurpurowe obłoki; w jego czerwonawym blasku ujrzeliśmy dumne szeregi stojących w zatoce zwycięskich galer rzymskich, dymiące jeszcze ruiny miasta, oddanego Rzymianom ze wszystkimi starcami, kobietami i dziećmi – i samotne na urwistym wybrzeżu skalnym grobowce dawnych bohaterów, które zdawały się smutno patrzeć z góry na klęskę i zgubę swych dzieci... W ognistych blaskach zachodu widniały jeszcze tu i ówdzie na powierzchni morza małe ciemnawe punkciki: głowy rannych braci naszych, ginących bez nadziei ocalenia w odmętach oceanu.

Nocą, w małej łódce rybackiej, którąśmy znaleźli na wysepce, ukrytą w krzakach, wyruszyliśmy na morze i nazajutrz dotarliśmy do jednej z zatok armorykańskich, gdzie udało się nam pomyślnie wylądować. Stamtąd dość łatwo dostaliśmy się do wioski Galgaka, a po miesiącu byłem już w Szarej Skale. Zastałem tam Dumnaka i Arwiraga, którzy ze swej wyprawy na dolną Sekwanę przywieźli w zysku: jeden ranę w głowę, drugi – rękę przeszytą strzałą rzymską. Wieści o wypadkach w Armoryce dosięgły Szarej Skały, zanimeśmy się zjawili wszyscy trzej. Jakkolwiek rodzice dumni byli ze mnie i ojciec uznał mnie za godnego już złotego naszyjnika jeźdźca, matka zaś z większą jeszcze tkliwością patrzyła na mnie, wszyscy

jednakże byli zmartwieni i smutni. W Galii bowiem nie było już prawie kącika bezpiecznego i nie tkniętego nieszczęściem. Cezar jak gdyby jakimś czarodziejskim sposobem znajdował się niemal wszędzie ze swymi legionami, i to prawie równocześnie: to na zachodzie prowadząc wojnę z plemionami, które zamieszkiwały wybrzeża oceanu, to na wschodzie nad brzegami Renu, to na południu, to znów na północy... Tu koło nas – w oczach naszych, że tak powiem – mordował Bolgów i sprzymierzone z nimi ludy. Kręcił się tak dokoła Lutecji i krainy rzeki[9], jak wilk dokoła owczarni. Ratowało nas to tylko, że jak dotąd uwaga jego była zawsze odwrócona nadzieją innej zdobyczy. Znamienne było jednak, że wszędzie, gdzie przechodził, wznosiły się natychmiast za nim obronne, pełne żołnierzy rzymskich obozy, które stopniowo otaczały nas dokoła niby pierścieniem żelaznym. Pierścień ten zaciskał się coraz bliżej a bliżej – i ze szczytu Góry Kamula doskonale można już było widzieć świecące z dala białością świeżo usypanej ziemi okopy obozu rzymskiego.

Wojna Cezara z ludami oceanu zaniepokoiła. Lutecjan, którzy utrzymywali stale stosunki kupieckie z mieszkańcami Armoryki. Toteż przysłali do Szarej Skały posłów z prośbą, aby mój ojciec i inni naczelnicy z krainy Rzeki Bobrów wysłali na pomoc Armorykanom kilka setek zbrojnych. Lecz ojciec mój odpowiedział posłom Lutecji odmownie. Przede wszystkim dlatego, że mały oddział kilkuset zbrojnych w obecnych warunkach nie zdołałby przebić się przez cały szereg obozów rzymskich, a następnie, że nieprzyjaciel był zbyt blisko nas, aby pozbawiać Szarą Skałę jej obrońców. Lutecjanie odjechali więc zawiedzeni z długimi minami. I to pogorszyło jeszcze naciągnięte już i tak stosunki pomiędzy wyspiarzami a mieszkańcami rzeki.

Lecz pewnego dnia omalże dźwięki trąbki, powołującej do boju, nie przebrzmiały po całej naszej dolinie od wioski Cyngetoryksa u źródeł rzeki do siedziby Karmanna. Zdarzyło się bowiem, że na podwórze domu naszego wpadł nagle jeździec na spienionym koniu, cały pokryty kurzem, przywożąc poselstwo od brata mej matki, wodza Aulerków, który w imieniu Całego swego plemienia zaklinał na wszystko ojca mego, by mu przyprowadził na pomoc wszystkich swych wojowników. Nastrój wojowniczy i niepowściągliwa żądza czynu skłaniały nas do zapomnienia na chwilę o wszelkich wskazówkach roztropności: dolina rzeki gotowa już była powstać jak jeden mąż, gdy wybuchowi przeszkodził niespodziany przyjazd nocą do nas samego wodza Aulerków, a mego wuja, który się zjawił sam, ze złamaną tarczą, śmiertelnie znużony i zbluzgany posoką. Jak się okazało z jego opowiadania, była chwila, gdy wraz z walecznym wodzem Wenellów, Wirydoryksem, mieli wielkie szanse zwycięstwa. Wobec bowiem znacznej przewagi liczebnej Galów, których czterdzieści tysięcy oblegało osiemnaście tysięcy Rzymian, trzy legiony Sabinusa oblężone w obronnym obozie, a odcięte od wojsk Cezara, niemal gotowe były się poddać. Lecz nieostrożność kilku młodych naczelników zgubiła wszystko: atak, dokonany bez należytych przygotowań, został odparty, niespodziana zaś wycieczka oblężonych z obozu dokończyła porażki.

Porażka ta stała się niestety ostateczną i decydującą klęską armii sprzymierzonej galijskiej nad dolną Sekwaną. Kilka tygodni, które nastąpiły po tych klęskach, gorsze były bodaj jeszcze od samejże przegranej wojennej i tu, nad Sekwaną, i tam, w Armoryce. Pod toporami liktorów rzymskich gęsto padać poczęły głowy senatorów i naczelników galijskich, których na tę hańbę bezlitosna śmierć oszczędziła w bitwach, wszystek zaś lud pospolity, jako zdobycz wojenna żołdaków rzymskich, został rozprzedany handlarzom niewolników. Nasi więc dzielni mężowie, szlachetne niewiasty i dziewice traktowano jak bydlęta. Powleczono ich na rynki Italii, ba! nawet Afryki i Azji, aby tam wystawić na sprzedaż i oddać każdemu, kto da więcej... Powiększało zaś jeszcze nasz wstyd i boleść to, że i teraz znaleźli się Galowie, „sprzymierzeńcy" Rzymian, którzy dopomogli Cezarowi tępić współbraci. Kiedyż wreszcie Galia przestanie rozdzierać siebie własnymi rękami?

[9] Czyli Rzeki Bobrów.

Niedługo legiony Cezara poczęły znowu kręcić się około nas, ukazując się niespodzianie to na północy, to na południu, to na wschodzie, to na zachodzie, słowem wszędzie, nawet w nieprzebytych puszczach i bagnach dolnego Renu, gdzie Cezar, nurzając się w błocie aż po brzuch konia, kierował obrotami swego wojska i znosił miasta, zapadłe między osadami bobrów a leżem dzików. Zdziesiątkował wojownicze plemiona germańskie: Cherusków, Sykambrów i inne, tamując bieg Mozy i Mozeli czterystu tysiącami trupów wojowników pomieszanych z trupami ich kobiet, które walczyły także. Ba! pokonał nawet nurty Renu, przepuszczając je jakby ujarzmione pod zbudowanym przez jego inżynierów mostem; wreszcie pożogę wojny zaniósł w głębie dziewicze Lasu Hercyńskiego. Równocześnie zaś na południu jeden z jego legatów, Krassus, tępił Akwitanów i nawet Iberów, którzy nadbiegli z pomocą zagrożonym swym braciom. Gdy przybyli z południa wędrowcy opowiedzieli nam o pełnej sławy śmierci Adiatuna, króla Socjatów, oraz jego sześciuset „wiernych", którzy wszyscy co do jednego polegli w boju przy boku swego wodza, wojownicy nasi jak jeden mąż wydali okrzyk zachwytu i boleści. Spojrzenia ich, zwrócone na mego ojca, mówiły wyraźnie:

– Prowadźże nas, prowadź!... Jeśli los cię zawiedzie, postąpimy jak szlachetni wojownicy Adiatuna!

Ale ojciec tylko pochylił smutno głowę w milczeniu. Rzymianie byli zbyt blisko od nas i było ich zbyt dużo. Zdawało się w rzeczy samej, jak gdyby pomnażali się w miarę swych przemarszów z miejsca na miejsce, gdyż przybywało ich jakoś wciąż więcej a więcej – i już tylko o dzień drogi od Szarej Skały połyskiwały na wysokich szańcach obozu hełmy rzymskie i donosił się turkot ciężkich wozów, wiozących ich straszne machiny wojenne. W tym roku pamiętnym jakieś tchnienie grozy unosiło się nad całą Galią i nawet natura zdawała się je odczuwać. Przyłożywszy ucho do ziemi słyszeliśmy jakiś głuchy a ponury huk podziemny: to matka–ziemia opłakiwała swe pomarłe dzieci oraz hańbę tych, co pozostały przy życiu. Na obłokach ukazywały się wciąż straszliwe bitwy bogów, pełne hałasu, grzmotów, błyskawic i piorunów, tak iż ludzie po nocach zrywali się przestraszeni ze snu.

Kimże więc był ten człowiek, który niósł śmierć i pożogę wojny w puszcze dziewicze, niedostępne skały i na fale oceanu, przerażając nawet wnętrzności ziemi i samych bogów niebieskich?

Rok jeszcze nie dobiegł końca, gdy Cezar, pokrywając swymi statkami całą niemal szeroką cieśninę morską, przybił ku nie znanym jeszcze sobie dotąd brzegom Wielkiej Wyspy, aby wydać tam wojnę mężnym Brytom, walczącym na rydwanach z brązu. Galia wówczas odetchnęła nieco swobodniej. Zdawało się nam, że Cezar jest tak teraz od nas daleko i podlega takim niebezpieczeństwom! Ba! kto wie, może nawet ocean, oburzony jego zuchwalstwem, nie pozwoli mu wcale wrócić? Już bogowie morscy wywarli zemstę na flocie dowożącej Cezarowi konnicę i po mieliznach oraz piaszczystych brzegach widniały tu i ówdzie kadłuby rozbitych okrętów i trupy koni. Mieszkańcy wybrzeża widywali nawet we mgle zjawy topielców, sterujących widmami zatopionych galer rzymskich. Ojciec mój, po wziąwszy nadzieję wyzwolenia Galii spod przemocy Rzymu, rozesłał gońców do wszystkich naczelników plemienia Paryzów, do Lutecji zaś dla porozumienia się z jej senatorami sam postanowił jechać. Niestety! Właśnie kiedy marzył o pełnej chwały wojnie z Rzymem, trzy prządki nici losów ludzkich zbliżały ku nici jego żywota mające ją przeciąć ostre żelazo, a Katuabodua[10] kazał już siodłać dlań swego rączego rumaka o czarnych skrzydłach. Najgorsze, że śmierć dotknęła jego ramienia nie pod jasnymi promieniami słońca na polu bitwy, jak przystało wojownikowi, lecz w jednym z tych haniebnych bratobójczych sporów pomiędzy synami jednej i tejże matki – Galii, sporów, które mu były nienawistne całe życie.

[10] Bóg, który wyprawia w świat pozagrobowy dusze wojowników.

Rozdział X

PARYZOWIE LUTECJI

Na szczycie góry Lukotycji znajdowały się z dawna zwaliska *oppidum*. Za moich czasów było tam już tylko ogrodzenie obronne, które służyło Paryzom za miejsce schronienia od napadu nieprzyjacielskiego, a także za miejsce narad, składania ofiar, wreszcie zebrań dla kupna i sprzedaży produktów. Lecz jeszcze za czasów mego pradziada część plemienia Paryzów osiadła na zboczach i u stóp Lukotycji, za mego zaś dziada Paryzowie uznali za zbyt uciążliwe wchodzić na zebrania aż na szczyt góry, wybrali też sobie na ten cel wyspę Lutecję, którą otoczono częstokołem, czyniąc z niej w ten sposób coś w rodzaju *oppidum,* doskonale zabezpieczonego dokoła falami Sekwany. Paryzowie, widząc lepsze warunki zamieszkiwania na wyspie, opuścili wioskę pobudowaną na zboczach góry i przenieśli się na wyspę pomiędzy ściany nowego ogrodzenia. Była to na razie wieś nieduża, lecz z każdym dniem przybywało jej mieszkańców, gdyż chętnie zbiegali się tam różnego rodzaju awanturnicy: wieśniacy, którzy szukali sobie swobodniejszego życia i lżejszej pracy, pachołkowie wojenni i nawet wojownicy niższego rzędu bez zajęcia oraz niewolni, którym dokuczyło skąpstwo lub złe obejście się ich panów, a nawet przestępcy, skazani w swej ojczyźnie na wygnanie lub karę śmierci.

Wskutek takiego stanu rzeczy w Lutecji można było spotkać typy wszystkich niemal plemion, galijskich, ba – mieszkało tam nawet kilku przedstawicieli odległych szczepów germańskich, pięciu lub sześciu Greków z Massylii, dwu Azjatów i jeden Murzyn. Niedługo mieszkańców Lutecji rachowano na tysiące. Część ich trudniła się rolnictwem, uprawiając pola na północnej pochyłości Lukotycji, inni zajmowali się rybołówstwem, jeszcze inni żyli z polowania w lasach na prawym brzegu Sekwany i w zaroślach na błotnistych wysepkach pobliskich; ludzie zaś przemyślniejsi i przedsiębiorczego ducha jęli się kupczenia, przy czym na swych doskonałych, mocnych statkach puszczali się na fale nie tylko w dół i w górę Sekwany, lecz nawet na morze, utrzymując w ten sposób stosunki wymienne ze wszystkimi niemal krajami Galii, a nawet z Wielką Wyspą. Kupcy ci, a zarazem właściciele statków, byli najbogatszymi ludźmi w Lutecji i z nich to zazwyczaj wybierano członków jej senatu.

W Lutecji mieszkało nadto dużo wybornych rzemieślników, zwłaszcza słynęli na całą Galię złotnicy luteccy, którzy umieli oprawiać korale oraz różne drogocenne kamienie w złoto i przyozdabiać nimi kunsztownie wykonane ozdoby, jako to bransolety, naramienniki czy kolczyki. Oprócz tego mieszkali tam tkacze, garbarze, siodlarze, kotlarze, rzemieślnicy, którzy robili jarzma na woły i drewniane chodaki dla wieśniaków, inni, którzy zajmowali się wyrobem ozdobnych naczyń z gliny, miedzi lub cyny i – co ważne – znakomici płatnerze. Mówiono, że przeniknęli oni tajemnicę najsłynniejszych płatnerzy Iberii, ba! że wykuwali ostrza mieczów tak ostre, iż te przecinały muchę, gdy wypadkiem siadała na nie! Aby się nie zdradzić przed nikim z tajemnic swej sztuki, pracowali przeważnie w lochach podziemnych o pilnie strzeżonym wejściu. Byli tam i tacy jeszcze zręczni rzemieślnicy, którzy niezmiernie udatnie lepili z gliny lub wylewali z brązu, czy wreszcie rzeźbili w drzewie małe figurki bogów i bogiń i te posrebrzali, pozłacali lub malowali w różne jaskrawe barwy, wstawiali im oczy z emalii i następnie zbywali w różne strony Galii. Ci także pracowali w ukryciu w podziemiach w obawie przed druidami, którzy pod grozą klątwy i wygnania zabraniali oddawania czci bałwanom. Nie przeszkadzało to jednakże przesądnym, szczególnie wieśniakom i marynarzom, nocami nieraz kupować te posążki, mające im przynosić szczęście lub też chronić od

niebezpieczeństw. Unosili je troskliwie ukryte pod płaszczami, oglądając się niespokojnie dokoła. Dlatego też robiono te figurki w małych rozmiarach, aby je łatwiej było można ukryć.

Na ogół mieszkańcy Lutecji byli bardzo zręczni do każdej roboty, tak że nieraz jeden i ten sam człowiek wykonywał prace różnego rodzaju. Gdyśmy sprowadzali do Szarej Skały na przykład kołodzieja z wyspy, to ten nam nie tylko poprawił wóz, ale skroił nowe suknie lub wyleczył chore bydło, a w dodatku zabawił śpiewaniem najświeższych piosenek, jakie właśnie u nich ułożono. Wyspiarze ci bowiem byli niezmiernie wesołego i niespokojnego usposobienia, lubili postrzegać różne śmieszności i wyszydzać je w swoich piosenkach, ośmieszali też nieraz ciężkie ruchy i niezgrabny chód naszych wieśniaków oraz zawadiackie postawy i butne miny wojowników. Wielkiego poszanowania nie okazywali w gruncie rzeczy nikomu. Żadnego króla, naczelnika lub głównego wodza nie mieli wcale, rządził nimi tylko senat, którego działalność ustawicznie roztrząsali i ganili, wprowadzając w jego skład i rządy ciągłe zmiany. Nie mijał dzień prawie, aby nie ułożono u nich jakiej nowej piosnki, zazwyczaj szyderczej i wesołej, wyśmiewającej dowcipnie innych lub nieraz nawet ich samych, Lutecjan. Wieczorami zaś, gdy u nas na wsi już spano, lubili zgromadzać się na placu pośrodku wyspy, aby tam opowiadać jedni drugim nowiny, niektórzy zaś odznaczający się zdolnością udawania innych osób, na przykład naczelników z dolin sąsiednich lub wybitnych obywateli swego miasta, zjawiali się na te zebrania przebrani za osoby, które mieli udawać, z sztucznie wypchanymi brzuchami lub z przyprawionymi brodami i wąsami i naśladując do złudzenia głos i ruchy przedstawianych osób śpiewali lub też prawili takie zabawne rzeczy, że widzowie pokładali się ze śmiechu. Gdy do Lutecji przyjeżdżał jakiś cudzoziemiec, otaczali go natychmiast i dopóty zarzucali pytaniami, dopóki się nie dowiedzieli odeń wszystkiego, co tylko ten przybysz mógł im ciekawego powiedzieć. Umiano tam jak nigdzie warzyć sikerę i miody, przyrządzać wyborny jabłecznik oraz... jedną amforą italskiego wina napełnić dwie amfory na sprzedaż. Niektórzy Lutecjanie otwierali swe domy dla każdego przechodnia, sprzedając w nich właśnie te różne napoje; rozpoznawało się zaś te domy po zielonej gałęzi, zawieszonej zawsze nad ich drzwiami.

Kobiety luteckie, również wesołe, ciekawe i bystrego umysłu jak ich mężowie, na wyścigi jedna przed drugą starały się podnieść swe wdzięki i naśladowały zaraz tę, która się przyodziała lepiej lub inaczej od innych. Zmieniały więc ustawicznie krój to sukien, to czepców, to zapasek lub obuwia, przyrządzały coraz nowe wonności, nawet barwiki, którymi przemalowywały sobie włosy na jasnozłote, to na rude lub na czarne, malowały nawet sztuczne rumieńce na policzkach, podkreślały oczy, aby się wydawały większe, twarz zaś i szyję przysypywały z lekka mąką. Lubiły też nawieszać na siebie mnóstwo różnych ozdób, chociażby z miedzi, jeśli której nie stać było na prawdziwe klejnoty ze złota, srebra lub drogich kamieni. Były jednak zarazem dzielnymi pomocnicami swym mężom nie tylko w gospodarstwie domowym, lecz i w pracy rzemieślniczej, a już szczególnie przy sprzedaży ich wyrobów, które mówiąc nawiasem umiały sprytnie sprzedać nieraz dwakroć drożej, niźli były warte.

W gruncie rzeczy my, Bobry, nie lubiliśmy ludzi tego pokroju. Lecz swoją drogą byli oni nam potrzebni. Bo gdzie dostalibyśmy różnych pożytecznych lub ozdobnych rzeczy, albo w razie potrzeby nawet pożyczek pieniężnych? Komu sprzedawalibyśmy zboże i bydło? Po prawdzie bawili nas przy tym także. Chodzono więc od nas do Lutecji nieraz pod pozorem sprzedaży jakichś produktów wiejskich, a naprawdę po to, aby posłuchać przy kubku wina ich wesołych pieśni i żartów, a dowiedzieć się nowin.

Rozdział XI

POGRZEB WODZA

Owóż ojciec mój pojechał do Lutecji, aby się naradzić z luteckimi senatorami, ochronę zaś naszej wioski na czas nieobecności powierzył mnie. Towarzyszyli mu Bojoryks, Cyngetoryks, Karmanno i paru innych naczelników z rzeki, poza tym jeszcze kilku naszych jeźdźców, którzy mieli już tylko dodawać świetności jego orszakowi, prowadzić bowiem układy mogli jedynie naczelnicy. Gdym ze szczytu Szarej Skały patrzył na oddalający się oddział konny, nie przeszło mi przez myśl, że przed wyjazdem ojciec uścisnął mnie po raz ostatni. Dzień przeminął, nastąpił wieczór, noc zapadła nareszcie, a naszych wciąż nie było widać, jakkolwiek ojciec zamierzał powrócić przed zachodem słońca. Matka moja, którą dręczyły złe przeczucia, była smutna i niespokojna, przez ten dzień cały nie tknęła jadła i pomimo spóźnionej pory nie chciała udać się na spoczynek. I ja w końcu począłem się niepokoić. Przepiały koguty, gdy wreszcie od strony Lutecji usłyszeliśmy jakieś dziwne, złowieszcze odgłosy, zbliżające się ku nam stopniowo. Był to na pół śpiew, na pół wycie żałosne i pogrzebowe, przerywane niekiedy groźnymi okrzykami i szczękiem broni.

Pochwyciłem natychmiast zwieszający mi się u pasa róg bawoli i przyłożywszy go do ust zatrąbiłem co sił w płucach na trwogę. Dźwięki rogu rozległy się donośnie i daleko dokoła, powtórzone kilkakroć przez echo. Przerażone puszczyki i sowy zahukały ponuro, w stajniach zarżały konie, wszystkie psy z naszej wioski poczęły wyć – a niezwłocznie odpowiedziały im tym samym inne psy z bliższych i dalszych wiosek wzdłuż rzeki. Wojownicy i wieśniacy powyskakiwali ze swych chat, każdy na pół ubrany i półuzbrojony w to, co się znalazło pod ręką. Za chwilę w Szarej Skale wszczął się taki ruch i zgiełk, że ten hałas zagłuszył nawet śpiewy żałobne i okrzyki wojenne ludzi zbliżających się ku nam od strony Lutecji. Tymczasem poczęło świtać i zorza różowa oświeciła widok okropny, którego nie zapomnę do śmierci. Naczelnicy z rzeki i nasi jeźdźcy szli wszyscy pieszo z odkrytymi głowami, pomiędzy nimi zaś na skleconych naprędce z zielonych gałęzi noszach niesiono ciało mego ojca, bez hełmu na głowie, z włosami w nieładzie i głęboką krwawą raną w piersi. Postawiono nosze przed progiem domu. Matka moja rzuciła się na chłodne już ciało zmarłego, oburącz objęła jego głowę i przylgnęła ustami do rozwartej rany na piersi. Wszyscy dokoła poczęli jęczeć, szlochać, krzyczeć, rwać na sobie włosy i odzież, rozdrapywać sobie twarze paznokciami, tak iż z ich łzami zmieszała się krew. Ja przykląkłem i pocałowałem zmarłego w czoło, w oczy, w usta, po czym porwałem się na nogi i krzyknąłem strasznym głosem:

– Kto to uczynił?

– Lutecjanie! – odpowiedzieli mi ponuro ludzie z żałobnego orszaku.

– Pomsta! Śmierć im! – rozległo się kilkaset głosów dokoła.

Nierychło dowiedziałem się, jak się rzecz miała, towarzysze bowiem mego ojca w tej wyprawie do Lutecji poczęli na me pytania odpowiadać wszyscy razem, mówiąc głośno i bezładnie, wyrzekając, łamiąc ręce i przeklinając nikczemnych wyspiarzy. Oto co mi opowiedziano.

Kiedy ojciec mój wraz z innymi naczelnikami z rzeki naradzał się z senatorami Lutecji, nasi jeźdźcy poszli dla spędzenia czasu do jednego z tych domów pod zieloną wiechą, gdzie sprzedawano wino. Siedząc tam za stołem opróżniali kubek za kubkiem przy wesołej gawędzie. Bojoryksowi sprzykrzyły się narady, przy których omal nie usnął, opuścił też je i przyłączył się do towarzystwa jeźdźców. Wkrótce rozgrzani winem nasi wojownicy poczęli pod-

nosić głosy i przechwalać się swym męstwem, dowodząc, że w całej Galii nie ma narodu mężniejszego od mieszkańców rzeki. Lutecjanie, siedząc przy drugim stole, poczęli swoim zwyczajem szydzić sobie po trosze z sąsiadów, przedrzeźniając ich gesty i sposób mówienia.

– Mieszkańcy wyspy nie gorsi są od Bobrów! – oświadczył jeden z nich.

– Bobry, ba! nie byli wcale usposobieni tak wojowniczo, gdyśmy ich próżno prosili o pomoc dla naszych współplemieńców przeciwko Rzymowi! – rzekł drugi.

– Ano tak! – dodał trzeci. – Bobry tym się różnią od borsuków, że te zasypiają, gdy poczyna śnieg sypać, Bobry zaś – gdy poczynają sypać się włócznie.

– Chcecie, to wam pokażę, do czego podobny jest Bóbr! – wmieszał się czwarty.

Był to człowiek młody o bladej, piegowatej cerze, długiej szyi i nieprzyjemnym wyrazie twarzy. Wyjął z ogniska węgielek i szybkimi a zręcznymi rzutami ręki narysował na ścianie bobra, siedzącego w takiej pozie, jak te figurki z brązu, któreśmy nosili na naszych znakach wojennych. Lecz bóbr ten chował się trwożliwie za pień dębu, patrząc na ukazujący się z dala hełm rzymski. Na razie był to rzeczywiście bóbr tylko; lecz po chwili rysownik nadał jego głowie rysy twarzy mego ojca, zrobił mu groźną, marsową minę i nawet krótkie z natury wąsiki tego zwierzęcia uczynił długimi i sumiastymi.

Ludzie z Szarej Skały na ten widok zawrzeli gniewem. Lecz że to byli wszystko pospolici wojownicy, Bojoryks zaś naczelnikiem, patrzyli nań oczekując, co też powie lub przedsięweźmie. Bojoryks zaś, nie odznaczający się w ogóle bystrością umysłu, a szczególniej po wypitych dzbanach wina i sikery, powstał z ławy i ze zgiętym w pałąk grzbietem, chwiejąc się na nogach a opierając rękoma o stół patrzył tylko na rysunek na ścianie wytrzeszczonymi oczyma, nie zwracając uwagi na śmiech i żarty Lutecjan i nie rozumiejąc, o co tu właściwie chodzi. Gdy zaś wreszcie prawda zaświtała w jego leniwym mózgu, wyprostował się jak długi, wydał okrzyk, że aż ściany zadrżały, i pochwyciwszy ze stołu ciężki dzban ołowiany cisnął nim w rysownika. Ten, widząc jego ruch, uchylił się szybko, wskutek czego dzban minął go, trafiając za to w jednego z siedzących za nim żartownisiów, któremu przebił czaszkę, i to z taką siłą, że mózg trysnął fontanną do góry. Lutecjanie pośpiesznie rzucili się do wyjścia, lecz tu nasi wojownicy zagrodzili im drogę. Wywiązała się zacięta walka. Wyspiarze zbiegli się natychmiast ze wszystkich stron na wołanie o pomoc i nie wiedząc nawet, co zaszło, poczęli wrzeszczeć:

– Bij! Zabij! Do wody z nimi! Do rzeki!

Odgłosy walki i wieść o niej lotem błyskawicy rozeszła się po całym mieście, a przeciwko naszym co chwila przybywały nowe zastępy. Stare, zadawnione urazy, niechęć i zawiści między Lutecją a Bobrami obudziły się i podniosły głowę. Na naszych wojowników leciały dzbany, garnki, kamienie, wszystko, co się znalazło pod ręką i czym można było cisnąć. Bojoryks, nie racząc nawet wyciągnąć z pochwy miecza na tych „szczurów wodnych", podnosił tylko i opuszczał miarowym ruchem swą potężną pięść, wybijając nią zęby i oczy, miażdżąc szczęki, rozpłaszczając nosy, druzgocąc czaszki. Wojownicy nasi stawali również dzielnie.

Nie wiadomo jednak, czym by się to wszystko skończyło, mieszczan bowiem, którzy zdążyli już wrócić na chwilę do swych domów i nadbiec z orężem w ręku, była liczba nader przeważająca, gdy ojciec mój na wieść i hałas zwady nadbiegł wraz z towarzyszącymi mu naczelnikami z rzeki. Senatorowie Lutecji postępowali za nimi ostrożnie w dość znacznej odległości. Ojciec bez pasa z brązu, który nam zastępował zbroję, bez hełmu, trzymanego umyślnie w ręku, gdyż chciał, aby go od razu poznano, bezbronny i z gołą głową, wbiegł w sam środek ciżby walczących, usiłując ich powstrzymać swym głosem i powagą. W tej chwili jakiś nikczemnik, jeden z tych, którzy miewali z mym ojcem drobne zatargi z powodu połowu ryb lub polowania w granicach ziem naszych, cisnął w niego krótką włócznią i zranił w pierś tak głęboko, że ojciec padł trupem na miejscu. Na ten widok Lutecjanie rozpierzchli się, a nasi wojownicy podjęli ciało wodza i na skleconych naprędce noszach pod osłoną zapadającej

już nocy ponieśli do Szarej Skały wśród śpiewów pogrzebowych, przeplatanych okrzykami wściekłości i rozpaczy. Wszyscy prawie byli ranni i mieli broń połamaną.

Matka moja nie słuchała tych opowieści. Leżała na skrwawionej piersi zmarłego okrywając go swymi rozpuszczonymi włosami jak złotym całunem i przyłożywszy twarz do jego twarzy, usta do jego ust, zdawało się, że chciała tchnąć własne życie w to ciało zimne już chłodem, śmierci. Do samego południa nie mogliśmy jej od niego odciągnąć. Tymczasem do Szarej Skały ściągali stopniowo ze wszystkich bliższych i dalszych wiosek rzeki naczelnicy, jeźdźcy, koniuszowie, wieśniacy wreszcie i już kilka tysięcy ludzi płakało nad ciałem mego ojca, potrząsając groźnie w powietrzu mieczami i dzidami albo pięściami po prostu.

Na koniec matka moja podniosła się i spojrzała dokoła wilgotnymi jeszcze od potoków przelanych łez oczyma. Po chwili poczęła mówić. Z początku powoli, jak gdyby z trudem, potem coraz to płynniej, na pół mówiąc, na pół śpiewając opowiadała wszystkim o swym wielkim niedawnym szczęściu i strasznej, bolesnej stracie; jak szlachetnego pochodzenia był Beboryks, gdyż krew prawie boska płynęła w jego żyłach – krew Hu-Gadarna i Ateola Silnego; o jego męstwie na wojnie i łowach, zapasach w pojedynkę z niedźwiedziami, wyprawach na Herulów, Sykambrów i Cherusków oraz na wyspę Brytanię; o jego walce z olbrzymim wodzem germańskim, noszącym bursztynowy naszyjnik, o czaszkach wrogów, zdobiących dach jego domu, o skarbach, które zgromadził ze zdobyczy wojennych. Opowiadała, jak wiernym był dla sprzymierzeńców, jak przyjacielskim dla swych wojowników, jak dobrym dla wszystkich podwładnych!... Był tarczą bezpieczeństwa swego kraju, dzidą wzniesioną zawsze do ciosu na obronę swych dzieci, a na grozę wrogów... Kto kiedy na próżno prosił go o pomoc? Kogo pytał on o imię, zanim ofiarował mu swą królewską gościnność? Czy podróżny opuścił kiedy dom jego głodny lub spragniony? Czy wyszedł z gościny odeń bard jaki, aby struny jego harfy nie rozbrzmiewały weselem? Był szczęśliwy, potężny, wielki jak król, jak bóg! I oto leży teraz przed swym tak gościnnym progiem z sercem rozdartym włócznią zdrajcy. Nie poległ więc, jak tego pragnął i jak mu przystało, w obronie swego kraju i ludu! Ze wszystkich więc dzid, które się lasem wznosiły dokoła niego, nie znalazła się żadna, która by zasłoniła pierś jego od skrytobójczego pchnięcia? Ani jeden z mieczów, które tak junacko pobrzękiwały za jego stołem, nie podniósł się, aby odbić cios? Spomiędzy tych, którzy powiadali, że gotowi są dlań wytoczyć krew swego serca, nie było nikogo, aby go obronić? I ach! nikogo, kto by mógł teraz powrócić blask życia tym oczom tak pogodnie i śmiało patrzącym dotąd na świat, rumieniec tym policzkom, powleczonym bladością śmierci. Opuszczał swego syna – sierotę; opuszczał ją, swą żonę i służebnicę. Gdy dąb się wali, cóż się ma stać z bluszczem, który go opasywał? Gdy dusza ulatuje, cóż pozostaje ciału, jeśli nie rozproszyć się w ziemi i zniknąć? Z Beboryksem umarła także Eponina i jeden kopiec razem ich pokryje.

Po tylu, tylu latach słyszę jeszcze i pamiętam głos mojej matki chwilami tak podniesiony i nabrzmiały bólem i rozpaczą, że zdawało się, iż jej pierś pęknie, chwilami zaś pełen spokojnego smutku i powagi, dostojny jak głos kapłanki. Za każdą strofą tego półśpiewu, półzawodzenia, gdy milkła na chwilę, odpowiadały jej chórem lamenty kobiet i ponury pomruk wojowników, głucho uderzających rękojeściami mieczów o tarcze. W końcu matka moja, wyczerpana, padła jak martwa na ciało męża i tak bez czucia odniesiono ją do domu. Po południu nadjechał stary druid i natychmiast udał się do jej mieszkania, gdzie spędził długi czas na rozmowie, zlewając bez wątpienia na to zranione serce balsam nadziei pozaświatowych. Ciało Beboryksa złożono w sali na dole na posłaniu ze zbroi i oręża i trzystu wojowników czuwało przy nim wieczór i noc całą z obnażonymi mieczami i pochodniami świecącymi w ręku. Nazajutrz o świcie poczęto kopać opodal olbrzymi dół w ziemi. Dwudziestu naszych wojowników przyszło mi oznajmić, że postanowili towarzyszyć swemu wodzowi w życiu pozagrobowym, aby mu tam służyć dalej, jak to czynili tu na ziemi.

– A ja?! – odpowiedziałem im na to. – Ja, syn Beboryksa, który gdyby mógł mówić, byłby powierzył mię z pewnością sile waszych ramion i wiernym sercom waszym? Cóż pocznę sam

bez was? Jakimiż tarczami zasłonię od wroga kraj i lud mój, nad którymi ojciec pozostawił mi pieczę? Jak będę ich bronił? I jak mam wykonać z czasem jego zamiar oswobodzenia Galii? Któż wreszcie dopomoże mi pomścić śmierć jego?

I w oczach wszystkich zebranych zalałem się gorącymi łzami żalu i boleści. Lecz w tejże chwili prawie usłyszałem za sobą szelest lekkich kroków, odwróciwszy się osłupiałem ze zdumienia. Matka moja, przybrana we wspaniałe szaty odświętne, zbliżała się Zwolna krokiem pełnym godności i powagi, w prawej ręce trzymając równiankę kwiatów o żywych barwach, lewą wsparła na ramieniu starego druida. Miała na sobie suknię śnieżnej białości z najcieńszej wełny, zarzucony z lekka na ramiona płaszcz niebieskiej barwy, włosy, świeżo wymyte i starannie utrefione, upinały ozdobne złote szpilki, takież bransolety otaczały jej obnażone ramiona łącząc się za pomocą złotych łańcuszków z mniejszymi bransoletami, otaczającymi jej rękę u przegubu dłoni; inne jeszcze połyskiwały jej u kostek nóg, obutych w ozdobne sandały, na palcu lewej ręki miała pierścień ślubny, a wreszcie szyję jej zdobił wspaniały naszyjnik germańskiego wodza ze złota, bursztynów i diamentów. Co mię zaś najwięcej zdumiało, to że wszelki ślad boleści znikł z jej twarzy. Cicha i pogodna, z oczyma wzniesionymi ku niebu, uśmiechnięta jak za dni najszczęśliwszych – wyglądała raczej na młodą narzeczoną, strojną na obrzęd ślubny, niźli na wdowę, opłakującą męża.

Stanąwszy na progu domu przemówiła w te słowa:

– Synu mój! Przyjaciele i wierni słudzy mego męża! Dziwi was to zapewne, żem strojna i wesoła jak na gody. Lecz to dlatego, że dziś jeszcze połączę się z mym małżonkiem. Dzisiaj powtórne moje z nim zaślubiny obchodzić będziecie. Nie będzie to jak przed dwudziestu laty związek nietrwały, który miecz wroga, włócznia zdrajcy lub zazdrość bogów każdej chwili przerwać mogą, lecz połączenie na wieki, którego szczęściu nie będzie końca.

– Starcze! – zawołałem rzucając się do starego druida – wytłumacz mi, co to wszystko znaczy!

– Synu – odrzekł mi ze smutną powagą – matka twoja chce umrzeć i być pochowana razem z ciałem twego ojca. Próżno starałem się odwieść ją od tego postanowienia. Było to w rzeczy samej zwyczajem za czasów przodków naszych, lecz dzisiaj...

– Dzisiaj! – przerwała mu z mocą Eponina. – Dlaczegóż by dziś nie dopełnić tego, co uczyniło tyle szlachetnych niewiast za czasów przodków naszych? Czy może Beboryks jest mniej godny takiej ofiary niźli przodkowie jego? A może nawet Katuabodua zechce zatrzymać go w którymś z kręgów niższych, dlatego że nie poległ w bitwie? Wówczas ja, która umieram dobrowolnie dla niego, mogę przejść bezpiecznie te miejsca mroków, ująć mego małżonka za rękę i wprowadzić go ze sobą do najwyższych sfer kręgu szczęścia!

– Ty miałabyś umrzeć! I ty także! – zawołałem z rozpaczą. – I to śmiercią tak okrutną! Masz czuć chłód stali na swej białej szyi?!

– Nie, nie! – rzekł mi druid. – Odetchnie tylko wonią tych kwiatów, które widzisz w jej ręku, i natychmiast dusza jej uleci lekko z ciała. Jeśli próbowałem odwieść ją od tego postanowienia, nie znaczy to, abym je potępiał. Kto wie?... W dzisiejszych smutnych czasach, być może, trzeba nawet podobnych ofiar, by uśmierzyć gniew bogów. Możesz być dumnym z twego ojca, Wenestosie, lecz twym prawem do najszlachetniejszej dumy pozostanie mieć za matkę podobną niewiastę. Synu bohatera, synu świętej! Uchyl czoła przed jej wolą, przed wolą bogów, za których działa natchnieniem...

Wówczas padłem do nóg Eponinie i począłem całować kraj jej szaty, oblewając go łzami. Ona zaś, zawsze pogodna i uśmiechnięta, podniosła mię i położywszy mi obie ręce na głowie wyrzekła cicho słowa błogosławieństwa. Następnie ucałowała mnie i przycisnęła do serca z bezmierną tkliwością.

– Żegnaj mi! – rzekła. – Dziś będę już z twym ojcem i powiem mu, jak mężnego i dzielnego, jak kochającego nas syna pozostawiamy po sobie na ziemi.

Wojownicy nasi rzucili się jej także do stóp i powiedzieli:

– I my również chcemy iść za tobą! Wskaż nam drogę! Prowadź nas ze sobą do twego małżonka, a naszego wodza!

Lecz ona odparła:

– Wasze zamiary pięknie świadczą o szlachetnej wierności serc waszych. Nie powinniście jednak czynić tego. Ja, Eponina, córa króla Aulerków, w imieniu mego i waszego pana, Beboryksa, rozkazuję wam żyć! Żyjcie, aby pomścić zmarłego, aby służyć młodemu panu, podtrzymywać chwałę naszego domu, bronić kraju i wyzwolić braci naszych!

Pomimo tych słów i znaku ręką, aby się wojownicy podnieśli, dwu ludzi pozostało jednak u jej stóp. Byli to Prydano i Wandilo.

– Pani – odezwał się pierwszy – stary już jestem, nie mogę być użyteczny twemu synowi. Służyłem dwu naczelnikom z tego rodu. Przeżyć jednego wodza – to można jeszcze wytłumaczyć. Lecz przeżyć dwóch – to już jest hańbą! A przy tym, patrzyłem tak dużo w życiu na obłoki, że ciekaw jestem nawet: co też tam jest po ich drugiej stronie? Pozwól mi iść za tobą!

– Pani – powiedział Wandilo – jam starszy jeszcze niźli on i ślepy w dodatku. Na cóż się przydać mogę? Służyłem już trzem naczelnikom tego rodu, którzy wszyscy lubili niezmiernie dźwięki mej harfy i mój śpiew, i sądzę z pewnością, że już za długo zwlekam, aby się z nimi połączyć. Zresztą obcowałem tak długo z duchami tych, którzy przeszli od dawna na drugą stronę, z Hu-Gadarnem, z Ateolem Silnym i innymi, że mam nawet więcej przyjaciół tam niż tutaj? Pozwól mi iść za tobą!...

Eponina dała im obu ręką znak zgody. W głębi wykopanego w kredowym gruncie ogromnego dołu stał już wóz Beboryksa o ozdobach z brązu i srebra, cały przybrany w oręż różnego rodzaju oraz tarczę. Eponina usiadła w tym wozie i w jej ramiona złożono ciało mego ojca w jego kompletnym uzbrojeniu, o włosach wymytych dobrze wodą wapienną i policzkach, którym warstwa różu nadawała sztuczny rumieniec. Obok wozu ulubione jego psy myśliwskie i wierzchowiec *z* poprzecinanymi gardłami zdawały się spać cicho. Prydano stał wyprostowany, opierając się na olbrzymim mieczu, Wandilo zaś usiadł na dyszlu wozu z nieodstępną harfą na kolanach i błądził z cicha palcami po jej strunach, jak gdyby szukając nowej melodii... Obaj byli zupełnie tacy, jak zwykle. Na widok tych ludzi tak spokojnych w grobie rozwartym zdawałoby się, że nie ma nic łatwiejszego jak umrzeć. Co chwila do tego dołu schodziła służba, ustawiając tam dzbany pełne wina i miodu, kosze placków, chleba, mięsiwa, owoców, słowem – różnych zapasów, potrzebnych w dalekiej podróży, skąd nikt jeszcze nie wrócił. Schodzili tam również kolejno wszyscy mieszkańcy i sąsiedzi Szarej Skały, aby tych czworo, których obchodziliśmy pogrzeb i z których troje żyło jeszcze, pożegnać raz ostatni. Przynoszono podarki dla nich, jako też dla krewnych i znajomych, których przybyli mieli na tamtym świecie. Bogatsi dawali ozdobne i cenne naczynia, złote lub srebrne monety, pasy brązowe, oręż, zrywali z siebie bransolety, naramienniki, pierścienie i rzucali je w wóz Beboryksa; ubodzy przynosili chociażby parę gołębi lub koguta. Ci, którzy umieli pisać literami greckimi lub łacińskimi, wypisywali na kawałku kory bukowej listy i oddawali je Prydanowi i Wandilowi z prośbą o doręczenie osobom właściwym. Paru zaś, mając na sumieniu jakiś dług nieopłacony, przyniosło im pieniądze z poleceniem oddania wierzycielom zza grobu. Snopy zboża, przemieszanego z bławatkami i makami, równianki i girlandy kwiecia polnego nagromadzały się coraz to bardziej, tak iż wóz Beboryksa tonął w powodzi kwiatów i zieleni.

Stary druid w wianku dębowym na siwych włosach, w szerokiej białej lnianej szacie z purpurowym szlakiem, ze złotym sierpem u pasa, otoczony orszakiem innych podwładnych mu druidów, modlił się gorąco a głośno i uroczyście z wzniesionymi do góry ramionami i oczyma. Z ust jego wychodziły słowa, które uwagę bogów skłaniają ku śmiertelnym, pętają siły natury i oswobadzają dusze zmarłych. W końcu dał znak ręką i zakrył sobie twarz płaszczem. Wówczas zagrzmiały okrzyki wojowników, budzące echa dalekie, rozległy się zawodzenia kobiet, hałas kilkuset tarcz o obręczach z brązu, dźwięczących pod uderzeniami rękojeści mieczów, oraz srebrzyste dźwięki harf bardów, nad którymi górowała chwilami muzyka

harfy Wandila i głos jego opiewający ostatnie kroki Hu-Gadarna po świetlistym grzbiecie oceanu. W pewnej chwili Prydano pochylił się nagle i ostrzem swego miecza przebił gardło śpiewakowi, następnie zwrócił to ostrze do swego serca i dwa potoki krwi purpurowej popłynęły na więdnące dokoła nich kwiaty i zioła. Ujrzałem, jak matka moja, blada, lecz zawsze pogodna i uśmiechnięta, zwróciła po raz ostatni oczy na mnie, patrząc wzrokiem pełnym miłości, potem zaś podniosła do twarzy kwiaty zatrute. Dokoła dołu grobowego zgromadzono zawczasu olbrzymie głazy i odłamy skalne, które, przytoczone teraz do brzegu i postawione pochyło, złączyły się ze sobą na górze, tworząc rodzaj sklepienia, na które poczęto następnie układać mniejsze kamienie i sypać ziemię. Przez całe popołudnie, wieczór i noc następną przy świetle pochodni, które nieciły iskry w grzebieniach hełmów oraz grotach dzid, rzucając krwawe odblaski na ciemne wody Rzeki Bobrów, usypano kopiec grobowy. Dorzucano nań coraz to więcej głazów i kamieni oraz koszów ziemi, póki nie utworzył się z tego spory pagór.

Ja pierwszy musiałem położyć kamień na to sklepienie, potem zaś już tylko oczami rozpalonymi od bezsenności i łez wylanych przyglądałem się bez czynnie wznoszącemu się coraz to wyżej przede mną kopcowi, myśląc w duszy, że ta góra z kamienia i ziemi kryje wszystko, co mi tylko było drogie na ziemi: ojca mego i matkę, których tak czciłem i kochałem, ślepego barda, który mi zapalił serce miłością przeszłości Galii i żądzą sławy, starego przyjaciela–wojownika, który nauczył mnie kochać las, wodę, kwiaty i wszystko, co żyje... Nigdy więc, nigdy nie usłyszę ich głosów, nigdy już nie ujrzę ich drogich twarzy! Nigdy już, nigdy... Chyba w dniu, kiedy Katuabodua zabierze i moją duszę, aby ją połączyć z nimi.

Kopiec rósł a rósł w oczach i stał się niedługo nowym wzgórzem, które się niespodzianie wzniosło na naszym starym wzgórzu Szarej Skały. Olbrzyma tego można widzieć już z daleka, na przykład z Góry Belenusa, z Góry Kamula lub Lukotycji. Do dziś dnia obcy wędrowiec pyta nieraz ze zdumieniem:

– Czyjąż mogiłą jest ta góra z głazów?

A dowiedziawszy się, że kryje ona prochy walecznego wodza, podnosi kilka kamieni i przyrzuca je na kopiec, aby był większy.

Rozdział XII

WOJNA POMIĘDZY DOLINĄ RZEKI A LUTECJĄ

Po zakończeniu obrzędów pogrzebowych zwołałem na naradę wszystkich naczelników z rzeki wraz z ich wojownikami, by rozważyć sprawę długu krwi, który się nam należał od Lutecji. W Szarej Skale znajdowało się podówczas czterdziestu naczelników, trzydziestu jeźdźców i tysiąc zbrojnych pieszych, którzy tu przybyli dla oddania ostatniej posługi Beboryksowi i powitania mnie jako jego następcy, a swego „starszego brata".

Po krótkiej naradzie postanowiliśmy i zaprzysięgliśmy na miecze wywrzeć na Lutecji pomstę, o której głośno będzie w całej Galii, o ile Lutecjanie nie dadzą nam całkowitego zadośćuczynienia. Karmanno z małym oddziałem jeźdźców wyruszył bez zwłoki w poselstwie do Lutecji. Lecz gdy stanęli przed tą bramą, która wychodzi na most lewego brzegu, Lutecjanie przede wszystkim pośpieszyli ją zatrzasnąć przed nimi, następnie zaś dopiero ponad palisadą zapytali, czego chcą.

Karmanno przedstawił im moje żądanie: aby morderca Beboryksa i ten, który go znieważył, rysując w wyśmiewnej postaci, zostali wydani w nasze ręce dla postąpienia z nimi podług naszego uznania. W przeciwnym razie Lutecja zostanie zburzona. Po tych słowach Karmanno doręczył rozmawiającemu z nim Lutecjanowi pasemko włosów, którem sobie wyrwał z brody. Czekał bardzo długo, gdyż senatorowie Lutecji zebrali się na naradę, aby rozważyć i podać odpowiedź. W końcu oświadczono mu, że zamieszanie wywołali ludzie z Szarej Skały, którzy pierwsi wszczęli kłótnię i zabili jednego z Lutecjan; że następnie pokaleczyli i pozabijali dużo jeszcze zupełnie niewinnych obywateli miasta; że jakkolwiek śmierć Beboryksa była niewątpliwie nieszczęściem, lecz wśród ciemności i zamętu, jakie panowały wówczas, niepodobna było na razie i niemożliwą jest rzeczą obecnie stwierdzić, kto mu zadał cios śmiertelny; senatorowie Lutecji zrobili wszystko, co mogli, aby powstrzymać walkę, i Lutecja nie poczuwała się wcale do obowiązku dawania nam zadośćuczynienia, czując się raczej w prawie żądać go od mieszkańców rzeki. Wreszcie dodali jeszcze, że jakkolwiek życzą sobie żyć w zgodzie z sąsiadami, lecz nie obawiają się nikogo i nie pozwolą zastraszyć czczymi pogróżkami i przechwałkami, mając licznych a dzielnych wojów i dobrze zabezpieczone miasto.

– Czy to wszystko, co macie nam do powiedzenia? – spytał Karmanno.

– Tak jest – odparli wyspiarze.

– Niech więc rozstrzygną bogowie, mściciele zbrodni!

I z tymi słowy Karmanno krótką włócznię, trzymaną w ręku, cisnął z całej siły w bramę dębową, w której uwięzła, drżąc jeszcze od siły rzutu. Po czym zawrócił na miejscu i oddalił się w galopie wraz ze swym oddziałem. Gdy zdał nam sprawę z poselstwa, wojownicy zebrani w Szarej Skale zadrżeli z gniewu.

– Przeklęta wyspa! – ryczał Bojoryks. – Wyrwę ją z dna rzeki, przewrócę do góry korzeniami wraz z jej domami i mieszkańcami i puszczę z biegiem wody!

– Na Kamula! – wołał Cyngetoryks – nie wrócę do domu inaczej, jak co najmniej z dziesiątkiem tych żab błotnych nadzianych na ostrze mej dzidy!

– Myślę, że można będzie się zabawić – rzekł z cicha Dumnak do Arwiraga, dając mu przyjacielskiego w bok szturchańca.

Nazajutrz ze wschodniej pochyłości Lukotycji schodziło ku wyspie trzystu pięćdziesięciu naszych jeźdźców oraz ośmiuset pieszych. Wszyscy byli dobrze uzbrojeni w miecze, dzidy, łuki, proce, włócznie do ciskania, a ponadto mieli ze sobą topory, rydle i łopaty dla podkopywania i rąbania częstokołu i mostów. Za tym wojskiem postępowało dwieście mułów i koni, niosących żywność na trzy dni. Na polach uprawnych, znajdujących się na zboczu góry i przyległych do niej, krzątało się trochę rolników z Lutecji, którzy z pośpiechem przenosili do miasta plony żniwne. Część naszych jeźdźców pognała za nimi: kilku wzięto do niewoli, paru zabito, inni zapadli w szuwary i trzcinę nadbrzeżną i pochowali się tam jak dzikie kaczki. Podobny los spotkał kupców luteckich, prowadzących rząd osłów obładowanych glinianymi amforami i skórzanymi miechami z winem. Ma się rozumieć, że przy tej sposobności wypito im ich wino i potłuczono amfory. Gdyśmy się zbliżyli do Lutecji, okazało się, że lewobrzeżny most już zdjęto, reszta więc dnia zeszła nam tylko na wymianie strzał, pocisków i wymysłów. Na noc rozłożyliśmy się obozem w otwartym polu.

Lecz gdy już wszystko dokoła było pogrążone w śnie głębokim, kazałem wsiąść do łodzi w części naszych, w części zaś luteckich, znalezionych przez nas w szuwarach nadbrzeżnych – trzystu wojownikom, nad którymi sam objąłem komendę, powierzając tymczasem pieczę nad resztą mego wojska Cyngetoryksowi. Wiosłując jak najciszej i zachowując milczenie, przeprawiliśmy się na drugi brzeg i stanąwszy na nim, pędem pobiegliśmy do dużego mostu, prowadzącego z prawego brzegu rzeki do Lutecji. Okazało się jednak, że pomimo nocnej pory Lutecjanie zajęci byli właśnie pośpiesznym zdejmowaniem tego mostu, a jakkolwiek nie mogli teraz dokończyć swej pracy inaczej, jak pod gradem naszych pocisków, nie udało się

nam jednak opanować mostu i wedrzeć do miasta. Za mało mieliśmy łodzi, aby teraz, gdy Lutecja otoczona była dokoła głębokimi nurtami Sekwany, przypłynąć pod jej palisadę od razu w dostatecznej liczbie, by zdobyć ją szturmem. W ciągu też następnych paru dni oblegaliśmy ją tylko, jeżdżąc wciąż po obu brzegach Sekwany konno, a po falach rzeki łodziami. I gdy tylko ukazywali się jacyś obcy ludzie zmierzający do Lutecji, kupcy lub podróżni, zmuszaliśmy ich, aby zawrócili; jeśli zaś byli to Lutecjanie, napadaliśmy ich zbrojną ręką i braliśmy do niewoli. W ten sposób zagarnęliśmy wszystkie powracające do miasta łodzie rybackie wraz z połowem ryb i zatrzymaliśmy dowóz żywności z góry i z dołu rzeki.

Pewnej nocy zrobiliśmy znowu niespodzianą wycieczkę na łodziach pod częstokół Lutecji, zamierzając podpalić go pochodniami, schowanymi w ogromnych dzbanach glinianych. Lecz Lutecjanie pilnowali ścian swego grodu tak czujnie, że przedsięwzięcie spełzło na niczym i tylko straciliśmy w tej wyprawie kilku ludzi. Innej jeszcze nocy, wśród gęstych ciemności przepłynęliśmy rzekę w tak wielkiej liczbie ludzi, jaką tylko łodzie nasze mogły pomieścić – i to oczywiście zachowując jak najgłębszą ciszę, aby nie zwracać na siebie uwagi przeciwników. Po przybyciu zaś poczęliśmy natychmiast rąbać i podkopywać częstokół, gdy równocześnie inni go podpalali pochodniami. Lecz natychmiast poczęły biegać światełka po mieście to tu, to ówdzie i po chwili Lutecjanie zgromadzili się w zagrożonym miejscu w liczbie tak niezmiernie przewyższającej nasz mały oddział, że znów musieliśmy się cofnąć, i to ze znacznymi stratami.

Na skutek oblężenia miasto cierpiało jednak ogromnie, wszelki bowiem ruch wymienny został przerwany i Lutecjanom poczynało już nawet niedostawać żywności. Toteż czwartego dnia oblężenia od wybrzeża wyspy odbiła łódź z dwoma wioślarzami i bardem w dębowym wieńcu na głowie i z harfą w ręku. Był to poseł. Zbliżywszy się do nas, zawołał:

– Ludzie z Szarej Skały! Senatorowie Lutecji polecili mi powiedzieć wam, że nie przystoi wojownikom babrać się w błocie na wybrzeżu po to, aby zabijać lub chwytać i więzić ludzi zgoła nieszkodliwych i niewinnych. Jeśli macie jakie porachunki z mieszkańcami Lutecji do załatwienia, to spotkajcie się na placu oko w oko. Proponują wam w tym celu duże pole u stóp Lukotycji, prosząc, abyście o ile przyjmujecie propozycję – nie przeszkadzali w ustawianiu mostu i nie napastowali naszych wojowników, gdy będą wychodzili z bram miasta. Za dwie godziny zaś – spotkamy się!

– Zgoda! – odpowiedziałem.

Bard zawrócił do Lutecji, ja zaś pośpieszyłem przywołać tych spomiędzy moich wojowników, którzy się znajdowali na prawym brzegu, a następnie odstąpiliśmy ku zboczom Lukotycji, aby pozostawić Lutecjanom swobodę ruchów. Zająłem środek pola z mymi wojownikami i pospolitym ruszeniem z Szarej Skały, Cyngetoryks wraz z wszystkimi ludźmi z górnej rzeki, a więc i z Bojoryksem, ustawił się na prawym skrzydle, Karmanno zaś na lewym ze swymi wojownikami oraz sprzymierzeńcami z dolnej rzeki. Patrzyliśmy z daleka, jak Lutecjanie otworzyli południową bramę swego miasta, ułożyli na nowo grube deski dębowe na podtrzymujących je palach wbitych w dno rzeki, po czym, poprzedzani swą muzyką, przeszli most zwartą kolumną wojska, które w odległości trzystu kroków od nas rozwinęło się w jedną linię. Lutecjanie nie mieli wcale konnicy i nawet senatorowie ich postępowali pieszo – tym bardziej, że rządzeni przez nich wyspiarze nie byliby pozwolili, aby miało być inaczej. Szli w dobrym porządku, krokiem miarowym, doskonale uzbrojeni i z minami ludzi gotowych na wszystko.

Widziałem jasno, że moi wojownicy doświadczali trochę nieprzyjemnego uczucia wobec konieczności walki z ludźmi, z którymi wymienili tyle wesołych żartów przy wspólnym stole, z którymi wypróżnili tyle kubków wina przy przyjacielskiej pogawędce, a którym mieli teraz podrzynać gardła! Ja sam odwróciłem głowę, ujrzawszy w szeregach przeciwników niedawnych gości i przyjaciół mego ojca, zwłaszcza starego senatora Weriugodumno, który tylekroć spał pod naszym dachem i, gdym był dzieckiem, nigdy nie przybywał do Szarej Skały bez

jakiegoś podarku dla mnie. Wieśniacy nasi w szeregach nieprzyjacielskich rozpoznawali kupców, którym sprzedawali swe cielęta, barany czy kury, gdy się po zawziętym targu na znak zgody uderzano nareszcie w dłonie; niektórzy z nich powydawali nawet za mąż córki za wyspiarzy i myśleli zapewne w duszy, że sami oto może uczynią je wdowami, a sierotami ich dzieci. Lecz tu chodziło o cześć naszego domu, ba! nawet w ogóle o cześć mieszkańców rzeki! – i krew przelana mego ojca wołała o pomstę. Niezadługo też gromkie okrzyki wojenne zabrzmiały ze stron obu, wystąpiły naprzód dwie linie zbrojnych pieszych wojowników i poczęły zbliżać się ku sobie z pochylonymi dzidami i włóczniami przygotowanymi do ciskania. Nagle z prawej strony od skraju lasu ukazał się niespodzianie stary druid w szacie białej i wieńcu dębowym, zawsze imponujący – mimo bardzo sędziwego już wieku – wzrostem wyniosłym i postawą pełną dostojeństwa. Za nim postępował orszak druidów oraz bardów z harfami w rękach. Pod gradem strzał i pocisków, które gęsto już świstały w powietrzu, starzec spokojnie i nieustraszenie przeszedł aż do środka dwu armii i stanąwszy pomiędzy szeregami walczących z podniesionymi do góry rękoma, grzmiącym głosem rozkazał:

– S t a ć !

Oba postępujące ku sobie wojska zatrzymały się od razu na miejscu jak wryte w ziemię, chociaż nikt z naczelników nie dał żadnego znaku lub hasła. Ramiona, wyprężone już do ciśnięcia włócznią, zwisły bezwładnie, opadły łuki i proce, pochylone do ataku dzidy podniosły się znów niepewnie i konie naszych jeźdźców czując wędzidło poczęły się wspinać i rzucać. Starzec surowym spojrzeniem obrzucił naczelników obu wojsk po kolei i skrzyżowawszy ręce na piersiach rzekł:

– Jeszcze więc krew galijska ma popłynąć? Jaki szał ciska was jednych przeciw drugim – was, synów jednej ziemi, którzy pijecie z tych samych źródeł i w twarzach „wrogów" waszych rozpoznajecie własne rysy? Czy Galia nie dość jest jeszcze szarpana i rozdzierana przez najeźdźców obcych, Germanów i Rzymian? A więc sto tysięcy Helwetów potopionych w falach Rodanu lub pomarłych z głodu w przesmykach górskich, sześćdziesiąt tysięcy Nerwiów wymordowanych na brzegach Sambry, całe plemię Wenetów pochłonięte przez morze lub rozprzedane w niewolę, pięćdziesiąt pięć tysięcy Aduatyków rzuconych na targi niewolników, sześciuset wiernych wojowników Adiatuna, Socjatów, zakłutych na trupie ich króla, zdziesiątkowane ludy dolnej Sekwany – czyż tego wam mało? I wy jeszcze chcecie drapieżnymi dłońmi oręż zatapiać w łonie macierzyńskim? Nie dość wam łez wylanych nad tylu tysiącami niewiast i dzieci galijskich, wydanych na hańbę i niedolę niewolnictwa, nad tylu dzielnymi wojownikami, którzy padli pod żelazem nieprzyjaciela, nad tym kwiatem żeglarzy nieustraszonych Armoryki, którym podobnych długo już nie wyda Galia? Trzeba wam nowych ofiar? A więc wiedzcie, że Cezar kazał właśnie rozsiekać Dumnoryksa eduskiego, jedynego bodaj człowieka, który był mężem w swym zwyrodniałym plemieniu – i to za to, że Dumnoryks odmówił z oddziałem „wiernych" iść z ogniem i żelazem do Brytów z Wielkiej Wyspy, braci naszych z pochodzenia i języka; bo wzdrygał się swój miecz zanurzyć w krwi celtyckiej, bo miał odwagę odwołać się do swej godności wolnego człowieka, obywatela wolnego ludu!

Okrzyki oburzenia, zgrozy i boleści rozległy się w szeregach obu wojsk. Któż z nas nie słyszał o szlachetnym Dumnoryksie, jedynym z naczelników eduskich, dzięki któremu można było jeszcze mieć trochę względów dla tego plemienia zdrajców?

– A wy, Paryzowie – ciągnął dalej stary druid – z wyspy, jako też z krainy rzeki, zatrzymaliście miecze w pochwach, kiedy Cezar dokoła was – na zachodzie, wschodzie i północy – wylewał niby wodę krew braci waszych! Nie wzięliście się do oręża ani dla Wenellów, ani dla Bolgów, ani dla mieszkańców Armoryki, którzy, błagali was o pomoc.

– Chcieliśmy pośpieszyć z pomocą Bolgom, lecz Lutecjanie stanęli nam na przeszkodzie! – zaczęto wołać między nami.

– To Bobry odmówili nam iść z pomocą Leksowom wspólnie z nami! – wołali Lutecjanie.

– Winniście jedni i drudzy, zarówno winni! – przerwał z mocą wszczynający się już spór starzec. – Macie oręż i męstwo tylko do walk bratobójczych! Nie posiadacie nawet tego, co mają nierozumne zwierzęta – instynktu samoobrony! Na cóż czekacie, zaiste? Czy aby bogowie wzięli na siebie zadanie oswobodzenia Galii spod przemocy Rzymian? Ilekroć Cezar przechodzi Ren lub morze, zawsze uspokajacie siebie i pocieszacie się tym, że go pochłoną fale zdradliwe. Lecz on już po raz drugi powrócił z Wielkiej Wyspy zwycięzcą mężnych Brytów, zbogacony łupami na braciach naszych, przywodząc za sobą nowe zastępy niewolników. Cezar p o w r ó c i ł – słyszycie? – i przygotowuje nowe zamachy na swobodę Galii. Dotąd Bolgowie krępowali go trochę w jego zamiarach przeciwko wam, poza tym Ambioryks eburoński, Induciomar trewerski, którzy mężnie wzięli się do obrony swych krajów, oddalili na czas jakiś od głów waszych burzę, gotową już spaść na nie. Cezar bowiem z całą siłą rzucił się teraz na nich i tam, w Ardenach, nad Mozą i Mozelą walczy obecnie z nimi – ale to w taki sposób, aby te plemiona wytępić do szczętu. Pozwólcie je zgnieść – a podobny los i waszym udziałem stanie się wkrótce! W rzeczy samej Cezar może śmiało pozostawić was jeszcze czas jakiś w spokoju, gdyż wyręczycie go doskonale, zwracając sami swój oręż jedni przeciwko drugim. Doprawdy, spokojnie może poczekać jeszcze, albowiem was, ludzie z wyspy, nie zajmuje nic, jeno kupczenie, zbieranie pieniędzy i nowinek; was zaś, Bobry, obchodzą tylko polowania i uczty; i nienawidzicie się wzajem, zamiast łączyć się ku wspólnej obronie. Ach! gdyby wszystkie te ludy Galii, które Rzymianie ujarzmiają lub wytępiają, podały sobie ręce; gdyby zdecydowały się zapomnieć o swych waśniach i zgodnie ruszyły razem na tę zgrają bałwochwalców italskich – Rzym zadrżałby przed Galami, jak za czasów Brennusa! Ponieważ jednak zapomnieliście, iż Teutates jest wspólnym ojcem naszym – was, wszystkich ludów galijskich, zostaniecie jak owce wydani jedni po drugich nieprzyjacielowi. Tak! Jedni po drugich będziecie widzieli wasze wsie i miasta w płomieniach, będziecie świadkami, jak chciwe ręce Rzymian opróżnią wasze skrzynie i schowki po to, by bogactwami waszymi opłacać długi swych prokonsulów; bezsilni spoglądać będziecie, jak matki i dzieci wasze popędzą pod batami dozorców na targi niewolników!

Stary druid zapalał się coraz bardziej. Potężny głos jego grzmiał jak odgłos zbliżającej się burzy, oczy spod nawisłych brwi krzaczastych ciskały błyskawice. Stopniowo, bezwiednie zbrojni z obu zastępów naczelnicy i zwykli wojownicy zbliżali się doń zawieszeni wzrokiem u jego warg, jak gdyby na łańcuchach czarodziejskich. I niedługo Lutecjanie i Bobry zmieszali się razem, nie myśląc wcale o tym, aby się wystrzegać nawzajem. Pod chłostą tych słów surowych i gorzkich jedni pochylali nisko głowy w ponurym zawstydzeniu, inni drżeli jak liście, inni jeszcze załamywali ręce lub wyciągali błagalnie ku niebiosom ramiona. Złowrogie przepowiednie świątobliwego starca przerażały nas jak klątwy kapłańskie, których każde słowo ma samo przez się siłę straszliwą. Toteż gdy wyrzekł, że niewiasty nasze i dzieci będą pod batami dozorców wleczone na targi niewolników, setki rąk wyciągnęły się doń błagalnie i setki głosów zawołały zgodnie:

– O zamilcz, ojcze! Zamilcz! Twe słowa sprowadzą na nas nieszczęście!

– Ach! Jakichże mam użyć słów dość mocnych, aby były nareszcie usłyszane przez głuchych?! Czy nie macie oczu, aby widzieć, i uszu, aby słyszeć? Spójrzcie tylko na tych włóczęgów z Italii, którzy się wciąż kręcą u nas, przynosząc nam wina i występki ze swego kraju. Wiedzą, że upadek Galii jest już bliski, i rachują zawczasu, jaką z tego korzyść zdołają osiągnąć. Notują sobie w pamięci najlepsze ziemie, które Cezar ma im rozdać po wojnie. Potworzą tu bowiem naturalnie osiedla rzymskie, takie jak te, które zrujnowały Galów w Prowincji. Tam gdzie żyły szczęśliwie i dostatnio całe plemiona, wystarczy potem miejsca tylko dla jakichś dziesięciu wielkich panów rzymskich. Z waszych wieśniaków uczynią niewolników, z waszych wojów – gladiatorów lub najemnych żołdaków, karanych przez centuriona w razie nieposłuszeństwa razami kija; z waszych zaś żon i córek – służebne matron rzymskich. Topór bałwochwalców obali prawieczne dęby świętych gajów naszych, ba! niezadługo sami będzie-

cie czcili bałwany z brązu lub marmuru, lub – co gorsza – posągi sławnych zbójów rzymskich! Kupczyki italskie szacują już cię spod oka, Bojoryksie, rachując w myśli: ile też taki, jak ty, niewolnik zaprzężony do żaren mógłby w dzień zemleć zboża? A Dumnak i Arwirag przeznaczeni są już przez nich niewątpliwie na sprzedaż za znaczną cenę jako para gladiatorów, którzy z taką nieporównaną brawurą byliby się pomordowali wzajem w oczach zachwyconego ludu rzymskiego!

A i was, ludzie z wyspy, kupcy niewolników szacują wysoko zapewne, gdyż w ciężkich kajdanach na nogach bylibyście nieocenieni dla sporządzania Rzymianom bogatych klejnotów ze złota i drogich kamieni lub też służbą w ich domach tak zręczną, tak sprytną i dowcipną, aby umiejętnie rozpraszać nudę lub zły humor waszych panów, aby z uśmiechem znosić ich kopnięcia i policzki. I sami sobie przędziecie ten los! Będzie to słuszna kara za wasze grzechy, świętokradztwa i bratobójcze wojny!

Zbliżyłem się do starca, chcąc się usprawiedliwić przed nim z gniewu na Lutecję, lecz Lutecjanie poczęli równocześnie mówić, tłumacząc się i składając całą winę na ludzi z Szarej Skały. Starzec–druid odsunął nas od siebie ruchem dłoni i rzekł spokojnie:

– Wiem wszystko. A zapytam was tylko o jedno: czy chcecie nadal rozdzierać się wzajemnie jak rozwścieczone, głupie zwierzęta, czy też wolicie połączyć się dla wybawienia kraju? Galami jesteście, czy też gladiatorami najętymi, jak widzę, zawczasu przez Cezara dla wesołej rozrywki motłochu rzymskiego?

– Ojcze! Ojcze! – odpowiedziano mu zewsząd. – Powiedz, co mamy czynić! Będziemy ci posłuszni!

– Chcecie więc przyjąć mnie za sędziego waszego zatargu? Dobrze... A więc słuchajcie!

Tu druid skupił się i zamyślił krótką chwilę, następnie zaś wypowiedział głosem wolnym i uroczystym:

– Krew szlachetnego Beboryksa została przelana ręką występną i to woła o pomstę. Dwaj tu są główni winowajcy: zabójca Beboryksa oraz ten, który narysował znieważający go obraz. Lecz przez bezkarność krew ta spada i na miasto. Oto więc jest mój wyrok: niech człowiek, który zadał cios śmiertelny szlachetnemu obrońcy kraju, oraz jego potwarca zostaną skazani na wygnanie z Lutecji i nie ważą się powracać do niej pod karą utraty życia. Prócz tego, jako cenę krwi, senat Lutecji doręczy synowi zabitego dwanaście hełmów z brązu, dwanaście tarcz oraz dwanaście mieczów z najlepszej stali. Syn Beboryksa zaś uwolni bez żadnego wykupu wszystkich Lutecjan, których wziął do niewoli. A ponieważ i on zmazany jest przelaną krwią bratnią, niech ofiaruje bogini Belizanie dwanaście byków białych, dwulatków bez plamy i wady, które nie znały jeszcze jarzma. Zostaną zabite ma uroczystą ofiarę bogini w świętym gaju na szczycie Lukotycji i wy – walczący z obu stron – weźmiecie udział w ofierze, aby się oczyścić z grzechu przez pokropienie krwią. Powiedziałem!

Zaledwie skończył, gdy Lutecjanie wznosząc prawą rękę ku niebu zawołali jednogłośnie:

– Niech tak będzie!

Lecz ja milczałem, nie mogąc powściągnąć niechęci do zgody z ludźmi, którzy zgładzili mi ojca. Wówczas druid zwrócił się do mnie i rzekł surowo, patrząc mi w oczy:

– Wenestosie, czy sądzisz, że twój szlachetny ojciec chciałby przelewu krwi galijskiej, chociażby dla zmycia swej krzywdy?

Spuściłem głowę i po chwili odpowiedziałem cicho:

– Niech tak będzie!

Tak więc skończyła się moja wojna z Paryzami Lutecji. Senatorowie luteccy poprosili mnie zaraz, abym wysłał do ich miasta kilku wojowników, którzy mieli być świadkami kary winnych. Powierzyłem to Karmannowi, któremu towarzyszyło jeszcze paru jeźdźców naszych. W ich obecności wygnano przez bramę północną obu winowajców; człowiek opłacany przez senatorów Lutecji dla wykonywania ich wyroków na przestępcach, a którego samo nawet dotknięcie kala, pędził ich przed sobą aż do końca wielkiego mostu, gdzie oświadczył im

głośno, że jeśli się odważą kiedy powrócić do Lutecji, żywcem zostaną spaleni. Następnie wygłosiwszy zwykłą formułę wygnania wymierzył każdemu jeszcze nogą potężny cios w plecy obaj nędznicy, okryci hańbą i wstydem, oddalili się szybko pośród szyderstw tłumu.

Senatorowie Lutecji zatrzymali potem naszych jeźdźców na ucztę, przy której podano im wino w czaszy honorowej; tego wieczora wszyscy bardowie miejscowi śpiewali czyny wojenne mego ojca i wspaniałość moją.

Rozdział XIII

LEKCJA POLITYKI

Wkrótce potem wydałem ucztę dla wszystkich towarzyszy wyprawy wojennej na Lutecję, korzystając w ten sposób z pozoru, aby się naradzić z sąsiadami. Mieliśmy jeszcze w pamięci słowa druida, a do nowin, które nam obwieścił, przybywały z każdym niemal dniem inne, równie złowieszcze. Galia cała trwała w stanie głuchego podniecenia, albowiem prawie każdy z jej ludów poczuł ciężar ramienia Cezara. Toteż wysłańcy galijscy przebiegali wciąż z jednego krańca kraju na drugi; odosobnione rozruchy, zwiastuny ogólnego powstania, wybuchały ustawicznie to tu, to ówdzie. Dla zapewnienia sobie częściowego chociaż spokoju Cezar przywrócił nawet w krajach Kamutów i Senonów godność królewską, zniesioną już u tych ludów, mianując królem Kamutów Tasgeta, królem zaś Senonów Kawarina. Obaj w rzeczy samej pochodzili z rodów królewskich, lecz ich jedyną zaletę dziś stanowiło to, że byli powolnymi narzędziami w rękach Cezara. Toteż Karnutowie wkrótce zabili swego króla jako zdrajcę, Kawarin zaś uciekł od Senonów, zanim ci zdążyli go uśmiercić. Wobec tego Cezar zmuszony był nawet i do ich kraju wysłać jeden ze swych legionów, nie tylko dlatego, aby stłumić ruch, lecz aby obserwować Senonów i nie dopuścić do połączenia się ich z innymi ludami. Bo tymczasem na północy Induciomar podniósł Trewerów, powołując przy tym do oręża i zapalając duchem pomsty resztki Nerwiów i Aduatyków, Ambioryks zaś – Eburonów. Ten dzielny wódz wybił cały legion co do nogi, zdobywając szturmem obóz legatów Sabinusa i Cotty. Po bitwie wojownicy jego rzucili mu w triumfie pod stopy złotego orła legionu, dziesięć chorągwi kohort oraz głowy obu legatów! Następnie Ambioryks obległ jeszcze legion Quintusa Cycerona w kraju Nerwiów, a pilnował go tak czujnie i ściśle, że znikąd posiłki ani zapasy żywności nie mogły nadejść do obozu rzymskiego, ani też żaden wysłaniec nie mógł wyjść stamtąd. Mówiono też, że na głos Ambioryksa plemiona germańskie z obu wybrzeży Renu poruszały się pono przeciwko Rzymowi. Lecz Cezar nadbiegł wreszcie z odsieczą oblężonemu legionowi Cycerona i zmusił Ambioryksa, aby cofnął się w przesmyki Ardenów, gdy tymczasem nad Mozelą jego prawa ręka, Labienus, po prostu polował na Induciomara. W końcu też w czasie przeprawy przez rzekę konnica rzymska doścignęła wodza Trewerów i dzielny Induciomar położył głowę w walce. Nie była to jednak walka rozstrzygająca. Trewerowie zastąpili Induciomara jednym ze swych naczelników, Eburoni, Nerwiowie, Aduatycy pozostawali wciąż jeszcze pod bronią, na południu zaś Karnuci i Senonowie sprawiali Cezarowi trochę kłopotu.

Stary druid miał słuszność: tylko przyłączenie się naszego kraiku do ogólnego ruchu mogło go zbawić. Lecz na razie byliśmy tak otoczeni obozami rzymskimi, że zdawało się do-

prawdy, jak gdyby cała siła Rzymian skupiła się w tej właśnie części Galii. Uradziliśmy zatem z senatorami Lutecji i naczelnikami sąsiednich dolin, że należy obecnie zachować ostrożność, unikając ściągnięcia na siebie tak przeważającej siły przeciwnika przez jakiś krok nieobmyślony i, o ile się uda, przeczekać zimę. Mimo to we wszystkich wioskach naszych wzięto się z zapałem do przekuwania żelaza na groty dzid i strzał. Co do broni, której nie umieliśmy sporządzać sami, to poleciłem zakupić dla mnie jej zapas kupcom luteckim, nakazując im zachowanie tajemnicy. Kazałem wykopać kilka dużych dołów w lesie i oczyścić niektóre pieczary w skałach, aby tam chować zapasy ziarna; wycofałem również z pracy około roli część koni, które karmiono obecnie owsem, aby mogły służyć na wojnie. Powziąłem też stały zwyczaj wysyłania w regularnych odstępach czasu posłańców do wszystkich znaczniejszych naczelników plemienia Paryzów, aby zasięgać od nich języka i dzielić się z nimi wieściami, które ze swej strony sam mogłem zdobyć. Gdy tylko jacy podróżni przejeżdżali przez nasz kraj, chociażby nawet nie po drodze im było zajeżdżać do Szarej Skały, zapraszałem ich przez posłańców jak najuprzejmiej do siebie, po czym wypytywałem ich o wszystko, co tylko wiedzieli, widzieli lub słyszeli.

Dość często też odwiedzałem Lutecję, gdzie mnie podejmowano gościnnie. I jeśli my, z lewego brzegu, byliśmy nieźle powiadomieni o ruchu w kraju Karnutów i Senonów, to znów Lutecjanie zawsze wiedzieli, co się działo u Nerwiów, Aduatyków, Trewerów i Eburonów. Wymieniłem bydło, którego mogłem się pozbyć bez wielkiej szkody dla gospodarstwa, na konie, zakupując ich tyle, ile tylko kupcy z Lutecji mogli mi dostarczyć. Na konie w tym roku był taki popyt, że za rumaka bojowego, który przedtem wart był trzy byki, trzeba było dać obecnie siedem lub osiem byków. Zima minęła, nastąpiło lato, po nim jesień, a jeszcze nie mogłem dać hasła powstania. Cała Galia, a więc i my, Paryzowie, zbierała się w sobie jak dziki zwierz do skoku.

W roku następnym po mej wojnie z Lutecją nie było właściwie żadnego większego ruchu w Galii prócz bardzo prędko stłumionego powstania Karnutów i Senonów oraz więcej już sprawiających kłopotu Rzymowi uporczywych walk Ambioryksa eburońskiego i kilku pomniejszych wodzów bolgijskich i germańskich. Rok ten zaznaczył się w mym życiu osobistym kilkoma zdarzeniami, których tu nie mogę ominąć. Na wiosnę, gdy kwiaty o żółtej barwie poczynają ukazywać się na polankach leśnych, przyjechał do Szarej Skały senator Lutecji, Weriugodumno, stary przyjaciel mego ojca, aby mnie zawiadomić, że Cezar zwołuje powszechne zebranie ludów galijskich i sprzymierzeńców Rzymu do Samarobriva[11], miasta Ambianów, i że Paryzowie winni tam również wysłać swych delegatów.

– Więc jedźcie do Samarobriva, jeśli chcecie! – odparłem. – Ja nie jadę. Czyż jestem sprzymierzeńcem Rzymian? Zresztą stąd do Samarobriva jest co najmniej trzy dni drogi. To za wiele. Jeśli Cezar ma mi coś do powiedzenia, sam może się tu potrudzić.

Senator Weriugodumno, starzec o rozumnym, trochę ironicznym spojrzeniu, popatrzył mi chwilę prosto w oczy.

– Tak ci, młody przyjacielu, zależy na bytności Cezara u ciebie? Miej się na baczności! Bo to wielki pan, który nie trudzi się dla byle małej uczty, na te zaś, na które się zjawia, przyprowadza ze sobą kilkadziesiąt tysięcy towarzyszy, zbrojnych w hełmy stalowe, a za pochodnie służą mu nasze wioski płonące? Słuchaj – ciągnął dalej, ujmując mą rękę w swe dłonie – słuchaj mię dobrze! Cezar jest mocno podrażniony, że zmuszono go odrabiać to, co już osądził za dokonane, a więc odbywać po raz drugi kampanię zimową w puszczach a błotach i zaroślach ciernistych krajów Eburonów, Nerwiów, Trewerów i Menapów. Wścieka się, że musi walczyć znowu z ludami, które miał już za ostatecznie pokonane, unicestwione niemal, i które niespodzianie zmartwychwstają. Żołnierze jego są też wyczerpani tą ostatnią kampanią i w dodatku na tych biedakach z północy nie zdobyli w postaci. łupów wojennych ani skórki

[11] Dzisiejsze Amiens. Samarobriva – po celtycku: „most na Sommie".

zajęczej. Cezar nie byłby od tego, aby pozwolić im dla rozrywki na złupienie jakiegoś kraju chociażby o tyle o ile zasobnego, gdzie by można znaleźć sporo złota, bydła i niewolników. A podobne zgromadzenia, jak w Samarobriva, zwołuje on przecież co roku, tylko że Paryzowie nie byli dotąd leszcze zapraszani na nie, być może dlatego, że są ludem zbyt drobnym. A może Cezar przypuszcza, że stanowimy część plemienia Senonów, co też było w istocie prawdą za czasów przodków naszych. Mniejsza o to – w tym roku nas zaprasza. Posłuchaj no teraz uważnie, co ci powiem. Tych, którzy nie udadzą się na zaproszenie do Samarobriva, będzie uważał za swych otwartych wrogów i na nich to przed innymi wypuści sforę swych psów zgłodniałych. Karnutowie i Senonowie tam nie pójdą. To ich rzecz. Naszą zaś – nie ściągnąć Rzymian na siebie.

– Zwykły system! – zawołałem. – Chodzi o to, kto uniknie pierwszego ciosu. Trzeba jednak, aby ktoś zaczął!

– Wybornie! – odpowiedział mi Weriugodumno z przekąsem. – Mówisz jak bohater! Dobrze, zaczynajmy więc. Rozpoczynajmy taniec. Na początek Paryzowie nie pokazują się w Samarobriva. Cezar tę nieobecność stwierdzi jednym rzutem oka. W danej chwili każdy oporny jego wezwaniu jest dlań już nieprzyjacielem. Ma zaś cztery legiony pod ręką, licz tylko: Fabiusza, Quintusa Cycerona, Krassusa i Treboniusza. Ze sprzymierzeńcami iberyjskimi, balearskimi, kreteńskimi, numidyjskimi i – niestety! – galijskimi w dodatku, co uczyni z pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Wszystko to w przeciągu jakich trzech dni może się zjawić u nas. Czyś gotów na przyjęcie tych gości?

– Paryzowie są mężni – odrzekłem nieco niepewnie.

– Tak, lecz będzie nas dziesięć tysięcy przeciwko pięćdziesięciu. Zważ przy tym, że między nami znajdzie się też sporo przygodnych wojowników, nie znających wcale wojennego rzemiosła: źle uzbrojonych wieśniaków, rzemieślników, oderwanych od swych pracowni, niewolników, którym dość obojętną rzeczą będzie zmienić pana. Żołnierze zaś rzymscy są wojownikami co się zowie, zahartowanymi na upały i mrozy, wprawnymi do wdrapywania się po skałach i brodzenia po błocie, wytrzymałymi w całodziennym marszu w wodzie po kolana. Zobaczysz, jak się oni zagospodarują w twej wiosce, zwłaszcza Numidowie czarnoocy i Balearowie, dla których nawet byle gwóźdź ma wartość!

– Ale... zapominasz, że nie jesteśmy bez przyjaciół – mamy ich w tych, którym ciąży jarzmo rzymskie i radziby je zrzucić.

– Wymień ich, mój młody przyjacielu!

– No, przede wszystkim ludy północy: Nerwiowie, Eburonowie, Trewerowie; następnie ludy z południa, a szczególniej ci, których mamy tak blisko: Karnuci i Senonowie...

– Dlaczegoż w takim razie nie Brytowie, Germanowie i Hyperborejczycy? Dlaczego nie Eduowie i Arwernowie?

– Mówisz mi o Hyperborejczykach! Ależ Karnuci i Senonowie są od nas wcale blisko!

– Nie bądźże tak młody! Oba te ludy, gdy tylko ujrzą na widnokręgu obłoki kurzawy, zwiastujące zbliżanie się legionów, pośpieszą wyprzeć się Akkona, twórcy rozruchu u nich, który umknie chyłkiem – i udadzą się o pomoc do swych opiekunów, Eduów, a ci, być może, poproszą Cezara o łaskę dla nich. No, a że my nie mamy protektorów, przeto Paryzowie będą musieli zapłacić za potłuczone garnki!

– Więc... co robić?.

– Zgodnie z naszą umową – nie rozdzielać losów ludzi z wyspy i ludzi z rzeki. Trzeba przy tym, aby Cezar nie zauważył w Samarobriva naszej nieobecności i nie powiedział sobie: „Aha! to są zuchy, co odrzucają moje zaprośmy; trzeba mi więc samemu zaprosić się do nich!" Nasz senat wyśle paru swych przedstawicieli, kilku naczelników z dolin dopływów Sekwany pojedzie również; bądź i ty także, gdyż nieobecność takiego, jak ty, znacznego naczelnika mogłaby zostać zauważona. Co tracisz? Zawsze wszak można widzieć wroga, posłuchać, co powie. Wcale to nie przeszkadza być w pogotowiu do przyszłej walki.

– Ach, ta „przyszła walka”! Lata całe, jak ją nam zapowiadają – i to zawsze już zaraz, na jutro.

– Zaiste, mój młody przyjacielu, mogłoby to być na jutro! Wysłuchajże mnie do końca i wybacz staremu, że ci udzieli lekcji polityki. Wiedz, że powstania Bolgów, Armorykanów lub Akwitanów są prawie bez znaczenia i nigdy Galia przez nie będzie wolna. Trzeba, żeby się poruszyło samo centrum Galii, które jest zajęte przez dwa potężne ludy, mające za swych klientów albo sprzymierzeńców wszystkie niemal ludy Celtyki. Dopóki Eduowie i Arwernowie będą cierpliwie znosili władzę naczelników oddanych Rzymowi, nie mamy po co wszczynać ruchu, chyba że chcemy haniebnie rozbić sobie nosy i w dodatku na próżno. Sam zaś widzisz, że już od pięciu lat, to znaczy odkąd Cezar ustawicznie wyniszcza Galię, ani Arwernowie, ani Eduowie nie poruszyli się wcale, ba! płacą mu punktualnie daninę.

– A gdyby się poruszyli?

– A!... wówczas byłoby co innego. Niechby chociaż jeden z tych ludów wypowiedział się za walką o niepodległość, a możemy już trąbić po dolinach, zwołując naszych. Gdyby zaś oba oświadczyły się przeciwko Rzymowi, powodzenie walki będzie zupełnie możliwe, co więcej – pewne. Eduowie są panami wszystkich dróg wodnych w centrum Galii i mają w swej klienteli lub w przymierzu ze sobą kilkanaście ludów, między innymi Karnutów, Senonów, Biturygów i wiele innych. Arwernowie zaś od wieków rozkazywali wszystkim ludom „Wysokich Ziem”, mieszkającym pomiędzy Loarą a Garonną, tym które używają monet z bogiem Ługiem i koniem bez uzdy – symbolem niepodległości. Ludzie zaś z „Niskich Ziem” – tak zwani, jakkolwiek ich płaskowzgórza wapienne są sporo wyższe niźli nasze ziemie – mają w zwyczaju zawsze iść za tamtymi. Między więc Eduów i Arwernów cała prawie Celtyka jest rozdzielona. Jeśli te dwa ludy przezwyciężając wzajemną rywalizację i odwieczną niechęć połączą się pewnego dnia ze sobą – o! wtenczas Galia stanie cała w ogniu – od Sekwany aż do Garonny przez Arwernów i od Loary do Alp przez Eduów. Wtenczas przeniesiemy wojnę aż do samejże Prowincji Rzymskiej, odrzucimy Cezara poza Alpy do Górnej Italii, skąd niedługo odwołano by go niewątpliwie do Rzymu, gdzie ma wielu nieprzyjaciół, których powstrzymuje to tylko, że ciągłe poselstwa od niego donoszą o jego świetnych zwycięstwach w Galii. Oto Pompejusz, dziś jego niby wielki przyjaciel, który usuwa mu dłoń pomocną; oto Kato, podnoszący po raz drugi swą propozycję, aby wydać zwycięzcę ludom niesłusznie napadniętym; oto wojna domowa w Rzymie; oto ogólne powstanie ludów uciśnionych przez Rzym, od Maurów Afryki do plemion azjatyckich!

Pod wpływem tych nadziei, które Lutecjanin, podobny czarownikowi ukazującemu przyszłość, rozwijał przed mym zachwyconym wzrokiem, porwałem się na nogi i począłem głośno klaskać w dłonie. Lecz stary Weriugodumno zmusił mnie, abym usiadł z powrotem, rzekł:

– Tak! Lecz ani Eduowie, ani Arwernowie nie okazują tymczasem ochoty do powstania. Na dziś więc mamy tylko do rozstrzygnięcia: udać się na zaprosiny Cezara lub też czekać go tu, zapraszającego się samemu do nas? Na co się decydujesz?

Odpowiedziałem, że muszę wprzód zasięgnąć rady swych ludzi. Sprowadziłem naprędce kilku najbliżej mieszkających naczelników, zwołałem też wszystkich wojowników z Szarej Skały, którym senator lutecki powtórzył w skróceniu to, co mi mówił, ja zaś poparłem jego zdanie. Odpowiedziano nam:

– Wolelibyśmy spotkać się z Cezarem na polu bitwy niźli na jednym z tych zebrań, gdzie wymienia się tylko próżne słowa. Lecz gadanie nie zobowiązuje do niczego, można zobaczyć i posłuchać. Jak zresztą Wenestos postanowi, niech tak będzie.

Rozdział XIV

ZEBRANIE W SAMAROBRIVA

Udaliśmy się więc w drogę do Samarobriva, *oppidum* Ambianów nad rzeką Sommą. Było nas dwudziestu naczelników z Lutecji i Rzeki Bobrów razem, każdy z małym pocztem jeźdźców. Trzeciego dnia podróży przebyliśmy most na Sommie, wjeżdżając już do miasta. Na razie mieliśmy niemało kłopotu, aby się gdzie umieścić, miasto to bowiem, nie większe od Lutecji, przepełniały już tłumy ludzi w wysokich hełmach galijskich o szczytach zębatych na kształt grzebienia. Naczelnicy wszystkich większych ludów Galii, od Eduów i Arwernów do Bellowaków i Piktów, byli tam zgromadzeni, ba! znalazło się nawet kilku przedstawicieli Armorykanów, tak niedawno i tak okrutnie zgnębionych przez Cezara. Eduowie przebiegali wciąż od jednej grupy wojowników do drugiej, schlebiając jednym, strasząc i onieśmielając drugich, powstając na Ambioryksa i jego „barbarzyńskich" wojowników, wszędzie zaś chwaląc się zaufaniem Cezara i głosząc, że jest dobry, wspaniałomyślny, niezwyciężony. Usta ich pełne były tego imienia. Całe popołudnie pierwszego dnia po naszym przybyciu i nawet część nocy minęły nam na ucztach, zastawionych dla nas wprost na ulicach i placach miasta przez starszych i naczelników Ambianów. Z braku miejsca tylko goście–naczelnicy znaleźli nocleg wewnątrz ścian *oppidum,* pospolici zaś wojownicy zmuszeni byli rozłożyć się obozem na łąkach lewego brzegu Sommy. Na wyniosłej i obszernej równinie prawego brzegu stały legiony rzymskie i tam miało się odbyć owo ogólne zgromadzenie Galów, na które byliśmy zaproszeni.

Nazajutrz rankiem udaliśmy się tam wszyscy. Duży plac, przeznaczony na zebranie, otaczały cztery legiony, które mimo wczesnej pory zdążyły już opuścić obozy i ustawić się, tworząc regularnymi liniami swych żołnierzy trzy strony czworoboku, którego czwarta strona pozostawała otwarta. Wyglądało to jak trzy długie linie żelaza, które błyszczało i połyskiwało w promieniach porannego słońca. Ach, moi przyjaciele, jakaż cisza panowała w tych szeregach! Jaki porządek! Jaka karność! Każdy z tych żołnierzy rzymskich w hełmie stalowym z klapami chroniącymi policzki i tył głowy, w zbroi z łuski żelaznej i takichże żelaznych naramiennikach i nagolennikach – mógłby być wzięty za posąg z żelaza. Każdy miał krótki miecz, zawieszony u boku, w lewej ręce niedużą kwadratową tarczę, w prawej *pilum,* czyli długą kopię, pod zbroją – tunikę z wełny brązowej barwy, dochodzącą im tylko do kolan, szyje zaś, ramiona i nogi mieli obnażone, stopy obute w sandały skórzane, przytrzymywane u kostki rzemieniami. Wszyscy jakby zgoła obojętni na to, że dają ze siebie widowisko, patrzyli jedynie na swych centurionów w zbrojach pokrytych medalami, stanowiącymi nagrody za waleczne czyny. Setnicy krążyli między szeregami, przeglądając odzież i broń, upewniając się, czy jest czysta i połyskująca, czy miecze wychodzą swobodnie z pochew; poprawiali też postawę żołnierzy, niekiedy zaś, zdejmując zawieszoną u swego boku gałąź winnej łozy, chłostali nią ich po obnażonych ramionach i nogach, a legioniści nie okazywali obrazy. Jak mię objaśniono, uderzenia łozą winną, która poświęcona jest rzymskiemu bogu Bachusowi, *vitis honorata,* nie hańbią zgoła. Nie sposób pomyśleć, że ci żołnierze przybyli tu przedzierając się przez zarośla, błota i skały, idąc pieszo dni całe z ciężkim ładunkiem na plecach. U sandałów nie brakowało im ani rzemyka, na tunikach i płaszczach, zwiniętych w kształcie szala i okręconych dokoła tornistrów z ładunkiem, nie było ani jednej plamki, ani jednej dziury. Ich broń i odzież były starannie wyczyszczone i naprawione, ciała przeszły przez łaźnię parową, ba! od niektórych zalatywała nawet woń muszkatu, werweny lub wody różanej. Cezar bowiem lubił

wytworność i utrzymywał, że ludzie dbający o swą powierzchowność wcale nie gorzej się biją od niedbalców. Zdarzali się pomiędzy tymi żołnierzami rzymskimi starzy już ludzie, którym siwe, krzaczaste brwi sterczały groźnie nad oczami, ale widziałem i całkiem młodziutkich chłopaków, bez wątpienia świeżo przybyłych z Italii. Przed frontem każdego legionu przejeżdżali konno tam i z powrotem wojownicy rzymscy wyższego stopnia: legat, który posiada godność senatora, kwestor oraz sześciu trybunów wojskowych z pierścieniami jeźdźców na palcach, z wielkimi czerwonymi pióropuszami u hełmów, w zbrojach z pozłacanej łuski metalowej i purpurowych płaszczach.

Ponad nieruchomymi szeregami żołnierzy i lasem kopii powiewały chorągwie z czerwonego sukna, należące każda do jednej kohorty, oraz wznosiły się dumnie złote orły rzymskie, jeden na legion, górujące nad chorągwiami na swych wysokich drzewcach przyozdobionych medalami, wybitymi na pamiątkę odniesionych zwycięstw, a także pękami wstęg i girlandami kwiecia. Chorągwie były wykrojone w czworokąt z wyszytymi na nich literami: S.P.Q.R., co, jak mnie objaśniono, znaczy: *Senatus populusque romanus.*

Całość była imponująca już nawet jako masa. Ale czuło się, że nie jest to zgoła masa bezwładna, łatwo bowiem było w niej zauważyć podział na osobne części: kohorty, manipule i centurie, z których każda zdawała się żyć własnym życiem; toteż legion rzymski wywarł na mnie wrażenie ogromnego i doskonale zbudowanego zwierzęcia, które było zarazem silne i zręczne, zdatne do poruszeń szybkich i najrozmaitszych. Zdawałoby się, że ci żołnierze zrzekali się zupełnie swej osobowości na rzecz ogółu, mając wspólne dla wszystkich ruchy, ba! uczucia nawet – wspólną duszę, która w jednym i tymże czasie wypełniała dziesięć tysięcy piersi. Lecz patrząc na ich swobodne ruchy w lekkim obuwiu i zbroi z ruchomych blach *w* kształcie łuski rybiej, odgadywaliśmy, że każdy żołnierz z osobna w walce sam na sam mógłby być także groźnym przeciwnikiem.

Poza liniami piechoty widniały wznoszące się nieco wyżej szeregi konnicy, a więc jeźdźcy rzymscy i iberyjscy w zbrojach połyskujących spod szerokich zielonych płaszczów z czerwonymi szlakami, Galowie – sprzymierzeńcy o skrzydlatych hełmach, ciemnolicy Afrykańczycy w białych płaszczach z kapturami, a niekiedy i z lekkimi zawojami spadającymi im na oczy. Tym strojem wojownicy afrykańscy zabawnie przypominali z dala nasze stare kobiety w czepcach. Lecz po przyjrzeniu się bliżej złudzeniu temu przeczyły ich orle nosy i brody barwy hebanu, blask czarnych oczu o kształcie migdała i suche, smagłe twarze z wyrazem dzikim i okrutnym.

Dalej nieco jeszcze widać było chaos jakichś ramion olbrzymich, wzniesionych do góry, belek, podobnych do masztów łodzi armorykańskich, taranów o głowach z brązu, osadzonych u szczytu grubych kłód drzewa, duże, ciężkie wozy na żelaznych kołach, ogromnych i błyszczących. Była to słynna artyleria Rzymian w otoczeniu wojowników biegłych w używaniu tych machin oraz całego zastępu kowali i cieśli pod rozkazami prefekta *fabrorum.*

W środku zaś placu, otoczonego w ten sposób z trzech stron przez wojsko, wznosił się sztuczny pagórek, usypany z ziemi i obłożony darniną, na którego szczyt wchodziło się po stopniach. Powiedziano mi, że to się nazywa *praetorium* albo trybunał i stąd to wodzowie rzymscy mają zwyczaj przemawiać do żołnierzy, wymierzać sprawiedliwość i roztrząsać sprawy ludów poddanych.

W ostatniej prawie chwili przed ukazaniem się Cezara kilka nowych kolumn wojowników pieszych, ubranych w proste tuniki o szerokich, podwiązanych wyżej łokci rękawach, w małych czapeczkach z czerwonego sukna i sandałach jeszcze płytszych i lżejszych niźli sandały innych żołnierzy rzymskich – krokiem lekkim i raźnym przebyło szerokość placu i zajęło pozycję na jednym ze skrzydeł. Byli to procarze – Balearowie. Całe ich uzbrojenie składało się z noża za pasem, worka kul z ołowiu lub gliny, procy w ręce i dwóch proc innych na

zmianę, uwieszonych u bioder. Następnie przemaszerowała jeszcze kolumna piechurów w białych spódnicach, słomianych kapeluszach na głowie, z kołczanami przez ramię i łukami w ręku. To znów byli łucznicy kreteńscy.

Nagle rozległa się rozgłośna fanfara muzyki, trąbki zabrzmiały przenikliwie i donośnie, litaury długie jak laski wydały dźwięki przeciągłe a ostre, przez oddział przeleciały szybkie, urywane rozkazy, centurioni żywiej zakrzątnęli się pomiędzy wojskiem, które przybrało wygląd jeszcze jednostajniejszy, tak iż żaden szczyt *pilum* nie wysuwał się nad inne, a złote orły i chorągwie podniosły się jeszcze wyżej. Z leżącego opodal obozu rzymskiego wzniósł się obłok kurzawy, w którym połyskiwały zbroje i hełmy i świeciły niby pochodnie ognistoczerwone pióropusze. Obłok ten okrążył prawe skrzydło wojsk rzymskich i znalazł się u stóp *praetorium.* Człowiek średniego wzrostu w bardzo ozdobnej zbroi, purpurowym płaszczu, z krótkim mieczem u boku, a głową obnażoną – zeskoczył z konia, lekkim krokiem wszedł po stopniach na platformę u szczytu wzniesienia i stanął przed przygotowanym tam dla imperatora krzesłem z kości słoniowej. Z orszaku jego niektórzy weszli po stopniach na to wzniesienie i stanęli w półkole dokoła niego, inni zaś pozostali konno u stóp *praetorium.*

Przyjrzałem się wtedy dokładnie Cezarowi. Spojrzenie miał orle, czoło wysokie, podbródek nieco wysunięty naprzód, a włosy rzadkie, twarz bez zarostu, bladą, z lekka pomarszczoną, czasem ściągającą się jakimś dziwnym skurczem, lecz najczęściej nieprzeniknioną i nieruchomą jak twarz posągu z marmuru. Więc ten człowiek o wątłych członkach, rękach delikatnych, twarzy starczej – to był On? On, który zwyciężał olbrzymów, obalał państwa, zdobywał najobronniejsze *oppida,* poskramiał Ren i ocean, wytępiał ludy całe! Na władczej a nieruchomej masce jego twarzy nie sposób było wyczytać żadnego uczucia, prócz chyba najdoskonalszej obojętności na cierpienia śmiertelników, jak gdyby sam był z innej gliny niźli reszta ludzi. Każdy z naszych naczelników galijskich cisnących się u stóp *praetorium,* aby lepiej widzieć i słyszeć, miał wrażenie, że te oczy przenikliwe i bystre widziały każdego z nich i wszystkich zarazem, zagłębiając się w źrenice i serca i czytając tam myśli najskrytsze. Obejrzałem się nieznacznie. Dokoła twarze poważne i skupione, spojrzenia zwrócone jak gdyby w bóstwo w marmurowe oblicze imperatora; głęboką zaś ciszę, która zaległa plac obszerny, cały zapełniony tłumem ludzi, przerywał tylko od oddechu leciuchny chrzęst zbroi na piersiach wojowników. Przed tym niedużym, wątłym człowiekiem olbrzymi Bojoryks stawał się małym, a chełpliwy Cyngetoryks skromnym. Jednym rzutem oka Cezar policzył nas i w poruszeniu gniewnym, nagłym i szybkim jak błyskawica zmarszczyło mu się czoło, zacisnęły kąty ust i – usłyszałem, jak rzekł do najbliżej stojących:

– Więc widzicie! Oni się nie stawili!

Oni – byli to Karnuci i Senonowie. Na krótki rozkaz rzucony przez Cezara poza siebie pięciu ludzi z jego otoczenia wystąpiło natychmiast naprzód. Przyklękli na jedno kolano, na drugim rozkładając karty papirusu, on zaś im dyktować począł kilka pism równocześnie. Gdy skończył, pisarze złożyli karty, zapalili wosk u pochodni przyniesionej przez żołnierza i Cezar zdjąwszy ze swego palca pierścień wycisnął nim pieczęć na każdym liście. Pierścień ten dziwnie przyciągnął mój wzrok: był złoty z dużym czerwonym pośrodku kamieniem, na tym zaś kamieniu wy rzeźbiona była jakaś postać kobieca. Ale wszystko to trwało krócej, niźli wam potrafię opisać. Wojownicy podnieśli się szybko, zasunęli pisma za zbroje i wkrótce ujrzeliśmy, że dosiedli koni i pogalopowali w różne strony. Cezar zaś postąpił ku krawędzi *praetorium i* obrzuciwszy nas, Galów, raz jeszcze przenikliwym, bystrym spojrzeniem, począł mówić:

– Dziękuję wam, żeście przybyli na me wezwanie. Szkoda, że nie widzę pomiędzy wami innych jeszcze gości, których miałem nadzieję ujrzeć także. Żałuję tego nie dla siebie, lecz dla nich.

Nurtowały go widocznie gniew i niecierpliwość, gdyż przeszedł się kilkakrotnie po wzniesieniu tam i z powrotem, następnie przystanął nagle i zwracając się do nas ciągnął dalej:

– Wielu z was, tych nawet, którzy tu jesteście, źle mnie zna. Tylu jest zainteresowanych w tym, aby mnie oczernić przed wami! Ci przedstawiają mnie jako zdobywcę chciwego podbojów, spragnionego krwi waszej. Jakież są moje podboje w ciągu tych oto sześciu lat wojny? Czy przyłączyłem jakie ziemie Celtów lub Bolgów do Prowincji Rzymskiej? Czy nie pozostawiłem każdemu z ludów Galii jego ziemi, praw, senatu i jego bóstw? Przyszedłem tu dlatego, żeście mnie zawezwali. Walczyłem ze Swebami, aby oswobodzić Sekwanów, z Helwetami – aby wybawić od strasznego najazdu Eduów, Arwernów i innych, z Bolgami, gdyż napadli Remów, z Wenetami, ponieważ uprawiali rozbójnictwo morskie, krzywdząc zwłaszcza Piktów i Santonów. Z narażeniem własnego życia i krwią mych żołnierzy ocaliłem waszą niepodległość, broniąc waszych ziem od pożądliwości hord germańskich i różnych innych koczowniczych ludów zza Renu, trzykroć wyganiając z Galii Herulów, Sykambrów, Swebów, Cherusków – tak okrutnych, że pozbywają się rannych jeńców gruchocąc im członki pod kołami swych ciężkich wozów, tak ubogich, że nawet płaszcze waszych niewolników wzbudzają ich pożądliwość! Naczelnicy Eduów, Remów, Sekwanów, zaprzeczcie, jeśli to, co mówię, nie jest prawdą!

Na te słowa w tłumie Galów rozległo się trochę wykrzykników pochlebnych, lecz odosobnionych i nieśmiałych, jak gdyby wstydzących się nieco. Cezar zaś po chwili prawił dalej:

– Opowiadano wam z pewnością o mych okrucieństwach. Względem kogóż to więc byłem okrutny? Względem Aduatyków, którzy wydając mi niby wszystką broń na mocy kapitulacji, przyjętej i zaprzysiężonej przez nich, zatrzymali najlepszą sobie w swym *oppidum* i usiłowali wybić mych żołnierzy; względem Wenetów, którzy zatrzymali moich posłów jako jeńców, popełniając tym zbrodnię karaną i przez waszych bogów; względem Ambioryksa i jego Eburonów, którzy w podstępny sposób zamordowali mi mego legata Sabinusa. Nigdy nie mściłem się z powodu wydanej mi wojny, jakkolwiek wywołano ją głupio i niesprawiedliwie. Czyż nie zebrałem i nie osadziłem znowu w ich ojczystych gniazdach resztek ludu Helwetów, doprowadzonego do wyniszczenia przez zbrodniczego awanturnika, który nimi kierował? Czy po bitwie pod Sambrą nie oszczędziłem reszty Nerwiów, których męstwo podziwiam, a z nieszczęściami współczuję? Naczelnicy Bellowaków, przypomnijcie sobie waszych starców, którzy wyciągając błagalnie ręce ku mnie przyszli mnie prosić o litość dla waszego plemienia; wasze kobiety z włosem rozwianym, niemal obłąkane z rozpaczy, które z wysokości okopów wyciągały ku nam swe dzieci? Powiedzcie, Eduowie, czym wzgardził waszym wstawiennictwem za Bellowakami, a następnie za Ambianami? Remowie! Czym odepchnął wasze pośrednictwo w sprawie Swesjonów zbuntowanych?

Na te słowa naczelnicy Eduów i Remów przyklasnęli z zapałem i zawołali:

– O tak! Byłeś ojcem dla nas, dla naszych klientów i sprzymierzeńców! Lud rzymski okazał się dla nas starszym bratem!

Słodko–fałszywy zaś, przymilający się głos druida Eduów, Dywicjaka, zabrzmiał przypochlebnie:

– Wzgardź oszczerstwami, o Cezarze! Zdepcz je swymi stopami, jak nasz bóg Lug zdeptał głowę smoka!

Cezar ciągnął dalej:

– Galowie! Starają się wam przedstawić Rzymian jako obcych, których macie obowiązek odeprzeć ze swego kraju. Dlaczego Rzymianie mieliby być bardziej obcy w Galii niźli Grecy w Massylii, niźli Germanowie nad Renem? Wiele waszych plemion krócej mieszka w Galii niźli osadnicy rzymscy w Prowincji. Mowa nasza zrozumialsza jest dla was, Galowie Celtyki, niźli język Akwitanów, Ligurów i większości Bolgów; dla was, Galowie Belgiki, niźli języki bliższych waszych sąsiadów, Eburonów i Trewerów. Niektórzy wasi fanatyczni druidowie usiłują wzywać przeciwko nam bogów waszych. Lecz my wszakże czcimy tych samych bogów, co i wy, tylko pod innymi imionami. Nie widzę nic, co by was od nas oddalało. Jak wy, mamy także senat, kapłanów, wojowników, klientelę. Wszystko się składa na to, aby nas

zbliżyć. Spójrzcie na me legiony: iluż tu żołnierzy urodzonych w Górnej Italii między braćmi waszymi, Cenomanami i Insubrami, którzy przypominają sobie jeszcze, że ich dziadowie mówili tymże, co wy, językiem. Iluż to także spośród tych wyższych, zasłużonych wojskowych, którzy mnie otaczają, urodziło się również w Galii Przedalpejskiej lub w Prowincji Rzymskiej i krew galijską mają w żyłach. W łonie samegoż nawet senatu naszego, tego zgromadzenia obywateli podobnych bogom, znajdziecie dawnych naczelników plemion celtyckich. Miasta nasze, nasze kraje, nasza armia – nigdy nie były zamknięte dla ludzi waszej rasy. Toteż przyszedłem tu do was po to tylko, aby zacieśnić węzły odwiecznej z wami przyjaźni, zaproponować wam, abyście podzielili z nami podbój świata i panowanie nad światem. Nie te już dziś czasy, gdy bramy Romy odmykały się tylko dla mieszkańców wybrzeży Tybru. Mój wuj, Mariusz, na długo przede mną widział w Romie stolicę świata i wspólną ojczyznę rodzaju ludzkiego. Idę też jego śladami, jego, który pomścił wielki najazd germański na Galię. Czyż tego nie rozumiecie? Przyszedłem po to, aby podnieść do wyższych godności waszych wojowników, bronić rolników, zapewnić bezpieczeństwo waszym kupcom, uczcić kapłanów, rzeczywiście oddanych świętemu powołaniu. Nieprawdaż, Dywicjaku, mój szlachetny i uczony przyjacielu?

I Dywicjak, aż sepleniąc z pośpiechu i chęci przypodobania się, odpowiedział:

– Nasi bogowie są to wasi bogowie i wasza ojczyzna będzie naszą!

Całe otoczenie jednak, wyjąwszy naczelników Eduów, Remów i większość naczelników Arwernów, zachowywało się chłodno. Odczuwaliśmy, że Cezar nie jest zadowolony z tej powściągliwości i milczenia. Zdaje mi się, że patrzył właśnie w stronę Paryzów, mówiąc dalej:

– A w takim razie cóż znaczą te sympatie dla Ambioryksa i jego rozbójniczych zastępów? Ta fałszywa litość nad Eburonami i Nerwiami, którzy zawzięli się na własną zgubę? Ten smutek i przygnębienie na wieść o naszych zwycięstwach – i radość, gdy kłamliwi wysłańcy donoszą o rzekomych porażkach naszych, które są niemożliwe! Ta wzgarda względem wiernych Rzymowi sprzymierzeńców naszych i sympatie ku naszym wrogom? Co znaczą ci druidowie, którzy wychodzą z lasów, aby prorokować kłamliwie przyszłe upokorzenia orłów rzymskich, te snucia się wysłańców od naczelnika do naczelnika, to sprzedawanie wszędzie bydła, a zakupywanie w tajemnicy koni i oręża, to gromadzenie zboża po *oppidach* i kryjówkach leśnych? Czego więc chcecie ode mnie? Chcecie wojny. Wypowiedzcie więc mi ją otwarcie! Idźcie połączyć się z Bolgami, którzy jutro nie będą już istnieli! Dla mnie, dla mych dzielnych żołnierzy, dla mych wiernych sprzymierzeńców będzie to tylko jedna kampania więcej. Wyobrażacie sobie, że można zwyciężać Rzymian dlatego, że jeden legat został zdradziecko zabity, że dwie lub trzy kohorty zaskoczono znienacka! Gdyby nawet, przypuśćmy, udało się wam znieść moje osiem legionów, nie zapominajcie o tym, że Rzym ma ich czterdzieści: że w razie potrzeby świat cały uzbroi się do walki z wami, od rzeki Tygrys do gór Atlasu! Rzym widział groźniejszych przeciwników niźli Ambioryks i Induciomar, a obozy ich były nie tak daleko, jak teraz, lecz w Alpach, Apeninach, ba! pod samymi murami Miasta nawet! Kędyż są oni obecnie? Czyż została zachwiana przez nich niewzruszona skała Kapitolu? Hannibal, jakkolwiek wódz w istocie genialny, został odrzucony z powrotem do Afryki, zwyciężony pod Zamą, skazany na śmierć hańbiącą. A był to przecież zgoła innego rodzaju wódz i wojownik niźli wasz Ambioryks!

Ilekroć imię Ambioryksa powracało na wargi Cezara, oczy jego zapalały się płomieniem gniewu. Zakończył tymi słowy:

– Walczyć z Rzymem jest to walczyć z bogami – i porażka wtedy jest pewna. Powiedziałem wam, com powinien był powiedzieć, i to więcej z przychylności ku wam niźli z miłości ku Rzymowi. Niechaj ci, co mają rozum, rozumieją. Ja uderzam jak piorun, Roma się mści jak bogini. Obecnie inne troski mnie odwołują, nie mam więc dziś czasu na sądzenie zatargów, określanie kontrybucji i ilości wojsk posiłkowych. Za dwa tygodnie u Paryzów na wy-

spie Lutecji wyznaczam ponownie ogólne zgromadzenie naczelników ludów galijskich. Stawcie się tam! Ujrzycie znowu me legiony, okryte chwałą kilku świeżych zwycięstw. Skończyłem!

Zamyśleni i milczący, udaliśmy się w drogę powrotną do miasta.

– Chwalisz się tak zawsze swą odwagą! – rzekł po dłuższej chwili Karmanno do Cyngetoryksa. – Mógłbyś był skoczyć na *praetorium* i zatopić Cezarowi swój miecz w przerwę, gdzie jest złączona zbroja. Od jednego zamachu bylibyśmy wolni!

– Jak to?! J e g o zabić, j e g o ? – odrzekł Cyngetoryks osłupiały.

Nie pomyślał wcale o tym. Zdawało mu się, że takiego człowieka, jak ten, nie zabija się kawałkiem żelaza, zawieszonym u boku zwykłego wojownika. Był on chyba czymś więcej niż śmiertelnym i bogowie tylko mieli nad nim władzę. Po pewnym czasie niemego zdumienia, gdy odzyskał znów władzę mowy, dodał jeszcze:

– Zabić j e g o ? Nie widziałeś jego oczu?... I dopiero wieczorem po wielu wypróżnionych czarach wina i miodu Cyngetoryks przyszedł do przekonania, iż w gruncie rzeczy nie było nic łatwiejszego jak – zabić Cezara. Jednym skokiem znaleźć się niespodzianie na mównicy, jednym ciosem zanurzyć miecz w tę pierś wąską. Że też wcześniej nie pomyślał o tym! Lecz w Lutecji znów będzie miał sposobność. I tam będzie *praetorium* dla Cezara – i tysiące widzów dla jego bohaterskiego czynu.

Bojoryks, nieco już pijany, mruczał jak niedźwiedź klnąc się, że zdusi Cezara w swych ramionach jak szczenię wilcze; Dumnak zaś proponował raczej wziąć go żywcem i przywieźć do Szarej Skały dla przykucia go tam do słupa!

Nazajutrz wcześnie obudziłem swych ludzi, by udać się w drogę powrotną. Ku naszemu wielkiemu zdumieniu spostrzegliśmy, że droga była ubita sandałami niezliczonej masy ludzi, pokryta śladami kopyt końskich oraz kół ciężkich wozów. Niezadługo dowiedzieliśmy się, że tejże nocy legiony Cezara przeszły tą drogą, kierując się ku Sekwanie. W Lutecji powiedziano nam, iż Cezar dwa razy przechodził tędy – raz w tę stronę i o dwie doby później z powrotem – i że wielkimi przemarszami kierował się obecnie ku północnemu wschodowi. W te parę dni Cezar uśmierzył Karnutów i Senonów. Jak przewidział senator lutecki Weriugodumno, Akkon umknął, powstańcy, pozbawieni przywódcy, poddali się – i Eduowie znowu pośredniczyli, prosząc o łaskę dla swych klientów. Byliśmy zdumieni taką nadzwyczajną szybkością obrotów. Jeszcześmy szli jego śladami ku południowi, gdy Cezar zwrócił się ponownie ku północy, poskramiając powstania w krajach Eburonów, Trewerów i Menapów. W kilka tygodni później przerzucił most przez Ren i po raz drugi przebył tę rzekę, szerząc grozę w lasach germańskich. Byliśmy smutni, lecz nie upadaliśmy na duchu. Niepodobna, aby bogowie nie wskazali wreszcie godziny wyzwolenia. Dwa razy ten człowiek wyzywał ocean i dwa razy Ren: bóstwa wód nie zechcą zawsze znosić takiego zuchwalstwa śmiertelnika. Za pierwszym razem morze rozproszyło jego flotę. Któż wie? Może Ren teraz zniesie jego mosty?

Rozdział XV

AMBIORYGA

Starając się o podtrzymywanie łączności pomiędzy Paryzami, pojechałem raz do jednego z naczelników z prawego brzegu Sekwany, którego wioska przylegała do doliny Haute–Borne. Towarzyszyli mi tylko Dumnak i Arwirag. Dla przebycia Sekwany mieliśmy ze sobą rodzaj małego promu: płaski statek, popychany drągami, który po przeprawieniu się przez rzekę wyciągnęliśmy na brzeg i ukryliśmy pod gałęziami rosnących tuż nad wodą wierzb. Następnie udaliśmy się do wioski owego naczelnika, gdzieśmy pozostali w gościnie dwa dni. Trzeciego dnia koło południa znaleźliśmy się znowu w pobliżu grupy wierzb, gdzieśmy ukryli prom. Ponieważ od wczesnego ranka byliśmy w drodze, zeszliśmy z koni, aby się posilić, konie zaś przywiązaliśmy do drzew. Nagle ujrzeliśmy jakiegoś obcego jeźdźca, który zwolna dążył przez polanę ku Sekwanie. Widać, że koń i jeździec byli bardzo zmęczeni i cali pokryci kurzem. Ze stroju i uzbrojenia wojownika poznaliśmy, że pochodzi z plemion Bolgów znad Mozy i Mozeli. Szczególnie nas uderzyło to, iż twarz miał zakrytą prócz przyłbicy hełmu jeszcze maską z gęstej siatki stalowej.

Tajemniczy jeździec zbliżył się do brzegu i drzewcem długiej dzidy usiłował zbadać głębokość rzeki. Woda tutaj stała wysoko i była dość bystra, co nieznajomemu nie było na rękę. Lecz po chwili wydał okrzyk radości, dojrzał bowiem ukryty pod wierzbami nasz prom. Natychmiast zeskoczył z konia, zepchnął prom na wodę, wszedł nań i wyjąwszy miecz z pochwy zabierał się do przecięcia utrzymujących go powrozów.

Wszystko to było dziełem jednej chwili. Lecz Dumnak i Arwirag z obnażonymi mieczami biegli już ku obcemu, wołając:

– Hej, co robisz, łotrze, złodzieju cudzych statków! Na ich widok cudzoziemiec wyskoczył żywo na brzeg i stanął w pogotowiu do walki. Ledwie się doń zbliżyli, drzewcem dzidy tak silnie i zręcznie zadał cios z prawej strony Dumnakowi, z lewej zaś Arwiragowi, że obaj stracili równowagę i potoczyli się do wody. Gniew mnie ogarnął. Znieważono mnie w osobach mych jeźdźców! Odwiązałem swego konia, jednym skokiem znalazłem się na siodle i popędziłem ku nieprzyjacielowi z dzidą pochyloną do ataku. Widząc, że wsiadam na koń, obcy jeździec skoczył również na swego rumaka i z dzidą jak moja pochyloną, ruszył na me spotkanie. Starliśmy się. Moja dzida ześliznęła się z jego tarczy, jego – prysnęła na mym pasie z brązu. Od tego obustronnego potężnego ciosu obaj prawieśmy się położyli na zadach końskich i nasze rumaki, mocno ściągnięte wędzidłem, przysiadły, przednimi kopytami bijąc powietrze. Lecz koń nieznajomego, niezmiernie zmęczony daleką widocznie drogą, nie mógł się już podnieść i zakręciwszy się dziwnie jakoś runął na bok. Jeździec jego zręcznie znalazł się w pozycji stojącej, mając pomiędzy rozstawionymi szeroko nogami kadłub konia. W tej niewygodnej pozycji dostał ode mnie drugi cios, tym razem mieczem, który odparował szybko, sięgając mi wzajem ramienia. Lecz ostrze jego ześliznęło się zadrasnąwszy mi tylko lekko ramię. Odpowiedziałem drugim cięciem, które on znowu odparował, i ze swej strony dosięgnął mnie znowu mieczem, który dzięki memu szybkiemu zwrotowi trafił w sprzączkę mojego pasa, nie przyczyniając mi żadnej szkody. Wówczas, rozgniewany już na dobre, wymierzyłem mu straszliwy cios przez głowę, cios, który z wszelką pewnością byłby mu roztrzaskał hełm razem z czaszką, gdyby się nogi nieznajomego nie były zaplątały jakoś w wodzach, skutkiem czego potknął się i upadł, co osłabiło znacznie siłę mego uderzenia. Zdawało się

jednak na razie, że było śmiertelne, cudzoziemiec bowiem leżał jak martwy, nie dając żadnego znaku życia. Zeszedłem z konia i przewróciwszy przeciwnika na plecy przyłożyłem mu ostrze mego miecza do gardła. W tej chwili Dumnak i Arwirag, przemoczeni i okryci błotem, wydostawali się właśnie na brzeg, czepiając się rękami krzaków. Dumnak ryczał głosem ochrypniętym już z daleka:

– Dobij go, panie! Dobij tego łotra, tego złodzieja!

Lecz miałem wstręt przemożny do zabijania człowieka, który się nie może bronić. Ograniczyłem się więc tylko do podniesienia przyłbicy i maski, kryjących twarz nieznajomego, i ku nieopisanemu memu zdumieniu ujrzałem twarz młodą, zgoła bez zarostu, o rysach tak delikatnych, jak twarzyczka dziecka. Zerwałem mu z głowy hełm. Wypadły zeń długie blond włosy, rozsypując się złotym deszczem dokoła. To była kobieta!

– Dobij go, panie! Dobij! – wołali teraz obaj moi towarzysze, ociekający wodą, czarni od błota, fantastycznie przybrani w rośliny wodne. Odwróciłem się do nich i rzekłem:

– Wiecznie chcielibyście tylko zabijać! Patrzcie, jakiego to bohaterskiego czynu dokonaliśmy właśnie na spółkę!

Moi wojownicy spojrzeli i stanęli jak wryci w ziemię, zdumieni nie mniej ode mnie. Lecz ja ponadto byłem jeszcze dziwnie wzruszony. Jakieś nie znane mi dotąd uczucie napełniało duszę. Nie wiem, może to była litość?

Arwirag z własnego popędu skoczył natychmiast z powrotem ku rzece i przyniósł stamtąd hełm pełen wody. Nie pozwoliłem, aby ktokolwiek wyręczył mnie w staraniach około mej ofiary. Prysnąłem kilku kroplami wody na twarz młodej kobiety. Ta drgnęła, półotwarła oczy i zamknęła je znowu z bolesnym westchnieniem. Żyła więc! Nie umiałem sobie wytłumaczyć radości, którą uczułem z tego powodu. Za chwilę powtórnie podniosła powieki i popatrzyła wprost na mnie błękitnymi oczami o wyrazie dumnym i słodkim zarazem. Zdawała się oczekiwać śmierci z mej ręki.

– Posłuchaj – przemówiłem do niej głosem najłagodniejszym. – Nie lękaj się nas. Nie zapytam nigdy, kim jesteś i skąd przychodzisz. Uszanujemy twą tajemnicę. Przypuszczam, iż udawałaś się na południe, ponieważ zaś i nam droga wypada w tym kierunku, przewieziemy więc cię przez rzekę na naszym statku, który chciałaś zdobyć na nas przemocą. Zaręczam ci, że nie możesz teraz mieć eskorty godniejszej zaufania, pewniejszej niźli my, twoi niedawni przeciwnicy, bo obecnie, gdyby zaszła potrzeba, gotowiśmy cię bronić wszyscy trzej z narażeniem życia. Jesteś widocznie strudzona, przy tym otrzymałaś przed chwilą ten brutalny cios w głowę, który – wierzaj – przyprawia mnie o większe cierpienia niźli ciebie. Proponuję ci więc jedynie, abyś zechciała odpocząć dni kilka w mojej wiosce, gdzie – zapewniam – będziesz otoczona wszelkimi względami należnymi gościowi. Zaufaj mi, zaklinam cię i błagam! Gdy ci siły wrócą, pójdziesz swobodnie, gdzie zechcesz i gdzie cię powołuje twoje przeznaczenie.

Mówiłem tak bez przerwy, śpiesząc się nawet trochę z niejakiej trwogi przed chwilą wzgardliwego milczenia, które by mogło nastąpić po mych słowach.

Ona zaś wyrzekła cicho:

– Dziękuję.

Po chwili, zauważywszy nieco krwi, która spływała mi z zadraśnięcia na ramieniu, dodała:

– I ty cierpisz także...

Powiedziała to po celtycku, z tym akcentem, jaki mają Bolgowie, kiedy mówią w naszym języku. Nie wiedziałem, co by rzec jeszcze, a pragnąłem mówić wciąż do niej. Zapytałem więc nieśmiało, trochę zawstydzony:

– Bardzo cię boli głowa?

I popatrzyłem na tę złotą głowę, którą moje ramię występne uderzyło z taką mocą, głowę o wspaniałych włosach, przypominających mi bogactwem i barwą włosy mej matki. Serce mi się ścisnęło na myśl, że przypadkowo jedynie ten cios nie stał się śmiertelnym. Ani kropla krwi jednak nie perliła się w tym snopie włosów falistych i złotych jak zboże. Zaprzeczyła lekkim ruchem głowy i rzekła:

– Prawie wcale.

Potem podniosła się trochę, obejrzała dokoła i ujrzawszy opodal drzewo przyciągnęła się doń na rękach i wsparła plecami o pień. Stałem bez ruchu, nie śmiąc zaofiarować jej swojej pomocy. Po chwili jednak z wielkim szacunkiem rzekłem:

– Przybywasz, jak widać, z daleka. Możeś głodna i spragniona?

Skinęła głową twierdząco. Arwirag zaraz otworzył worek z zapasami żywności, gdzie znalazło się jeszcze pieczone kurczę i kawał placka. Dumnak zaś postawił obok niej tykwę do połowy napełnioną jeszcze winem. Obaj byli pełni dobrych chęci względem nieznajomej, zapewne jednak nie tak pochłonięci całkowicie myślą o niej, jak ja, gdyż spostrzegłem, że spoglądali na tarczę słoneczną, zniżającą się już ku zachodowi. Tajemnicza podróżna jadła delikatnie i z umiarem, jakkolwiek widać było, że od dłuższego już czasu nie tykała pożywienia. Gdy zaś po posiłku podniosła tykwę do ust, zdała się być niezmiernie zdziwiona zawartym w niej napojem, postawiła ją też z powrotem na ziemię i rzekła po prostu:

– Wody!

Moi ludzie przynieśli jej zaraz z rzeki świeżej wody w hełmie. Zaspokoiwszy pragnienie podniosła się nie bez wysiłku na nogi i wsparta o pień drzewa postała chwilę. Potem spróbowała zrobić krok, lecz zaraz cofnęła się i znowu oparła plecami o drzewo. Widząc jej osłabienie, zbliżyłem się, ona zaś sama wyciągnęła rękę i położywszy mi ją na ramieniu, wsparła się na nim, mówiąc krótko i po prostu jak przedtem:

– Chodźmy!

Jej koń, który z pomocą ludzi powstał był na nogi, mimo iż posilił się tymczasem niezgorzej na polance, tak zdrożony i słaby był jednak, że nogi mu drżały, gdy go wprowadzano na prom razem z naszymi końmi. Nieznajoma nie odrzuciła mej pomocy przy wejściu na statek podziękowawszy mi cicho za nią i gdyśmy się przeprawiali, jakkolwiek po dawnemu milcząca, zdawała się już nie tak smutna, jak przed chwilą. Po wylądowaniu Dumnak oświadczył, że niepodobna powierzyć młodą kobietę jej wierzchowcowi bez obawy o jakiś wypadek. Zapytałem więc ją, czy sądzi, że mogłaby jechać konno? Odpowiedziała mi, że spróbuje. Pomogłem jej wejść na siodło mego rumaka, na którym zdawała się siedzieć mocno. Z nadmiaru ostrożności prowadziłem całą drogę jej konia za uzdę, idąc pieszo i raz po raz odwracając się, aby się upewnić, że nie stało się jej nic złego. Była mi, zdaje się, wdzięczna za troskliwość, nic wszakże nie mówiła. Wobec tego, iż ja nie dosiadłem konia, Dumnak i Arwirag szli również pieszo, prowadząc wierzchowce swoje i nieznajomej. Musieliśmy tym razem zużyć przeszło trzy godziny czasu dla przebycia niewielkiej przestrzeni dzielącej wybrzeże Sekwany od mej wioski, szczęśliwym jednak trafem nie spotkaliśmy jakoś nikogo. Jakże winszowałem sobie w duchu, że mi droga nie wypadła na Lutecję! Wyspiarze bowiem byliby natychmiast rozgłosili na wszystkie cztery wiatry to moje dziwne spotkanie w lesie. Nakazałem jak najsurowiej mym wojownikom, aby nikomu nie opowiadali o naszej przygodzie leśnej, tym zaś, którzy by ich wypytywali o naszą towarzyszkę, mieli mówić, że to jest Nehalena, krewna mej matki z kraju Aulerków, która przybyła do nas, aby szukać bezpieczniejszego schronienia. Nieznajoma, która w milczeniu, lecz uważnie słuchała moich zaleceń i rozporządzeń, zdawała się być z nich bardzo zadowolona.

Po przybyciu do Szarej Skały zaprowadziłem ją do mieszkania na piętrze, które zajmowała dawniej moja matka, i zaleciwszy ją opiece dwóch młodych i roztropnych służebnic, przeniosłem się sam do domu Dumnaka na nocleg. Tej nocy długom nie mógł zasnąć. Nazajutrz, po upływie pewnego czasu, który wydał mi się bardzo długim, posłałem zapytać mego gościa, czy zgodzi się mnie widzieć. Przyniesiono mi odpowiedź przychylną, udałem się więc do mego domu, gdzie znalazłem nieznajomą w wielkiej sali na dole, ubraną w suknie niewieście, dostarczone na jej żądanie przez jedną ze służebnych. Nosiła je z godnością i wdziękiem, włosy jej zdobiło parę świeżych bławatków, w jej uczesaniu znać było rękę zręczniejszą i bardziej umiejętną niźli ręka wieśniaczki. Gdy wszedłem, oddała mi ukłon głęboki i pozostała

w pozycji stojącej, pełnej szacunku, lecz i godności zarazem, dopóki nie poprosiłem, by usiadła. Wówczas i ona poprosiła mnie z miłym uśmiechem, abym usiadł, a następnie rzekła:

– Dzięki za twą wspaniałomyślną gościnność. Dotrzymałeś słowa. Przyjąłeś mnie pod dach swego domu, do mieszkania twej matki, nie pytając mnie, kim jestem, skąd przychodzę i dokąd dążę. Otóż powiem ci to sama. Jeśli jesteś niewolnikiem Rzymian, jak tylu innych, to gdy ci wymienię imię mego ojca, będziesz miał dobrą sposobność, aby zaskarbić sobie ich łaski wydając mnie w ich ręce. Jeśli zaś tylko – również jak tylu innych – obawiasz się ich, to by nie ściągnąć gniewu Cezara na dom, który mnie przygarnął, wyjadę od ciebie zaraz dziś w nocy; pokażesz mi jeno najkrutszą drogę do kraju Karnutów, gdzie jest święty *nemedh*[12] ich druidów.

– Znieważasz mnie! – odrzekłem, głęboko rozżalony jej słowami. – Nie jestem niczyim niewolnikiem, ani też tchórzem!

– Byłam tego pewna! – odparła znów z uśmiechem.– Widziałam cię wszak wczoraj przy robocie. Gdybyś mnie znał, wiedziałbyś, że jest to niemałą chlubą obalić mnie na ziemię, chociażby nawet wyczerpaną trudami dalekiej podróży. Dłonie moje, są mniej przyzwyczajone do wrzeciona niźli do miecza i dzidy. Strzaskały one już niejeden hełm rzymski i pod stopami mymi widziałam złotego orła legionów.

Przypomniałem sobie, z jaką siłą i zręcznością powaliła Dumnaka i Arwiraga, jaką okazała szybkość i pewność ręki. parując me ciosy i zadając mi je sama. W rzeczy samej, gdyby się nie była znalazła w pozycji tak dla niej niekorzystnej, wcale nie byłoby pewne jeszcze, czybym z tego pojedynku wyszedł zwycięzcą! Patrząc teraz na jej twarz o rysach i cerze tak delikatnych, jak rysy twarzyczki dziecka, na jej długie włosy, jej strój kobiecy, zapytywałem siebie w duszy, czy mi się śniło, żem z tą dziewczyną walczył na miecze. Lecz jej słowa, jej ton mowy spokojny i pewny siebie, jakiś męski, jej spojrzenie śmiałe, chociaż nie wyzywające, unaoczniły mi znowu szczegóły naszej walki na polance leśnej. Przypomniałem sobie, że wówczas przez cały czas zachowywała całkowite milczenie, widocznie nie chcąc się zdradzić ze swą płcią. Bohater–dziewica! Milczałem, pogrążony w myślach. Ona zaś po chwili ciągnęła dalej:

– Tak! Brałam udział w szturmie na obóz Sabinusa i Cotty, w oblężeniu obozu Quintusa Cycerona– we wszystkich bitwach na Sambrze, na Mozie i Mozeli, w przesmykach Ardenów. Nieraz swe dłonie zbroczyłam krwią. Być może... zapewne... to wzbudza odrazę w tobie?

W milczeniu zaprzeczyłem ruchem głowy. Jakkolwiek wyznania jej były istotnie dziwne, uczucie jednak, które ta szczególna dziewczyna wzbudzała we mnie, nie było bynajmniej odrazą, przeciwnie...

– Cóż chcesz? – mówiła dalej – w takim kraju, jak nasz, który jest wystawiony na ustawiczne napaści Rzymian i Germanów, dziewczęta nie mają czasu prząść wełny. Muszą umieć w razie potrzeby obronić się same, nie lękać się żelaza i krwi ani też tych żołnierzy rzymskich, z których każdy jest zarazem kupcem niewolników. Od dziecka uczą nas cześć i swobodę cenić wyżej nad życie. Nieraz nasze niewiasty rzucały się w odmęt walki, słowem i przykładem zagrzewając do boju zachwianych chwilowo wojowników; nieraz, gdy ich mężowie i bracia leżeli już w krwawym pyle, same poza szańcami z wozów walczyły dalej za pomocą dzid, włóczni, kamieni ciskanych z proc, psów, pochodni smolnych – a w końcu chociażby trupów swych dzieci, zduszonych własnymi rękami i służących za pociski, lecz wolnych przez to od jarzma niewoli. Mnie zwłaszcza mój ojciec, który wcale nie miał syna, wychował, jak gdybym była chłopakiem – i od niego to nauczyłam się władać mieczem i dzidą. Jak widzisz, nie jestem zgoła strojnisią z Bibrakte, Massylii czy też waszej Lutecji. Jestem córą ludu barbarzyńców!

– Oby Galia mogła liczyć więcej takich! Lecz mów dalej, gdyż nie śmiem pytać.

[12] Zakątek lasu ogrodzony dokoła i poświęcony czci bogów.

– Czy znasz imię Ambioryksa?

– Ambioryksa? Jakżebym miał nie znać! Ambioryksa, który pierwszy nam pokazał, że można zwyciężać Rzymian i zdobywać ich obronne obozy! Który pierwszy w Galii dał poznać Cezarowi uczucie wstydu i upokorzenia! I który jedyny teraz pośród gnuśnego bezwładu wszystkich plemion galijskich podtrzymuje gdzieś – nie wiem, gdzie – triumfujące sztandary galijskie oraz miecze, co drwią z najeźdźcy! Któż z Galów nie zna tego imienia i kto go nie czci? Zawołam przed ciebie wszystkich moich wojowników i niech ci powiedzą, jak na dźwięk tego imienia drżały nam u boków miecze; niech ci powiedzą, ile to razy przemierzaliśmy w myśli przestrzeń i przeszkody, które nas dzieliły od tego bohatera!

Nie mogłem usiedzieć na miejscu. Podniosłem się i począłem przechadzać się wielkimi krokami, mówiąc z zapałem, a głos mój rozlegał się donośnie po pustej sali.

– Tak – rzekła na to. – I jakże długo on czekał na was! Jak często powtarzał mi imiona Bellowaków, Swesjonów, Senonów, Karnutów, Paryzów! Lecz gdy przebyłam teraz ten wasz kraj, cały pokryty obozami rzymskimi, zrozumiałam, dlaczego oczekiwał was na próżno.

– Znasz więc Ambioryksa?

– Jestem jego jedyną córką. Imię me – Ambioryga.

Przykląkłem przed nią na jedno kolano i ująwszy kraj jej szaty pocałowałem go ze czcią najgłębszą. Ona uśmiechnęła się znów mile i rzekła:

– Wiedziałam, że nie wydasz mnie Rzymianom.

– Chociażby sto kohort rzymskich miało tu przyjść z ogniem i żelazem, nie wyjdziesz z tego domu inaczej, jak tylko z własnej woli i chęci! – odpowiedziałem jej gorąco. – Mam nadzieję, że nadejdzie dzień, gdy będę mógł odprowadzić cię do twego ojca pod osłoną dziesięciu tysięcy naszych Paryzów. Lecz pozwól, że cię zapytam: jak to się stało, że znalazłaś się tak zupełnie sama na wybrzeżu Sekwany?

– Nic prostszego. Cezar niezmiernie zaciekle toczy wojnę z mym ludem, chcąc go po prostu wytępić do szczętu. Rzymianie to rzucają się na zbrojne siły nasze całą masą, to znów rozdzielają się i grabią po naszych dolinach i wąwozach górskich, paląc nam wioski i zabijając w nich wszystko, co żyje, aż do stad włącznie, nie mówiąc już o kobietach i dzieciach. Bo żołnierz rzymski wie dobrze, że z nas nie można zrobić niewolników: jeniec eburoński zabija się w niewoli – i z tego powodu nie chcą nas już na rynkach w Italii. Na ludzi, którzy szukają bezpieczniejszego schronienia wśród błot i lasów lub w pieczarach skalnych, polują nawet z pomocą psów, karmionych krwią i surowym mięsem. Jeden mój ojciec tylko z garstką kilkudziesięciu oddanych mu jeźdźców umiał dotąd wymykać się myśliwym, mimo najrozmaitsze ich chytre podstępy. Dwadzieścia razy osaczano go jak dzikiego zwierza w ostępie leśnym i zawsze pułapka okazała się próżna. Dwadzieścia razy przynoszono jego głowę Cezarowi – i nigdy nie była to głowa Ambioryksa. Rzymianie sami są już wyczerpani tym pościgiem za nim i w ogóle wojną z nami. Cezar więc, chcąc dać odpocząć trochę swym żołnierzom, wezwał na pomoc tych rozbójników zza Renu, Germanów, których poszczuł na nas. W jednej też bitwie znalazłam się oddzielona od mego ojca i ścigana sama jak wilk. Lecz naśladowałam wilka: zwróciłam się wprost przeciwko obławie i w szalonym pędzie przebiliśmy się z tuzinem jeźdźców przez szeregi nieprzyjaciół i uszliśmy w pola. Ludzie moi i ich konie poumierali następnie kolejno z utrudzenia i głodu podczas długiego błąkania się w lasach; ostatni z mych wojowników złożył swe kości o dzień drogi stąd, tam, poza tą górą[13], na której szczycie zapala się w nocy ogień.

Jak dostałam się żywa i wolna do miejsca, gdzieś mnie ujrzał po raz pierwszy, nie wiem sama. Muszę uważać za znak szczególniejszej opieki nieba nad sobą, że w tej tak długiej drodze nie napotkałam ani razu posterunku rzymskiego lub latyńskiego szpiega, czy też Gala zdrajcy. Bogowie nie chcieli, aby Ambioryks stracił wszystko naraz: lud, ziemię i dziecko!

[13] Góra Lukotycji z ołtarzem poświęconym Belizanie.

Wybierałam drożyny na pół zarosłe, zagubione w głębi lasów, unikałam wiosek i miast, podróżowałam nocami tylko, śpiąc dniem gdzieś w gąszczu leśnym, żywiąc się leśnymi jagodami i owocami. Dążyłam ku południowemu zachodowi, kierując się podług gwiazd, gdyż spodziewałam się znaleźć schronienie czy to w świętym *nemedhu* Karnutów, czy też u dziewic poświęconych bogom, na wyspach oceanu. Sekwana przegrodziła mi drogę. Wiesz resztę. Jeśli obecność córy Ambioryksa pod twym dachem może sprowadzić nań nieszczęście, każ przeprowadzić mnie pod osłoną nocy do kraju Karnutów!

Powstałem. Ująłem jej rękę w moje obie dłonie i poprzysiągłem głośno, biorąc bogów za świadków, bronić jej do ostatniej kropli krwi. Potem powiedziałem:

– Jesteś panią tego domu. To matka moja przyjmuje cię u siebie i z wyżyn koła szczęśliwości, gdzie przez dobrowolną ofiarę z życia połączyła się ze swym małżonkiem–bohaterem, będzie czuwała nad tobą. Po cóż masz iść szukać gdzieś daleko schronienia mniej może pewnego niźli to, które ci sam los zgotował? Przy tym tu łatwiej i prędzej możesz mieć jakieś wiadomości o swym ojcu. Wkrótce – a pewien jestem, że już niezadługo – rozbrzmi wśród naszych dolin trąbka, powołująca do boju, a wtedy ujrzysz nas biorących się do oręża, aby pomścić twą krzywdę i krzywdę Galii.

Uradziliśmy, że jej imię i pochodzenie ma pozostać naszą tajemnicą i że dla mych domowników i „wiernych" będzie mą krewną po matce z kraju Aulerków, Nehaleną, która przybyła tu do nas, aby złożyć ofiarę na kopcu Eponiny, szukając zarazem w kraju Paryzów bezpieczniejszego schronienia od okropności wojennych.

Aby się córka Ambioryksa mogła czuć swobodniejsza w moim domu, kazałem postawić sobie w wiosce inny dom i tam się przeniosłem. Ona zaś, czynna widocznie z natury i, być może, chcąc się odwdzięczyć za gościnność, poczęła zaraz zajmować się u mnie gospodarstwem, jak to czyniła onego czasu moja matka. Zdawało mi się chwilami, że to droga matka moja powróciła z zaświatów, aby tchnąć znowu szczęście w naszą siedzibę! Chociaż na świecie była już jesień i dni pochmurne a krótkie, wiosna uśmiechała się do mnie spod słomianej strzechy mego domu – i pomimo iż szczerze chciałem nie być memu gościowi natrętnym, coś mnie ciągnęło teraz do naszego starego mieszkania. Często widywałem Ambiorygę z daleka, stojącą na progu w stroju naszych wieśniaczek paryskich, w którym jej było tak ładnie. Wesołym okiem spoglądała na stada zwierząt domowych, które wracały z paszy, pobrzękując uwieszonymi u szyi dzwoneczkami, lub też patrzyła na niebo, badając pogodę. Spotykałem ją także nieraz w stajniach, gdzie klepała po szyi i grzbietach nasze rumaki bojowe, przemawiając do nich pieszczotliwie; poczciwe zaś zwierzęta, czując dłoń kobiety i wojownika zarazem, radośnie rżały. Wieczorami o wczesnym zmierzchu jesiennym lubiła siadywać na ławie kamiennej przed domem i czyścić miecze i groty dzid. W razie choroby kogoś z otoczenia lub też w razie wypadku na polowaniu umiała wybornie leczyć ziołami sobie tylko znanymi, które zbierała sama o rosie porannej na skrajach lasów. Toteż nasi wieśniacy i wojownicy mówili o niej, że to bogowie zesłali im drugą Eponinę. I przy spotkaniu witali ją głębokimi ukłonami, szepcąc z cicha słowa dobrej wróżby. Ona była łaskawa dla pierwszych, uprzejma dla drugich, zawsze jednak z godnością królowej. Nieraz o zmroku rozmawialiśmy, siedząc na owej ławie kamiennej przed naszym starym domem, o niedoli jej ludu i całej Galii, rychłej pomście, o czynach wojennych jej ojca i innych bohaterów. Pewnego razu, gdym według zwyczaju przyszedł o zmierzchu przed dom, zastałem Ambiorygę bladą, głęboko poruszoną widocznie; jej oczy, rozszerzone nad miarę i jak gdyby ciemniejsze niż zwykle, z wytężeniem śledziły coś w oddali wśród zapadającego mroku.

– Patrz, patrz! – rzekła, ujmując mą rękę w dłoń swoją – widzisz tego jeźdźca olbrzymiej postawy, okrytego skórą żubrzą, który pędzi, pędzi z szybkością strzały, a bez wytchnienia, na swym rumaku spienionym? Kilkuset innych go goni... Ach! rzeka, ogromna rzeka przegrodziła mu drogę!... Zatrzyma go ta woda zdradliwa? Wyda go? Nie, nie!... Błogosławioną niech będzie Arduina! Jeden ostatni skok – i uszedł im, gdy byli tuż za nim. Fale przyjęły go

jak swe dziecię ukochane, niosą go... niosą... o... niosą aż do drugiego brzegu. Tamci zgłupieli ze zdumienia... zatrzymali się... badają dzidami głębokość wody...

Zamilkła – i pozostała długo nieruchoma, z ręką przyciśniętą do serca, cała drżąca jeszcze z przeżytych wzruszeń, dysząca ciężko. Gdy po dłuższej chwili poczęła przychodzić do siebie, zdała się być zdziwiona widząc mnie obok siebie i czując swą rękę w mej dłoni. Potem uśmiechnęła się do mnie i rzekła:

– Ambioryks raz jeszcze uniknął grożącego mu niebezpieczeństwa ...

– Nie tutaj – dodała widząc moje zdziwienie – daleko stąd... na Mozeli o jasnych wodach... Teraz jest już bezpieczny.

Przejęty czcią, pojąłem wówczas, że miała ona w sobie coś boskiego i że jej oko widziało poprzez odległość i mrok, sięgając dalej niźli oczy innych śmiertelników. Innym razem zastałem ją we łzach.

– Czyż ty nie widzisz nic... nic? – pytała mnie blada z rozpaczą w głosie. – Oto wielki stos przed bramami jakiegoś miasta... Na tym stosie człowiek, uwiązany u słupa... Człowiek, którego strój jest strojem wojennym naczelnika galijskiego... Otaczają go dokoła legiony rzymskie, uformowane jak do boju. Tam... tam!... stoi oto jakiś człowiek łysawy – bez hełmu, w płaszczu czerwonym... Ach! Lecz widzę tam także naczelników galijskich w hełmach ze skrzydłami czaplimi lub orlimi... i wojowników Galów pod bronią. Jak im nie wstyd stać bezczynnie, gdy oto jeden z nich ma umrzeć śmiercią tak okropną? Człowiek w płaszczu czerwonym podnosi rękę... żołnierze rzymscy zbliżają się do stosu z zapalonymi pochodniami... podpalają stos. Ach! Ach!...

Ambioryga padła mi na ręce zemdlona. Długo zastanawiałem się nad tym jej dziwnym widzeniem. Przypomniałem sobie, że Cezar znowu zwoływał ogólne zgromadzenie przedstawicieli ludów galijskich dla odprawienia sądu nad Akkonem, twórcą i przywódcą powstania Karnutów i Senonów. Zebranie to miało się odbyć w Durocortorze, *oppidum* Remów. Lecz jakiż mógł być związek pomiędzy tym zebraniem a widzeniem Ambiorygi? Naczelnicy galijscy mieliby z założonymi rękami przypatrywać się śmierci haniebnej jednego ze swoich? Nie! To niemożliwe! Nie pozwoliliby na to morderstwo chociażby z narażeniem własnego życia! Osądziłem też, że niepodobna jest wierzyć marzeniom na jawie kobiety.

W kilka dni potem senatorowie Lutecji, którzy powrócili ze zgromadzenia w Durocortorze, opowiedzieli mi, co tam zaszło. Cezar groźbami zmusił Senonów do wydania Akkona i zażądał, aby go osądzili wysłańcy wszystkich ludów galijskich. Szczególniejsi, zaiste, sędziowie – zmuszeni obradować pod grozą sześciu legionów rzymskich, stojących dokoła nich w pełnej gotowości do boju! Cezar pozornie niby nie brał żadnego udziału w przebiegu sprawy, umyślnie pozostawiając całą ohydę potępienia szlachetnego Akkona jego rodakom. Uznali go winnym buntu. Czyż mogli orzec inaczej? Potępili go, lecz mieli nadzieję, że Cezar zadowoli się samym wyrokiem i nie pójdzie tak daleko, aby wymagać kaźni, a tym bardziej wykonania jej przez samychże Galów! Zażądał jednak tego właśnie.

– Akkon popełnił zbrodnię nie przeciwko Rzymowi, który bezpieczny jest od jego zamachów, lecz przeciwko pokojowi Galii – oświadczył zebranym. – Potępiliście go i do was także należy wykonać wyrok. Jakąż jest kaźń, którą dla zdrajców i buntowników przepisują obyczaje galijskie?

Galowie zadrżeli i nisko opuścili głowy. Była to ta kaźń, którą niedawno poniósł Celtil, król Arwernów; kaźń straszna i haniebna, niszcząca nie tylko życie, lecz i cielesną powłokę człowieka, gdyż pozostawia zeń tylko garść popiołu, którą następnie wiatry mają rozwiać we wszystkie strony świata. Senatorowie luteccy byli ogromnie przybici i zawstydzeni, po prostu zrozpaczeni nikczemnością wszystkich i własną.

– Tym razem Cezar przeszedł już wszelkie granice!... – mówili mi. – Uczynić nas katami bohaterów Galii! Niechże bóg Kirk tchnieniem burzy rozproszy teraz co prędzej prochy Akkona we wszystkie krańce Galii, aby powstali wszędzie mściciele! Bracia z rzeki, kujcie żela-

zo, kujcie miecze i dzidy! Cierpliwość Galii jest już u kresu. Gdy śniegi zejdą ze szczytu Góry Kamula, Galia będzie wolna albo zginiemy wszyscy!

Podzielałem ich oburzenie i gniew na najeźdźców. Równocześnie jednak nie mogłem się oprzeć podziwowi zmieszanemu z szacunkiem względem tego daru bogów, który posiadała Ambioryga. Toteż choć uczucie moje dla niej wzrastało coraz silniej, gwałtowność jego hamowała cześć głęboka. I gdym widział, że jej błękitne oczy ciemnieją i mącą się jak toń jeziora podczas burzy, święta groza ogarniała mą duszę, groza podobna tej, której doznajemy przy zbliżaniu się do świętych dębów, poświęconych bogom.

Rozdział XVI

KERETORYKS-RZYMIANIN

W dolinie nad jednym z dopływów Sekwany mieszkał pewien naczelnik paryski imieniem Keretoryks. Był to piękny mężczyzna lat około trzydziestu, dość bogaty; nieraz też przyjmował u siebie innych naczelników paryskich i sam bywał u nich na ucztach. Nie lubiono go jednak powszechnie i gdy się tylko Keretoryks zjawiał, natychmiast urywano rozmowę o przyszłej walce za niepodległość Galii. Pochodziło to stąd, że był bardzo przychylny Rzymianom i naśladował ich obyczaje. Pewnego razu wuj jego, senator eduski, wziął go ze sobą do Rzymu, gdzie Keretoryks spędził czas jakiś, co mu tak przewróciło w głowie, że po powrocie, przejęty uwielbieniem dla wszystkiego, co rzymskie, począł sam udawać Rzymianina. Zaraz kazał sobie postawić nowy dom, tak podobny do pałaców rzymskich, jak klatka na króliki do mieszkania naczelnika galijskiego. Dom ten był pokryty dachem płaskim, jak domy w Italii, lecz że takie dachy nie są odpowiednie w naszym klimacie, więc podczas ulewnych deszczów Keretoryks miewał wodę wszędzie w mieszkaniu, nawet w swej łożnicy. Przywiózł także sobie z Rzymu niewolnika, którego jedynym zajęciem było barwić i fryzować włosy swego pana oraz golić mu twarz, czyniąc z tego pięknego Gala, pozbawionego noszonych u nas ogólnie wąsów i brody, jakiegoś wymuskanego kupczyka latyńskiego. Spróbował nawet nosić strój rzymski, lecz naraziło go to na tyle drwin, że zmuszony był tego zaniechać. W zamian kazał sobie szyć swój strój galijski nie inaczej, jak tylko z materiałów przywożonych *z* Italii, które przepłacał dziesięciokrotnie. Pijał tylko wina italskie, mawiając, że nasza sikera, cydr i miody dobre są tylko do mycia nóg koniom. Nasze uczty, na których rozrywa się mięso rękami i zębami, wzbudzały w nim niesmak. Nieraz też, zwłaszcza gdy był nieco podniecony winem, upokarzał nas opisując uczty rzymskie, gdzie się jada w wieńcach różanych, w pozycji leżącej, na wspaniałych łożach; gdzie się stoły pokrywa misami złotymi i srebrnymi, a kryształami cienkimi jak łupina cebuli, potrawy zaś do tego stopnia bywają wymyślne, że czasami nie można nawet zrozumieć wcale, z czego właściwie są zrobione.

Wówczas Cyngetoryks wołał doń z drugiego końca stołu:

– Powiedzże nam jeszcze i to, co czynią twoi przyjaciele Rzymianie, gdy już nie mogą jeść więcej, a chcieliby opychać się jeszcze.

I Keretoryks bez cienia wstydu, nie poznając się wcale na szyderstwie Cyngetoryksa, opowiadał spokojnie o tym ohydnym zwyczaju wywoływania sztucznie wymiotów przez łaskotanie piórem w gardle – po to, aby mieć następnie przyjemność napełnienia żołądka na nowo. Bo w Rzymianach podobało mu się wszystko, więc i ten wstrętny zwyczaj nawet wy-

dawał mu się cechą zamożności i dobrego smaku. Opisywał także to miasto olbrzymie i wspaniałe, jego szerokie ulice, wymoszczone wielkimi płaskimi kamieniami, jego świątynie i pałace z marmuru o całych alejach kolumn i fontannach zdobnych rzeźbą, jego wodociągi, które dostarczają wody do miasta ze źródeł odległych, podziemia tworzące prawie drugie miasto, ogrody z wodotryskami, gdzie ścieżki na każdym ich zakręcie lub skrzyżowaniu ozdabiają posągi z brązu lub marmuru.

– Ale najwięcej tam jest zapewne posągów Merkurego – złodzieja! – przerywał mu złośliwie Cyngetoryks. – To z pewnością musi być ich najwyższe bóstwo!

Lecz mimo iż nas gniewał, nie mogliśmy się oprzeć ciekawości, aby go nie słuchać, tyle bowiem niezwykłych dla nas rzeczy miał do opowiedzenia. Na przykład o tym niezmiernym majestacie senatu rzymskiego, przed którym królowie azjatyccy w złotych tiarach na głowach padali na twarz w pokorze; o tłumach ludu zapełniających rynek rzymski, *Forum,* burzliwą, gwarną falą, która uspokajała się jednak, jak gdyby oczarowana, gdy tylko jakiś znakomity mówca występował, siłą swej wymowy zmuszając całą tę masę ludzi do uwagi, łez lub gniewu i oburzenia; o teatrach, w których aktorzy w maskach na twarzy cudnie w grze oddawali miłosne przygody bogów lub też niedole bohaterów.

– Ale to nic jeszcze! – ciągnął Keretoryks dalej, zapalając się stopniowo. – Kto nie widział rzymskich igrzysk cyrkowych, nic nie widział. Tam na falach improwizowanego morza całe floty galer toczą ze sobą walki, które zabarwiają wodę purpurą krwi; tam pokazuje się na arenie dzikie zwierzęta afrykańskie: słonie, pantery, lwy, po kilka setek sztuk naraz; tam widzi się pojedynkujących się do trzystu par gladiatorów.

– Czy tym gladiatorom odejmuje się przedtem mózg i serce?... Czemuż zamiast walczyć między sobą nie rzucą się raczej zgodnie wszyscy razem na Rzymian? Mówiłeś kiedy z tymi nieszczęśliwymi?...

– Nieraz! Naturalnie...

– A nie zdarzyło ci się, aby ci który odpowiedział w języku Galów?

Lecz Keretoryks nie dawał się zbić z tropu taką drobnostką.

– Czy myślicie – ciągnął dalej, udając, że nie słyszał ostatniego pytania – że wasi klienci i niewolnicy szanują was i słuchają? Jedźcie do Rzymu, to zobaczycie, co to znaczy mieć władzę patrona! A niewolnicy tam wcale nie są takim bydłem jak nasi; są to często ludzie tysiąc razy uczeńsi niźli nasi druidzi, wykształceni w gramatyce i poezji, biegli w tajnikach medycyny i magii, umiejętni w sztuce śpiewu oraz muzyki na różnych instrumentach, z których potrafią wydobywać czarodziejskie dźwięki. I tacy ludzie są posłuszni na skinienie swego patrona jak koboldy w niewoli u czarownika! Patron najczęściej nie raczy nawet odzywać się do nich, tylko lekkim gwizdnięciem, klaśnięciem w palce czy ruchem brwi wyraża im swą wolę, ich powinnością zaś jest po prostu zgadywać jego życzenia. Oto jak chciałbym, aby mi służono! Na krnąbrnych zaś mają straszne kary: rózgi, widły, piętnowanie rozpalonym żelazem, przybijanie członków do krzyża, wreszcie rzucanie w sadzawki na pożarcie rybom. Najwyborniejszego bowiem smaku, wiecie, są mureny, które się karmią ludzkim mięsem.

– Co za zgroza! I Rzymianie jeszcze śmią n a s zwać barbarzyńcami!

– Ech, naturalnie, żeście barbarzyńcy. Pomyślcie tylko, że możecie znajdować przyjemność w krakaniu tych starych bardów, opiewających od wieków na tę samą nutę czyny Hu-Gadarna! Ja zaś, gdy słyszę, że który z tych włóczęgów poczyna wyć pod moją bramą jak chory pies, każę go pędzić precz natychmiast na wszystkie cztery wiatry. Zupełnie co innego poeci rzymscy. Oto kto umie opiewać chwałę czynów przodków, cześć bogów, miłość, rozkosze natury! Nigdy nie zapomnę, jak rozczulił nas do łez jeden z nich opiewając śmierć wróbelka – zwykłego szarego wróbelka, oswojonego przez przyjaciółkę poety. A jak są pomysłowi i dowcipni w oddaniu wdzięków przedmiotu wybranego!

I Keretoryks rad, że zaczął swój ulubiony temat, rozpowiadał wciąż dalej i dalej, nie widząc, że się pokładamy ze śmiechu z tego jego przedmiotu wybranego i zdechłego wróbla.

– Wiecie, przyjaciele – kończył wreszcie – z tymi waszymi hałaśliwymi tłumami wojowników, nie znających żadnej karności, i wieśniaków, źle uzbrojonych, nigdy nie zdołacie zwalczyć legionów rzymskich. Nigdy, nigdy!... Och! Nie przeszkodzi mi to wcale iść z wami, gdy trąbka powoła nas do boju. Tylko moja wyższość nad wami polega na tym, iż będę rozumiał doskonale, że robię głupstwo! Z tymi waszymi druidami, bardami, z tymi rogatymi bóstwami waszymi, nic z was nigdy nie będzie. Nieco wcześniej czy później Rama połknie was jak tyle innych ludów – i lepiej dla was byłoby, aby się to stało jak najwcześniej, gdyż wówczas moglibyście jeszcze stać się Rzymianami... W Galii całej, prócz mnie, jest jeden tylko człowiek, który widzi rzeczy jasno: to Dywicjak eduski!

Tego było już za wiele. Ze wszystkich stron zaczęto wołać, a nawet krzyczeć z gniewem:

– Nie jesteś już Galem wcale! Winien byś nazywać się nie Keretoryks, lecz *Quirytoryks* – Kwirytą jesteś, nie Paryzem!

W coraz większej mieliśmy go pogardzie i w końcu nikt nie zapraszał już go na uczty, nie chciano bowiem zdradzać przed nim tajemnic przygotowywania się do walki z Rzymem. Przy tym jego chłodna ironia mroziła, nasz zapał; był dla nas ptakiem wiecznie kraczącym złowróżebnie... Pewnego dnia zawitał jakoś do mnie. Uderzyła go piękność Ambiorygi, którą ujrzał przypadkiem. Jak się dowiedziałem później, próbował datkami wyciągnąć od moich ludzi trochę o niej wiadomości, lecz nie dowiedział się nic nad to, iż była krewną mej matki z kraju Aulerków. Niezadługo przybył znów do mnie, prosząc o pozwolenie polowania w mych lasach. Użyczyłem mu pozwolenia bez trudu. Odtąd począł często polować w pobliżu mego domu, znajdując zawsze jakiś powód, aby doń wstąpić, nawet w czasie mej nieobecności – i zobaczyć Ambiorygę. W końcu ośmielił się wyznać jej swe uczucia – i to stylem tak kunsztownym, jak styl drogich jego sercu poetów rzymskich.

– Kim jesteś, o młoda dziewico? – mówił czułym głosem, przerywając perorę głębokimi westchnieniami.

– Czyż śmiertelną istotą? Czy boginią, ukrywającą się pod postacią śmiertelniczki? Ani Diana, gdy się ukazała Endymionowi, ani Wenus, gdy Anchizowi raczyła się objawić...

– Ale ty kim jesteś? – przerwała mu ona dość sucho. – Prawym Galem czy niewolnikiem Rzymian? A zresztą – czego chcesz ode mnie?

– Moje zamiary czyste są, niby światło dnia – wybąkał mocno zmieszany takim przyjęciem. I zmieniając natychmiast swój zamysł i ton mowy, dodał pewniejszym już głosem:

– Pragnę pojąć cię za żonę!

– Ach, tak... Więc to nie małżeństwo, jak się zdaje, miałeś przed chwilą na myśli? W każdym razie posłuchaj, co ci rzekę: Mówisz do osoby, o której nie wiesz, czy jest branką Wenestosa, jego krewną, czy też narzeczoną. Jeślim branką Wenestosa, jakże się ośmielasz podnieść oczy na jego własność? Jeśli przypuszczasz, żem mu krewną, jakże możesz zwracać się do mnie z podobną propozycją, nie zapytawszy najpierw o pozwolenie głowy rodziny? Jeśli zaś mnie bierzesz za jego narzeczoną... Ale dość tego. Wiedz tylko, że ten, kto mnie zechce pojąć za żonę, będzie musiał zamiast klejnotów zaręczynowych rzucić mi pod stopy głowy wrogów Galii. A twoja głowa nazbyt mi przypomina te, których żądam! Idźże sobie!...

Nierychło dowiedziałem się o tym zajściu. Ambioryga bowiem nie opowiedziała mi o nim, nie chcąc z pewnością zaprzątać mi głowy taką drobnostką, gdyż byłem w owym czasie cały pochłonięty przyszłą wojną świętą o niepodległość Galii.

Rozdział XVII

POWSTANIE

Nadeszła zima. Cezar znów przeszedł Alpy, udając się do Rzymu, lecz poza sobą pozostawił Galię więcej niźli kiedy przytłoczoną ciężarem jego obozów wojennych, a nasz kraj Paryzów jak zwykle należał do tych, które w tym strasznym pierścieniu uwięzione były najściślej: tu on czuł właśnie tętno wzburzonego serca Galii i żelazną dłonią starał się stłumić to wzburzenie. A więc: na granicy kraju Eburonów i Trewerów rozłożyły się dwa legiony; w kraju Lingonów u źródeł Sekwany – drugie dwa; wreszcie pod Agendicum[14], o trzy przemarsze od Lutecji – sześć legionów. Nigdy jeszcze szańce rzymskich obozów i kaszteli nie wznosiły się tak wysoko, nigdy fosy otaczające je nie były tak głębokie; nigdy tyle katapult oraz innych machin do wyrzucania pocisków nie dostrzegało się spoza olbrzymich koszów szańcowych uplecionych z gałęzi wierzbowych i nigdy straże tych obozów nie były czujniejsze i surowiej nie strzegły hasła – tak dalece, że nie przepuszczały już obecnie nikogo, nawet ze zwykłych przekupni, do wnętrza. Pomimo ostrych chłodów tej zimy na szańcach obozów widzieć można było zawsze żołnierzy rzymskich, ustawicznie chodzących tam i z powrotem, ubranych teraz nieco cieplej – w spodnie wełniane, które okrywały ich nogi, oraz takież wełniane płaszcze galijskie. Ustawicznie rozbrzmiewał ich okrzyk, podawany z ust do ust: – Czuwajcie! Niekiedy przewijała się pomiędzy nimi postać centuriona z *vitis honorata* w ręku, wzniesioną nad którymś z wartowników, który zadrzemał na stanowisku.

Zaledwie śnieg upadł, gdy jego białość dziewiczą poprzecinały zaraz ciemne pasy dróg, pokryte śladami kopyt końskich; od jednego obozu do drugiego ciągle szły bowiem oddziały wojska, eskortujące jakieś ciężkie wozy, które przesyłano sobie nawzajem, to znów wychodziły stamtąd patrole lub partie wywiadowcze, to przebiegali wysłańcy z listami. Po pagórkach i skrajach lasów można było widzieć konne straże – tak białe od szronu, że wyglądały z dala jak posągi z marmuru. Między tymi konnymi strażnikami trafiali się Afrykanie w białych kapturach, o twarzach brązowych, którzy z widocznym zdumieniem spoglądali na białe płatki wirujące w powietrzu. W naszych wioskach wybuchały czasem jakieś hałasy i krzyki, odgłosy zawziętych sporów, czasem walki – to rekwizycyjne oddziały z obozów rzymskich żądały wołów, baranów, kur, koszów pełnych ziarna. Po takich hałasach następował nieraz pożar w wiosce; słupy czerwonawego dymu wzbijały się wysoko do góry i złowroga łuna pożaru, zwłaszcza w zimowe wczesne wieczory, jaśniała na znaczną odległość: był to znak, że wieśniacy galijscy nie dość szybko spełniali postawione im żądania lub też nie zrozumieli po latyńsku czy po iberyjsku, czy po numidyjsku lub po balearsku. Jak gdyby nie dość było tych dziesięciu legionów w Galii, mówiono, iż Cezar powrócił do swego kraju po to tylko, aby zebrać tam więcej ludzi i przywieść ze sobą jeszcze sto tysięcy świeżego wojska, pomiędzy które podobno ma rozdzielić następnie nasze najlepsze ziemie.

Jakkolwiek ciężki był ucisk, a groźne niebezpieczeństwo, serca nasze nie trwożyły się jednak zbytnio, czuliśmy bowiem, że wszyscy nasi wojownicy, senatorowie, wodzowie, wieśniacy, aż do ludu niewolnego włącznie – mieli w duszy to samo gorące pragnienie – raz z tym skończyć! I ślady naszych wysłańców, przebiegających ustawicznie od wioski do wioski, krzyżowały się na śniegu ze śladami również wciąż krążących patroli rzymskich. Nie odwa-

[14] Dzisiejsze Sens.

żono się tymczasem jeszcze otwarcie atakować Rzymian, lecz w zapadłych, stojących na uboczu od wielkich dróg wioskach żołnierze rzymscy nie zawsze miewali się dobrze. Wieśniacy przyjmowali ich nieraz widłami i drągami, wrzucali do studzien lub spuszczali pod przerąbany lód na rzekach. Tak wielu legionistów przestało stawiać się wieczorem do apelu, iż legaci byli zmuszeni zabronić oddalania się z obozów inaczej, jak tylko w sporej liczbie. U nas, Paryzów, nie ukrywano się już nawet przed Keretoryksem ani szpiegami rzymskimi i bardowie po wioskach i winiarniach Lutecji opiewali walki Brennusa z Rzymem, opłakiwali śmierć Akkona lub też w dowcipny a szyderczy sposób ośmieszali „łysego eleganta z Rzymu". Ba, rzemieślnicy luteccy sprzedawali nawet wyśmiewne figury Cezara o drobnych członkach i nad miarę dużej głowie, przybitego za ręce i nogi do krzyża. Lud po wioskach dawał swym psom przezwiska Cezar, Labienus i Krassus. Gdy zaś dowiedzieliśmy się, że ten wraz ze swym ojcem, triumwirem, został zamordowany gdzieś daleko od nas, w Azji, zapaliliśmy ognie ofiarne na szczycie Lukotycji i po polach Lutecji. Znienawidzono teraz Rzymian tak powszechnie i dalece, że na pomoc przeciwko nim chętnie bylibyśmy przywołali nawet Herulów i Cherusków. Co dnia prawie dochodziły nas wieści o jakichś nadprzyrodzonych zjawiskach: w gajach świętych, gdzie prawieczne dęby pękały od mrozów tej szczególnie surowej zimy, słyszano jakieś straszliwe głosy, przepowiadające zgubę Rzymianom; ołtarze z granitu, ukryte w głębokich ustroniach gąszczów leśnych, zaniedbane od dawna, znajdowano rankiem czerwone od krwi świeżej i jeszcze dymiącej. Na północy ukazał się Teutates, na zachodzie Belenus. Na skrajach lasów widziano olbrzymie postacie–widma, rozpoznawali je ci nawet, którzy tych osób za życia nie znali nigdy: byli to Dumnoryks eduski, Boduognat Nerwiów, Wirydoryks Wenellów, Adiatun Socjata i Akkon. Wszyscy oni wśród ponurego wycia wilków i krakania wron oraz hukania sów i puszczyków wołali grobowymi głosami:

– Pomścijcie nas, pomścijcie! Ratujcie z kręgów niższych dusze nasze! Ponieważ nie umieliśmy się połączyć i działać wspólnie – zginęliśmy! Pomścijcie nas! Wybawcie z ucisku dusze nasze!

Widziano i słyszano, jak w mglistych obłokach pędziły całe tabuny koni z głośnym rżeniem, jak ścierały się tam jakieś wojska napowietrzne i w świetle błyskawic można było dojrzeć przelotnie świecącą jak słońce dzidę Kamula i topór Ezusa. Samiż więc bogowie Galii burzyli się nawet przeciwko tym italskim bałwochwalcom! I zewsząd nadchodziły nam przepowiednie zwycięstwa w przyszłej walce. Kapłani z wysp widzieli w blaskach zachodu oblicze Hu-Gadarna, który wynurzał się zwolna z fal oceanu z nieprzejrzanymi zastępami swego wojska; pod granitowymi grobowcami Wenetów na wysokiej skale nad morzem rozlegał się nocami szczęk oręża, ba! nawet rżenia i parskania rumaków bojowych wojowników, spoczywających w swych mogiłach; a pewien kupiec eduski opowiadał, że w Prowincji płakały marmurowe i brązowe posągi bogów rzymskich, kapłani zaś nie mogli zatamować tych ich łez.

Wobec tej powszechnej gotowości do walki z Rzymem zapominano nawet dawnych waśni i uraz. Trewerowie płakali teraz z wściekłości, przypominając sobie, że u samego szczytu sławy opuścili Bolgów; Piktowie i Santonowie błagali Wenetów o darowanie, iż byli tak szaleni, aby dopomagać Cezarowi przeciwko swym współbraciom; a wszyscy naczelnicy galijscy, którzy byli niefortunnymi sędziami Akkona, posyłali teraz posłów do Senonów z usprawiedliwieniem i przeprosinami. Ba, nawet Eduowie i Remowie wstydzili się obecnie, że popełnili tyle nikczemności przeciwko Galii.

Kazałem zdjąć z dachu mego domu te spomiędzy zdobiących go czaszek, które były niegdyś głowami wojowników galijskich, i pochować je w ziemi z honorami. Wkrótce potem wieśniacy moi zagarnęli w lasach przyległych do Szarej Skały garstkę ludzi prawie umierających z głodu i zimna i zaledwie przykrytych resztkami odzieży. Ludzie ci ujrzawszy w moim domu Ambiorygę przede wszystkim otworzyli szeroko oczy ze zdumienia, potem zaś padli jej

do nóg i poczęli całować kraj jej szaty, przemawiając do niej w języku, którego ja i moi Paryzowie nie rozumieliśmy. Ambioryga po chwili rozmowy z nimi powiedziała do mnie:

– To są wojownicy mego ojca, którzy tak samo, jak ja niegdyś, znaleźli się tutaj, sami nie bardzo wiedząc jak, uniknąwszy cudem niemal śmierci w potyczce z Rzymianami. Weź ich do służby. Znam tych ludzi. Dla miłości mego ojca i dla mnie wiernymi ci będą do ostatniego tchnienia.

Przyjąłem ich. Z czasem poczęło ich przybywać więcej jeszcze. Toteż za radą Ambiorygi począłem co dnia prawie przechodzić po lodzie Sekwanę, aby na jej drugim brzegu oczekiwać na zbiegów z północy. Wkrótce miałem już Eburonów cały oddział, złożony z kilkudziesięciu ludzi. Odznaczali się oni wysokim wzrostem i tęgą budową ciała, nie pijali nic prócz wody, natomiast jedli jak wilki, z niepokojem też myślałem chwilami, że do wiosny nie pozostanie mi wcale baranów i bardzo mało wołów – i już z tej nawet przyczyny także śpieszno mi było jak najprędzej rozpocząć walkę. Wszyscy zresztą pragnęli tego i bylibyśmy może wzięli się do broni, lecz niestety! Galia nie miała wodza. Któż by mógł nim być? Ambioryks, tropiony przez Rzymian jak niebezpieczne zwierzę, był daleko, Dumnoryks już nie żył. Cezar wytępił najlepszych spomiędzy nas. Mieliśmy wprawdzie jeszcze kilku dzielnych i sławnych wodzów, lecz żaden z nich nie był tak dalece popularny, aby zostać wybranym przez całą Galię.

Doszło też do tego, iż my, Galowie, tak przywiązani do odrębności każdego z poszczególnych naszych krajów, tak dumni ze swej swobody i niepodległości, spragnieni byliśmy po prostu posłuszeństwa, gotowi poddać się karności bodaj surowszej jeszcze niźli u Rzymian, słuchać ślepo chociażby zbója, chociażby niewolnika, z jednym warunkiem tylko: aby poprowadził nas do zwycięstwa!... Ach! Gdybyż bogowie chcieli przyśpieszyć przyjście wybawcy, wybawcy, którego druidowie zapowiadali nam tak już od dawna! Gdyby Hu-Gadarn zechciał wrócić znowu na ziemię, chociażby na kilka tygodni!...

Pewnego dnia podczas tęgiego mrozu i zawiei śnieżnej u wrót mej wioski rozległ się dźwięk rogu, oznajmiający przybycie gościa, za chwilę zaś ujrzałem starego senatora luteckiego, Weriugodumno, całego pokrytego śniegiem, który przed progiem począł otrząsać z płaszcza. Podniosłem się pośpiesznie na jego powitanie i usadowiwszy go zaraz na najlepszym miejscu koło ogniska, podałem mu czarę wina na rozgrzewkę. Gość mój wydawał się podniecony, wzruszony i bardzo rad czemuś.

– Nic nie wiesz? – zapytał mnie. – Nowiny! Bardzo wielkie nowiny! Dość już ci się naprzykrzałem mymi radami, abyś był ostrożny. Dziś przeciwnie, przychodzę ci powiedzieć: chwila czynu jest bliska. Ba! – nadeszła!...

– Dzięki niech będą bogom! Cóż się stało?

– To, że jeśli Galia nie powstała jeszcze, to jutro będzie w ogniu. Te wszystkie ludy, które mają senaty wrogie Rzymowi, są zgodne w tym względzie; te zaś, których senaty są dla Rzymu przychylne, nie myślą teraz o niczym innym, jak o tym tylko, aby obalić swych senatorów i połączyć się z tamtymi. W Arwernii Wercyngetoryks[15], syn Celtila, walczy już z powodzeniem z partią pokoju, która ma na czele jego stryja Gobanicjona. Trzeba tylko, aby ktoś rozpoczął.

– Czemuż nie my?

– Nie. Dziś inny lud winien dać początek. Na nas przyjdzie jeszcze kolej. Trzeba, aby lud ten mieszkał nad Loarą, w środku Galii, tak aby rzucone przezeń hasło do boju dotarło do wszystkich krańców Galii równocześnie niemal. Ludem tym mogą być tylko Karnutowie. Ziemie ich sięgają ku północy aż do Sekwany, ku południowi przekraczają Loarę, przy tym mają w sąsiedztwie dwadzieścia plemion, które ich powstanie w dzisiejszej sytuacji porwie

[15] Imię to znaczy: „wielki król wojowników”.

od razu. W dodatku lud ten posiada ów sławny *nemedh* z Autricum[16] z kolegiami druidów i kapłanek, z lasami, poświęconymi Teutatesowi, *nemedh*, do którego pobożni ściągają ze wszystkich krańców Celtyki. Nie ma Gala, który by nie znał kraju Karnutów, czy to z powodu pielgrzymki do ich *nemedhu, czy* też ze spraw kupieckich. Wiesz bowiem, że Karnutowie prowadzą bardzo ożywioną wymianę produktów, posiadając taką wspaniałą bramę na południe nad Loarą, jak Genabum[17]!

– A tak, i są też zbyt bogaci, aby się narażać na niebezpieczeństwo! – zauważyłem nie bez goryczy.

– Toteż kosztowało dość trudu, aby skłonić ich do tego. Zwłaszcza ich senatorowie nie chcieli powstania, gdyż troszczą się o swe bogactwa i obawiają się doli Akkona. Pomiędzy senatorami jest tam jednak dwu dzielnych zuchów, którzy nastraszyli innych gniewem ludu, obecnie więc senat pod wpływem Kotuata i Kotonetoduna już się zgodził. Karnutowie więc dadzą hasło do boju; lecz wymagają, aby wszystkie ludy Galii zaręczyły im w sposób uroczysty, że nie opuszczą ich w niebezpieczeństwie, na które się narażają dla dobra ogółu.

– Słusznie. Każdy z nas, ludów galijskich, winien dać im swych zakładników!

– Nie, mój drogi, to na nic. To by obudziło natychmiast czujność Rzymian.

– Cóż więc w zamian?

– A oto coś bardzo prostego. Zamiast zakładników zawiezie się do *nemedhu* Karnutów znaki wojenne wszystkich ludów galijskich, a przedstawiciele ludowi złożą na nie uroczystą przysięgę. To wystarczy, aby przekonać Karnutów, że jesteśmy zdecydowani zwyciężyć lub zginąć wraz z nimi!

– Lecz Eduowie i Arwernowie? Czyżeś nie mówił mi po wielekroć, iż nie możemy rachować na powodzenie, jeśli chociaż jeden lub drugi z tych ludów nie oświadczy się za przyłączeniem do ogólnej walki o niepodległość?

– Prawda, mówiłem to. Lecz w Arwernii syn Celtila dobrze już bierze za łeb partię przyjaciół Rzymu, a u Eduów powstanie przeciwko tejże partii wybuchnie lada dzień. Wpływ Dywicjaka osłabł tam już i obecnie Eduowie chętniej słuchają tego, co prawi jego przeciwnik, Litawik.

– A więc nawet ty, tak roztropny i ostrożny, wierzysz w powodzenie naszej sprawy?!

– Tak, jeśli Wercyngetoryksowi i Litawikowi uda się wywołać w swych krajach rewolucję. Ale oni to zrobią. Wercyngetoryks – zobaczysz – bardzo prędko nawet, Litawik, być może, nieco później. Ach, mój przyjacielu!... Z Arwernami i Eduami Galia będzie wolna!... Cezar, pochłonięty intrygami partii w Rzymie, nie wiem nawet, czy będzie miał czas i możność przejść znowu Alpy. Jeśli zaś to mu się uda, znajdzie przed sobą Sewenny, wznoszące się jak mur nieprzebyty, bo w tej chwili leży tam co najmniej na sześć stóp śniegu w przejściach górskich; poza tym zaś szańcem, zamiast swych legionów zastanie Galię całą pod bronią. Gdy zapyta: gdzie są moje legiony?... pokaże mu się wysokie kopce na równinach, pokryte śniegiem, i powie: t a m... Ale, mój drogi, przy postawieniu sprawy w ten sposób nie można już liczyć na łaskę, rozumiesz?

– A więc wojna na śmierć i życie! Ach! właśnie za taką tęsknił mój ojciec, a ja jej oczekuję już dziesięć lat blisko! Zatem – w drogę do *nemedhu* Karnutów! Runiemy tam wszyscy, niby potok wzburzony!

– Nie, nie, mój młody przyjacielu, nie jak potok – nie wszyscy. Zapomniałeś o legionach z Agendicum, o trzy przemarsze stąd. Trzeba myśleć o wszystkim. Któż obroni od nich nasze miasta i wioski, kobiety i dzieci? Będziesz musiał pozostawić tu przynajmniej połowę, ba! przeważającą część swych wojowników. I to będzie już wiele, jeśli wyruszymy nad Loarę z kwiatem naszej siły zbrojnej. Pozostali zaś, dzięki pomocy, którą mamy przyobiecaną od na-

[16] Dzisiejsze Chartres.

[17] Genabum – podług jednych dzisiejsze Orleans, podług drugich – Gien.

szych najbliższych sąsiadów: Bellowaków, Atrebatów, Swesjonów i Aulerków, zdołają, przypuszczam, obronić wyspę i rzekę. Pomyśleliśmy już i o naczelniku dla nich. Wybór ten nie napotka na opór, ma być nim bowiem Kamulogen, Aulerk, prawdziwie syn Kamula, godny krewny twej matki. Znasz jego męstwo, wypróbowane w licznych walkach, w których stracił prawicę. Nie przeszkadza mu to wcale wybornie dowodzić wojskiem. Jest to pierwszorzędny strateg. Wyruszamy spokojniejsi do Autricum wiedząc, że dowództwo spoczywa w jego ręku.

– Kiedyż jedziemy?

– Nasi z Lutecji i naczelnicy z prawego brzegu, którzy pojadą do Autricum, mieli przybyć dziś wieczorem, za chwilę już chyba, do ciebie, Szara Skała leży im bowiem po drodze. Liczymy na twą gościnność w ciągu tej nocy. Jutro z rana będziemy już wszyscy w podróży – i niech Teutates ma nas w swej opiece!

Uściskałem z wylaniem starego senatora za tak dobre nowiny. Następnie, nie oznajmiając jeszcze celu wyjazdu, zapowiedziałem mym ludziom wyruszenie jutro w drogę. Lecz domyślili się łatwo, o co chodzi, i poczęli natychmiast głośnymi okrzykami wyrażać swą radość, która zresztą zmniejszyła się znacznie, gdy oświadczyłem, że zabieram ze sobą tylko połowę ogólnej liczby swych wojowników. Takież radosne okrzyki i uderzenia mieczami o tarcze poczęły niedługo rozlegać się po innych wioskach wzdłuż całej naszej doliny, zawiadamiając nas, że przywiezione mi przez Weriugodumno nowiny doszły i tam także. Wkrótce przybyli do mnie Cyngetoryks, Bojoryks i Karmanno – jeden po drugim; każdy również z połową swych wojowników. Później nadjechali naczelnicy z górnej i dolnej Sekwany, z jej prawego brzegu, oraz część senatorów i wojowników Lutecji, którzy wcale dzielnie wyglądali w hełmach. Wieczór spędziliśmy na uczcie i usnęliśmy, marząc o sławie i wolności. Nazajutrz wczesnym rankiem stanęło przed moim domem gotowych do podróży pięciuset wojowników, samych jeźdźców tylko, pieszych bowiem nie braliśmy ze sobą wcale. Przed wyjazdem poprosiłem Ambiorygę o chwilę rozmowy.

– Serce mi się krwawi – rzekłem – gdy się rozstaję z tobą... Przebacz mi śmiałość moją; lecz jeśli cześć, jaką żywię dla ciebie, powstrzymywała dotąd od ujawnienia mych uczuć, to obecnie chwila jest zbyt uroczysta, aby milczeć. Bogowie tylko wiedzą, czy zobaczymy się jeszcze. Wyjeżdżam na niebezpieczną wyprawę, a i o ciebie nie mogę być spokojny, legiony bowiem rzymskie stoją tu zbyt blisko. Uczyniłem ofiarę ze swego życia i jeśli żyw powrócę, będę się uważał za zmartwychwstałego. W chwili więc rozstania, może na zawsze, czyż nie masz mi nic do powiedzenia? Mów pierwsza, bo słów nie staje wargom moim lub też odwagi, aby je wypowiedzieć...

Na jej zazwyczaj poważnej, choć pogodnej twarzy ukazał się uśmiech filuterny.

– Zdobyłeś mnie w orężnej walce – rzekła. – Czyż nie jestem twoją branką?

– Nie, nie mów tego! Wcale nie serce zwycięzcy drży mi w piersiach. Zwyciężonym i wziętym do niewoli jestem ja. Wiem dobrze, o ile wyżej postawili cię bogowie nade mną. Jakimiż czynami wojennymi zdołam stać się godnym córy Ambioryksa? Kiedyż ośmielę się prosić, abyś raczyła przyjąć me serce w swe dłonie?

Ona zamyśliła się chwilę i następnie rzekła poważnie:

– Nie znam i nie mogę sobie wyobrazić kogoś, z kim zaślubiny napawałyby mnie większą dumą. Pokochałam cię od dawna – za twą dobroć dla mnie, za twe gorące oddanie się sprawie niepodległości Galii, za ten szlachetny zapał, ożywiający twą duszę. Mówię do ciebie otwarcie jak żołnierz do żołnierza. Lecz czyż mogę przyrzekać ci rękę nie prosząc wprzód o pozwolenie i błogosławieństwo mego ojca?

Spuściłem głowę, głęboko zasmucony.

– Nie martw się – podjęła znowu po chwili widząc me przygnębienie. – Wiem, że nie ujrzę go długo jeszcze. Może nigdy. Ponieważ nie zawsze mogę go pytać o zdanie i radę, jestem

więc przyzwyczajona kierować się w swym postępowaniu tym, czego by sobie życzył. I czy wiesz, co w tym wypadku byłby mi powiedział?

– Tak! Domyślam się – rzekłem cicho.

– Rozumiesz mnie. Nigdy by Ambioryks nie oddał mej ręki komuś, kto by nie rzucił wszystkiego na szalę, by uwolnić swój kraj od przemocy najeźdźcy. Jedź więc, gdzie cię powołuje twoja cześć wojownika – i powracaj spełniwszy swój obowiązek.

Tu jej oczy zmąciły się jak zwykle, gdy ją poruszały Jakieś widzenia, i głosem przyciszonym mówiła dalej:

– Widzę legiony rzymskie w ucieczce, zwrócone plecami do wojsk naszych; ich sztandary, zdeptane pod stopami Galów; synów Wilczycy pokąsanych przez wilki galijskie... Nic więcej... nic więcej... Niechże mnie bogowie strzegą widzieć dalej jeszcze!...

Wysiłkiem woli przywróciła spokój na twarzy i znowu pogodna prawie, ciągnęła dalej:

– Zwycięstwo jest w ręku bogów. Lecz mężny pozostaje zawsze panem swej czci i są imiona, które stały się wielkie w porażce właśnie. Wracaj więc zwycięzcą lub nie, lecz okryty chwalą, a wówczas mój ojciec zgodzi się, sądzę, żebym została twą żoną.

Ująłem ją za rękę i włożyłem jej na palec swój pierścień.

– Chcesz, żebym pamiętała, że mam być twoją? – rzekła z uśmiechem, odcinając z swych włosów jedno pasemko złote i podając mi je. – Przyrzekam ci, lecz niechże to w zamian przypomina ci o mnie!

– Dajesz mi talizman, który będzie mnie ochraniał w bitwach... Powrócę godnym ciebie – lub nie wrócę wcale!...

Pożegnaliśmy się. Wyszedłem, odprowadzony przez nią do progu domu. Dosiadłszy rumaka odwróciłem się jeszcze i wskazując na stojącą u progu Ambiorygę powiedziałem do wojowników pozostałych na miejscu i do wieśniaków, którzy zebrali się gromadnie, aby widzieć nasz odjazd:

– Powierzam wam ją i was jej powierzam. Kochajcie i czcijcie ją, jakeście kochali i czcili Eponinę. Bądźcie jej posłuszni. Gdy będzie wam dawała rozkazy, pamiętajcie, że to ja rozkazuję wam jej usty. Gdy zajdzie jakieś niebezpieczeństwo, brońcie jej do ostatniej kropli krwi w żyłach waszych!

Byłem zbyt wzruszony, aby mówić więcej, nie śmiałem nawet spojrzeć na nią raz jeszcze, gdyż obawiałem się okazać słabość niegodną męża. Dałem też zaraz ostrogę swemu wierzchowcowi i cała drużyna ruszyła za mną.

Rozdział XVIII

NEMEDH KARNUTÓW

Drugiego dnia podróży stanęliśmy już u bram Autricum. Miało się ku wieczorowi. Gdy tylko mrok zapadł, przewodnicy przeprowadzili nas tajnymi, krętymi ścieżkami przez zarośla i lasy w głąb puszczy na obszerną polanę, otoczoną dokoła olbrzymimi dębami, poświęconymi bogom. Cała ta duża przestrzeń zapełniona była tłumem ludzi, których sylwetki majaczyły niewyraźnie w mroku. Wkrótce jednak wszedł księżyc i w jego srebrzystym świetle, szczególnie jasnym na tej równinie białej od świeżo spadłego śniegu, spostrzegłem wznoszące się dużym kołem pośrodku podlany mnóstwo menhirów – ogromnych samorodnych głazów, jakby w oczekiwaniu na zgromadzenie i naradę bogów. Pośrodku koła stał wysoki ołtarz z głazów nieociosanych, na których leżał na boku duży biały byk ze związanymi nogami i spuściwszy głowę na dół porykiwał żałośnie. Dookoła ołtarza w owym kręgu menhirów stało mnóstwo druidów w długich białych szatach, bramowanych purpurą, oraz wielu bardów, którzy śpiewali jakąś pieśń o rytmie poważnym i surowym.

Na polanie wszędzie postacie wojowników w galijskich szerokich pasach kowanych z brązu, w hełmach z rozpostartymi skrzydłami orlimi, sokolimi, czaplimi lub też z rogami turów lub byków, zewsząd zaś, z jakichś tajemnych ścieżek leśnych, prowadzących ze wszystkich stron do tego świętego *nemedhu,* wynurzali się co chwila coraz to nowi przybysze cicho jak duchy, śnieg bowiem tłumił odgłos kroków. Pomimo tak znacznej ilości zebranych cisza panowała zupełna i oprócz słabego dźwięku harf, bo i bardowie przestali śpiewać także, nie było słychać żadnego głosu. W tym bladym świetle księżyca, wśród bieli śniegu, zaścielającego polanę i pokrywającego gałęzie dębów, zda się, było to zebranie duchów poległych wojowników wyszłych na naradę spod kopców, widm, które pod pierwszymi promieniami słońca znikną jak sen.

W tej ciszy skupionej rozległ się wreszcie silny męski głos Kotuata Karnuta, który w zwięzłej przemowie przypomniał nam imiona wielu wodzów naszych skazanych na śmierć przez Cezara, całe ludy galijskie wybite lub rozprzedane w niewolę i zaznaczył, że te same niebezpieczeństwa zagrażają obecnie Karnutom, którzy wystawili się na nie ulegając wezwaniu innych ludów Galii. Jego usty Karnutowie składali publicznie i uroczyście przysięgę, że będą walczyli z Rzymem na śmierć i życie, lecz oczekiwali wzajem naszych przysiąg, że nie opuścimy ich w niebezpieczeństwie i będziemy działali wspólnie z nimi, dążąc do tego samego celu, a mianowicie wyzwolenia Galii spod jarzma Rzymu. Odpowiedziała na to cała niema dotąd polana donośnymi, pełnymi gorącego zapału okrzykami, które spotęgowało jeszcze echo odbite od ścian puszczy, nieruchomo stojącej dokoła, jak gdyby zasłuchanej i zapatrzonej w to, co się dzieje:

– Dzięki i cześć wam, szlachetni Karnutowie! Cześć i dzięki! Wy się poświęcacie za wszystkich i wzajem wszyscy życie oddamy za was. Cześć wam i dzięki! Cześć i dzięki!

Przez łzy, które mi wzrok zaćmiły w tej niezapomnianej na zawsze chwili, widziałem wojowników starych nawet, zahartowanych w wielu przejściach i walkach, którzy płakali ze wzruszenia jak dzieci. Niezliczone pochodnie zajaśniały nagle w rękach druidów, czerwonawym, krwawym blaskiem oświecając ołtarz, noże błysnęły i podniosły się do góry, rozgłośny śpiew bardów a dźwięki harf wzbiły się aż pod niebiosa; wielki biały byk wydał ryk rozpaczliwy, zaszamotał się w więzach i – purpurowy potok krwi trysnął z ołtarza, plamiąc białość

śniegu i szat najbliżej stojących druidów. Na dane hasło wszystkie nasze znaki wojenne i sztandary pochyliły się dokoła skrwawionego ołtarza. Były ich setki, a na drzewcach, wyrobione najczęściej w brązie pozłacanym, wznosiły się skowronki, koguty, żurawie, orły, jastrzębie, wilki, tury, dziki, niedźwiedzie, smoki. Arwernowie i ludy ich klienteli mieli na swych znakach wojennych konia bez siodła i uzdy – symbol niepodległości, natomiast okiełznany koń Karnutów był skrzydlaty, koń zaś Związku Armorykańskiego miał głowę i hełm wojownika. Nad drzewcami znaków wojennych Akwitanów wznosiło się koło skrzydlate – symbol słońca, niektóre zaś ludy nadmorskie miały w swym znaku delfina albo fokę. Do tych świetnych godeł dołączyliśmy: ja – siedzącego bobra Paryzów z rzeki, a Weriugodumno okręt Paryzów Lutecji. Gdy znaki wojenne wszystkich ludów zostały złożone u ołtarza, najstarszy z druidów kazał raz jeszcze wszystkim chorążym zbliżać się ku sobie, zanurzać koniec miecza we krwi ofiary i następnie gromkim głosem obwieszczał nazwę plemienia, imiona wszystkich jego naczelników oraz ilość wojska, jaką ten lud mógł wystawić na wojnę świętą. Usłyszałem wówczas wymienione w ten sposób wszystkie niemal ludy zamieszkujące Galię od Sewennów aż do oceanu. Nie wyobrażałem sobie nawet, iż sprzysiężenie było tak szeroko rozgałęzione. Gdy sędziwy druid, wymieniając imiona naczelników ludu Arwernów, wygłosił imię Wercyngetoryksa, nadziei Galii – na polanie wybuchła gwałtowna burza oklasków i uderzeń rękojeści mieczów o tarcze z brązu, a okrzyki na cześć bohatera Arwernów wzniosły się tak rozgłośne, że aż wystraszone wilki ozwały się wyciem z głębi puszczy i para ogromnych orłów, zbudzonych hałasem i oszołomionych widocznie jeszcze snem, porwała się ze szczytu jakiegoś dębu u skraju lasu i bijąc skrzydłami spadła na skrwawione kamienie ołtarza. Nad każdym pochylonym sztandarem lub znakiem wojennym ów najstarszy z druidów wyciągał dłonie, wymawiając słowa błogosławieństwa i zaklęć, które dają zwycięstwo. Po czym każdy z chorążych musiał głośno powtórzyć za nim w imieniu swego ludu składaną przysięgę walki z Rzymem na śmierć i życie. Następnie kapłani gałęzią jemioły umaczaną we krwi ofiary pokropili wszystkich obecnych, gromko wygłaszając słowa straszliwych klątw na tych, którzy by złamali przysięgę:

– Niechaj będą wzbronione takim ogień i woda! Niech zdrajca będzie przeklęty na ziemi! Przeklęty w życiu przyszłym! Przeklęty w przepaści mroków! Oby Kamul wyrzucił go w bitwie z siodła! Oby kruki wydziobały mu oczy, a ciało wilki rozszarpały i pożarły! Oby Teutates zabłąkał jego duszę po drodze do kręgu szczęśliwości!

Najmężniejsi nawet ze drżeniem pochylali głowy pod grozą tych słów straszliwych. Gdy ogień, rozłożony na ołtarzu, pochłonął ofiarę aż do kości, kapłani pochodnie swe, trzymane dotąd wysoko, zanurzyli równocześnie w śnieg, który zasyczał pod ich dotknięciem, i zawołali chórem:

– Tak niech zagasną życia Rzymian!

A zgromadzeni na polanie odpowiedzieli zgodnie:

– I tak niech zgaszone będą życia zdrajców Galii!

Nazajutrz Kotuat i Kotonetodun, wodzowie Karnutów, zgromadzili nas, naczelników, raz jeszcze na placu w Autricum i oznajmili:

– Zaprzysięgliście nam wierność z ręką położoną na gardle poświęconego bogom byka. My zaś potwierdzimy swą przysięgę lepiej jeszcze, gdyż ręce nasze będą czerwone nie od krwi zwierzęcia, lecz od krwi pogan!

Po czym zakomunikowali nam, że zaraz udają się do Genabum, miasta zamieszkanego przeważnie przez Rzymian, ściślej – przez kupców latyńskich. Zapraszają nas, byśmy poszli za nimi i przekonali się, że Karnutowie dotrzymają przyrzeczenia.

Ruszyli też zaraz naprzód ze swym oddziałem wojowników, i to tak szybko, że wyprzedzili nas znacznie, zanimeśmy się zebrali do drogi. Szliśmy ich śladem całe popołudnie i całą noc następną. Gdyśmy o poranku dosięgli wybrzeża Loary, w Genabum wznosiły się już płomienie pożarów i słychać było stamtąd krzyki i wrzawę bitwy. Niebawem na falach Loary

zaczęły się ukazywać szczątki różnych rzeczy: rozbite skrzynie z towarami, połamane sprzęty, nieraz płonące jeszcze, a także trupy mężczyzn o wygolonych modą rzymską twarzach i kobiet, których suknie, wydęte powietrzem, podtrzymywały ciała na powierzchni wody. Widząc to, powiedziałem z niesmakiem do Weriugodumno, że wolałbym, aby Karnutowie dali nam próbkę swego męstwa na legionach z Agendicum niźli mordując w Genabum kobiety i bezbronnych kupców.

– Zachowaj litość dla naszych! – odparł mi stary Lutecjanin. – Przyznasz jednak, że Karnutowie tym wystąpieniem dali dowód zuchwałej odwagi, gdyż teraz, jeśli zostaniemy zwyciężeni, nie mogą już żywić ani cienia nadziei na łaskę. Wiadomo przecie, że Cezar za jedną głowę Italczyka weźmie sto głów ich zabójców i nienawiść, którą czyni taki zaszczyt Ambioryksowi, niczym będzie wobec tej, z jaką pocznie teraz prześladować Karnutów!

W tym kraju równin pomiędzy Loarą a Sekwaną już z daleka można było dostrzec łunę pożarów wśród nocy, toteż wieść o wypadkach w Genabum lotem błyskawicy rozeszła się niemal po całej Galii. Z jednej wioski do drugiej przesyłano sobie pośpiesznie posłańców, nawoływano się nawet głośno ze szczytu małych wzgórz, o ile wioski leżały dość blisko od siebie – i ciemności zimowego poranka rozbrzmiewały okrzykami:

– Wycinają już Rzymian! Do broni, Galowie!...

Moi ludzie z Szarej Skały zapewniali mnie później, że dowiedzieli się o rzezi w Genabum tego samego poranka, gdy płomienie pożarów nie zgasły jeszcze. Legiony, przerażone tym nadspodziewanym, nagłym wybuchem powstania, nie ruszyły się wcale. Przeciwnie, wodzowie ich pośpieszyli opuścić pomniejsze odosobnione posterunki i ściągnąć z okolic oddziały wysłane po żywność, aby schronić się poza szańcami obronnych obozów, gdzie każąc zamurować jedną z dwu bram, zamknęli się szczelniej jeszcze niż zwykle. Pomiędzy Galami zaś w tym czasie na ustach wszystkich było imię Wercyngetoryksa, syna szlachetnego Celtila, króla Arwernów, którego senat i większość naczelników jego narodu skazali na śmierć haniebną, ponieważ chciał połączyć Galię pod władzą jedynego wodza, dla jej ocalenia.

O samym Wercyngetoryksie opowiadano rzeczy trudne do wiary i wprost cudowne. Gdy był dzieckiem jeszcze, bogowie pokryli go obłokiem, aby osłonić go w ten sposób od wzroku zabójców jego ojca; następnie zaś sami go wychowali w głębi lasów w tych świętych zakątkach puszczy, gdzie nikt ze śmiertelnych nie może się przedostać, gdyż natychmiast zostałby rażony piorunem. Wilki służyły mu za przewodników w porosłych lasami wąwozach górskich; kruki przynosiły mu pożywienie; orły latały nad nim, gdy spał, chroniąc go szeroko rozpostartymi skrzydłami od palących promieni słońca. Teutates Arwernów, zwany przez nich Lugiem, który u nich mieszka na jednym z najwyższych szczytów Arwernii, otoczony chmurami, wśród wichrów i burz, sam nauczył go wszystkiego, co potrzeba, aby zwyciężać Rzymian, pozwalając mu przy tym niekiedy przybierać postać to sokoła, aby unikać ich pościgu, to znów lisa, aby przedostawać się niepostrzeżenie do ich obozów i przenikać ich tajemnice. Gdy nadeszła chwila wyznaczona przez losy, Wercyngetoryks ukazał się swemu ludowi. Tylko zdrajcy, dzierżący władzę w tym narodzie, nie poznali bohatera. Lud od razu rozpoznał w nim zbawcę, zapowiadanego przez druidów i święte dziewice z wyspy Sein. Zdrajcy schronili się do Gergowii, niedostępnego *oppidum* arwerneńskiego, które się wznosi na niebotycznej skale o ścianach prostopadłych prawie. Lecz przed Wercyngetoryksem bramy *oppidum* otwarły się same, góra nawet zniżyła się i nikczemnicy sami sobie wymierzyli karę, rzucając się ze szczytu skały w przepaście.

– Wszystko to są bajki! – rzekł mi Weriugodumno. – Ale w istocie lud w Arwernii zrzucił nareszcie jarzmo swego podłego senatu i syn Celtila jest obecnie panem tego kraju i wszystkich ludów, które należą do jego klienteli. To już znaczy powstanie, które rozgorzało od granic Prowincji Rzymskiej do oceanu. A przy tym Wercyngetoryks jest mężny i szlachetny, ma światłą głowę i żelazny charakter. Słowem, to wódz, jakiego nam było trzeba!

– Tak. A więc bezzwłocznie jadę z mymi ludźmi do Arwernii, aby się z nim połączyć!

– Sądzę, że stosowniej byłoby wracać nam co rychlej do domu. Zawsze zapominasz o tych dziesięciu legionach, które otaczają nas dokoła!

– Nie ośmielą się ruszyć aż do powrotu Cezara. Przecie legiony z Agendicum nie zaryzykowały nawet paru etapów drogi, aby pośpieszyć na ratunek Genabum!

– Być może. Lecz w każdym razie twój dom... ta młoda krewna, którą masz w gościnie...

– Właśnie z jej powodu nie mogę teraz wracać do domu. Nie chcę się tam pokazywać nie zwilżywszy przedtem swego miecza we krwi Rzymian. Sądzę... mam nadzieję, że powrócę, zanim Cezar złoży wam wizytę. Może uda się krajowi Paryzów uniknąć tych odwiedzin. Tymczasem zaś powierzam ci moje dobra, mych poddanych... moich gości... Powierzam ci ich nie jak sprzymierzeńcowi, ale jak staremu, wiernemu przyjacielowi. Żegnaj!...

Gdy oznajmiłem swym wojownikom, że prowadzę ich do syna Celtila, przyjęli tę wiadomość hucznymi okrzykami radości. Aby jednak wykonać ten zamiar, musiałem przede wszystkim odszukać Wergassilauna, jednego z naczelników arwerneńskich, którzy byli w *nemedhu* Karnutów, a krewnego Wercyngetoryksa. Wergassilaun przyjął mnie przed swym namiotem pod murami Genabum, stojąc przed płonącym stosem drzewa, nad którego ogniem grzał sobie ręce. Był to wysoki, barczysty mężczyzna, o dużych stopach i rękach, lecz o cerze tak białoróżowej, jak u młodej dziewczyny, i pięknych, żywych czarnych oczach pod czarną również, nieco kędzierzawą czupryną. Zwyczajem Arwernów nosił wąsy tylko. Przyjął mnie bardzo uprzejmie.

– Słyszałeś więc moje imię tam, w *nemedhu*? Tak. Masz bobra na tarczy. Jesteś synem Beboryksa i Eponiny z Aulerków... Tak, tak... otóż to właśnie. Dobrych wojowników masz ze sobą. Chcecie więc próbować wojny wśród gór naszych? Przyjmiemy cię chętnym sercem i będziesz miał u nas niejedną okazję do zdobycia sławy. Zbliżże się do ognia; jak widzisz, ognisko to ogrzewa nas na koszt pałaców rzymskich w Genabum. Moi ludzie podpalili je rachunkami Furina Cita, który niby to pilnując magazynów Cezara w Genabum, służył mu właściwie za szpiega. Wrzucono go do Loary. O jednego gada mniej. Ale jesteś ubrany nie dość ciepło na tę porę roku. Musisz sobie sprawić taką odzież, jak ta oto, którą widzisz na mnie: spodnie z grubej wełny, tunikę ze skóry baraniej i prócz tego dobry płaszcz pasterski na ramiona. Bo u nas w górach jest bardzo zimno!

W taki sposób mówił do mnie dość długo, prowadząc pozornie lekką rozmowę, widziałem jednak, że równocześnie przyglądał mi się z uwagą, choć nieznacznie, szacował mnie i sądził. Arwernowie bowiem, mimo pozorną dobroduszność i skłonność do gadatliwości, są bardzo roztropni i nawet przebiegli, nieraz wyrachowani. Mówiąc też tak dalej ze mną niby od niechcenia, wypytał mnie jak najdokładniej o wszystko, co chciał wiedzieć, o Paryzów, Meldów, Swesjonów, Senonów, Bellowaków i innych sąsiadów naszych, dowiadując się, ile by wojska mogli wystawić, ile dostarczyć koni, siana, ziarna, dowiadywał się też o wodzów naszych.

– To pięknie z twojej strony, że przychodzisz nam z pomocą – rzekł w końcu – zwłaszcza że sami możecie mieć niełatwą przeprawę z legionami Labienusa, stojącymi tak blisko od was. Lecz co prawda możesz je bić równie dobrze i z drugiej strony, od nas. Mamy zamiar zresztą żwawo poprowadzić sprawę i jeśli Cezarowi uda się postawić znowu stopę na ziemi galijskiej, to bez wątpienia będzie zmuszony natychmiast powołać do siebie swe legiony z Agendicum.

– Czy przypuszczasz, że Cezar może się teraz zjawić po tej strome Sewennów? Chybaby miał skrzydła!

– Któż wie? Wszystko być może. Może ma skrzydła. W każdym razie zamierzamy iść tam na jego spotkanie. Czas już wielki, aby przyśpieszyć decyzję Biturygów, zagrzać ludy Garonny, podnieść Eduów i Helwetów!

– Kiedy ujrzę syna Celtila?

– Wkrótce. Wyruszamy jutro o świcie. Lecz jeszcze słówko. Mój krewny, Wercyngetoryks, jest nie tylko szlachetny, lecz i dobry po prostu, serce ma gorące, z początku jednak mo-

że onieśmielać trochę. Jest on podobny do gór naszego kraju: wulkan pod śniegiem. Nie obrażaj się więc, jeśli przy pierwszej znajomości pocznie ci się wprost przypatrywać przez czas jakiś w milczeniu przenikliwymi oczami, które mają barwę i chłód stali. Bądź także przygotowany do punktualności i bezwarunkowego posłuszeństwa. To nie jest człowiek tak łatwy w obejściu, jak na przykład ja. Lecz co do reszty, nie potrzebujesz się o nic troszczyć. Ty i twoi wojownicy będziecie regularnie dostawali żołd, racje żywności dla was i paszę dla waszych koni. Bo w naszym wojsku pod władzą Wercyngetoryksa panuje jak najściślejszy porządek. Chce on zwalczyć Rzymian taktyką rzymską, rzymską karnością i ładem.

– Po to idę pod rozkazy Wercyngetoryksa, aby mu być posłusznym, a w potrzebie – umrzeć...

– Tego właśnie potrzeba. Do jutra więc!

Koniec części pierwszej

Część druga

ORŁY

PRZEDMOWA

Sporo upłynęło czasu, zanim mogłem przystąpić do dalszego ciągu opowieści. Długo z tym jakoś zwlekałem. Ileż to razy papirus wypadał mi z rąk starych, drżących pod mocą tych wspomnień – tak smutnych, a jednak pełnych chwały! Ileż to razy, zapominając o tym, żem miał pisać, całą duszą pogrążałem się w obrazach przeszłości – i to tak głęboko, że bieg czasu zdawał się zatrzymywać dla mnie! Aż dotychczas, drogie moje dzieci i wnuki, wszystko, com wam opowiadał, były to w mym życiu igraszki a radości dziecka i smutki dziecka – kwiaty wiosny i siejba wiosny. Teraz zaś mam przystąpić do opowiedzenia wam o tym żniwie straszliwym, którego byłem świadkiem naocznym i w którym sam brałem udział. Od dnia, gdy na śnieżnym zboczu gór Arwernii spotkałem syna Celtila, rozpoczyna się zaiste mój wiek męski. A nawet całe życie moje streszcza się jakby w tym jednym roku, tym jedynym roku pamiętnym[18]*, w którym przeżyłem więcej nadziei i obaw, więcej boleści i zgrozy niźli w ciągu kilkudziesięciu lat następnych. Byłem naonczas świadkiem rzeczy straszniejszych niźli nawet widok trupa mego ojca z piersią przebitą, matki mojej żywcem zstępującej do grobu, wytępienia dzielnego plemienia Wenetów: gdyż widziałem śmiertelną agonie Galii całej – ojczyzny naszej, która była i jest mi droższa ponad wszystko na świecie. Zanim jednak odtworzę na nowo w pamięci te ciężkie chwile, raz jeszcze upoję się tym nektarem niebiańskim, którym pewnego dnia – niezapomnianego dla Gala – uraczyli nas bogowie: wspomnieniem z w y c i ę s t w a !*

[18] 704 rok ery rzymskiej, 54 przed naszą erą.

Rozdział I

SYN CELTILA

Karnutowie dali tak dawno już oczekiwane hasło do powstania powszechnego. Łuny pożarów w Genabum rzucały jeszcze złowrogi odblask na chmury, gdy nazajutrz wczesnym rankiem kilka naszych oddziałów z północy z moimi pięciuset ludźmi wyruszyło ku Arwernii. Podróż zajęła nam całe siedem dni, gdyż drogi były o tej porze roku zasypane śniegami, a dni krótkie. Kiedy z równin kraju Biturygów weszliśmy do Arwernii, drogi i ścieżki stały się jeszcze trudniejsze do przebycia, poczęły bowiem piąć się pod górę, biegnąc nieraz nad brzegami przepaści, w których głębi szumiały bystre potoki lub leżały śniegami zasypane wąwozy górskie, często pod tak nawisłymi nad ścieżyną skałami, iż zdawało się, jakoby lada chwila spaść nam mogły na głowy. Pod wieczór siódmego dnia podróży przybyliśmy na coś w rodzaju równiny, równina ta jednak miała bardzo pogiętą, falistą powierzchnię, a zamykały ją dokoła pierścieniem góry wysokie. Na jednej z nich wznosiła się Gergowia, słynne z niedostępności *oppidum* Arwernów. Wergassilaun wyznaczył nam na miejsce postoju pewną wioskę, którą kazał opuścić oddziałowi piechoty arwerneńskiej. Kraj ten bowiem był cały pokryty wojskiem i z jego przejść górskich a wąwozów niemal co godzina wynurzały się wciąż nowe oddziały zbrojnych, przybywające zwłaszcza od ludów sąsiednich, szczególniej Lemowików i Kadurków, którzy na hasło do boju odpowiedzieli pierwsi. Toteż w nocy na równinie i po zboczach wzgórz dokoła połyskiwały wszędzie, niby jakieś dziwne świetliki zimowe, ognie obozowisk, gdyż wkrótce niepodobieństwem się stało pomieścić wszystkich przybyłych po wioskach. Za każdym takim oddziałem zbrojnym, wyłaniającym się z gardzieli wąwozów górskich, rozlegały się okrzyki radości, a nazwa ludu i imiona naczelników w mgnieniu oka przelatywały z ust do ust. Po niedługim czasie uprzedzono nas, że Wercyngetoryks, którego spotkaliśmy przedtem przygodnie na drodze, jadącego z kilkunastoma jeźdźcami, chce zrobić przegląd przybyłych sprzymierzeńców. Przedefilowaliśmy przed nim w możliwie najlepszym porządku, aby się przekonał o stanie naszego uzbrojenia, potem zaś naczelnicy zostali powołani przed wodza. Wówczas dopiero po raz pierwszy mogłem się przyjrzeć z bliska i dokładniej synowi Celtila. Był to człowiek młody, lat około trzydziestu, lecz jego poważny, surowy wyraz twarzy i wyniosła postawa wzbudzały szacunek i poniekąd obawę. Ze spojrzenia jego przenikliwych, lecz i dziwnie smutnych oczu o połysku stali, z tonu zwięzłych, krótkich zapytań mogliśmy od razu wyczuć dystans, na którym zamierzał nas trzymać. Widoczne było, że ten ulubieniec ludu, ubogich pasterzy i rolników arwerneńskich, wiedział o sobie, że był potomkiem starodawnego domu królewskiego; lecz i to wiedział również, że był synem bohatera, poświęconego w tak okrutny sposób intrygom możnych i ich służalczemu strachowi przed potęgą Rzymu – i stąd też zapewne pochodził cień smutku na jego twarzy i zastygły na niej wyraz surowości. Być może, miał on przeczucie, że podobny los czeka i jego także. Któż wie, może przepowiedziały mu to wyrocznie w jednej z tych głębokich pieczar Arwernii, w których głębi dają się słyszeć niekiedy głosy z państwa podziemnego? Wielu w każdym razie spomiędzy nas zauważyło, że miał on na czole tę samą fałdę tragiczną, która przecinała ongi czoło jego ojca – wyglądał też jak człowiek naznaczony pieczęcią bogów, jak ofiara skazana już, chociaż jeszcze żyjąca. Jakaś szczególniejsza, kapłańska niemal powaga i majestat królewski biły od tej postaci. Toteż jego słowa, chociaż władcze i rozka-

zujące, nie obrażały nas wcale, a to tym bardziej, że czuło się i rozumiało, iż przemawiał w ten sposób nie w swoim tylko imieniu, lecz w imieniu czegoś, co było również prawie boskie, jak sami nieśmiertelni bogowie, w imieniu matki – Galii, wspólnej ojczyzny nas wszystkich, bóstwa, które jakkolwiek podówczas w mglisty jeszcze sposób zaledwie ukazywało się naszym umysłom, lecz było już dość potężne, skoro kazało bić w rytm zgodny wszystkim sercom swych dzieci od Sewennów i Alp aż do oceanu.

Wercyngetoryks, przyjrzawszy się nam chwilę w milczeniu, zwrócił się do nas następnie z krótką przemową. Powiedział nam, że czas już dowiedzieć się, czy synowie Teutatesa pochylą barki pod rózgi i topory liktorów; czy będziemy poddani tym, którym ojcowie nasi kazali płacić sobie daninę; czy bogactwa, którymi bogowie obdarzyli Galię, żyzność jej ziem, praca rąk naszych, mają służyć po to, aby opłacać długi prokonsulów rzymskich, a kobiety nasze mają wydawać dzieci na świat, aby powiększać zastępy niewolników – czy też, przeciwnie, Galia zechce połączyć się, by wspólnymi siłami wyprzeć ze swych granic obcych najeźdźców: Rzymian na południu, a następnie Germanów na północy. Zapalając się stopniowo, ukazał nam przyszłą Galię, większą i potężniejszą jeszcze niźli Rzym, jednoczącą prócz plemion belgijskich i akwitańskich te plemiona celtyckie, które zamieszkują wyspę Brytanię, Iberię, Italię północną, ba! nawet pobrzeża Dunaju; powołującą do wolności wszystkie ludy uciemiężone przez Rzym i swym potem a krwią płacące mu tak ciężką daninę. Ta Galia, którą nam przedstawił, będzie mogła pójść znowu śladami przodków naszych, szukając aż u bram samego Rzymu odwetu za swe tysiączne krzywdy!

Słuchaliśmy go w namaszczonym skupieniu, nie śmiejąc prawie oddychać, aby nie stracić ani dźwięku ze słów jego, ani też przerwać mu zwykłymi u nas oklaskami. Wercyngetoryks zaś ciągnął dalej:

– Już teraz wszystkie prawie ludy Galii odpowiedziały na me wezwanie. Oczekuję jeszcze oddziałów Nicjobrygów, Petrokorów, ludów oceanu. Podłożymy ogień pod brzuchy leniwym Rutenom, Biturygom, Helwetom. Liczę także na was, Paryzowie, oraz na wszystkie ludy waszych okolic, co się zaś tyczy Eduów, to tam u nich już pracują przyjaciele niepodległości...

Toteż przy uczcie zwycięstwa jedno tylko miejsce pozostanie, jak się zdaje, próżne – to miejsce tych nędznych zdrajców, Remów. Pójdziemy z wojną od razu do kraju Senonów, stamtąd zaś do Prowincji Rzymskiej – i za dwa miesiące, jeśli podoba się bogom, Prowincja stanie się znowu wolną ziemią galijską. Gdy zaś śniegi poczną topnieć w przejściach górskich, przebędziemy Alpy: Hannibal Afrykański i przodkowie nasi pokazali nam drogę!

Lecz jeszcze słowo, Galowie! Rzymianie nie są mężniejsi od nas. Wszelako nie możemy inaczej zwyciężyć Rzymian niźli za pomocą surowej na wzór rzymski karności. Wyznaczeni przeze mnie instruktorzy powiadomią was o karach oczekujących wojownika niedbałego lub nieposłusznego, który by rabował w kraju sprzymierzonym, nie odpowiadał na każde wezwanie, chciał walczyć nie podług ustanowionego porządku i nawet zwyciężał bez zgody i pozwolenia swego wodza!... Ale będziemy mieli także i nagrody dla dzielnych: kto pierwszy wedrze się na szańce obozu nieprzyjacielskiego – dostanie tarczę pełną złotych monet; kto zdobędzie chorągiew kohorty rzymskiej – dwa tysiące arpentów[19] ziemi z ziem kolonistów rzymskich, a pięć tysięcy arpentów wyznaczam temu, kto przyniesie złotego orła legionu. W nagradzaniu, jak i karaniu nie będę robił różnicy pomiędzy stanami, gdyż poddaństwo Rzymowi, które zaciążyło grozą nad całą Galią, zatarło pomiędzy jej synami wszelkie różnice społeczne. A teraz – na stanowiska!

Mieliśmy wkrótce sposobność podziwiać sprawność i wyćwiczenie wojska Wercyngetoryksa. Było to jego osobiste wojsko. Wercyngetoryks bowiem był najbogatszym panem w Arwernii – tak dalece, że mógł nawet bić złotą monetę ze swym znakiem, więc spomiędzy tylko swych „wiernych", swych poddanych i klientów mógł powołać pod broń tylu ludzi, ilu

[19] Arpent – mniej więcej pięćdziesiąt jeden arów.

ich zawierał legion rzymski – i to z odpowiednim oddziałem konnicy. Nadał swemu wojsku organizację na wzór rzymski, a uzbroił je i wyćwiczył tak, że nie powstydziłby się tego doprawdy nawet słynny dziesiąty legion Cezara. Jego więc piechota, jednakowo ubrana i doskonale uzbrojona, dzieliła się na kohorty, manipule i centurie, mając nad sobą centurionów, trybunów i legatów, nadto jeszcze kwestora, którego zadaniem było wydzielać żywność i żołd; konnica zaś miała: skrzydła z prefektem, turmy, każda z chorążym, niosącym znak wojenny lub sztandar, oraz jeszcze dekurie z dziesięciu ludzi złożone, z których każda miała swego dekuriona na czele i *optio* na tyłach oddziału. To wyborowe wojsko, zwłaszcza regularna piechota Wercyngetoryksa, było przedmiotem nienasyconego podziwu i zachwytu naszych wojsk posiłkowych i co ranka tłum zbierał się na placu, gdzie legion arwerneński odbywał ćwiczenia, formując się szybko i sprawnie to w czworobok lub kolumnę do marszu, to rozwijając się w prostą a długą linię o trzech rzędach ludzi, by stawić czoło nieprzyjacielowi; to znów w trójkąt, aby łatwiej móc przeniknąć w jego szeregi; to tworząc szachownicę, czy też wreszcie rozpraszając się wkoło dla lepszego wytrzymania ataku konnicy nieprzyjacielskiej. Żołnierze tego legionu umieli nawet robić bardzo zręcznie tak zwaną „żółwią łuskę" ze swych tarcz, trzymanych jedne nad drugimi w ten sposób, że tworzyły coś w rodzaju dachówki, a to w celu wdzierania się po nich na wysokie ściany miast obronnych lub też szańce obozu. W niektórych turmach swej konnicy Wercyngetoryks wprowadził udoskonalenie zapożyczone od Germanów, którego Rzymianie nie znali zgoła. Polegało ono na tym, że każdemu konnemu dodany był wojownik pieszy, wybrany spomiędzy najlżejszych i najzwinniejszych młodych żołnierzy, którzy uwieszeni jedną ręką u grzywy konia biegli przy boku swych towarzyszy. Gdy więc konnica atakowała nieprzyjaciela, nagle u stóp jeźdźca latyńskiego, spodziewającego się jedynie skrzyżować swój miecz z mieczem jeźdźca–przeciwnika, wyrastał jakby spod ziemi żołnierz pieszy, który ciskał mu włócznię w twarz lub w piersi, albo też wślizgiwał się nieznacznie z sztyletem pod brzuch jego konia i kalecząc go obalał wroga na ziemię. Podczas zaś ruchu konnicy w obłokach kurzawy, wznoszonej przez kopyta pędzących szybko koni, piechurów tych wcale nie było widać.

Wercyngetoryks posiadał także wiedzę, jak się urządza obozy obronne, jak się je otacza fosami i szańcami z ziemi, wzmocnionymi na sposób rzymski koszami szańcowymi, splecionymi z gałęzi łozy ze sterczącymi naprzód ostrymi sękami. Umiał także wybornie zarządzać wznoszeniem ścian obronnych na nasz stary sposób galijski z kłód drzewa ułożonych w gęstą kratę, przy czym otwory pomiędzy nimi zapełniano kamieniem tłuczonym, co doskonale wytrzymywało bicie taranów rzymskich, a nawet próby podpalenia. Toteż przy jego wojsku znajdowały się całe oddziały cieśli i w ogóle rzemieślników różnego rodzaju oraz pachołków obozowych, do których należała służba przy wozach i utrzymywanie czystości w obozie. Dość znaczna liczba naczelników arwerneńskich pod wpływem i za przykładem Wercyngetoryksa przyjęła także tę jego metodę w formowaniu swych oddziałów zbrojnych. Było bowiem zwyczajem i wadą nas, Galów, że atakowaliśmy nieprzyjaciela tłumnie, jak stado, walcząc każdy za siebie, niby na polowaniu, wskutek czego każdy nasz wojownik ma wartość tylko sam przez się, zamiast dorzucić do swej wartości jeszcze znaczenie innych i w ten sposób wielekroć ją pomnożyć.

Pomiędzy naszymi wojskami posiłkowymi panowało niezmierne zaciekawienie tymi „nowościami". Wszyscy też chcieliby zaciągnąć się do legionu wodza, lecz Wercyngetoryks stanowczo odmawiał, obawiając się nie bez słuszności, że nowi przybysze wniosą w kadry jego regularnego wojska tylko nieporządek i zamieszanie. Wolał więc już, aby walczyli tak, jak do tego dotąd byli przyzwyczajeni, zachowując swą broń oraz całą tę krew gorącą, ten wspaniały impet natarcia, właściwy Galom. Zresztą i w oddziałach posiłkowych Wercyngetoryks zaprowadził lepszy porządek, zażądał bowiem, abyśmy nie walczyli bezładnie, wszystkie rodzaje zbrojnych pospołu, tak jak się przybyło z wioski. Podzielił nas na osobne oddziały stosownie do uzbrojenia, a więc osobno jeźdźcy, osobno piesi wojownicy, zbrojni w mlecze i

dzidy, oraz osobno łucznicy i procarze. Wytłumaczył nam, że każdy z tych rodzajów broni ma w bitwie odrębne przeznaczenie. Konnica winna dostarczać wiadomości wojsku, pierwsza atakować nieprzyjaciela, ścigać go w razie porażki; do piechoty należy powstrzymać natarcie wroga na końcach swych dzid; łucznicy i procarze mają krążyć dokoła przeciwnika, zasypując go gradem strzał i pocisków. Wódz nasz dzieląc wojowników w ten sposób na grupy podług ich broni nie brał zgoła w rachubę więzów klienteli czy też jakiejkolwiek bądź zależności poprzedniej i bez względu na szlachetne pochodzenie wojowników lub posiadane przez nich naszyjniki złote wyznaczał im służbowe stopnie wojenne stosownie tylko do ich uzdolnienia. Ale wówczas byliśmy gotowi na wszystkie ofiary – i niejeden naczelnik, który przyprowadził ze swego kraju duży oddział, na przykład z tysiąca ludzi, zadowalał się stopniem dziesiętnika lub komendą nad oddziałem łuczników i procarzy. Co rano naczelnicy wszystkich oddziałów wojsk regularnych oraz nieregularnych oddziałów posiłkowych musieli się stawiać do *Pen-tierna*[20] z raportami i po rozkazy dzienne, stamtąd zaś udawali się do kwestora, aby dostać od niego *tessery* albo bony na żywność dla ludzi i karm dla koni. Oprócz tego nam i naszym wojownikom wypłacano żołd.

Przy tej troskliwości o nasz dobrobyt Wercyngetoryks najlżejsze uchybienie przeciwko karności wojennej karał surowo i natychmiast, pozbawieniem żołdu, żywności, utratą stopnia lub przeniesieniem z konnicy do piechoty. Pewnego razu z przykrością zobaczyłem jednego z moich Bobrów stojącego u drzwi namiotu *Pen-tierna* boso, w tunice tylko, z łańcuchem dokoła ciała, zsiniałego i drżącego na chłodzie. Okazało się, że był zuchwały i pokazał swemu *optio* język! Gdy zachodziło ważniejsze przestępstwo, Wercyngetoryks zwoływał sąd nad winnym, a wydanie wyroku pozostawiał druidom. Wówczas kary były surowsze, począwszy od wygnania z obozu poprzez chłostę, obcięcie uszu lub dłoni aż do kary śmierci. Lecz te okrutne kary rzadko stosowano i tylko do tych, którzy bluźnili bogom, próbowali zbiec lub byli schwytani na zmowie z nieprzyjacielem. Muszę przyznać rację *Pen-tiernowi,* postrach w rzeczy samej był niezbędny, wiedziano bowiem ogólnie, że partia przeciwników Wercyngetoryksa skłoniła pewną nie znaną nam bliżej liczbę ludzi, aby weszli do jego obozu, i jakkolwiek nieznaczną może była ta garstka donosicieli i zdrajców, musieliśmy ją mieć czujnie na oku.

Rozdział II

W KRAINIE OGNIA

Wercyngetoryks pierwsze oddziały wojsk posiłkowych, doprowadzone przezeń do lepszego porządku, powierzył Lukterowi, naczelnikowi plemienia Kadurków, najdzielniejszemu z pomocniczych wodzów. Ten z wojskiem udał się do Prowincji przez kraj Nicjobrygów, gdzie król Teutomat przyłączył się doń natychmiast ze swymi wojownikami, oraz przez bogaty w bydło, konie i różne kruszce kraj Rutenów, który również dał wojowników. W miastach Prowincji: Tuluzie, Narbonnie i Biterze koloniści i kupcy latyńscy poczęli już płaszczyć się ze strachu przed swymi bałwanami z brązu lub marmuru, wzywając pomocy bogów i Cezara tak żałośnie, jak jagnięta beczące za swymi matkami. Przerażało ich najwięcej to, iż przeważają-

[20] Pen–tiern – wódz naczelny.

ca część ludności miejscowej poczynała już burzyć się, przypominając sobie, że i ona także należy do Galów! A wśród tej ludności coraz częściej rozlegały się głosy, że należałoby wygnać Rzymian.

Wercyngetoryks zaś z resztą swego wojska udał się do kraju Biturygów, obfitującego w bogate grody, w żelazo, stada owiec na równinach. Ci Biturygowie byli niegdyś jednym z najpotężniejszych ludów Galii, zwłaszcza w czasach, gdy panował nad nimi ich sławny król Ambigat. Obecnie ściśnięci pomiędzy Arwernami i Eduami, napastowani ustawicznie ze wszystkich stron w swej krainie równinnej, tak trudnej do obrony, zmuszeni byli szukać pomocy i opieki to ze strony jednych, to znów drugich i ostatecznie stali się klientami Eduów. Senat i naczelnicy tego kraju zachowywali się chwiejnie. Wielu z nich było za wojną z Rzymem; niektórzy złożyli nawet przysięgę w *nemedhu* Karnutów, istniała jednak dość silna partia przeciwna, powodowana nie tyle może przychylnością ku Rzymianom, ile raczej obawą okropności wojny, rozpętanej na ich ziemiach.

Gdy Wercyngetoryks zbliżył się do ich stolicy Avaricum, cały senat Biturygów wyszedł go powitać, ofiarując mu honorową czaszę wina.

– Spóźniacie się bardzo! – rzekł im. – I wiem, żeście posyłali prosić Eduów o pomoc przeciw nam, jak gdybyście byli napastowani przez wrogów...

– *Pen-tiernie* – odpowiedział jeden z senatorów– zechciej tylko wejść w nasze trudne położenie. Gdybyśmy się byli przyłączyli do ciebie, nie dając przynajmniej pozoru, żeśmy do tego zostali zmuszeni przemocą, Cezar wywarłby na nas za to jak najstraszliwszą pomstę. Dla swego bezpieczeństwa więc musieliśmy zażądać niby pomocy od legatów rzymskich i Eduów.

– I cóż wam Eduowie odpowiedzieli?

– Eduowie zapytali legatów, co należy uczynić, legaci zaś odpowiedzieli, że nie mogą bez rozkazu Cezara wyprowadzić legionów z obozów, i zalecili Eduom iść nam na pomoc. Eduowie wyruszyli i doszli aż do Loary, która stanowi granicę ziem naszych. Lecz następnie – zawrócili. Podobno opowiedzieli legatom, iż chcieliśmy ich napaść niespodzianie i że przywołaliśmy ich po to tylko, aby pojmać w pułapkę.

– Ci Eduowie, którzy od granicy waszych ziem zawrócili, dobrze wiedzieli, co mieli robić. Naczelnicy ich sprzyjają mi. Wasze przystąpienie do sprawy jest opóźnione, przyjmuję je jednak. Wydacie mi zakładników – i to spomiędzy tych, którzy oświadczali się przeciwko wojnie, a także otworzycie mi bramy miast waszych i przyłączycie waszych wojowników do mego wojska. Potrzebuję zwłaszcza konnicy...

– Stawimy do twego rozporządzenia całą naszą siłę zbrojną, którą pod twym zwierzchnictwem będzie dowodził nasz znany ci dobrze Gutruat; weźmiesz takich zakładników, jakich zechcesz, i nasze grody otworzą przed tobą bramy. Nasze dziki[21] przyłączą się do twoich znaków wojennych.

– Czyście przygotowani na to, aby walczyć wspólnie z nami tak w pomyślności, jako też w niepowodzeniu? Aby poświęcić wszystkie wasze bogactwa świętej sprawie wolności Galii? Widzieć nie blednąc pochodnie pożarów, rzucone w wasze wioski i miasta?...

Biturygowie zawahali się chwilę, lecz następnie rzekli:

– Jesteśmy gotowi na wszystko.

Podobnież postąpiło wiele innych plemion galijskich. Wszędzie lud był za przystąpieniem do wielkiego sprzysiężenia Galii powstałej przeciwko swym ciemiężycielom, zdania senatorów jednak i naczelników były podzielone czy to z powodu różnych poglądów, czy dawnych waśni wzajemnych, czy obawy wreszcie. Nieraz też dla przyśpieszenia ich decyzji trzeba było, jak w owym odległym dniu okupu Rzymu Brennusowi, rzucać na chwiejne szale ich namysłów i rozważań – nasz miecz. Co się tyczy zresztą Biturygów, to ci byli zachwyceni, że

[21] Znaki wojenne z dzikami z brązu u szczytu.

„zmuszono” ich przystąpić do powstania, i gorący zapał do walki o niepodległość wkrótce zastąpił ich poprzednią chwiejność. Ale też żadne plemię Celtyki nie opłaciło drożej swego przyłączenia się do wojny świętej.

Ja w tymże czasie objeżdżałem z Wergassilaunem ustawicznie tam i z powrotem doliny Arwernii, formując oddziały wojsk posiłkowych i przyśpieszając ich gotowość do boju. Śnieg jeszcze leżał na szczytach i w głębi wąwozów górskich, miało się już jednak ku wiośnie, zdarzały się też nieraz piękne dni słoneczne i na zboczach gór, zwróconych na południe, poczynała się ukazywać zieloność. Szczególny to jest kraj ta Arwernia. Góry jej mają tak dziwne kształty jak nigdzie indziej i wszystko tam świadczy o bezmiernej potędze boga ognia i sił podziemnych. Dla mnie, który widziałem przedtem tylko wzgórza naszej krainy nadsekwańskiej oraz Armoryki, te góry arwerneńskie miały wysokość po prostu przerażającą. Co prawda pewien Helweta, znajdujący się w jednym z oddziałów wojsk posiłkowych, zapewniał mnie, że przy górach jego kraju, pokrytych lodowcami, góry Arwernii byłyby małe jak kretowiska. Być może. Świat jest tak wielki!... Kto nie wychodził przez całe życie ze swej dziury, nie wie nic. Lecz góry Arwernii w rzeczy samej są bardzo szczególne, a to przede wszystkim ze względu na swój kształt zupełnie regularnie stożkowaty, a następnie i przez to jeszcze, że występują najczęściej wpośród jakiejś płaskiej równiny zgoła tak, jak gdyby wyskoczyły spod ziemi od razu – i to przy tym pod rząd. Można by doprawdy pomyśleć, że to są hełmy olbrzymów, ustawione w porządku, jeden obok drugiego. Gdy się zaś wejdzie na zbocza tych gór, to u ich szczytu, a raczej w tym miejscu, gdzieby powinien być szczyt, widzi się raptem u swych stóp ziejącą przepaść, która wygląda jak olbrzymich rozmiarów czara okrągła, a tak głęboka, że dna dojrzeć nie sposób. Otwory te zowią kraterami. Widziałem jeden z tych kraterów tak ogromny, że gdyby olbrzym jakiś ukradł nam nasze paryskie Wzgórze Kamula, to byłby mógł swobodnie je tam schować, ba! nawet z górą Lukotycją w dodatku. Odkąd stopniały śniegi, zbocza tych gór zazieleniły się bujną trawą i rozsianymi po nich to tu, to ówdzie grupami drzew, pomiędzy którymi przepływają srebrzyste strumienie. Po tych wybornych pastwiskach błądzą stada owiec i krów, liczne bardzo w Arwernii, pobrzękując wesoło uwieszonymi im u szyi dzwoneczkami. Mimo jednak te uśmiechy natury góry arwerneńskie pozostają dziwne i groźne raczej – i naprawdę przerażały mnie trochę. Za nic w świecie nie byłbym się ośmielił zejść do któregoś z tych kraterów. Nie, nie – nigdy bym się na to nie odważył!... Lękałbym się bowiem tych nadprzyrodzonych zjawisk świata podziemnego, które tam można zobaczyć lub usłyszeć. Wystarcza wyrwać nieco trawy na zboczu tych gór, aby się naocznie przekonać, że ziemia tam jest zupełnie inna niż wszędzie, cała ze stopionych skał i kruszców oraz jeszcze jakiegoś kamienia, dziwnie lekkiego. W gruncie rzeczy są to olbrzymie podziemne kuźnie. Pasterze arwerneńscy twierdzą, że gdy przyłożyć ucho do krawędzi którego z tych kraterów, usłyszy się wyraźnie sapanie potężnych miechów, buzowanie ognia, syczenie wody pod dotknięciem rozpalonego żelaza, a czasami nawet odgłos olbrzymich młotów uderzających o kowadło. Opowiadają, iż ongi góry te ciskały aż do nieba kłęby dymu, chmury popiołu, nawet potężne odłamy głazów, zalewając doliny rzekami płynnego ognia – i to wśród straszliwych grzmotów i piorunów, które wypadając z ich wnętrza krzyżowały się z piorunami burz niebieskich. Na szczęście już to się teraz nie zdarza.

Na najwyższej z tych gór, zwanej Puy Dumien, Arwernowie wznieśli świątynię bogu Lugowi, którego przedstawiają na wizerunkach z młotem w dłoni i z rozwianymi od wichru włosami. Taki też posążek Luga ze stojącym obok niego koniem bez uzdy i wędzidła ozdabia znaki wojenne Arwernów, a podobizna jego widnieje na ich monetach. Świątynia Luga na szczycie Puy Dumien znana i czczona jest w całej Galii, stanowiąc cel licznych pielgrzymek oraz siedlisko druidów, których najwięcej czcimy i najwięcej obawiamy się ze wszystkich druidów między Sewennami a oceanem. Kraina ta jest pełna czaru i grozy zarazem. Na wiosnę pokrywa się cała nie tylko zielonością lasów i łąk, jak wszędzie, lecz także niezmiernym bogactwem wód świeżych i czystych, szumiących, szemrzących, gadających, dzwoniących,

szczebiocących, które spływają łagodnie z tych groźnych gór, to znów spadają z nich burzliwymi srebrnymi wodospadami, tworząc chór głosów kryształowych, co brzmi tak słodko, kiedy się go słucha z doliny, pełnej kwiatów wiosennych, jak gdyby śpiew boginek wodnych.

Arwernowie, oprócz swego Luga z Puy Dumien wraz z jego małżonką Rosmertą, czczą jeszcze duchy niektórych jezior i gór, zwłaszcza licznych w ich kraju źródeł leczniczych lub trujących, i stawiają przy nich ozdobne wazy z białej gliny arwerneńskiej z wyskrobanymi na nich końcem noża imionami ofiarodawców. Gdy woda tych strumieni jest spokojna, pod przejrzystą tonią widać nieraz ich dno, usiane monetami ze złota, srebra lub brązu, stanowiącymi ofiary pobożnych. A jakkolwiek ubogim jest ten lud górali, żywiący się głównie plackami z mąki żytniej, nigdy dłoń świętokradzka nie ośmieli się sięgnąć po te skarby. Oprócz monet, które w świątyniach kapłani składają do skarbca, pobożni, uzdrowieni tu przez bogów, ustawiają lub zawieszają w świątyniach ręce i nogi wyrobione z białej gliny, małe figurki węża lub kozła, albo też wazy ozdobne z wyskrobanymi na nich napisami.

Mieszkańcy tego szczególnego kraju, rodacy mego zwierzchnika i przyjaciela, Wergassilauna, czując się w swej dziwnej ojczyźnie otoczeni dokoła cudownością, niezmiernie są pobożni. Nie przeszkadza im to jednak w doskonałym prowadzeniu interesów. Przy tym są silnej budowy ciała, wytrwali na trudy, zahartowani na głód i zimno, zaliczam też ich do najdzielniejszych i najwalecznie j szych ludów Celtyki. Oddanie ich sprawie wojny o niepodległość Galii nie zawiodło ani przez chwilę, nigdy – i nigdy nie widziałem też ludzi gościnniejszych, jakkolwiek znacznym bez wątpienia ciężarem była dla ich kraju obecność w nim tak wielkiej ilości wojsk obcych.

Rozdział III

DOKOŁA AVARICUM

Pewnego dnia wczesną wiosną, gdy nasz oddział konnicy pod dowództwem Wergassilauna, zaskoczony w drodze zawieją śnieżną, schronił się w parowie osłoniętym ze wszystkich stron wysokimi górami, usłyszeliśmy nagle rozlegające się od szczytu do szczytu okrzyki, które echa powtarzały przeciągle. Z powodu silnego wiatru nie rozróżniliśmy słów, lecz zauważyliśmy, że kilka spływających ze skalnych ścian parowu strumieni i wodospadów zabarwiło się na czerwono i czarno. Wergassilaun wyjaśnił mi, że wrzucono miału węglowego i wlano krwi do źródeł, co jest znakiem, że nadeszła jakaś ważna wiadomość i że trzeba, aby się co prędzej dowiedziano o niej w całym kraju. Parci niepokojem i ciekawością, poczęliśmy natychmiast wdzierać się z powrotem na zbocze góry, gdy raptem omal nie zderzyliśmy się z jeźdźcem, który nadjeżdżał w galopie z przeciwnej strony, zamieć bowiem śnieżna przeszkadzała nam go widzieć na dalszą odległość, warstwa zaś świeżego śniegu, która pokryła ziemię, tłumiła tętent jego konia.

– Czy nie moglibyście mi powiedzieć, gdzie się znajduje Wergassilaun? – zawołał do nas.

– Oto jestem – odrzekł wymieniony, wysuwając się z koniem naprzód.

– Dzięki niech będą Lugowi! Od dawna cię szukam. Przynoszę ci poselstwo z Gergowii: Cezar przeszedł Sewenny.

– Niepodobna!...

– Tak jest, przeszedł Sewenny, wsparty przez górali. Nie wiadomo, ilu ma ludzi ze sobą, wojsko jego jednak musi być liczne jak gwiazdy na niebie, gdyż jeźdźcy rzymscy pojawiają się od razu w rozmaitych miejscach: na Loarze, na Allierze, na Sioule, a wszędzie wśród nocy widać łuny pożarne.

– No, to tylko konnica. Zapolujemy na nich.

– Lecz pod osłoną konnicy Cezar dostanie się do Eduów, powoła do siebie legiony z północy i połączywszy się z nimi całą swą siłę zbrojną może rzucić na nas. Arwernia jest zagrożona, sama Gergowia nawet! Wysyła się teraz gońca za gońcem do Wercyngetoryksa i Luktera, aby powracali. Jesteśmy w wielkim niebezpieczeństwie!...

– Cezar więc miał skrzydła? – rzekłem do Wergassilauna.

– To mu się je obetnie!... – odrzekł. – Do Gergowii zatem!...

W Gergowii dowiedzieliśmy się zaraz i drugiej nowiny, a mianowicie, że Cezar już zdążył połączyć się ze swymi legionami. Ukazał się naprzód u Bojów, małego ludu z dolnego Allieru, następnie u Senonów, gdzie po trzech dniach oblężenia zmusił ich gród, Vellandunum, aby otworzył mu bramy i wydał zakładników; później u Karnutów, na których wywarł krwawą pomstę za rzeź kupców rzymskich w Genabum. Obecnie znajdował się w kraju Biturygów. Bez wątpienia, stawka nie była jeszcze przegrana. Zostaliśmy trochę zaskoczeni, oto wszystko. Loara, której wybrzeża Cezar zajął znowu, przestała nas oddzielać od legionów, lecz Arwernia pozostała jeszcze nie tknięta stopą najeźdźcy i można go było powstrzymać na równinach i w grodach Biturygów.

Wyznam szczerze, że ciężar spadł mi z serca, gdym się dowiedział, że legiony z Agendicum zostały odwołane nad Loarę. Trzeba było bronić Gergowii nie w samej jednak Gergowii, lecz w tej części kraju Biturygów, która była jeszcze wolna od wojsk nieprzyjacielskich, części najgęściej zaludnionej i najbogatszej. Udaliśmy się też tam z pośpiechem, aby się połączyć z Wercyngetoryksem w jego obozie pod Avaricum. Wercyngetoryks, który wskutek zbliżenia się Cezara zmuszony był odstąpić od oblężenia miasta Gorgobiny w kraju Bojów, wcale, jak się zdaje, nie był zdziwiony tym, co zaszło. Niezwłocznie zwołał naradę wojenną i w zwięzłej przemowie wykazał obecnym na niej naczelnikom arwerneńskim i wodzom oddziałów sprzymierzonych, że niepodobna było myśleć o stawieniu czoła Rzymianom w otwartym boju, jakkolwiek bowiem byliśmy co najmniej równi im liczbą, lecz przewaga sprawności wojskowej i uzbrojenia znajdowała się niewątpliwie po ich stronie. Należało więc uciec się do taktyki zgoła nowej: po prostu zagłodzić tych Italczyków, wyczerpanych już długim a pośpiesznym przemarszem wśród zimy oraz ciężkim bez wątpienia przejściem przez Alpy i Sewenny w tej porze roku. Pola, pokryte w znacznej części jeszcze śniegiem, nie mogły dostarczyć im ani żywności dla ludzi, ani paszy dla koni, Bojowie byli ludem zbyt drobnym, aby móc wyżywić całą tę ogromną armię, sprytni zaś Eduowie wykręcali się na różne sposoby od rekwizycji, oczekując, jak się wojna rozstrzygnie... Legiony rzymskie mogły znaleźć środki do życia jedynie w bogatych miastach i wioskach Biturygów. Trzeba było zatem wypalić cały ten płaski kraj, począwszy od kwitnących miast, nawet grodów obronnych, do najlichszej chatki pasterza – wszystko, gdzieby Rzymianie mogli znaleźć bodaj worek zboża lub wiązkę siana. Świeży przykład Vellandunum i Noviodunum dowodził, że w umiejętności zdobywania miast Rzymianie mieli znaczną nad nami przewagę. Niechże więc sama ziemia Galii uzbroi się przeciwko nieprzyjacielowi, niszcząc go głodem a chłodem nocy lodowato zimnych w namiotach pozbawionych żywności!

– Środki takie mogą się zdawać okrutne – zakończył *Pen-tiern.* – Lecz jeszcze okropniejszą rzeczą jest widzieć nasze żony i dzieci na targu niewolników, a kraj pod jarzmem obcego najeźdźcy.

W głuchym milczeniu przyjęto tę przemowę. Na myśl szerzenia przez nas samych ognia i zniszczenia w tych wioskach, któreśmy przyszli bronić, serce nam się krwawiło. Co się zaś

tyczy naczelników Biturygów, to ci po prostu płakali z żalu. Nikt jednak nie ośmielił się zaoponować Wercyngetoryksowi, w istocie bowiem niepodobna było działać inaczej i każdy w głębi duszy uznawał słuszność słów jego.

Jeszcze tego dnia rozpoczął się w kraju Biturygów smutny pochód ludzi opuszczających wraz z całym dobytkiem wioski zagrożone spaleniem. Aż do późnego wieczora po drogach, rozmiękłych od topniejących śniegów, przesuwały się ustawicznie wozy, stada bydła, tłumy wieśniaków, którzy ciągnąc w dalsze, rzekomo bezpieczniejsze strony, nie mieli nawet odwagi odwrócić się, aby po raz ostatni rzucić okiem na strzechy, pod którymi się urodzili... Za stadami owiec i krów, ryczących i beczących żałośnie, oraz tłumami pieszych wędrowców trzęsły się po złej drodze, psując ją do reszty, olbrzymie ciężkie wozy, zaprzężone w kilka par wołów, a naładowane całymi górami najprzeróżniejszych rzeczy, od worków z ziarnem i snopów zboża do przedmiotów zupełnie prawie bez wartości, przemieszanych bezładnie ze złotymi i srebrnymi naczyniami bogatszych. Na tych rupieciach siedzieli smutnie zadumani starcy i matki spłakane, karmiące piersią niemowlęta, gdy starsze nieco dzieci, ucieszone tak niespodziewaną i zajmującą przejażdżką, klaskały w rączki, wydając okrzyki zachwytu. Wojownicy nasi, wsparci na dzidach, patrząc na ten pochód żałosny ludzi stad i wozów pod niebem pokrytym chmurami smutnym i szarym, na te tajemnice gospodarstw domowych, wystawione na widok publiczny, gdzie nawet cenne srebrne i złote naczynia wyglądały jakoś biednie wśród tych bezładnie złożonych na kupę, zbryzganych błotem rzeczy, myśleli sobie, iż jutro może takiż los stanie się udziałem i ich ognisk domowych...

Gdy zaś nastała noc, kraj ten nagle zapłonął cały jak okiem sięgnąć, wszędzie buchały do góry czerwone dymy pożarów, a złote iskry wysoko wzbijały się w powietrze. Można by pomyśleć, że to równocześnie zapalono wszędzie stosy ofiarne. Złudzenie potęgowały jeszcze rozlegające się to tu, to ówdzie głosy zwierząt domowych, zapomnianych widocznie po oborach lub też może okaleczonych albo chorych i dlatego pozostawionych na miejscu, a niekiedy rozlegał się nawet jęk ludzki: garstka bowiem starców niedołężnych pozostała także, przekładając nad ucieczkę śmierć w kątach rodzinnych. Jedno tylko Avaricum, stolicę kraju Biturygów, oszczędziły płomienie, w ostatniej bowiem chwili, gdy już miano rzucić w nie żagwie ogniste. Biturygom nie stało serca. Było to najpiękniejsze miasto kraju, co więcej – jedno z najpiękniejszych miast Galii, o ulicach prostych, domach podobnych do pałaców rzymskich, mnóstwie pracowni umiejętnych rzemieślników oraz takimże mnóstwie sklepów, przepełnionych bogactwem rzeczy. Biturygowie rzucili się do nóg naczelnikom innych ludów galijskich i obejmując ich za kolana a przypominając swe dawniejsze dobre stosunki, oddane niegdyś usługi, wielkość ofiar, które już złożyli na ołtarzu dobra powszechnego i przysięgając, że bagna, które otaczały miasto, czynią je nie do zdobycia, błagali ze łzami, aby nie wyganiano z grodu jego bogini, Avaryki. Wszyscy tak się rozczulili i tak płakali razem z nimi, że Wercyngetoryks musiał w końcu ustąpić ogólnym prośbom, przepowiadając, że drogo opłacimy tę słabość.

I rzeczywiście – niedługo stała się ona przyczyną wielkiego nieszczęścia. Cezar obległ Avaricum i te same bagna, które miały bronić miasta, przeszkodziły nam pośpieszyć mu na czas i skutecznie z pomocą. W ciągu blisko miesiąca Cezar wykopał fosy, wzniósł szańce, zgromadził całe lasy faszyny i pewnego pięknego dnia, gdyśmy tego najmniej oczekiwali, Italczycy skoczyli ze swych szańców na szańce miasta i zdobyli Avaricum. Zniszczone zostały wspaniałe budowle, tak drogie sercu Biturygów, zginęło czterdzieści tysięcy mieszkańców, pojmanych tam jak w pułapce, i dziesięć tysięcy wyborowego naszego wojska, pozostawionego w grodzie dla obrony. Żołnierze rzymscy, którzy cierpieli taki głód, że rzekomo sam Cezar proponował im zaprzestać oblężenia i cofnąć się nad Loarę, znaleźli w Avaricum olbrzymie zapasy żywności i wynagrodzili sobie sowicie poniesione trudy i kłopoty. A my?... My straciliśmy cały owoc naszej cierpliwości, poświęcenia Biturygów i ofiary dwudziestu miast i stu wiosek wydanych na pastwę płomieni, ponieważ nie umieliśmy mężnie dopełnić

ofiary do końca, ponieważ nie chcieliśmy ugiąć się przed zamiarem i władzą człowieka, któregośmy sami obrali sobie za wodza! Cezar w Avaricum ważył się na rzecz straszną: cała nasza załoga i cała ludność tego miasta, razem pięćdziesiąt tysięcy ludzi, zostały z zimną krwią wyrżnięte i nawet znana chciwość Italczyków, dla których takie mnóstwo niewolnika stanowiło majątek, tym razem ustąpiła szałowi rzezi. Powiadali, że biorą pomstę za Rzymian pozabijanych w Genabum – i mścili się też tak, że mordowali już nie tylko niemowlęta u piersi matek, lecz nawet psy i koty – aż do ostatniej żywej istoty w mieście. Eduowie – sprzymierzeńcy Rzymu jakkolwiek przyzwyczajeni do okrucieństw swych przyjaciół italskich, nie mogli jednak oprzeć się uczuciu grozy i próbowali przedstawić Cezarowi, iż należy powściągnąć to rozbestwienie żołdactwa. Lecz ten odpowiedział chłodno, że trzeba, aby żołnierz miał czasem rozrywkę. Rzeź w Avaricum nadała wojnie teraz charakter nieprzejednanej zawziętości. Nasi wojownicy zaprzysięgli nie brać niewolnika. I gdy który z żołnierzy rzymskich, zwyciężony w bitwie, padał na kolana przed nami z prośbą o życie, tośmy mu ostrzem miecza wpychali to skomlenie z powrotem do gardła. Postanowiliśmy także w razie zdobycia obozu rzymskiego wyrżnąć również wszystkich aż do kapłanów i pachołków obozowych, całą zaś zdobycz, nie wyłączając zeń ani jednego płaszcza żołnierskiego nawet, spalić na ofiarę Teutatesowi i Kamulowi!... Sporo też żalu i gniewu zwróciło się przeciwko Wercyngetoryksowi, pomimo iż on nie był zgoła winien przegranej.

– Nie umiał więc zachować nam ani Vellandunum, ani Noviodunum, ani Avaricum! – wołano. – Oddalił się ze swą konnicą, gdy spostrzegł, że miasto musi upaść! Gdzież się podziewał? Na Kamula! On się porozumiewa z Cezarem. Chce z rąk jego otrzymać panowanie nad Galią!

W obozie panowało wzburzenie i rozgoryczenie. Biturygowie zwłaszcza; przygnębieni nawałem nieszczęść, dawali chętnie wiarę najniedorzeczniejszym posądzeniom, ci zaś spomiędzy ich naczelników, którzy byli przeciwnikami wojny i zostali zmuszeni przez lud do wzięcia udziału w powstaniu, mówili teraz:

– A widzicie!... Myśmy to przepowiadali!... Gobanicjon wiedział, co czyni, wyganiając z Gergowii syna Celtila!...

Wymawiano też i Karnutom rzeź w Genabum.

– I na co to się przydało? – mówiono teraz. – Wiedzieliście wszak, że za jednego Italczyka Cezar każe wyrżnąć tysiąc naszych!

Karnutowie zaś bronili się i oskarżali wzajem:

– Takżeście to dotrzymali waszych przysiąg? Pokazaliście nam tyle znaków wojennych, tyle sztandarów w *nemedhu* pod Autricum! Tymczasem kto z was przyrzekł wtedy dwadzieścia tysięcy wojowników, ten przyprowadza ich teraz pięć tysięcy! Czy sądziliście, że można zwalczyć Cezara za pomocą dzików lub smoków z brązu?

W ten sposób stare waśnie wznawiały się i obozowiska nasze pełne były zniechęcenia i swarów. Niektórzy naczelnicy odjechali nawet ukradkiem w nocy wraz ze swymi oddziałami, a inni za ich przykładem zwracali już spojrzenia w stronę swych krajów. Wówczas to miałem sposobność poznać bliżej i podziwiać syna Celtila. Pomawiano go, że już nie ośmieli się stanąć przed armią, tymczasem zaś on, widząc wzburzenie umysłów, zwołał zgromadzenie ogólne, na które zaprosił wszystkich naczelników, nawet najmniej znacznych – takich, którzy mieli dowództwo nad dziesięcioma ludźmi tylko – i zjawił się na tym zebraniu bez broni i żadnej straży, tam gdzie nawet wzrok oddanych mu unikał dziś jego wzroku, a tyle oczu mierzyło go wyzywającym i zuchwałym spojrzeniem. Stanąwszy pośrodku, bezbronny, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, rzekł:

– Dlaczego upadacie na duchu z powodu jednego niepowodzenia? Skąd te podejrzenia i oskarżanie się wzajemne? Czy macie dziś mniej niźli wczoraj powodów, aby przekładać raczej śmierć nad niewolę, mniej pobudek po temu, aby pozostawać w zgodzie? Mniej przyczyn do żalu i nienawiści względem Rzymu? Czyście dziś mniej mężni lub też Rzymianie

stali się nimi więcej niż przedtem? Oni wcale nie przez męstwo stali się zwycięzcami, tylko dlatego, że umieją lepiej od nas zdobywać miasta obronne, gdyż potrafią budować machiny oblężnicze nie znane Galom. Dlatego też nie chciałem zamykać mych żołnierzy w jakimś *oppidum*. I czyjąż to winą, że Avaricum nie zostało zniszczone wraz z innymi miastami Biturygów? Cóż zmusiło mnie do zmiany rozkazu, jeśli nie wasze usilne prośby a błagania i wola większości? Czyżem nie przepowiedział, co nastąpi?... Stało się wielkie nieszczęście bez wątpienia, uznaję to wspólnie z wami. Lecz czyż przypuszczaliście, że wojna może się składać z samych zwycięstw, że Rzymianie są tak łatwi do pokonania, a Cezar wodzem, którego by można lekceważyć? Nieszczęście stało się wielkie, lecz nie jest to klęska stanowcza. W zamian za dziesięć tysięcy żołnierzy, którzy zginęli w Avaricum, nadejdzie lada chwila kilkadziesiąt tysięcy świeżego wojska. Surowa pora roku kończy się – i będziemy mniej cierpieli od zimna. Legiony cierpiały więcej od nas. Zapomnieliście już o tych zbiegach italskich, którzy zgłodniali przybiegali do nas, oddając się dobrowolnie w niewolę w zamian za kęs chleba? Zapasy żywności w Avaricum wyczerpią się, innych zaś Rzymianie nie dostaną więcej, gdyż zniszczony kraj Biturygów otaczać ich będzie pustynią. Przebiegli Eduowie wykręcają się od dawania im pomocy w ludziach i żywności, przygotowując się do połączenia się z nami; ci zaś pociągną za sobą wszystkie ludy z Sewennów, znad Rodanu i z Alp, wskutek czego wszelka możność cofnięcia się zostanie Cezarowi przecięta.

Lecz, na Teutatesa! Nie dawajcież posłuchu tym niegodnym posądzeniom, które sieją pomiędzy wami nieprzyjaciele waszej wolności! Ja – wspólnikiem Cezara?... Ja miałbym od niego spodziewać się panowania nad Galią?... Mogę się od niego spodziewać tylko kaźni, i to jak najokrutniejszej, gdyż w oczach jego najwinniejszym jestem spomiędzy was. Władzy zaś mogę oczekiwać jedynie z waszego wolnego wyboru, a sławy z waszej jedności i waszego męstwa! Miejcież ufność, miejcie odwagę! To za mało być odważnym tylko w bitwie; trzeba jeszcze odważniej znosić długie oczekiwanie, trudy, wyrzeczenia – i być posłusznym rozkazom wodzów... I więcej niż kiedykolwiek potrzeba teraz, abyśmy byli złączeni jako jeden naród braci. Wygońcie myśli niezgody z serc swoich! Cóż znaczy te dziesięć legionów przeciwko Galii całej?! Gdy Galia będzie zjednoczona i zgodna, wówczas świat cały oprzeć się jej nie zdoła!

W miarę tej przemowy spojrzenia poczęły znów zwracać się ku *Pen-tiernowi,* z początku niepewnie, później z podziwem i szacunkiem – i stopniowo z coraz większą ufnością. Przede wszystkim zaimponował nam swą odwagą i zimną krwią, zwołując sam to zebranie i zjawiając się na nim bezbronny i bez straży. Następnie, należało przyznać, że rzeczywiście nie był nic winien w tej nieszczęsnej sprawie z Avaricum. Przeciwnie, złożył właśnie dowody przenikliwości i bystrości umysłu, sprzeciwiając się zachowaniu miasta. To zaś, co nam powiedział o oddziałach galijskich, znajdujących się w drodze ku nam, o gotującej się u Eduów rewolucji, wszystko to bardzo prędko potwierdziły wieści przyniesione przez wysłańców, którzy nadbiegali to stąd, to zowąd, prawie co chwila.

Wercyngetoryks mówił jeszcze, gdy oznajmiono nam przybycie Teutomata, syna króla Nicjobrygów, który mimo iż jego ojciec posiadał mało zaszczytny tytuł „przyjaciela Rzymian", nie zawahał się przyprowadzić nam spory oddział wojowników. Widok tych pięknych jeźdźców o smagłej cerze, czarnych oczach i kędzierzawych włosach, ubranych i uzbrojonych modą akwitańską, prawdziwie rozweselił nam serca, tak że gdy Wercyngetoryks skończył mówić, znowu rozległy się rozgłośne, triumfujące uderzenia mieczów o tarcze, od których wesołego szczęku poczynaliśmy już się odzwyczajać. Dusza Galii wracała do serc naszych. Czyż dlatego, żeśmy stracili kilka tysięcy wojownika, Celtyka przestała być ojczyzną dzielnych zuchów?...

Pewnego ranka spostrzegliśmy, iż Cezar podczas nocy zwinął swój obóz i oddalił się. Stało się to tak niedawno, że widać było nawet jeszcze z daleka jego żołnierzy z tylnej straży. Rzymianie, ścigani przekleństwami miejscowych wieśniaków, wygrażających im z dala pię-

ścią, udawali się obecnie ku Loarze, opuszczając wszystkie swe zdobycze w kraju Biturygów i pozostawiając Avaricum tak puste, jak opróżniony spichlerz, z którego nawet uciekają myszy. Czy uciekali przed widmem głodu? lub przestraszył ich widok naszych obozów rozłożonych na wzgórzach – a co dnia liczniejszych? Niedługo dowiedzieliśmy się prawdziwej pobudki odstąpienia Cezara od Avaricum – i było to nowym potwierdzeniem przezorności Wercyngetoryksa.

Pewnego razu Wergassilaun powiedział mi:

– Zdaje się, że w kraju Eduów robi się już gorąco...

– Cóż tam nowego?

– Oto walka partii, na które ten lud jest podzielony, doprowadzi do zbrojnego starcia. Dlatego to Eduowie tak się wykręcają od dostarczania Cezarowi wojska i żywności, każdy bowiem naczelnik woli gromadzić zapasy w swych grodach i kryjówkach, a ludzi zatrzymać przy sobie – przewidując, iż to wszystko może im się przydać w najbliższym czasie. Na górze Bibrakte, gdzie, jak wiadomo, obraduje senat eduski, senatorowie poczynają lżyć się wzajemnie, ba! podobno walczą na pięści!... Wiesz zapewne, że naczelnicy tych dwu wrogich stronnictw, Kot oraz Konwiktolitan, jeden i drugi ubiegali się o najwyższy u nich urząd głowy senatu, tak zwanego u Eduów *vergobreta.* Otóż jakimś dziwnym sposobem zostali oni wybrani równocześnie, każdy przez swych stronników – naturalnie też każdy z nich ogłasza swego rywala za urościciela i zdrajcę ojczyzny. Senat ich, ich „złote naszyjniki" i lud cały – wszystko to rozdarte jest na dwa wrogie sobie obozy, zionące taką nienawiścią jeden przeciwko drugiemu, że niczym wobec niej nasza nienawiść względem Rzymian. Ja zaś nie żywię zaufania ani do jednego, ani do drugiego z tych pretendentów na urząd *vergobreta,* zwłaszcza do Konwiktolitana, który jest przyjacielem Dywicjaka... Podobno też Cezar wpłynął na to, że mu ofiarowano ten zaszczytny urząd.

– Cóż to Cezara może tak dalece obchodzić?

– A widzisz, zajmuje go ów zatarg do tego stopnia, że dlatego właśnie opuścił Avaricum i udał się nad Loarę. Ma tam zwołać walne zgromadzenie w Decize, przy czym chce narzucić się za arbitra obu partii i załatwić tę sprawę tak, jak mu będzie wygodniej.

– Cóż zyska, jeśli złożą z urzędu jednego z tych *vergobretów,* a drugiego wyniosą na ten urząd?

– Hm... mocno podejrzewam, że nic!...

– Czyż nie korzystniejsze byłoby dla Cezara, gdyby raczej pozwolił Eduom skakać sobie wzajem do oczu?

Byłby pewny przynajmniej, że nie połączą się, aby napaść zgodnie na tyły jego armii!

– Bądź spokojny, już on ma w mieszaniu się w sprawy Eduów swój cel. Lecz i tak połączenie się tego ludu przeciwko Rzymianom – i to w bliskiej nawet przyszłości – jest niezawodne. Czy słyszałeś o ich Litawiku?

– Słyszałem to imię, lecz nie znam go.

Wergassilaun wyciągnął z kieszeni sztukę złota, która na jednej stronie miała odbitkę głowy kobiety w diademie, na drugiej jeźdźca, niosącego znak wojenny z dzikiem u szczytu drzewca. Dookoła biegł wyryty w złocie napis: *Litavicos.*

– On jest tak bogaty – rzekł – że może nie tylko wybijać swą własną monetę, lecz – co ważniejsze – wystawić całą armię ze swych jeźdźców, wieśniaków i klientów. W walce stronnictw trzyma się na uboczu i zdaje się nie przechylać na stronę ani jednej partii, ani też drugiej, sprzyjając zresztą bodaj więcej Kotowi, który jest takimże pankiem, spokrewnionym z wszystkimi wielkimi rodami, jak i on. Lecz, jak się zdaje, przede wszystkim jest zwolennikiem samego siebie. Mówią, że ma nadzieję z pomocą Wercyngetoryksa otrzymać tytuł i władzę królewską w swym kraju. W każdym razie jest za nami, a nienawidzi Rzymian.

– Dlaczegoż nie oświadczy się wyraźnie?

– Aby go Rzymianie zgładzili jak Dumnoryksa? Nie jest tak głupi. Jestem nawet pewien, że będzie jednym z tych, którzy najwspanialej będą podejmowali Cezara w Decize na ucztach. Czy nie zauważyłeś w naszym obozie obcego starca, ubranego w proste szaty wieśniacze? Jest to wysłannik Litawika, jeździec, który tam – w swym kraju – nosi naszyjnik złoty. Wercyngetoryks musi czekać nocy, aby go przyjąć. Ale pst!... to wielka tajemnica. Pamiętaj o tym!...

Rozdział IV

GERGOWIA

Gdy wyżej położone płaskowzgórza Arwernii i jej szczyty były jeszcze białe od śniegu, doliny już pokryły się zielenią, i konie nasze znajdowały tam obfite pożywienie. Staliśmy obecnie, chroniąc Arwernię od wtargnięcia nieprzyjaciół, na lewym brzegu rzeki Allier, której bystre a wezbrane od topniejących śniegów wody powstrzymywały legiony Cezara na przeciwległym brzegu.

– Czy nie wiesz, ile Cezar ma tu legionów? – spytałem Wergassilauna.

– Sześć, nie licząc oddziałów sprzymierzonych. To czyni z pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Ale my mamy ich blisko sześćdziesiąt tysięcy.

– Jak to, sześć legionów? A Labienus ze swymi czterema jeszcze?...

– Ach! – odparł Wergassilaun, trochę zakłopotany. – Cezar podobno wysłał je znów nad górną Sekwanę, aby trzymać tam w grozie Senonów, Paryzów i ludy północy. Dlatego też z tych okolic nie otrzymujemy już posiłków.

– Nie niepokoję się o swój kraj – odpowiedziałem. – Mamy tam jeszcze czym się bronić. Podziwiam tylko śmiałość Cezara, że w obliczu tak licznej armii, jak nasza, i takiego przeciwnika, jak Wercyngetoryks, pozbawia się czterech legionów i najzdolniejszego ze swych wodzów–pomocników.

– Już on wie, co czyni. Czy chciałbyś, aby pozwolił plemionom z północy nadejść tu, przyprowadzając nam posiłki? Przy tym rachuje na dziesięć tysięcy wojska, które przyrzekli mu Eduowie za to, że tak dobrze załatwił ich sprawy. I wiesz, kto tym zastępem ma dowodzić? Litawik!...

Tu począł się śmiać i ja z nim także. Od kilku dni staliśmy naprzeciwko armii nieprzyjacielskiej, oddzieleni od niej tylko głębokimi, bystrymi nurtami i z jednego brzegu rzeki na drugi wymienialiśmy z wrogiem pogróżki i wyzwiska. Nasi łucznicy i procarze, kryjąc się pomiędzy grupami olch i wierzb, rosnącymi na wybrzeżu, posyłali Rzymianom strzały lub też pociski z gliny, z wyrytymi na nich słowami obelżywymi lub nazwami zwierząt nieczystych. Wiedzieliśmy jednak wszyscy dobrze, że to były dzieciństwa – i bezczynność niepomału nas nużyła. Doszło też do tego, żeśmy poczęli sobie życzyć, aby Rzymianie, umiejętniejsi od nas w budowaniu mostów, przebyli wreszcie rzekę. Stało się to prędzej, niżeśmy się spodziewali. Cezar, mistrz w wybiegach wojennych, wyprowadził nas i tym razem w pole. Kazał naprzód budować most naprzeciwko naszego obozu, gdy zaś pod gradem naszych strzał i pocisków niepodobna było go dokończyć, udał, że się zrzeka zamiaru, i ruszył z całą armią w dół rzeki, ciągnąc w tę stronę naturalnie i nas za sobą, jakkolwiek po przeciwległym brzegu. Gdyśmy

zaś znaleźli się już daleko od miejsca, gdzie założone były fundamenty mostu, szybkim marszem nocnym wrócił tam nagle, dokończył zaczętej roboty i przeprawił swe legiony.

– Nieźle zagrane! – powiedział do mnie Wergassilaun. – Lecz wolę nawet, aby raz już przyszło do rozprawy orężnej; miecz mój rdzewieje w pochwie! Doprawdy, nie mogliśmy przecie bez końca patrzeć na przeciwnika jak zadumane żurawie na bieżącą wodę. Do Gergowii więc!

Wojna została zatem przeniesiona do Arwernii. Ale nastrój wojska i ludu był teraz zgoła inny niż wówczas, gdy po przejściu Sewennów przez Cezara jego przednie straże rozbiegły się po kraju. Byliśmy wtedy tak tym zaskoczeni! Zresztą mieliśmy naonczas jeszcze wojsko źle zorganizowane, mniej liczne niż obecnie i grody nie przygotowane do obrony. Teraz zaś, jeśliśmy odstępowali, to z dobrym sześćdziesięciotysięcznym wojskiem i po to jedynie, aby na upatrzonych zawczasu wzgórzach zająć dogodne do obrony pozycje. Zaznajomiliśmy się z niepowodzeniem i w tej ciężkiej próbie zahartowały się nam serca.

W kilka dni później staliśmy obozem już na zboczu góry Gergowii. Ta góra, sławna odtąd w dziejach Galii, wznosi się na tysiąc dwieście stóp nad poziomem równiny, tworząc u szczytu obszerne płaskowzgórze, rozciągające się na tysiąc pięćset kroków z zachodu na wschód i sześćset kroków z północy na południe. Na tym to właśnie płaskowzgórzu leży słynne z niedostępności *oppidum* Arwernów – Gergowia. Otaczał ją dokoła mur wysoki na dwanaście stóp, a szeroki na dziesięć, zbudowany zwyczajem galijskim z ogromnych grubych kłód drzewa, poukładanych w kratę z wmurowanymi w przerwach kamieniami. W murze, który chronił Gergowię, były to naturalnie kamienie przetopione i przekute niegdyś w kuźniach podziemnych, przeważnie więc czarne jak smoła albo czerwonawe jak odblask żarzących się jeszcze węgli, toteż widok tej wysokiej ciemnej ściany, przerywanej gdzieniegdzie wieżami z kamienia takiejże barwy, czynił wrażenie ponure i groźne. Poza tym murem zebrały się niezmierne tłumy ludu – cała prawie ludność Arwernii wschodniej oraz znaczna część ludu Biturygów szukała tam schronienia. Za pomocą skleconych naprędce lepianek z gliny i słomy lub też chałup zbudowanych z dużych odłamów skał bazaltowych i brył lawy dostarczono jakoś wszystkim dachu nad głową, rozszerzając granice miasta do rozmiarów prawdziwie olbrzymich. Donosił się też stamtąd ustawicznie szum złożony z tysiąca różnych odgłosów, zlewających się ze sobą w jakąś dziwną harmonię, która przypominała mi szum fal oceanu, uderzających o piaszczyste wybrzeże. Płaskowyż, na którym wznosi się Gergowia, wcale nie przedstawia równej powierzchni, lecz jest przecięty wyrwą głęboką, parowem prawie, nazwanym przez nas Parowem Lawy, który się ciągnie z północy na południe. Część wschodnia i zachodnia miasta, które zbudowane jest na płaskowyżu, wznoszą się na obu zboczach parowu na kształt amfiteatru, wskutek czego widok z jednej roztacza się na drugą. Obecnie takie niezmierne mnóstwo domów i lepianek pokrywało obie te pochyłości, że dla patrzącego ze środka grodu światełka świecące z okien chałup na krańcach płaskowzgórza zlewały się ze światłem gwiazd – i trudno było nawet rozpoznać, gdzie kończyły się mieszkania ludzkie, a zaczynał firmament.

Dla uniknięcia nadmiernej ciasnoty i zachowania lepszego porządku w wojsku Wercyngetoryks armię rozlokował poza murami miasta, na południowym zboczu góry, z tej strony bowiem oczekiwaliśmy Rzymian. W połowie zbocza wzniesiono za jego rozkazem sześciostopowej wysokości nowy mur z kamienia, cały w zakrętach i występach zależnych od nierówności gruntu, i w ten sposób pomiędzy ścianami oppidum, a tym nowym murem rozciągało się nasze miasto wojskowe – równie prawie obszerne jak i tamto – w którym staliśmy podzieleni według plemion. Każde miało swój obóz, ogrodzony i zaopatrzony w bramy, pilnowane przez straż, w obozach zaś konnica, piechota oraz strzelcy zajmowali podług zarządzenia Wercyngetoryksa osobne kwatery. Namiot *Pen-tierna* wznosił się pośrodku obozu wojsk arwerneńskich i my, naczelnicy, co ranka musieliśmy tam się udawać z raportami. W mieście wojskowym znacznie było ciszej i panował lepszy porządek niźli w tamtym, u

szczytu, gdyż żołnierzom nie wolno było przebyć bram miasta ani wrót w tym drugim, sześciostopowym murze bez specjalnego pozwolenia władzy, posiadając je zaś nawet – jeszcze trzeba było dać hasło straży i pokazać jej tesserę z ołowiu.

Tam to nauczyłem się cenić spryt i zaradność naszych Paryzów. Inni siedzieli jeszcze bezczynnie i pościli, czekając na swe porcje żywności, gdy tymczasem moi ludzie nieraz byli już po obiedzie, a przynajmniej zdążyli podwiesić kotły nad ogniskami, nakopać korzonków, przynieść świeżej wody ze źródeł i postawić do gotowania ćwierci mięsa. Paryzowie gościnnie karmili swych kolegów z sąsiednich obozów, lecz – muszę to ze wstydem wyznać – nie krępowali się tak znów bardzo, aby nie porywać niekiedy u nich tego, co im mogło być potrzebne; toteż mieliśmy zawsze wszystkiego pod dostatkiem, gdy w innych obozach uskarżano się na skąpstwo kwestorów. Dlatego więc obóz paryski stał się miejscem zebrań dla każdego, kto tylko lubił pogawędzić wesoło, posłuchać ciekawych historii, popatrzeć na figle psów uczonych, niekiedy potańczyć, a i bardowie chętnie schodzili się do nas – pewni, że znajdą zawsze miłe przyjęcie, chętnych słuchaczy i dobrą w dodatku wieczerzę.

Góra Gergowii nie jest niedostępna zewsząd; od północy spada ku równinie szeregiem łagodnych zboczy, pomiędzy którymi to tu, to ówdzie wznoszą się pojedyncze występy skał. Z tej więc strony nieprzyjaciel, chowając się poza nimi i w licznych zagłębieniach gruntu, mógłby zbliżyć się niemal niepostrzeżenie ku naszym szańcom. Zanim jednak doszedłby do podnóża góry, musiałby zrobić ogromny przemarsz po otwartej równinie i nasze placówki, stojące wysoko, byłyby go dostrzegły już z daleka. Ze strony zachodniej góra Gergowii, z wyjątkiem małego występu skalnego w kształcie ostrogi, na którym nawet koza nie byłaby mogła się utrzymać, ścięta jest tak ostro jak toporem pozostaje więc zupełnie niedostępna; ze wschodu zaś tworzy coś, jak gdyby przedłużenie płaskowzgórza szczytowego, tylko niższe znacznie i oddzielone odeń parowem głębokim i zadrzewionym. Na dnie tego parowu, jak powiadają Arwernowie, zbierają się czarownice na uczty nocne. To przedłużenie szczytowego płaskowzgórza Gergowii nazywaliśmy Skałą Dębów. Zbocze południowe, służące nam za miejsce obozowiska, spada z początku dość stromo, następnie zaś, w połowie góry mniej więcej, przechodzi w łagodniejszą pochyłość, przecina zaś je, tak samo jak miasto, dalszy ciąg owej wyrwy, wyżłobionej czy to przez wody, czy też może przez wylewy wulkaniczne w czasach dawnych. Z tejże południowej strony w pobliżu góry Gergowii wznoszą się dwa nieduże wzgórza, które ściągnęły uwagę naszego wodza. Jedno z nich, całe z białych skał wapiennych, pokrytych gliną, o ścieżkach, które po deszczu stawały się lepkie i śliskie, znajdowało się w rzeczy samej zbyt blisko od nas, abyśmy nie mieli go opatrzyć załogą. Nazywaliśmy je Białą Skałą. Drugie zaś, zwane Puy Noir, czyli Czarny Wierch, był to szczyt skalny niewielkich rozmiarów, lecz, co ważne, niezmiernie stromy, omal niedostępny, *z* tego też powodu mógłby, jak się zdaje, wcale nie być brany pod uwagę. Jednakże *Pen-tiern* kazał i tam pozostawić obozem trochę wojska.

Z wysokości murów Gergowii rozpościerał się wspaniały widok. Na północ widać było obszerne równiny, kończące się aż na linii horyzontu, usiane to tu, to ówdzie stożkami gór wulkanicznych. Z tych najbliższa, Mont Rougeux, dziwnie przypomina kształtem hełm– i to nawet hełm galijski, szczyt bowiem tej góry tworzył coś w rodzaju grzebienia. Ze wschodu błękitniało czystym lazurem duże jezioro o powierzchni gładkiej i połyskującej jak zwierciadło z polerowanej stali. Poza tym jeziorem, niby skręty węża o srebrzystej łusce, to ukazywała się, to znikała sprzed oczu pośród drzew rzeka Allier. Od południa zasłaniała nam nieco horyzont góra; wysuwając się od zachodu, wydłużała się w kształt miecza, u którego ostrza jak kropla krwi świeciła czerwonymi dachami wioska. Naprzeciw niej wznosiła się masa szczytów górskich, piętrzących się coraz to wyżej i wyżej, które wyglądały jak jakieś stado bydła olbrzymich rozmiarów. Lecz ku zachodowi zwracały się głównie spojrzenia Arwernów, tam bowiem wznosi się ich święta góra, Puy Dumien, w pośrodku łańcucha innych gór mniejszych, lecz tak podobnych do niego, jak gdyby to były jego dzieci. W różnych porach dnia, o

południu, wschodzie lub zachodzie słońca – Puy Dumien, który dumną głowę kryje aż w obłokach, przybierał coraz to inne barwy – iż tych różnych wyglądów jego Arwernowie snuli wróżby o pogodzie, ba! nawet o przyszłych losach wojny. Wieczorami wyciągając ku niemu obnażone miecze śpiewali hymny, zwąc go podnóżkiem bogów, ojcem gór, osią świata, i wielkim głosem wzywali pomocy Luga, który mieszka na jego szczycie. W noce pogodne widać było z daleka świecące tam ognie stosów ofiarnych. Lecz w te dni marcowe miewaliśmy często mglistą pogodę i wówczas Puy Dumien z całym łańcuchem gór – swych dzieci – skrywał się przed naszym wzrokiem. Gdy zaś wiosna poczęła zwyciężać zimę, przewalały się częste burze, ale to burze tak okropne, z takimi straszliwymi ognistymi biczami błyskawic, bezlitośnie siekących niebo, z takimi grzmotami i piorunami, których odgłos potęgowały po stokroć echa, zdające się być głosami bogów podziemnych, że chwilami czekało się wprost, czy samo sklepienie nieba nie runie nam na głowy, a góry nie zapadną się w łono ziemi. Nigdym dotąd nie widział burz podobnych – i kto nie słyszał grzmotu w Arwernii, nic nie słyszał.

W pięć dni po naszym przybyciu na górę Gergowii ujrzeliśmy już wysuwające się z zarośli nad brzegiem Allieru pół tuzina jakby wężów o łusce stalowej. Były to naturalnie legiony Cezara. Ponieważ konnica, jak zwykle, wyprzedzała piechurów, postanowiliśmy więc iść jej naprzeciw. Natychmiast więc nasza konnica zbiegła w dół na równinę, gdzie nastąpiło starcie, a raczej szereg świetnych pojedynków. Między innymi i ja też skrzyżowałem wówczas po raz pierwszy miecz z jeźdźcami rzymskimi, iberyjskimi i afrykańskimi. Ci o twarzach barwy brązu i dziko błyskających spod białych kapturów czarnych oczach, w szerokich, rozwiewających się z wiatrem białych płaszczach, nalatywali na nas jak huragan, przy czym konie ich w ataku chrapały i biły kopytami w powietrzu, stając dęba. Lecz przy bliższym poznaniu Afrykańczycy okazali się nie tak znów straszni, jakby się to na razie zdawać mogło, i nie dając się zatrwożyć ich chrapliwymi wrzaskami, potrafiliśmy nie bez powodzenia parować ich ciosy i zanurzać miecze w te piersi nie okryte żadną zbroją. Między konnicą rzymską znajdowały się także oddziały wojsk sprzymierzonych galijskich. Zauważyliśmy jednak, że te zbliżając się do nas i przesuwając się prawie tuż przed naszymi mieczami, czyniły zawsze półzwrot i następnie rozpraszały się raptem z głośnymi okrzykami na lewo i prawo, jak gdyby przemocą zmuszono je do ucieczki. Najwyraźniej nie mieli chęci do walki z braćmi.

Rzymianie rozłożyli się obozem pomiędzy jeziorem a rzeką i natychmiast brzęk łopat żelaznych i motyk o grunt kamienisty dał nam znać, że kopią fosy i sypią szańce. Do wieczora obóz obronny był gotów i Rzymianie mogli się udać na spoczynek bezpieczni pod osłoną swych szańców. Cezar nie życzył sobie zbliżać się zanadto do nas, pomiędzy swym obozem bowiem a górą Gergowii pozostawił dobre dwa tysiące kroków. Nazajutrz o poranku na szańcach obozu rzymskiego ujrzeliśmy przechadzających się kilku ludzi w płaszczach purpurowych i hełmach z pióropuszami, którzy zwróceni w stronę naszego grodu rozglądali się pilnie dokoła, robiąc sobie z rąk daszki nad oczami, by lepiej widzieć albo też może, aby osłonić nieco oczy od blasku słońca. Z postawy ich i zachowania się nietrudno było odgadnąć, że są zmieszani. Być może, byli trochę zdziwieni wysokością pozycji naszego miasta, zawieszonego jak orle gniazdo prawie tuż pod obłokami, a w dodatku zaskoczyło ich mnóstwo wojów naszych, uszykowanych w porządku na zboczu góry. Widok Skały Dębów, Białej Skały i Czarnej, najeżonych naszymi dzidami, także dawał zapewne do myślenia. Powoli obeszli dokoła okopy, przystając co chwila i zdając się naradzać, przy czym ich wielkie pióropusze chwiały się im na głowach przy każdym ruchu.

– A co, kochaneczku?... – mówił śmiejąc się Wergassilaun do Cezara, jak gdyby ten mógł go usłyszeć. – Ten orzech będzie twardszy do zgryzienia niż Avaricum, co? Możesz sobie pościć w okopach, ile ci się podoba – nie Eduowie dostarczą ci żywności, to pewna! My zaś tu mamy łączność z najbogatszymi krajami Celtyki i dostaniemy wszystkiego do woli. A może chcesz spróbować szturmu na tysiąc dwieście stóp wysokości?... Ostrożnie, bo ze wzburzonym Allierem za plecami to nie żarty!

Przez cały ten pierwszy dzień Rzymianie nie wychodzili wcale spoza szańców obozu. Natomiast noc, która nastąpiła po nim, należała do najniespokojniejszych. Gdyśmy spali w najlepsze, zawinięci w *karakalle*[22], z nogami zwróconymi ku ogniskom, nagle straże zatrąbiły na trwogę. Daleko, w dole, w głębi parowu, który dzielił nas od Białej Skały, słychać było odgłosy walki, wołania rozpaczy, okrzyki zwycięstwa. Próżno jednak wypatrywaliśmy oczy w ciemność. Wkrótce ukazało się w obozie kilkunastu naszych z Białej Skały z bronią połamaną. Byli pokryci krwią i błotem, zmieszanymi ze śniegiem, zadyszani wskutek szybkiego wspinania się na górę. Okazało się, że Cezar pod osłoną nocy wdarł się na Białą Skałę, zaskoczył znienacka naszą małą załogę i pozrzucał ją w przepaście. Nazajutrz na wzgórzu tym ujrzeliśmy drugi obóz rzymski, mniejszy co prawda od pierwszego, lecz już otoczony fosami i szańcami, a zaopatrzony w dwa legiony załogi. Podczas dnia wytknięto nowe linie szańców od jednego obozu do drugiego na przestrzeni dwóch tysięcy pięciuset kroków. Niebawem ujrzeliśmy wyrzucaną w powietrze łopatami ziemię, którą wydobywali niewidzialni dla nas pracownicy. Poza tymi szańcami utworzyła się głęboka fosa, za nią druga linia szańców – i znowuż fosa. Rzymianie mogli przechodzić tą drogą z dużego obozu do małego i odwrotnie, nie zauważeni przez nas, szańce bowiem usypano tak wysokie, że sięgały szczytów ich hełmów i nawet odblask broni nie ujawniał ich przed naszym wzrokiem. Było to jak gdyby długie ramię. Cezar wyciągnął je groźnie w naszą stronę ze swego obozu – i to z zaciśniętą pięścią u końca, którą stanowił ten drugi obóz na Białej Skale. W ten sposób jedna strona naszego obozu została zagrodzona, lecz trzy inne pozostawały wolne i zwłaszcza od strony północnej mogliśmy nawet, zgoła niewidzialni dla Rzymian, robić wycieczki po żywność i furaż lub też schodzić po wodę. Rozumie się, że nie daliśmy nieprzyjacielowi spokojnie pracować przy jego robotach ziemnych. Zasypywaliśmy ich ustawicznie gradem strzał i pocisków, niejednokrotnie też psuliśmy im całą tę ich pracę, wypadając niespodzianie z naszego obozu i przewracając wały ziemi znów do fos. Lecz Rzymianie obrali taktykę – nie bronić się wcale. I gdy widzieli zbliżającą się naszą wycieczkę, po prostu porzucali swą robotę i cofali się do obozów. Gdy jednak znów słońce wzeszło, przekonywaliśmy się, że cała szkoda, którąśmy im wyrządzili, cierpliwie i systematycznie naprawiona była nocą.

Rozdział V

LITAWIK

Pewnego ranka zauważyliśmy jakieś szczególniejsze ożywienie w obu obozach rzymskich, pomiędzy którymi ustawicznie przebiegały sztafety i wymieniano sygnały.

– Coś nazbyt wielu żołnierzy stoi tam na warcie – oświadczył Wergassilaun. – Jest to bez wątpienia wybieg i właśnie dziś musi być mniej wojska w obozie. Co u licha Cezar mógł przedsięwziąć tej nocy? A gdyby tak pomacać im tętno...

Wercyngetoryks zezwolił na małą wycieczkę, mającą na celu odzyskanie Białej Skały. Próba nie powiodła się, gdyż ludzie i konie ślizgali się po tej przeklętej białej glinie arwerneńskiej, rozmiękłej od deszczu, co ułatwiało zadanie obrońcom. Rzymianie zaś z drugiego

[22] Wełniane płaszcze galijskie.

obozu, ku naszemu zdziwieniu, wcale nie przyszli z pomocą swym towarzyszom, zadowalając się tylko wysłaniem ku końcowi starcia drobnego oddziału w ową drogę między obozami. Ujęliśmy zeń kilku jeńców i przyprowadziliśmy ich do namiotu Wercyngetoryksa, który przyrzekł im darowanie życia, jeśli będą mówili prawdę, a kaźń najokrutniejszą, jeśli się wyda, że skłamali.

– Gdzie jest Cezar? – zapytał.

– Wyjechał w górę Allieru, biorąc ze sobą cztery legiony. Powiadają, że poszedł naprzeciw tym dziesięciu tysiącom Eduów, które przyprowadza ze sobą Litawik.

– Co mówią w obozie o kraju Eduów?

– Zdaje się, że tam rzeczy niedobrze się mają. Jedni mówią, że Litawik miał namawiać do buntu swój oddział; inni, że Cezar kazał zabić Eporedoryksa i Wirydomara, których ma ze sobą w obozie; jeszcze zaś inni zapewniają, że to plotka puszczona przez Litawika.

Niepodobna się było dowiedzieć od jeńców czegoś więcej. Lecz tegoż dnia wieczorem u stóp góry od strony północnej rozległ się dźwięk trąbki galijskiej, wywołano imię Litawika i niedługo naczelnik eduski wszedł do naszego obozu ze swym oddziałem.

– Nie udało mi się! – rzekł na wstępie do Wercyngetoryksa. – Chciałem ci przyprowadzić całe dziesięć tysięcy naszego wojska, przywodzę zaś tylko trochę mych osobistych podwładnych i klientów. A sprawę przygotowałem tak dobrze!... O dwadzieścia pięć tysięcy kroków stąd zatrzymałem mych ludzi i opowiedziałem im, że Eporedoryks i Wirydomar dali głowy pod topór w obozie Cezara z jego rozkazu. Uwierzono mi tym łatwiej, że świeże jest jeszcze u nas wspomnienie śmierci Dumnoryksa i doprawdy parę zbrodni więcej łatwo mogłem przypisać Cezarowi! Moja powiastka znalazła zupełną wiarę. Eduowie płakali łzami wściekłości, błagając mnie, abym pomścił krew ich braci, gdy nagle kogóż widzę?... Cezara we własnej osobie na czele czterech legionów! On ze swej strony także występuje z przemową. Nikt mu nie wierzy. Wówczas każe wyjść naprzód ze swego wojska... komu?... Eporedoryksowi i Wirydomarowi!.... Głupcy!.... trzeba też im było nie umrzeć naprawdę!.... Naturalnie nie czekałem końca tych tłumaczeń i wyjaśnień, tylko dałem hasło najbliższym, wydostałem się w pola – i oto jestem. Przebacz, że wynik nie odpowiada mym dobrym chęciom!

– Bądź nam miłym gościem w Gergowii, szlachetny Litawiku! – odpowiedział młodemu Eduowi wódz galijski. – Nie mierzę dobrych chęci ich wynikiem, ani też męstwa powodzeniem.

– Sądzę zresztą – dodał przybyły – że nie wszystko skończone. Po wysłuchaniu bowiem mego opowiadania każda turma konnicy wysłała gońców do kraju, aby poderwać przeciwko Rzymianom wszystkie nasze ziemie; ba! moi zostali tam wysłani przedtem jeszcze... Cezar przewiedziawszy się o mych zamiarach myśli zapewne, że od jednego zamachu podciął od razu skrzydła mej dzikiej kaczce. A tymczasem ta ptaszyna jeszcze leci, leci, leci poprzez wszystkie nasze miasta i wioski!...

– A cóż Kot i Konwiktolitan:

– Kot? Gryzie swe wędzidło z wściekłością od czasu, gdy Cezar kazał go złożyć z urzędu *vergobreta;* Konwiktolitan zaś oburza się, jeśli mu się przypomina, że winien jest Cezarowi wyniesienie, gdyż wyobraża sobie, że zawdzięcza je własnym zaletom.

– Mówisz, że Cezar miał ze sobą cztery legiony?

– Tak jest! porachowałem ich orły i chorągwie.

– Mamy więc przed sobą dwa legiony tylko. Jest to sposobność, z której należy skorzystać. Przyjacielu Litawiku, dla uczczenia twego przyłączenia się do nas przypuścimy jutro szturm do obu obozów rzymskich i ty poprowadzisz jedną z kolumn!

Nazajutrz o świcie zeszliśmy na równinę. Na Białą Skałę wykonaliśmy tylko pozorny atak dla zmylenia czujności wroga i zadowoliliśmy się jedynie poprzewracaniem tam koszów szańcowych, wszystkie zaś nasze siły skupiliśmy przeciwko głównemu obozowi i ten był już bliskim – ach! tak już bliskim zdobycia, gdy nagle od strony Allieru rozległy się trąbki legio-

nów, które wracały marszem pośpiesznym, poprzedzane konnicą latyńską i eduską. *Pen-tiern*, który z wysokości Gergowii kierował walką, widząc to, dał sygnał do odwrotu. przynieśliśmyd nia tego ze sobą do obozu sporo naszych wojowników rannych, zabitych lub takich, którym niewiele się już należało. Lecz mimo to zapał w naszych szeregach wzmógł się raczej. Mieliśmy sposobność powąchać zdobycz już tak z bliska!... tak z bliska widzieliśmy już zwycięstwo! W smutnym obrzędzie oddania ziemi ciał naszych poległych pociechą było dla nas widzieć z wysoka, że i Rzymianie byli zajęci tym samym. Zauważyliśmy, że ciała swych wojskowych wyższego stopnia, centurionów i trybunów, spalali na stosach, pospolitych zaś żołnierzy grzebali jak i my wprost w dołach. Myślę, że nasze miecze, dzidy i włócznie na dwadzieścia tysięcy żołnierzy rzymskich nie pozostawiły nawet dwunastu tysięcy bez ran, łucznicy i procarze zaś pokazywali nam swe kołczany i koszyki do kul zupełnie puste – a wszystkie te pociski nie mogły przecie pójść na marne. Pod Litawikiem ubito dwa konie z kolei, kopia rzymska strzaskała się na jego pancerzu stalowym, dziryt zrzucił mu hełm z głowy, strzała przeszyła mu ramię i tarcza jego tak najeżona była grotami, jak kolcami skóra jeża. Lecz młody naczelnik eduski promieniał radością i zapewniał nas, że mu się to daleko więcej podoba niźli nudne rozprawy senatu w Bibrakte... Mimo też zmęczenia i bólu od rany, którą zresztą jeden z druidów z Puy Dumien zaczarował mu zaraz, kazał pozostawić swój namiot otwarty na całą noc, aby natychmiast móc przyjąć każdego posłańca, który by nadbiegł z kraju.

Istotnie też o poranku miał już nowiny.

– A co, czyż nie mówiłem? – oświadczył radośnie Wercyngetoryksowi. – W Cabillon zabijają kupców rzymskich, w Noviodunum zaś zagarnięto zakładników Cezara, którzy stali się w ten sposób naszymi zakładnikami – toteż będziemy mieli pewność, że się ich ludy do nas przyłączą!

W parę dni później miał znowu wiadomości.

– Nie dziw się – rzekł do *pen-tierna* – jeśli posłyszysz o senatorach eduskich, którzy przybędą do obozu Cezara, aby tłumaczyć mu rzeź w Cabillon jako proste nieporozumienie. W gruncie rzeczy mój lud sam nie wie, co ma czynić: jedni go popychają do powstania, inni znów upierają się przy zgodzi z Cezarem!... Lecz już za późno, gdyż krew Rzymian z Cabillon padła pomiędzy nim a nami. Wino otwarte – trzeba je wypić! Bibrakte musi znaleźć się w naszych rękach, Lecę tam zaraz i przyprowadzę ci stamtąd, zobaczysz, ze czterdzieści tysięcy wojowników!

– A te dziesięć tysięcy twych rodaków, które Cezar obecnie ma w swym obozie? Przecie to także pewnego rodzaju zakładnicy.

– Et! Znajdą sposób, aby się jakoś wykręcić! Sami się rzucili w paszczę wilka, niechże się stamtąd wydostają. Nie skazuje się przecie na śmierć tak znów łatwo dziesięciu tysięcy ludzi. A przy tym Cezar może nawet nie zna całej prawdy. Teraz bowiem wiadomości z trudem tylko mogą go dochodzić, gdyż wszystkie drogi ma przecięte poza sobą... Wyjeżdżam... Zobaczycie mnie wkrótce z powrotem!

Rozdział VI

PORAŻKA ORŁÓW RZYMSKICH

Odkąd się rozpoczęło powstanie u Eduów, chodziło nam już o to tylko, aby się utrzymać tu jeszcze czas jakiś, wzburzenie bowiem ludów nad Loarą i Saoną powinno było zmusić Cezara, aby cofnął się do Prowincji. Jedynie chyba jakaś niespodziana przygoda w rodzaju tej, która się zdarzyła z Białą Skałą, zacieśniając pierścień oblężenia dokoła nas, mogłaby uczynić naszą pozycję nieznośną. Toteż wódz nasz zaraz po wyjeździe Litawika zwołał naradę wojenną, na której nam powiedział:

– Strata Białej Skały jest wypadkiem bardzo przykrym. A można go było uniknąć, gdyby załoga, którą tam pozostawiłem, zastosowała się natychmiast do mego rozkazu umocnienia tego wzgórza. Czyż nie zrozumiecie nigdy, Celtowie i Bolgowie, że w czasie wojny łopata i rydel w rękach wojownika są takimże zaszczytnym narzędziem, jak miecz i dzida? Dlaczego woje galijscy nie mogliby wykonywać takich prac, jakich się podejmują legioniści rzymscy? Ale już się stało. Postarajmy się teraz zawczasu, aby zajęcie znowuż jakiej innej pozycji przez Rzymian nie zwęziło naszej łączności z pozostałym krajem. Nie obawiam się o Puy Noir lub Mont Rougeux – są zbyt wysokie. Lecz patrzcie na tę Skałę Dębów. Jest wcale blisko od nas i gdyby Rzymianie zawładnęli nią, komunikacja przez przedzielający nas od niej parów byłaby przerwana. W takim wypadku Cezar miałby widok nawet na wszystkie cztery strony naszej twierdzy. Tejże nocy, a raczej o wczesnym brzasku dnia, należy zająć tę górę i wznieść tam mur obronny – jak ten oto tutaj. Ale żeby wykonać pracę prędko, trzeba dużo ramion. Zabierzmy się do tego wszyscy razem, załatwimy to najwyżej w dziesięć godzin. Naturalnie, należy pracować w zupełnej ciszy ukrywając się poza drzewami, aby Rzymianie nic nie podejrzewali.

– A jeśli skorzystają z naszej nieobecności, aby przypuścić szturm do miasta? – wtrąciłem. – Zobaczą przecież, że nie ma nikogo w naszym obozie!

– Pozostawię tu umyślnie część żołnierzy, aby się kręcili po zboczu góry dla zmylenia Rzymian – odparł Wercyngetoryks. – Nasze obozowiska pozostaną przy tym na zwykłym miejscu, a trudno byłoby Rzymianom wiedzieć, co się dzieje wewnątrz. Za pierwszym zaś alarmem straży powrót zajmie nam tylko chwilę czasu, gdyż będziemy tuż blisko...

Propozycja została przyjęta przez wszystkich i rozeszliśmy się, aby się przespać kilka godzin. Nazajutrz już dłuższy czas byliśmy zajęci na Skale Dębów, gdy nadbiegł posłaniec z Gergowii i rzekł do *pen-tierna*:

– W obozach itlaskich panuje szczególniejsze ożywienie i nawet, jak się zdaje, czyni się tam więcej hałasu, niżby to było naturalne. Ich trąbki i surmy nie przestają dźwięczeć. Spoza szańców usypanych obok ich podwójnej fosy widać, jak się przesuwają z wielkiego obozu do małego pióropusze hełmów – i kilka kohort wymaszerowało gdzieś w porządku ze sztandarami.

Z tego miejsca na Skale Dębów, gdzieśmy się właśnie znajdowali, nie było widać ani naszych obozów, ani rzymskich. Przeszliśmy więc na drugą stronę wzgórza i ujrzeliśmy stamtąd, iż mały obóz, jak poruszone kijem mrowisko, pełen był biegających z pośpiechem tam i sam żołnierzy rzymskich.

– Cóż to się dzieje? – pytaliśmy jeden drugiego. – Czyżby miano do Białej Skały przepuścić szturm? Może to już Eduowie?...

Nagle widzimy, że z małego obozu po stromych i śliskich ścieżkach tego wzgórza schodzi cały legion z chorągwiami, z błyszczącymi trąbami swej orkiestry na przedzie, z orłem złotym wysoko a majestatycznie płynącym w powietrzu ponad szeregami – i maszeruje w kierunku zachodnim, aby po chwili zająć pozycję u stóp Puy Noir. daje się, jak gdyby chcieli ukryć się tam poza drzewami lasku.

– Cóż to jest?... Czyżby chcieli zająć Puy Noir? Trzeba więc nam rzucić się tam całą masą!

Ale oto znów ku południowemu zachodowi, u stóp tej góry w kształcie miecza, rozwija się niespodzianie po równinie ogromna masa konnicy.

Ależ oni chcą okrążyć Skałę Dębów – rozległy się głosy – bez wątpienia od strony południowej! Gdy zajmą parów, będziemy odcięci od grodu! Nie możemy przecie dać się zamknąć! Przeciwnie, niech Cezar przychodzi – zostanie dobrze przyjęty! Nie podejrzewa, żeśmy tu tak liczni!

– A czy nie lepiej byłoby zaskoczyć go raczej niespodzianie na zakręcie drogi, spadając nań z góry jak jastrząb?

– Nie! Trzeba nań tu zaczekać i zaatakować, gdy się znajdzie uwięziony z wojskiem w parowie!...

Tak sprzeczali się gorąco i rozprawiali naczelnicy. Jeden Wercyngetoryks tylko milczał, pogrążony w zadumie.

– Widzę – rzekł w końcu – jeden legion pod Puy Noir i jeden na Białej Skale; lecz gdzie są cztery inne? Dlaczego taki ostentacyjny hałas trąb? Cezar lubi wykonywać ataki cichaczem i niespodzianie... Czemu ci żołnierze pokazują się nam jak gdyby umyślnie i również widocznie się chowają?... Bodajże to jest pozorny atak, a prawdziwy gotuje się gdzie indziej!

– Oczywiście – odezwałem się nagle. Mając bowiem wzrok niezmiernie ostry zauważyłem już od pewnego czasu coś szczególnego w tej masie konnicy, która tak szumnie i wspaniale sunęła w dali po równinie, słowa zaś wodza rozjaśniły mi zupełnie w głowie. – Spójrzcie tylko, czyż to są jeźdźcy rzymscy?.... Jedni jadą zgarbieni, pochylając się prawie aż na szyje końskie, inni znów odchylają się w tył więcej, niż należy... I, na Kamula!... Dużo tych rumaków ma uszy nazbyt długie!

Wszyscy poczęli teraz wpatrywać się pilnie w ową domniemaną konnicę.

– Życie stawię o zakład, że tam jest więcej mułów niż koni i pachołków niż żołnierzy! – zawołałem. – *Pen-tiernie!* To jest pułapka! Baczność!

– Do Gergowii – rozkazał krótko Wercyngetoryks.

W tej chwili od strony Gergowii nadjechał w pełnym galopie król Nicjobrygów, Teutomat, bez broni, nagi do pasa.

– Rzymianie szturmują miasto! – wołał z daleka. – Zaskoczyli nas przy posiłku południowym! Miałem tylko czas, półnagi, skoczyć na konia, aby pędzić co tchu do was. I patrzcie – w zadzie końskim sterczy strzała!

Gdy mówił, zgiełk pomieszanych głosów począł dochodzić nas z grodu i z południowego zbocza góry Gergowii; z zachodniej zaś strony miasta, to jest tej, która była zwrócona do nas, spostrzegliśmy ludzi spuszczających się na długich sznurach w dół. Ci, którym udało się nie połamać sobie kości w upadku, zrywali się szybko i pędzili ku nam, z dala już dając znaki rękami. W mgnieniu oka my, jeźdźcy, byliśmy już na koniach i pogalopowaliśmy po dość stromych ścieżkach wzgórza, prawdziwie na złamanie karku. I oto jaki widok uderzył nasze oczy, gdyśmy ujrzeli przed sobą na zakręcie drogi górę Gergowię w całej jej okazałości: południową pochyłość pokrywało morze hełmów stalowych, nasz mur sześciostopowy cały był pokryty mrowiem żołnierzy rzymskich, którzy to wdrapywali się nań z pośpiechem, to zeskakiwali, powyżej zaś – u stóp ścian samegoż grodu – cisnęli się tak gęsto, że ziemi i murów nie było widać pod nimi. W niektórych miejscach tworzyli „żółwią łuskę" ze swych tarcz, wznoszących się na kształt piramidy, to znów gdzie indziej wisieli jak gdyby gronami u ścian miasta, tojąc jedni na ramionach drugim i czepiając się rękami szczytów muru. Pod osłoną lasu

pila, czyli kopii rzymskich, niesiono długie drabiny i pomimo gwaru słychać było głośne uderzenia toporów o bramy z brązu oraz głośne zawodzenia niewiast, zamkniętych w murach miasta. Gdzieniegdzie rozlegały się już nawet dzikie okrzyki triumfu... Z wielkiego zaś obozu rzymskiego wychodziły wciąż nowe a nowe kohorty, biegiem zdążając ku górze i wspinając się na nią – i to morze żelaza, wznoszące się jak gdyby w chwili przypływu, zatrzymywało się na krótko przed tamą w postaci owego muru sześciostopowego, następnie wzburzone fale jego podnosiły się wyżej jeszcze, zalewały przeszkodę i poczynały bić o ściany miasta.

Rozróżniałem doskonale zagłębienie wyrwy, przecinające południowe zbocze góry, i z tej strony zagłębienia, od Skały Dębów na uboczu, nieco poniżej muru, cały legion rzymski, który stał bezczynnie w doskonałym porządku, pewnie jako rezerwa, mając na czele wysuniętą dość znacznie naprzód, widoczną na występie góry grupę naczelników zapewne, wszyscy bowiem nosili czerwone płaszcze i wielkie pióropusze u hełmów. Lecz zobaczyłem to wszystko w krótszym przeciągu czasu, niżeli zdołam opisać – ba! niźli go nawet było trzeba, aby zebrać w garści wodze wierzchowca i ścisnąć mu boki ostrogami. Nie patrząc, ilu towarzyszów jedzie za mną i nawet czy kto jedzie w ogóle, popędziłem jak wiatr wprost na ową grupę płaszczów purpurowych i niebawem spadłem jak piorun na nią, a zwłaszcza na tego z ich naczelników, który z głową obnażoną stał cokolwiek na przedzie. Przewróciłem z impetu jego konia, uderzając go silnie w bok i równocześnie pochwyciwszy w oba ramiona tego jeźdźca wyrwałem go z jego siodła i położyłem w poprzek mego, a trzymając mocno obie jego ręce w mej lewej dłoni przygotowywałem się już przebić go własnym jego mieczem, który w tej pozycji łatwiej mi było wydobyć niźli mój własny. Jego towarzysze w płaszczach purpurowych, oszołomieni na chwilę gwałtownością mego niespodzianego ataku, zwrócili zaraz konie na mnie wszyscy razem, usiłując mi wyrwać z rąk jeńca i krzycząc mi coś, czego z powodu zgiełku nie mogłem nawet zrozumieć. W mgnieniu oka nadbiegli też i żołnierze z legionu i dokoła mnie utworzył się ścisk, tłok, zamęt i hałas nieopisany. Dziwiło mnie, że nikt nie zadał mi ciosu *pilum* lub mieczem; tłoczono się tylko dokoła mnie, wieszano u wędzidła mego konia, u jego i moich nóg, bito mnie drzewcami kopii, przede wszystkim zaś starano się na wszelkie sposoby odebrać mi zdobycz. Pomimo tylu usiłowań nie wypuściłem jej z rąk, jakkolwiek w tych warunkach niepodobna mi było zabić jeńca; co więcej, poczęto nas, to jest mnie, mego konia i moją ofiarę, szarpać, trącać i szturchać na wszystkie strony, gdy nasi jeźdźcy galijscy, którzy niebawem nadjechali za mną, rzucili się z boku na tę ciasno splątaną ze sobą grupę, której stanowiłem środek. Rozumie się, że w końcu obalono mnie razem z koniem na ziemię i natychmiast pokryły mnie ciała zabitych i rannych, tak iż czułem krew, zalewającą mi twarz i usta, a oddechu poczynało mi braknąć.

Zdawało mi się, iż wciąż trzymam ręce jeńca w swej lewej dłoni; lecz gdy mi się ostatecznie udało wydostać spod stosu przykrywających mnie ciał, przekonałem się, iż ów naczelnik rzymski w purpurowym płaszczu znikł, uniesiony zapewne przez swych wiernych.

Rozejrzałem się dokoła. Przede mną widać było tylko naszą galijską konnicę, galopującą w pogoni za uciekającymi Rzymianami; dokoła – sporą garść zabitych i rannych, którzy chrapali i rzęzili konając. Wówczas spostrzegłem dopiero, że trzymam w prawej ręce miecz, który nie był moim – miecz z przedziwnej stali o rękojście rzeźbionej w złocie; w lewej zaś dłoni – pierścień. Ach, ten pierścień!... Na boga wojny! Poznałem go od razu. Był z masywnego złota, miał duży czerwony kamień pośrodku z wyrzeźbioną postacią długowłosej kobiety, wychodzącej z fal morza. Kimże więc był ów człowiek w złoconej zbroi, któregom tak długo trzymał w ramionach?!... Lecz nie miałem wówczas czasu na rozmyślania, więc schowałem tylko starannie pierścień i schwytawszy jakiegoś konia bez jeźdźca przygotowywałem się zrobić jak najlepszy użytek ze zdobytego miecza, gdyż swój własny straciłem w zamęcie walki.

Bitwa trwała dalej. Legion, który przed chwilą zajmował stanowisko u wyrwy – jak się okazało później, był to sławny legion dziesiąty Cezara – znajdował się obecnie w dość smut-

nym stanie. Gwałtowne natarcie naszej konnicy zepchnęło ze trzy kohorty do głębokiego parowu, było wielu zabitych i rannych, reszta jednak po cofnięciu się na pewną metę uszykowała się znowu w tak dobrym porządku, jak tylko pozwalał teren bardzo nierówny, i stawiała dalej opór. Rzymianie znajdowali się w tej niekorzystnej dla siebie pozycji, że nieprzyjaciela mieli wyżej, nad sobą. I gdy ciosy nasze spadały z rozmachem na ich hełmy jak młoty na kowadło, oni nie mogli nam zadawać ich inaczej, jak tylko z dołu. Toteż legion dziesiąty zwolna, lecz stale schodził coraz to niżej a niżej, zaznaczając każdy etap swego cofania się stosem trupów.

Gdyśmy tu tak spychali w dół legion dziesiąty, poniżej muru sześciostopowego, na przestrzeni pomiędzy nim a ścianami miasta, dokonywała się straszna rzeź w szeregach legionu ósmego. Żołnierze tego legionu dopiero co byli prawie panami miasta, teraz zaś – ściśnięci między wysokimi na dwanaście stóp murami grodu a naszym o połowę niższym murem obozowym – zmuszeni byli cofać się pod potężnym parciem mas galijskich, które przybywały wciąż ze Skały Dębów. Najstraszliwszym dla legionistów było to, że oprócz ciosów naszych mieczów i dzid, które z góry spadały im na głowy, z wysokości murów grodu i wież – obecnie pełnych już obrońców – zrzucano na nich ciężkie kłody, głazy, które w razie braku innych pod ręką wyrywano ze ścian nawet, lano na nich ołów roztopiony, oliwę wrzącą, w końcu – w braku czego innego – nawet sypano piasek, który kobiety rozpalały na tarczach z brązu i podawały wojownikom. Niespodzianie dla siebie przyparci zostali do głębokich parowów i wręcz przepaści – i wówczas poczynały się rozlegać jeden za drugim głuche odgłosy upadku i chrzęst zbrój, które roztrzaskiwały się o ostre głazy wraz z odzianymi w nie ciałami... Nieszczęśni!... napotykali na drodze po raz drugi nasz mur sześciostopowy i gdy usiłowali nań się wdrapać, przygważdżano ich doń ciosami włóczni i dzid; jeśli zaś udawało się im zeskoczyć na drugą stronę – przyjmowano ich tam na nastawione ostrza mieczów. Wszystkie trąby armii rzymskiej trąbiły teraz rozpaczliwie na odwrót. Sądzę, że żołnierze rzymscy zaledwie je słyszeć mogli wśród takiego zgiełku, takiej wrzawy walki, że sam nawet grzmot Tarannusa bodaj przebrzmiałby nie usłyszany. A zresztą, którędy dokonać odwrotu?... Legiony, walczące po drugiej stronie wyrwy nazywanej przez nas Parowem Lawy, ucierpiały cokolwiek mniej, nie będąc narażone na całą furię naszego pierwszego natarcia.

Lecz przypadek i tu dokończył porażki Rzymian. Cezar kazał znajdującemu się w jego obozie oddziałowi Eduów udać się na pomoc legionom, lecz nagle zjawienie się tych przyjaciół-Galów przestraszyło żołnierzy rzymskich, zdało się im bowiem, że to są nowe zastępy wroga, który zagraża teraz ich lewemu skrzydłu. Gdyby zachowali zimną krew, byliby widzieli, że ci ludzie mieli prawe ramię obnażone aż do pleców – oznaka, po której rozpoznawało się Galów-sprzymierzeńców Rzymian. Lecz Italczycy albo w zamęcie walki nie dostrzegli tego znaku przymierza, lub też – co prawdopodobniejsze – widząc nawet, nie ufali mu i poczęli tu i ówdzie rzucać się do bezładnej ucieczki. Za pierwszymi poszli drudzy, za tymi znów inni jeszcze – i tak Rzymianie zeszli ze zboczy Gergowii znacznie prędzej i w o wiele szczuplejszej liczbie, niż gdy na nie wstępowali.

Z tych czterech legionów, które przypuściły szturm do Gergowii, ani ohorta nie byłaby ocalała, gdyby Cezar, znalazłszy się sam na miejscu bezpiecznym, nie rozkazał legionowi stojącemu w lasku u stóp Puy Noir wrócić marszem pośpiesznym, a temu, który pozostał na Białej Skale, zrobić wypad na nas. W ten sposób naszemu lewemu skrzydłu zagrażało obecnie dziesięć tysięcy świeżego wojska nieprzyjacielskiego i Wercyngetoryks, widząc z góry niebezpieczeństwo, a oszczędzając sił naszych, kazał dać sygnał do odwrotu. W każdym bądź razie uczyniliśmy pomiędzy Rzymianami ogromne spustoszenie: ósmy legion był zniesiony omal do szczętu, dziesiąty i dwa inne ucierpiały także mocno. Cała południowa pochyłość góry usiana była po prostu trupami Rzymian, których tak wielkie stosy nagromadziły się pod naszym sześciostopowym murem obozowym, że sięgały niemal jego krawędzi, a niemało zabitych leżało na dnie naszych kamienistych parowów, wyrw i przepaści. Strumień płynący

z głębi parowu Lawy zabarwił się na czerwono. Między poległymi legionistami znaleźliśmy czterdziestu sześciu samych tylko centurionów!.... Ich złote pierścienie, medale, bransolety, złocone zbroje i wyborny oręż nie mogły jednak iść do podziału między nas jako łup wojenny, gdyż wraz ze zdobytymi sztandarami kohort stanowiły ofiarę ślubowaną Lugowi. Lecz z hełmów, mieczów, zbroi, dzirytów i kopii samych prostych żołnierzy wznieśliśmy na placu *oppidum* olbrzymi stos triumfalny!

Byliśmy zgoła pijani radością i dumą. Zdawało się nam nawet, żeo we góry ze strony zachodniej, stojące jak wojownicy w szeregu z obu stron Puy Dumien, wznosiły się wyżej niż zwykle i że te olbrzymy-przyjaciele skupiały się ciaśniej i wspierały jedne na ramionach drugich, aby lepiej widzieć i móc napawać się widowiskiem naszego zwycięstwa. Gdyśmy się stawili wieczorem do raportu przed namiotem *pen-tierna*, wielu z nas z ręką na temblaku lu z głową w przewiązce, Wercyngetoryks złożył nam publicznie podziękę i pochwałę:

– Jest to prawdziwie świetne zwycięstwo. Zawdzięczamy je przede wszystkim bogom, za których sprawą podstęp Cezara zwrócił się przeciw niemu i nawet wystąpienie jego sprzymierzeńców – Eduów – przyczyniło się do tym większej porażki. Cezar stracił swą sławę niezwyciężonego i echo naszego zwycięstwa, które zaraz dzisiejszej nocy poleci z ust do ust poprzez całą Galię, będzie brzmiało wieki! Sprzymierzeńcy galijscy, najwierniejsi mu nawet dotąd, lada chwila go opuszczą i te dziesięć tysięcy Eduów, którzy tak nie w porę dla Rzymian ukazali się na polu bitwy, jeśli nie jutro, to pojutrze zjawią się u nas, przyprowadzeni nam przez Eporedoryksa lub Wirydomara. Cezar nie może teraz polegać ani na Eduach, ani na Lingonach lub Helwetach. Wasz miecz przeciął więzy, w których trzymał Galię skrępowaną!

Gdym z kolei wystąpił naprzód, aby złożyć raport, Wercyngetoryks ze swym miłym, pełnym dobroci uśmiechem, który ukazując się na jego twarzy rzadko tylko, dziwnie mu ją rozświecał, rzekł:

– Jak widzę, Paryzowie są równie roztropni, jak dzielni! Dobrześ widział i dobrześ nam radził tego poranka, Wenestosie, a po południu biłeś się jak lew. Widziałem cię w walce i postaram się, abyś był odpowiednio wynagrodzony!...

– *Pen-tiernie* – opowiedziałem – te słowa pozostaną mi nagrodą najcenniejszą. Lecz nie dokończyłem jeszcze raportu...

I tu opowiedziałem swoją przygodę z naczelnikiem rzymskim w purpurowym płaszczu i z odkrytą głową: jak go porwałem z siodła i chciałem zabić, jak udaremniono ten zamiar, tłocząc się dokoła mnie, w końcu obalono mnie na ziemię i w zamęcie walki odebrano mi jeńca. Nie miałem już najlżejszej wątpliwości, kim był, zamilczałem jednak o pierścieniu, schowałem go bowiem głęboko dla kogoś, komu przeznaczyłem go od razu w myśli; natomiast pokazałem *pen-tiernowi* miecz zdobyty na mym jeńcu w tej walce.

– Na Teutatesa! To jest miecz Cezara! – rzekł jeden z naczelników arwerneńskich, który przedtem służył w wojsku rzymskim jako sprzymierzeniec. – Nieraz widziałem, jak mu się zwieszał o boku lub błyskał w jego ręku podczas bitwy.

Po chwili niemego zdumienia, które nastąpiło po tych słowach, wybuchła burza ogłuszających oklasków, okrzyków triumfu i radości. Wszyscy naczelnicy cisnęli się do mnie z pochwałami jeden przed drugim, a Wercyngetoryks pocałował mnie. Tak, moje dzieci!... Syn Celtila u.ciskał mnie i pocałował!... Ująwszy miecz w prawą rękę, położył go na wyciągniętym swym lewym ramieniu i przyglądał mu się długo i uważnie, potem zaś wzniósł go ku niebu, trwając przez chwilę w niemej a żarliwej, jak to było widać po jego oczach, modlitwie. Następnie rzekł:

– Taki łup wojenny może stanowić tylko własność bogów!...

Zwracając się zaś do Wergassilauna, mego bezpośredniego zwierzchnika, dodał:

– Należy wynagrodzić tego zucha za miecz Cezara, który mu odbieram, aby go ofiarować w świątyni Luga. Nałożysz mu więc jego tarczę złotymi bransoletami, pierścieniami i naszyj-

nikami jeźdźców rzymskich; oprócz tego – czekaj – dorzucisz mu jeszcze tę czarę srebrną z płaskorzeźbą, tak przedziwnie rżniętą w srebrze, a przedstawiającą liście i owoce oliwek. Cezar ze swymi gośćmi pijał nią może za przyszłą porażkę naszą, Wenestos zaś ze swymi przyjaciółmi będzie pił z niej za zwycięstwo Galów! Nie potrzebuję ciebie teraz tutaj – zwrócił się jeszcze do mnie – przeciwnie, potrzebniejszym będziesz teraz tam, w swoim kraju. Opowiedz Paryzom, co tu zaszło, i niech to doda im sił i serca w walce, którą toczą teraz z legionami z Agendicum. Pokonałeś tutaj Cezara, jedź zwyciężać Labienusa. Naznaczam Paryzom i innym ludom z północy spotkanie w Bibrakte, stolicy Eduów. Niech wszystkie ludy północy kończą uzupełniać i ćwiczyć swe wojska.

Byłem niewypowiedzianie rad z tego zwolnienia, tym więcej, że nie śmiałem sam prosić o nie *pen-tierna*. Tymczasem zaś – stałem się sławnym! Cały nasz obóz oraz cała Gergowia patrzyły na mnie z pełnym szacunku podziwem, widząc we mnie zwycięzcę samego Cezara. A Wergessilaun powiedział mi, że jest dumny mając mnie pod swymi rozkazami! Dodał jednak śmiejąc się:

– Ale jakiż z ciebie szczególny ptasznik!... Gdy się trzyma w ręku ptaszka tak rzadkiego, jakże mu pozwolić ulecieć!...

Pokazałem mu wówczas moją głowę, twarz i ciało całe podrapane i pokaleczone, w guzach i sińcach – i w tymże żartobliwym tonie odpowiedziałem:

– A dlaczegoście wzięli moją osobę za pole walki?

Te moje rany na ogół jednak były lekkie, nie stanęły mi też na przeszkodzie, aby już nazajutrz o świcie wyruszyć w drogę. Ze względu na pośpiech wziąłem ze sobą tylko czterech swych jeźdźców, natomiast aż dwanaście koni. Wybrałem je sam z najsilniejszych i najściglejszych z mego oddziału. Dwa szły z żywnością i moją częścią zdobyczy, pięć miało nam służyć za wierzchowce, pięć zaś szło luzem, dla przesiadania na nie, aby się konie mniej męczyły i mogły zrobić więcej drogi. Wyjechaliśmy z Gergowii, gdy słońce ledwie tylko wzniosło się ponad horyzont, i od razu poczęliśmy jechać tęgim kłusem, najpierw przez górzystą krainę arwerneńską, następnie przez równiny kraju Biturygów. Po opuszczeniu gór znaleźliśmy się w krainie wiosny. Strumyki, wolne wreszcie od okowów lodowych, szemrały wesoło, łąki, strojne w świeże zielone szaty, przetykane różnobarwnym kwieciem, mile pieściły wzrok, a ptaszki radosnym szczebiotaniem witały odnowienie się natury. I zdawało mi się, że to sama matka nasza, Galia, pośród hymnów radości i wesela – zmartwychwstaje!...

Rozdział VII

W KRAJU PARYZÓW

Po południu piątego dnia podróży dosięgliśmy Rzeki Bobrów w jej górnym biegu, niedaleko jezior, z których ona bierze początek, oraz wioski Cyngetoryksa. Na widok tej ciemnawej wstęgi wody, płynącej w łożu gliniastym pod starymi, pochylonymi wierzbami, zeszliśmy wszyscy z koni. Pobiegłem jak dziecko ku mojej rzece. Ukląkłem na jej brzegu wilgotnym i z rozkoszą zanurzywszy w nią ręce aż po łokcie wypiłem dobry łyk wody. Następnie wziąłem jedną ze zdobycznych złotych bransolet i rzuciłem ją w nurty, PO czym wzniosłem ku niebu obie dłonie, wnętrzem zwrócone do tych wzgórz świętych, które otaczają Lutecję, i złożyłem dzięki bogom. Po tylu więc przejściach znów powracałem do rodzinnego kraju. Po-

wracałem bogaty w sławę, bogaty w złoto i – co najważniejsze – zwiastunem nowiny, na której wieść zadrży z radości samo łono ziemi naszej, zadrżą nasze góry i lasy!... I przy tym jeszcze – miałem ujrzeć niebawem Ambiorygę. Dziwiło mnie jednak, że dokoła nie było jakoś widać ani żywej duszy. Z łąk nie donosiło się zwykłe już w tej porze roku pobrzękiwanie dzwoneczków stad, na polu opodal u bruzdy nie dokończonej leżała socha, przewrócona na bok, jak gdyby porzucona w pośpiechu, częstokoły wiosek, któreśmy mijali po drodze, były zamknięte szczelnie – i nigdzie dym nie wznosił się ponad strzechami domów, nigdzie nie było widać żadnej postaci ludzkiej...

Jechaliśmy dalej, a pustka i cisza zdawały się za nami ciągnąć. Gdyśmy przybyli wreszcie do stóp wzgórza Szarej Skały, zatrąbiłem w róg, spodziewając się, że cały lud mych wieśniaków i wojowników wybiegnie mnie powitać z okrzykami radości. Lecz odpowiedziało mi tylko szczekanie psów. Zadąłem w róg ponownie i możliwie głośno. Po dłuższej chwili usłyszałem szczęk odsuwanego rygla, furta uchyliła się jakoś nieufnie – trochę tylko – i ukazała się w niej twarz zgrzybiałego starca, jednego z mych wieśniaków. Na mój widok wydał okrzyk radości, zbiegł po ścieżce w dół tak prędko, jak mu tylko na to pozwalał jego podeszły wiek, i zbliżywszy się, pocałował mnie w nogę.

– Ojcze! – rzekł do mnie – zjawiasz się jak bóg–wybawca!... Lecz czyż nie wiesz, że Rzymianie są w kraju? Jakżeś mógł tu dojechać i nie napotkać nieprzyjaciela?

I wyciągając rękę ku wschodowi mówił dalej:

– Przedwczoraj bito się tam, po drugiej stronie rzeki i wzgórz, w błotach Essonny.

– Lecz gdzież są moi wojownicy i wieśniacy? Gdzie jest Nehalena?...

– Wojownicy twoi wyjechali do Lutecji, jak i wszyscy z wiosek okolicznych, a Nehalena udała się tam również z nimi w stroju wojennym. Nie masz tu już ani jednego męża – czy to wojownika, czy wieśniaka – zdolnego do noszenia broni, ani jednego miecza lub tarczy na ścianach chat naszych. Stajnie stoją próżne, łuki i proce rozdano nawet niewolnikom. Tak kazała nasza pani Nehalena. Kobiety i dzieci schroniły się w głębi lasów i błot, uprowadzając ze sobą stada. Ja sam pozostałem tu tylko – pilnuję wioski...

Moi towarzysze i ja zamieniliśmy ze sobą spojrzenia. Po tym ostatnim etapie długiej i nużącej podróży nie było tu więc dla nas we wsi rodzinnej ani nadziei ciepłego posiłku, ani bezpiecznego schronienia na noc... Trzeba było jechać dalej, znów dalej i u końca drogi przed nami – bitwa. Lecz ta myśl, że będziemy mieli wkrótce znowu sposobność skrzyżowania mieczów z Rzymianami, pocieszyła nas znacznie; nie czuliśmy już głodu ani zmęczenia i nawet konie nasze wydawały się rześkie.

– Powiadasz więc, że do Lutecji udali się wszyscy wojownicy z rzeki?

– Tak, ojcze – odparł stary wieśniak. I zniżając głos dodał po chwili: – Och, ojcze! Ileż to rzeczy zaszło podczas twej nieobecności!... Znasz wszak Keretoryksa?... Co dnia błądził on w twoich lasach ze swymi zbrojnymi – niby to dla polowania, lecz zawsze jakoś wypadało mu znaleźć się w pobliżu Szarej Skały i jego pałające oczy zdawały się pożerać twój dom z daleka. Z daleka tylko, gdyż twoi wojownicy mieli się na baczności i Keretoryks nie ważył się przestępować furty częstokołu Szarej Skały od czasu, gdy Nehalena zakazała mu wstępu...

Co też mi prawisz? – zawołałem zdumiony. – Co Wspólnego być może między Nehaleną a tym człowiekiem? – Po chwili zaś, uderzony nową myślą, dodałem: – Jak to?... Czyżby śmiał?!...

– Nehalena nie mówiła ci nic o tym?... Niepotrzebnie więc ci to powiedziałem...

– Nie, nie! Nie ukrywaj nic przede mną!... Mów! Mów! Ale mówże nareszcie!... Czy będziesz ty mówił, nędzny?!...

– A więc – począł mi opowiadać stary, aż jąkając się i plącząc z pośpiechu, przestraszony moją gwałtownością – Keretoryks, odkąd Nehalena zabroniła mu ukazywać się przed sobą, nie śmiał już przestępować bramy Szarej Skały, tylko krążył wciąż po lasach dokoła. W końcu twoi wojownicy kazali mu powiedzieć, aby zaprzestał polowania na naszych ziemiach, bo jeśli go tam jeszcze napotkają, to rozsiekają na kawały jego i jego ludzi. Jakiś czas po tej pogróżce nie pokazywał się. Lecz pewnej nocy...

– Pewnej nocy?...

– Och, ojcze! Nie mówię, że to był z pewnością on... Nie mamy na to żadnych pewnych dowodów. Jednakże...

– Cóż jednakże?! Mówże raz!...

– Pewnej nocy więc rozbudziło nas wściekłe ujadanie psów. Ciemno było i nie sposób było coś dojrzeć, lecz usłyszeliśmy łomotanie u naszej bramy, którą wyraźnie usiłowano wyłamać. Kilku naszych ludzi rzuciło się tam natychmiast: przez szpary w częstokole dostrzegli przy bladym świetle gwiazd hełmy i dzidy zbrojnych. Wojownicy twoi w mgnieniu oka uzbroili się także, sami otworzyliśmy napastnikom bramę i nie widząc nawet w mroku nocy, kim byli ci ludzie, zwłaszcza że mieli twarze uczernione sadzami, zmusiliśmy ich do ucieczki. Zbiegli chyłkiem przez wąwóz tak szybko, że nie udało się nam ani rozpoznać, ani ująć żadnego z nich. Lecz...

– Lecz co? Kończże!...

– Wypuściliśmy psy za nimi... i jeden z psów przyniósł w zębach kawał odzieży, wyrwanej wraz z kawałkiem ciała. Barwy i desenie tej materii są te, które lubią ludzie z rzeki Yeres...

– Na pioruny Tarannusa!... Wywrę na tym zdrajcy pomstę, o której głośno będzie w kraju! Lecz śpieszmy co prędzej do Lutecji, tam się wszystko wyjaśni. W drogę!...

Tymczasem noc zapadła. Jechaliśmy już wąską dróżką u stóp wzgórza Lukotycji, które nam zakrywało widok na wyspę, gdy na zakręcie ujrzeliśmy nagle przed sobą jakiś olbrzymi płomień, który wybuchł widocznie niedawno, gdyż wzmagał się i rozszerzał coraz bardziej, wznosząc aż ku niebu krwawe pióropusze ognia i dymu. Światło było tak żywe, żeśmy widzieli wszystko na naszej drodze jak w biały dzień – aż do najdrobniejszego kamyka i mogliśmy rachować liście na drzewach.

– Ależ to Lutecja się pali! – rzekł jeden z mych towarzyszy. – Zapewne więc Rzymianie już tam są.

Posuwaliśmy się naprzód w złowrogim blasku pożaru, który z każdą chwilą przybierał rozmiary coraz większe. Po niedługiej już podróży spostrzegliśmy na lewym brzegu Sekwany wznoszące się mnóstwo namiotów i między nimi ruchliwe masy ludzi, których broń i zbroje połyskiwały w świetle tej olbrzymiej pochodni, oświecającej obóz. Z daleka już słychać było donoszący się stamtąd gwar jak gdyby z olbrzymiego ula, gwar, który przerywał niekiedy głośny i przenikliwy odgłos trąbki lub rogu. Po krótkiej chwili usłyszeliśmy o kilka kroków przed sobą głos, który wołał do nas:

– Kto idzie?

– Paryzowie!

– Hasło?

– Nie znamy go; przybywamy z daleka. Czy jest tu kto z naczelników?

– Jak to, toś ty, bracie? – odpowiedział mi dobrze znany głos Cyngetoryksa, który odłączył się od grupy jeźdźców i wyjechał naprzód. – Zjawiasz się właśnie w porę, aby wziąć udział w tańcu. Zdaje się, że będzie to już jutro.

– Gdzie Nehalena?

– Mógłbyś równie dobrze powiedzieć: N e h a l e n – gdyż twoja krewna to dzielny towarzysz broni. Jest oto tam, przed namiotem Kamulogena o srebrnej ręce, naszego wodza. Dziś bowiem odbywa się narada wojenna. Udam się tam także, gdy tylko mnie zwolnią ze straży.

– Czemu Lutecja się pali? Czyżby to były pochodnie rzymskie?

– Nie. To Kamulogen kazał znieść mosty i podpalić miasto. Opuściliśmy prawy brzeg i wyspy, bo Rzymianie podobno są po tamtej stronie. Chociaż, kto wie?... Wygląda tak, jak gdyby byli wszędzie od razu, i trudno wiedzieć, gdzie naprawdę są ich główne siły. Lecz wciągasz mnie w rozmowę, gdym pod bronią, to źle!...

– Słówko jeszcze. Co to za bitwa była przedwczoraj?

– Ach! na rogi Cernunnosa! To Labienus nadszedł tu wprost z Agendicum z czterema legionami, aby nas zgnieść, zanim zdążyliśmy zakończyć nasze przygotowania. Wiesz, kim jest Labienus. To najzdolniejszy podobno z legatów Cezara, lecz zarazem najokrutniejszy barbarzyńca, parweniusz, człowiek tak gruby jak chleb z jęczmienia. Wyszedł wprost z szeregów żołnierskich i nie może powiedzieć czterech słów, aby nie wmieszać w nie trzech przynajmniej wyzwisk, a szczególnie nazw różnych zwierząt. To ten sam Labienus, który wytępił niemal do szczętu Eburonów i Trewerów, podpalacz, rzeźnik kobiet i dzieci.

– Kiedyż skończysz o tym Labienusie? Więc jakże się rzecz miała z bitwą?

– Otóż Labienus nadszedł tak prędko, że zaledwie mieliśmy *czas* przywołać na pomoc naszych najbliższych sąsiadów. Miał nadzieję załatwić się z nami lekko i bez kłopotu, lecz nie brał w rachubę Kamulogena. Bo w kwestiach taktyki samże Cezar mógłby zasięgać rady naszego wodza! Toteż za jego rozkazem rozlokowaliśmy się poza Essonną, chronieni przez błota i wylew wód – i Labienus ujrzał nagle przeszkodę. Próżno parł swego konia po brzuch w błoto, wyzywając swych centurionów od osłów i baranów – ani sposób przejść. Bo to błoto, uważasz, jest zbyt gęste, aby móc po nim płynąć łodzią, ale i zbyt rzadkie, aby po nim chodzić. Prawdziwa ojczyzna żab i jaszczurek. Próbowali ułożyć na bagnie groblę z gałęzi łozy i wierzby, lecz i to nie zdało się na nic. Strzałami i pociskami z proc zabijaliśmy im ich budowniczych, a harpunami przyciągaliśmy do siebie owe gałęzie, zaledwie zdążono je ułożyć. Na próżno Labienus harcował konno po brzegu dzień cały, wymieniając wszystkie rodzaje bydła i zwierząt nieczystych, jego zaś legioniści zanurzali się w błoto aż po grzebienie hełmów: nie odkryli brodu. Tak minął dzień. Pod wieczór Rzymianie znikli. Co zrobili – nie wiemy. Możliwe, że udali się w górę rzeki aż do Melodunum[23], aby opanować mosty w tym mieście, które tak samo jak Lutecja leży na wyspie i posiada dwa mosty, a być może, że nawet nie dochodząc do Melodunum znaleźli w górze rzeki łodzie, zapomniane przez nadbrzeżnych mieszkańców. W każdym razie byli przedtem na lewym brzegu, teraz zaś są na prawym. My zaś przenieśliśmy się co prędzej na lewy i ta sama pochodnia – Lutecja w płomieniach – oświeca oba obozy.

– Dużo jest nas tutaj?

– Co najmniej tyluż, co Rzymian. Cały lud Paryzów stoi pod bronią. A i Lutecjanie sprawowali się znakomicie. Nigdym nie myślał, aby kupcy i rzemieślnicy mogli okazać tyle poświęcenia dla sprawy ogółu. Nawet starzy i słabi wzięli się do łuków i do proc. A jak się ich kobiety okazały dzielne! Wypychały po prostu z domów mężczyzn, którzy się ociągali. Gdy tylko Lutecjanie zrozumieli, że niepodobieństwem jest obronić wyspę – bez chwili wahania, bez łzy żalu, sami przykładali pochodnie do swych domów...

– A naczelnicy z rzeki?

– Są tu wszyscy ze swymi ludami.

– I Keretoryks także?

– Keretoryks, zwany Rzymianinem?... Nie, ten się jeszcze nie pokazywał. Ale, ale – przyjeżdżasz wszak z południa. Czy to prawda, że Arwernowie pobili Cezara? Krąży tu taka pogłoska, a Kamulogen jest bardzo ciekaw prawdy.

– Cezar został pobity na głowę!

– Doprawdy?!... Byłeś tam?... Opowiadajże!...

– Wciągasz mnie w rozmowę będąc pod bronią. Zapomniałeś już? Do prędkiego zobaczenia się!

Wkrótce stanąłem przed namiotem Kamulogena, gdzie znajdowali się wszyscy naczelnicy Paryzów i innych ludów, zgromadzeni tam na naradę wojenną. Na mój widok rozległy się okrzyki radości, Karmanno, Bojoryks i inni nasi z rzeki rzucili się ku mnie, aby mnie powitać. Poszukałem oczyma Ambiorygi. Stała opodal nieco i w swym wysokim, skrzydlatym hełmie

[23] Melun.

galijskim, w żółtych butach, spodniach, ściśniętych około nóg wyzłacanymi rzemykami, w szerokim pasie z brązu – miała dumny wygląd naczelnika galijskiego, połączony z jakimś nieuchwytnym wdziękiem niewieścim. Na widok tych delikatnych drobnych rysów, tych pasemek złotych włosów, wysuwających się spod hełmu, oczu błękitnych, zwróconych na mnie, poczułem w sercu rozkoszne ciepło. Podeszła do mnie jak i inni, aby mnie przywitać, i uścisnęliśmy sobie ręce w milczeniu. Kamulogen podniósł się także i po powitaniu mnie w słowach uprzejmych, choć krótkich, spytał zaraz, czy nie wiem, co słychać w obozie Wercyngetoryksa w Adwernii.

– Przybywam stamtąd – odparłem. – Widziałem na własne oczy złote orły, cofające się w pośpiechu przed naszymi znakami wojennymi, i legiony rzymskie w bezładnej ucieczce! Stało się to sześć dni temu.

– Przyjechałeś tak szybko i z tak daleka, że musisz być zapewne bardzo strudzony i głodny – rzekł na to życzliwie wódz o srebrnej ręce. – Siadajże więc i posil się, potem zaś opowiesz nam wszystko szczegółowo. Wieść, którą nam przywiózł Wenestos – dodał zwracając się do obecnych – tłumaczy nam zatem to, czegośmy dotąd nie rozumieli. Nowina ta znana jest z pewnością Labienusowi. Gdy próbował sforsować przeprawę przez Essonnę, sądził zapewne, że Cezar zwycięża w Arwernii. Teraz zaś dowiedział się, że Cezar poniósł tam porażkę, jedynym jego bez wątpienia zamiarem jest połączyć się z imperatorem jak można najprędzej. Sądzę, iż woli stoczyć naprzód bitwę z nami, a następnie wyruszyć dalej, niźli narażać się na niespodzianą napaść z naszej strony, zwłaszcza podczas przeprawy. Przypuszczam, że tutaj właśnie spróbuje losu oręża. Czy sądzisz, Wenestosie, że dobra wieść, którąś przywiózł, znana już jest w innych krajach Galii?

– Myślę, że tak. Znana ona jest zwłaszcza z pewnością w kraju Eduów, gdzie zanieśli ją ci z tego ludu, którzy po naszej stronie brali udział w bitwie. Jestem też pewien, iż obecnie cały lud Eduów wraz z ludami stanowiącymi jego klientelę powstaje na tyłach armii Cezara.

– Zatem Labienus osaczony jest także z dwu stron – przez Eduów i przez nas. Ale opowiadajże nam, Wenestosie, jak to było!

Wówczas zwięźle opisałem naszą wycieczkę na Skałę Dębów, Gergowię zaskoczoną znienacka przez Rzymian i już prawie zdobytą, następnie szybki i tym razem nie oczekiwany przez Rzymian powrót naszej armii i szalony impet naszej konnicy. A potem przedstawiłem skutki natarcia naszego: sławny dziesiąty legion Cezara cofający się bezładnie przed nami, ósmy – zniesiony niemal do szczętu, dwa inne ogarnięte panicznym strachem na widok oddziału sprzymierzeńców – Eduów, kohorty przyparte do przepaści i parowów, legionistów zrzucanych z wysokości murów *oppidum,* morze stalowych hełmów wstrzymane naraz i odpływające pod potężnym uderzeniem jakby wiatru z przeciwnej strony, stosy trupów nieprzyjacielskich u stóp murów oraz w głębi wyrw, parowów i przepaści, strumienie purpurowe od krwi.

Zaledwiem skończył, gdy wszyscy obecni podnieśli się jak jeden mąż i uderzając rękojeściami mieczów o tarcze poczęli wznosić gromkie, pełne zapału okrzyki:

– Gergowia! Gergowia! Gergowia!

Okrzyk ten, powtarzany z ust do ust i coraz potężniejący w drodze, przeleciał poprzez wszystkie nasze obozowiska aż do szczytu Lukotycji, pocieszając Lutecjan po zniszczeniu ich grodu i trwożąc widniejący z dala w blasku pożaru obóz rzymski. Następnie opowiedziałem zgromadzonym przed namiotem Kamulogena przygodę z wodzem rzymskim w purpurowym płaszczu i z odkrytą głową, w którym po jego broni rozpoznano później samego Cezara, o podwójnym trofeum wyniesionym z tej walki i pochwałach od Wercyngetoryksa.

– Wercyngetoryks porównał cię do lwa!...

– Wercyngetoryks pocałował cię!...

– Wercyngetoryks pochwalił dzielność i roztropność Paryzów! – wołali zachwyceni moi słuchacze.

Ambioryga, która przez cały ten czas nie odezwała się ani słowem, teraz powstała cicho, zbliżyła się do mnie i wspiąwszy się na palce w swych butach z ostrogami, cała w blaskach pożaru, wobec wszystkich zebranych – pocałowała mnie w same usta. Wszyscy przyklasnęli nam wesoło, rękojeście mieczów zadzwoniły znowu o tarcze głośno i triumfalnie – i widziałem starych wojowników, którzy odwracając się ukradkiem ocierali łzę wzruszenia.

Okrzyki: Gergowia! Gergowia! – rozległy się z nowym zapałem, jak gdyby wyzwanie, które poprzez ognistą zasłonę z płomieni, poprzez fale Sekwany szło policzkować legiony rzymskie. Tymczasem zaś poczęli nadbiegać jeden za drugim gońcy, przynosząc wieści od przednich straży.

– *Pen-tiernie!* – oznajmił jeden. – Rzymianie gotują się do boju wprost przed nami; mógłbyś nawet widzieć stąd linię ich szeregów. Mają łodzie i zapewne zechcą się przeprawić pod osłoną nocy.

– *Pen-tiernie*! – wołał drugi, zadyszany z pośpiechu, zeskakując z konia jak pocisk z procy. – Duży oddział wojsk rzymskich posuwa się wśród mroku na łodziach w górę Sekwany! Zdaje się, że zmierzają do ujścia Marny, aby tam wylądować!

– A czy dobrze słychać, jak wiosłują? – zapytał Kamulogen.

– Ja myślę! – prawił z przejęciem posłaniec. – Biją tak wodę wiosłami jak rybacy, gdy chcą napędzić ryby do sieci!...

– No, to my nie będziemy tak głupi jak ryby – rzekł na to Kamulogen z uśmiechem.

– *Pen-tiernie*! – krzyczał już z dala trzeci, nadjeżdżając w galopie. – Na przeciwległym brzegu, dość daleko stąd, widziano Rzymian, którzy spuszczali się w łodziach w dół Sekwany!

– Dużo ich jest?

– Nie wiem – trudno było sprawdzić, gdyż noc jest ciemna.

– Czynią dużo hałasu?

– Przeciwnie, sprawiają się tak cicho, że zaledwie ich zauważyli. Nie było słychać u nich żadnej nawet komendy.

– Hm... z tej przeto strony może nam zagrażać niebezpieczeństwo.

Kamulogen namyślał się dość długo, wreszcie rzekł:

– Jasne jest, że Rzymianie rozdzielili się na trzy korpusy i usiłują przeprawić się przez rzekę. Lecz gdzie znajdują się ich główne siły wraz z Labienusem? Noc nie pozwala nam mieć na to odpowiedzi. Brzeg około Metiosidon[24] niepokoi mnie najwięcej. Fałszywy atak zwykle podobny jest do prawdziwego – i niekiedy ten, który się miało za fałszywy, staje się prawdziwym. Zagrożeni z trzech stron, musimy się strzec z trzech stron także. Jeden więc nasz oddział niech idzie w górę rzeki, posuwając się wzdłuż jej lewego brzegu tak daleko, jak tylko będzie słychać owo głośne wiosłowanie żołnierzy rzymskich. Drugi pójdzie w przeciwną stronę. My zaś, główne siły armii, zachowamy to samo stanowisko, co obecnie – wprost naprzeciw obozu nieprzyjaciela.

Następnie wyznaczył ludzi, którzy mieli utworzyć oba te oddziały, i ich naczelników. Przed wydaniem jednak rozkazu wyruszenia rzekł jeszcze:

– A czy wiecie, co by najmądrzej było uczynić? Oto ustąpić stąd i zająć stanowisko na górze Lukotycji, pozostawiając Labienusowi swobodę przeprawy przez Sekwanę tam, gdzie mu się to spodoba. Bo i czegoż on potrzebuje? Po prostu dokonać odwrotu możliwie bezpiecznie i z honorem. Ręczę wam, że jutro wieczorem nie będzie już legionów w naszym kraju, my zaś, idąc połączyć się z Wercyngetoryksem, zachowalibyśmy w ten sposób nasze siły nietknięte. Tylko że Labienus, który – rzecz znana – zazdrości sławy Cezarowi, nic by zapewne nie miał przeciwko temu, aby przejść przedtem po naszych trupach i zjawiając się przed Cezarem, rzucić mu pod stopy sztandary galijskie, mówiąc tym: „A widzisz! ja – jestem zwy-

[24] Meudon.

cięzcą!...” Czyżbyście uznawali za rozsądne stawać na drodze rozwścieczonemu dzikowi, który zmierza na nas?

– Tak! tak! – rozległy się chórem głosy dokoła. – Nie chcemy, aby Labienusowi udało się ujść cało, skoro wszedł do naszego kraju z ogniem i żelazem! Niech tu, pod Lukotycją, znajdzie swoją Gergowię! Chcemy bitwy! bitwy!

– Pewien byłem, że dacie mi tę właśnie odpowiedź – rzecze Kamulogen, wzruszając ramionami. – Przedstawiłem wam to, co byłoby najrozsądniejsze, wybieracie zaś rzecz szaloną. Bo pamiętajcie, że Rzymianie są niebezpiecznymi przeciwnikami, a zwycięstwo spoczywa w ręku bogów...

– Nie, nie!... Bitwa! bitwa! – powtórzyły znów głosy dookoła.

– No, dobrze już, dobrze... Niech będzie bitwa, skoro tak chcecie. Zatem więc naczelnicy przednich straży niech idą stanąć na czele swych ludzi. A co godzina przysyłać mi gońca!

– A ja co mam czynić? – spytałem. – Do którego oddziału mam należeć?

– Ty, mój chłopcze... – Kamulogen traktował mnie w ten poufały sposób, gdyż był krewnym mej matki – ty pójdziesz spać... Znajdziesz wiązkę słomy w mym namiocie. Ja pozostanę tu, przed namiotem, aby odbierać raporty: starzy nie potrzebują snu wiele. No, no, bądź posłuszny! Sam cię obudzę, gdy zajdzie konieczność.

Nie było potrzeby powtarzać mi dwa razy tego rozkazu, gdyż w istocie czułem się bardzo strudzony, parne zaś powietrze tego wieczora wzmagało jeszcze we mnie uczucie senności i znużenia. Padłszy też na ową wiązkę słomy usnąłem natychmiast snem kamiennym, tak iż nie obudziła mnie nawet burza, co się rozszalała około północy ze straszliwymi pono grzmotami i piorunami, po których przyszła ulewa.

Rozdział VIII

BITWA POD LUKOTYCJĄ

Poczułem lekkie uderzenie po ramieniu.

– Wstawać! – wołał głos Kamulogena. – Rzymianie przeszli Sekwanę!

Porwałem się natychmiast na równe nogi. Nasz obóz był już cały w ruchu. Trąbki grały, naczelnicy jeździli tu i ówdzie, sprawdzając, czy ich oddziały są w porządku. Kamulogen przed swym namiotem, spokojny jak zawsze, odbierał ostatnie raporty. Gońcy z oddziału posłanego w górę rzeki wrócili zmieszani: okazało się, że flotylla, która narobiła tyle hałasu pośród ciemności nocnych, nie liczyła nawet pięciu kohort. Obóz zaś rzymski naprzeciwko nas pusty był prawie; zaledwie widać tam było trochę ludzi, pozostawionych zapewne dla pozoru i straży. Gdzież więc podziały się jeszcze trzy co najmniej legiony? Niebawem mieliśmy się o tym dowiedzieć od niedobitków oddziału wysłanego w dół rzeki. Został on zaskoczony na wybrzeżu straszliwą burzą, podczas której z powodu grzmotów, piorunów i wichury niepodobna było nic słyszeć, na skutek zaś ciemności – nic widzieć przed sobą; gdy zaś niebo rozjaśniło się trochę, okazało się, że nasi są akurat pośrodku wojska rzymskiego, które wylądowało w Metiosidon i otoczyło oddział Galów. Większość też naszych zginęła lub została wzięta do niewoli, a mała tylko garstka zdołała umknąć.

– Wszystko idzie, jak należy – mówił spokojnie Kamulogen. – Za godzinę będziemy ich mieli przed sobą.

I natychmiast począł wydawać rozkazy. Wojownicy z Lutecji mieli pozostać na straży naszego obozu celem obserwowania kilku kohort znajdujących się dotąd w obozie rzymskim, i kilku innych jeszcze, które bez wątpienia będą musiały powrócić do obozu z nocnej wyprawy na łodziach. Pozostałej zaś armii kazał uszykować się do boju na równinie pod Lukotycją; prawym skrzydłem oparliśmy się o tę górę, lewym zaś – o Mont Rouge. To drugie skrzydło składało się z oddziałów naszych sąsiadów – sprzymierzeńców: Karnutów, Senonów, Swesjonów, Meldów; prawe – z Paryzów, z wyjątkiem Lutecjan; centrum zaś armii stanowili Aulerkowie z Kamulogenem na czele. Miano walczyć plemionami i rodami. Któż by się więc ważył okazać nikczemnym tchórzem przed oczami wszystkich swoich najbliższych? Przed bitwą Kamulogen raz jeszcze zaprosił naczelników na naradę.

– Mamy za mało konnicy – rzekł nam – aby skutecznie atakować nią przeciwnika. Radzę więc, abyśmy raczej wszyscy zmienili się w piechurów, odsyłając konie do lasu na zboczu Lukotycji. Mamy wielu pomiędzy nami takich, którzy są jeszcze nowicjuszami na wojnie – dodał zniżając głos – więc myśl, żeśmy nie pozostawili sobie żadnego sposobu ucieczki, będzie im podnietą. Dobrze też jest, aby żołnierz wiedział, że naczelnik jego jest tak samo pieszo i tak samo narażony, jak i on sam. Co się zaś tyczy wodza, to najlepiej, aby każdy mógł go poznać! – To mówiąc zdjął hełm z głowy i cisnął go daleko w krzaki.

Był przecudny poranek kwietniowy. Niebo, omyte burzą nocną, świeciło czystym lazurem, po którym przesuwały się tylko leciuchne białe obłoczki, jak gdyby łodzie z rozpiętymi żaglami; na liściach drzew i krzaków błyszczały kropelki rosy, a zapach poziomek i mchów wilgotnych donosił się aż do nas z lasu na zboczu Lukotycji. Cisza panowała w naszych szeregach taka, że słychać było głuche odgłosy kucia dzięciołów i krótkie, przenikliwe pogwizdywania jaskółek, które przelatywały nisko, muskając niemal skrzydłami ziemię.

Nagle u skraju lasu naprzeciwko nas poczęły ukazywać się postacie ludzkie, jak gdyby wypływając grupami spomiędzy drzew. Niezadługo las kopii sformował się przed lasem dębów, chorągwie kohort poczęły rozwiewać się w powietrzu, złote orły świecić nad szeregami – i rozbrzmiało hasło do boju trąb i surm rzymskich. Z naszej strony odpowiedziały im okrzyki wojenne, pochodzące z dwudziestu tysięcy piersi. Oba wojska stały na równinie między dwoma lasami mniej więcej o osiemset kroków jedno od drugiego. Przestrzeń tę zmniejszyli zaraz łucznicy i procarze z obu stron, którzy jak zwykle wystąpili naprzód. Ci lekko zbrojni wojownicy byli u nas znacznie liczniejsi niźli u Rzymian, toteż deszcz ich strzał i pocisków, gęsto spadając na hełmy i tarcze rzymskie, dzwonił po nich jak odgłos gradu bijącego o dachy z łupku. Niedługo to jednak trwało i wkrótce ujrzeliśmy legionistów, idących ku nam z nastawionymi długimi *pila*. Żołnierze postępowali krokiem przyśpieszonym. Rzymianie bowiem zrozumieli bardzo prędko, że wobec przewagi liczebnej naszych łuczników i procarzy leży w ich interesie, aby co prędzej skrzyżować z nami kopie i miecze. Na obszernej równinie doskonale można było rozróżniać układ legionu, który znajdował się naprzeciwko nas, ustawiony w szachownicę z trzydziestu manipul. Manipule pierwszej linii cisnąwszy już swe *pila* cofały się zaraz, przez wolne zaś miejsca, pozostawione umyślnie w tym celu w szachownicy, występowały manipule drugiej linii, po tych znów manipule linii trzeciej – i w ten sposób tworzył się ciągły regularny ruch w legionie – tam i z powrotem, przy czym każdy rząd manipul stopniowo zajmował czoło, środek i tylny plan legionu. Żołnierze wyczerpawszy już wszystkie rodzaje broni do ciskania, obnażali miecze. Znajdowaliśmy się już nie więcej niźli na pięćdziesiąt kroków od legionu, który posuwał się ku nam z nastawionymi *pila,* gdy nasi strzelcy, zagrożeni, szukali pośpiesznie schronienia poza szeregami lepiej od nich zbrojnej piechoty. Ruszyliśmy żwawo sami na spotkanie nieprzyjaciela, odbierając po drodze grad *pila* rzymskich, który położył niemałą liczbę naszych, ale i nasze dzidy poszły też w ruch. Prędko jednak i my, i Rzymianie porzucili tę broń, aby się wziąć do mieczów. Walczono teraz pierś o pierś.

Co się tyczy Bojoryksa zresztą, to ten nie miał w ręku ani dzidy, ani miecza, tylko ciężką maczugę dębową, którą roztrzaskiwał hełmy wraz z czaszkami tak łatwo, jak orzechy ze skorupą. Cza-

sami, dla rozmaitości, zwieszał bezczynnie u pasa straszną broń i wprost gołymi rękoma chwytał to jednego, to znów drugiego z nie spodziewających się zgoła takiej napaści żołnierzy rzymskich – i wówczas raz po raz rozlegał się suchy trzask kości, gruchotanych wraz ze zbroją stalową. Bojoryks ujrzawszy przed sobą najeżdżającego nań trybuna rzucił się naprzód z pochyloną głową jak tur do ataku, uderzył konia mocno w pierś, aż się ten zachwiał pod ciosem, podniósł go następnie w górę na grzebieniu swego hełmu zupełnie tak, jakby to zrobił naprawdę tur na rogach, i przewrócił na wznak biedne zwierzę, które biło rozpaczliwie w powietrzu kopytami, daremnie usiłując utrzymać równowagę i miażdżąc swego jeźdźca, który zaskoczony – nie zdążył nawet wyrzucić nóg ze strzemion. Gdzie walczył Bojoryks, wznosiły się dokoła niego szańce trupów.

– Brawo, Żubr! Brawo! – wołał nań Dumnak, o ile się znajdował w pobliżu. Ten wraz z nierozłącznym Arwiragiem rzucali się umyślnie w najgorętszy wir bitwy i oparłszy się natychmiast plecami jeden o drugiego walczyli tak, wyglądając niby jakieś szczególniejsze bóstwo o czterech ramionach, szerzące dokoła siebie spustoszenie.

Cyngetoryks, walcząc na miecze, przybierał pozy bohaterskie i gdy mu się udało zabić swego przeciwnika, odstępował o parę kroków w tył i kładąc sobie rękę na biodrze, a zadzierając głowę do góry, zapytywał groźnie:

– No?! Jest tam kto jeszcze?...

– Brawo, Kogucie! – wołali doń wówczas z daleka Dumnak i Arwirag, śmiejąc się do rozpuku. – Ale pociesz się, jest ich jeszcze dużo!

Karmanno–Kukułka korzystał ze swej zadziwiającej chudości, aby się zręcznie wcisnąć między dwóch legionistów i każdemu wsadzić ukradkiem w bok swój miecz krótki. Ambioryga wyglądała ślicznie w swym stroju wojennym z cerą zaróżowioną zapałem; nigdy nie widziałem parowania ciosów i zadawania ich ręką pewniejszą i umiejętniejszą. Sławni ze swej sprawności wojennej żołnierze rzymscy w szeregu pojedynków, które stoczyła z nimi, padali pokonani z przebitym gardłem lub też – przez otwór w zbroi – bokiem. Pracowała mieczem wytrwale, lecz spokojnie i uważnie, nie śpiesząc się, ale też i nie zatrzymując dla odpoczynku – zupełnie tak, jak dobra gospodyni, która systematycznie i porządnie wykonywa swą robotę, pragnąc ją skończyć przed zachodem słońca. Dobrze się sprawiano z naszej strony, zapewniam was! Raz po raz trzy linie manipul dwunastego legionu – zdziesiątkowane i odepchnięte – musiały się cofać, my zaś wówczas posuwaliśmy się o kilka kroków naprzód. Nasi łucznicy i procarze, ośmieleni powodzeniem galijskiego oręża, ukazali się znowu na polu bitwy, zasypując nieprzyjaciela z boków ulewą strzał i pocisków. Powstrzymali też nawet w ten sposób atak konnicy rzymskiej i skłonili ją do odwrotu, kłując strzałami w zady końskie. Bitwa trwała już od dłuższego czasu, gdy na drodze, prowadzącej z lasu na zboczu Lukotycji, ukazał się nowy jeszcze oddział galijski z jadącym na przedzie a strojnym w materie italskie naczelnikiem, któremu spod hełmu wysuwały się misternie ufryzowane włosy.

– Toćże to Keretoryks! – zawołał Dumnak, pokładając się ze śmiechu. – Na Kamula! Potrzebował więc aż tyle czasu na swą toaletę?!

Na widok tego eleganta taka mnie porwała wściekłość, że omal z miejsca nie rzuciłem się nań z mieczem w dłoni, tylko nowy atak manipuli rzymskiej przeszkodził mi w wykonaniu tego zamiaru. Ambioryga zręcznym ruchem odparowała cios przeznaczony dla mnie, którego chwila roztargnienia nie pozwoliła mi zauważyć, i rzuciwszy tylko przelotnie na Keretoryksa wzgardliwe spojrzenie, znowu wróciła do walki. W tejże chwili prawie spoza mnie wysunął się naprzód jakiś człowiek bez hełmu i zbroi, obnażony do pasa, z włosami rozczochranymi i posypanymi popiołem. Poznałem w nim jednego z wojowników Keretoryksa.

– Nie bój się mnie! – rzekł widząc, iż żachnąłem się ze zdumienia. – Nazywam się Poredoraks, jestem człowiekiem wolnym i synem wolnego! Powiem ci później słówko. Teraz mam swą hańbę do zmycia – odwróciwszy się pokazał mi dwie długie sine pręgi na grzbiecie – i zaraz pomszczę zniewagę – dokończył.

Keretoryks na widok Poredoraksa, rozmawiającego ze mną, pobladł i odwrócił głowę. Ja zaś, starając się jak najlepiej parować ciosy, miałem go ustawicznie na oku. Strojniś ten spoglądał na nas, Galów, z lekkim grymasem wzgardy, na Rzymian zaś omal z zachwytem. Zdawał się też ich oszczędzać; gdy bowiem jego wojownicy bili się naprawdę ze szczerym zapałem, on się bronił, odbijał ciosy, lecz sam nie atakował, walcząc od niechcenia z miną znudzoną, którą zdawał się mówić:

– Co za szkoda zabijać tak cywilizowanych ludzi!...

Gdy zaś jakiś dziryt rzymski drasnął go z lekka w ramię, zaraz ściągnął wodze, przewrócił się na zad koński i dał ręką znak swym ludziom, którzy go wzięli natychmiast jeden za ramiona, drugi za nogi i wynieśli do lasu Lukotycji. Kilku jego wojowników niespokojnie odwróciło się na to, lecz stwierdziwszy, co się stało, wzruszyli tylko ramionami i wzięli się dalej do walki. Poredoraks zdumiewał wszystkich szaloną odwagą. Obnażony do pół ciała, rzucał się na przeciwników jak wściekły, czasami zaś zatrzymywał się nagle, prostował jak tyka i opuszczając bezczynnie ramiona zdawał się wyzywać ciosy. Szczególny wygląd tego desperata dziwił widocznie tak bardzo żołnierzy rzymskich, że zdawało się nawet, jak gdyby wahali się go uderzyć. Lecz on za chwilę nagłym ruchem wyciągał znowu miecz i walczył dalej z jakąś dziką furią. Zadawał potężne i liczne ciosy, lecz i po nim już obficie spływała krew i sine pręgi na jego plecach pokrywała już purpura. Słońce stało wysoko na niebie. Legion dwunasty po trosze cofał się wciąż przed nami, lecz niezmierne utrudzenie nie pozwalało nam naciskać go dość żywo. Wkrótce też jak gdyby za jakąś milczącą ugodą nastąpił rodzaj rozejmu. Ludzie, okryci potem, kurzem, a nieraz krwią, odpoczywali, oparłszy się ciężko na swych dzidach i włóczniach, oddychając szybciej. Cyngetoryks, spocony i zadyszany jak i inni, podżartowywał już z Rzymian, ocierając sobie szyję, twarz i ręce jakąś szmatą.

– Ej, patrzcie no tylko na te gęsi z Kapitolu!... Czy nie mają min dość głupich, stojąc tak nieruchomo na swych dwóch łapkach? Pozwólcież mi powiązać to ptactwo!...

I przyłożywszy duży palec do jednego ze swych nozdrzy naśladował krzyk gęsi tak udatnie, że wojownicy nasi pokładali się ze śmiechu. Lecz Italczycy nie śmieli się. Smagli, czarnoocy, przeważnie średniego wzrostu, patrzyli tylko wciąż na nas spod przyłbic hełmów, jak gdyby chcieli się nam przypatrzyć – l mimo nasze żarty rozumiało się, że nie pozwolą się powiązać tak łatwo... W pewnej chwili ujrzałem, jak stojący niedaleko ode mnie na czele swych Aulerków Kamulogen z niepokojem na twarzy pochylił się ku posłańcowi, który przybywał od wart stojących na północnym zachodzie.

– Cóż Bellowakowie? Czy zbliżają się nareszcie?

– Żadnych wieści, *Pen-tiernie*.

Kamulogen wzruszył z lekka ramionami i przygryzł siwe wąsy; lecz za chwilę, znowu niewzruszony i spokojny na pozór jak zawsze, przyglądał się dalej porządkom w armii rzymskiej. W tym czasie zbliżyli się ku mnie wojownicy Keretoryksa i jeden z nich rzekł:

– Zamierzamy dopełnić czynu niebywałego dotychczas w Galii, lecz i nigdy także dotychczas podwładni nie mieli powodów tak poważnych, aby opuszczać swego naczelnika i przechodzić pod rozkazy innego. Keretoryks od dawna nie miał duszy Gala i jego upodobanie do wszystkiego, co rzymskie, zmierziło nas ku niemu. Lecz nie widzieliśmy go jeszcze tchórzem i występnym, czym się stał teraz! On to podczas twej nieobecności kusił się wśród nocy porwać spod dachu twego domu twą krewną, Nehalenę. Widziałeś Poredoraksa? Uderzył go prętem po plecach za to, że ten dzielny mąż ośmielił się wyrzucać mu hańbę jego postępku. Powiada, że Rzymianie tak traktują swe krnąbrne sługi. Czyż bierze nas za kupionych niewolników?!... Za naszego naczelnika chętnie dajemy krew, lecz ta krew winna płynąć pod żelazem wroga, nie pod razami pana... Przy tym jest tchórzem. Widziałeś, jak się bił gnuśnie? Sądzisz może, że ciężka rana zmusiła go do wycofania się z bitwy?... To zadraśnięcie, z którego powodu nawet małe dziewczątko nie byłoby płakało... Postępowanie jego okrywa nas wstydem! Wyrzekamy się go i prosimy, abyś nas przyjął pod swe rozkazy...

I po tych słowach poczęli zrywać ze siebie znaki swego naczelnika, ciskając je pod stopy. Ja zaś dotknąłem rękojeści miecza każdego z nich i wskazałem im miejsce między mymi ludźmi. Bitwa rozpoczęła się znowu. Atak dwunastego legionu na nasze prawe skrzydło przyjęliśmy na końce mieczów i pierwsze manipule odrzuciliśmy już nawet, gdy nagle z naszego lewego skrzydła doszła nas niepokojąca wrzawa: okrzyki zwycięstwa Rzymian, okrzyki rozpaczy i trwogi naszych... Okazało się, że legion siódmy pobił na głowę nasze wojska na lewym skrzydle i zmusił je do odwrotu. Ludzie, ogarnięci nagłą paniką, rozpraszali się w popłochu po równinie jak stado cięte przez bąki, uciekając ku pobliskim górom i lasom, konnica zaś rzymska, naturalnie, ścigała ich, wjeżdżając im z mieczami na karki. To zamieszanie i bezład ucieczki przeszkodziły nam na razie widzieć, co się działo w wojsku nieprzyjacielskim, gdy zaś tłum rozproszył się nieco, ujrzeliśmy na naszym lewym skrzydle twarde szeregi legionu siódmego. Byliśmy więc w ten sposób wzięci jak w kleszcze, a i konnica rzymska zamierzała bodaj wpaść na nas.

– Ratuj się, kto może! – zawołał jakiś głos poza nami z wnętrza lasu Lukotycji, głos zmieniony umyślnie, jakiś nienaturalny...

Byłże to głos Keretoryksa?... Na to wezwanie wszystko w naszej armii, co nie miało w żyłach prawdziwej krwi wojownika, rzuciło się do ucieczki, a więc niewolnicy, następnie większość wieśniaków, z których składała się przeważnie piechota, oraz wszyscy łucznicy i procarze. Lecz my, wojownicy z dziada pradziada, pozostaliśmy odważnie na miejscu, tworząc zwartą masę ściśniętą w kulę jak jeż, która nastawiła na nieprzyjaciela krąg dzid. Najgroźniejsze byłoby w tej sytuacji dla nas dać się odciąć od lasu Lukotycji, toteż cofaliśmy się powoli w tym kierunku. Lecz atakowani byliśmy prawie dokoła – i ciosy Rzymian w nasze zwarte szeregi nie chybiały niemal wcale. Oddawaliśmy je zresztą jak najsumienniej i trupy Italczyków gromadziły się dokoła nas chyba nie mniej licznie niż nasze. W pewnej chwili Ambioryga o mały włos nie została pojmana w niewolę przez Rzymian, lecz na szczęście jej Eburoni byli w pobliżu i rzuciwszy się na legionistów jak rozwścieczone bawoły zmusili ich do wyrzeczenia się zdobyczy. Walka była nierówna, lecz po pewnym czasie poczuliśmy pod stopami grunt podnoszący się już stopniowo coraz wyżej, poczęliśmy potrącać plecami o pnie drzew i jakkolwiek przedstawialiśmy wrogowi w ten sposób lepszy cel dla pocisków, zdobyliśmy zarazem tę nad nim przewagę, że mogliśmy ciosy wymierzać z góry. Jeden z dzirytów rzymskich ugodził w pierś Kamulogena, który – trafiony w serce – padł bez życia na miejscu. Jakiś Italczyk poskoczył żywo i tuż pod naszymi stopami prawie podjął jego srebrną rękę. Byliśmy już niezmiernie wyczerpani, miecze opadały nam w mdlejących ze znużenia rękach, dzidy mieliśmy przeważnie połamane, a przeciw każdemu z nas stawało z dziesięciu Rzymian.

Los walki rozdzielał mnie ustawicznie z Ambiorygą, nie mogłem pośpieszyć jej z pomocą, gdy po raz drugi omal nie została wzięta do niewoli. Tym razem ocalił ją Bojoryks, który zaledwie miał czas krótkim uderzeniem pięści w głowę zabić napastnika, po czym wyrwał mu głowę zupełnie tak, jakby to był zrobił z muchą, i jeszcze okrytą hełmem cisnął w szeregi legionistów. Ale były to już ostatnie popisy tej nadludzkiej zaiste siły, gdyż całe ciało olbrzyma pokrywały rany i krew wprost strumieniami spływała po nim. Niedługo też osłabł tak, że musieliśmy go podtrzymywać z obu stron pod ramiona, aby mógł się cofać wraz z nami, bo skoro już miał umrzeć, należało, aby umarł, zwrócony twarzą ku nieprzyjacielowi. Byliśmy zgubieni. Poza naszymi plecami wśród lasu dawał się słyszeć lekki trzask potrącanych gałęzi, tupot nóg, przyśpieszone oddechy ludzkie... swoiż to byli czy obcy?... Zdrajcy może, którzy zachodzili z tyłu, przecinając nam drogę odwrotu? Ambioryga znalazłszy się znowu obok mnie powiedziała cicho:

– Przetnij mi gardło, abym nie wpadła w ręce Rzymian... Lub ich przyjaciół!

Nagle z naszej prawej strony, od Sekwany, rozległ się głos trąb galijskich. Czyżby to nadchodzili Bellowakowie wreszcie?... Nie, to byli Lutecjanie, którzy upewniwszy się, że ze strony opuszczonego obecnie zupełnie obozu rzymskiego nie grozi nam niebezpieczeństwo, nadbiegli

nam z odsieczą, pełni ufności, nie zmęczeni jeszcze wcale, ze świeżymi siłami, wyszydzając tchórzów i zmuszając ich, aby zawracali do bitwy. Wówczas legion dwunasty, pozostawiając siódmemu legionowi pracę wyrżnięcia nas do końca, stawił czoło przybywającym, my zaś skorzystaliśmy z tego, aby się wspiąć wyżej o kilkadziesiąt kroków. Konnica rzymska nie mogła nas już tu dosięgnąć, lecz pomiędzy drzewami, przedzielającymi szeregi, nieraz przychodziło do walki wręcz, w której nasze wyczerpanie i mała liczba dawały nieprzyjacielowi przewagę. Lutecjanie zrazu dzielnie opierali się naciskowi dwunastego legionu i atakom konnicy rzymskiej, lecz była ich tak szczupła garstka!... I tu więc także po niedługim czasie Rzymianie wzięli górę – i znowu ujrzeliśmy złamane szeregi naszych i rozsypanych po równinie zbiegów. W tej chwili prawie na porosłych lasami wzgórzach, z których o poranku zeszły na równinę pod Lukotycją trzy legiony, rozległy się znowu rozgłośne dźwięki trąbek rzymskich. To przybywał czwarty legion Labienusa, pozostawiony przezeń w rezerwie... Szczerze pozazdrościłem w tej chwili tym, którzy padli na zboczach Gergowii, gasnącymi oczami widząc porażkę orłów rzymskich i zwycięstwo Galów! Ambioryga włożyła mi swój miecz do ręki i rzekła:

– Już czas... Uderz bez słabości i wahania!

– Patrz, o patrz! I słuchaj! – odpowiedziałem ściskając ją mocno za rękę.

Na pokrytym trupami pobojowisku, na którym poczynały już wydłużać się cienie wieczorne, gdzie żołnierze rzymscy dobijali naszych rannych, aby ich następnie obedrzeć, posuwał się teraz konno jakiś naczelnik rzymski, człowiek krępy, średniego wzrostu, w świetnym otoczeniu – i jego mocny, niski głos, dobitnie akcentujący wyrazy, górował nad jękami umierających i okrzykami triumfu żywych.

– Cóż wy sobie myślicie, stado baranów, że przyszedłem tu po to, aby dać wyrżnąć swoich ludzi po jednemu w zasadzkach leśnych, gdy noc zapada? Zaraz mi trąbić na odwrót! Cóż tam robią te kohorty, plądrujące po lasach?... Osły!... Trzeba dać odpocząć żołnierzom! Będą mieli jeszcze sporo roboty przed nocą i daleki przemarsz na jutro. Z czymże ja przyjdę przed Cezara, o stado gęsi, gdy będziecie mi tak dalej zaprzepaszczać całe kohorty? Piękną przysługę mu oddam zaiste, jeśli przyprowadzę nad Loarę tłum inwalidów! Jak gdyby czterdzieści głów tych bydląt, Galów, warte były kości jednego żołnierza rzymskiego! Gdzieście się wy uczyli sztuki wojowania, bekasy błotne! Ładnie byśmy wyglądali, gdyby, tak jeszcze Bellowakowie wynurzyli się ze swych nor leśnych! Trąbić na odwrót! Natychmiast! Jutro się zobaczy, czy warto iść tam na górę po te bydlęta z błot i lasów...

Trąbki zagrały hasło do odwrotu. I z Lukotycji, jako też z paru wzgórz sąsiednich kohorty zeszły na równinę. Odetchnęliśmy swobodniej.

Rozdział IX

NOC NA SZCZYCIE LUKOTYCJI

Zapłonęły ogniska w obozie rzymskim i wkrótce wesołe śpiewy rozbrzmiały dokoła pełnych kotłów. My zaś, zebrani za na pół zrujnowanymi murami dawnego grodu na szczycie Lukotycji, spędziliśmy tę noc smutną bez żywności, bez ognia, pod niebem gwiaździstym i chłodnym. Umieraliśmy prawie z przemęczenia, z głodu i zimna; a boleść z powodu przegranej bitwy, z utraty tylu naszych dzielnych wojowników przygniatała nas bodaj więcej jeszcze od cierpień cielesnych. Opłakiwaliśmy naszego mężnego i mądrego Kamulogena, tyle nadziei

zawiedzionych – takie smutne jutro po tak świetnym wczoraj w Arwernii. W milczeniu przewiązywaliśmy sobie wzajemnie rany. Żywności nie mieliśmy wcale, za posłanie – ziemię wilgotną – i drżąc z chłodu nie śmieliśmy nawet rozpalić ognia, aby nie ściągnąć na siebie uwagi maruderów z armii rzymskiej. Niekiedy krzyk rozpaczy wznosił się z równiny aż tu do nas. To był ktoś z naszych, pojmany przez Rzymian w jakiejś kryjówce, któremu Labienus kazał poderżnąć gardło na progu swego namiotu. Cóż chcecie?... Niewolnik Gal miał obecnie tak niską cenę na rynkach Italii!... Mimo te rzezie na równinie, nasz przygodny obóz co chwila prawie powiększał się przybyszami. Wszyscy śmiertelnie znużeni, wyczerpani jak i my, pokryci krwią i błotem, wygłodniali, nieszczęsne niedobitki armii przed chwilą zwycięskiej – przybywali do nas leśnymi ścieżkami wilków, ocaleni cudem prawie. Bądź co bądź było to jednak dla nas pociechą, gdyśmy odnajdowali pomiędzy nimi kogoś z przyjaciół, których mieliśmy już za poległych; ściskając się więc i całując serdecznie, płakano wówczas z rozrzewnienia.

Stopniowo jednak gorąca krew galijska poczęła wracać do swych praw wraz z właściwym naszej rasie dobrym humorem. Wypocząwszy i przespawszy się parę godzin zaraz nabraliśmy więcej ufności w siebie i w przyszłość. Kazałem swym ludziom pozatykać, ile się dało, dziury w starych murach grodu i postawiłem straże dokoła. Gdyby Rzymianie mieli się pokusić nazajutrz zgnieść nas tu do szczętu, znaleźliby jeszcze należytą odprawę! Lutecjanie nawet poczęli już układać i śpiewać szydercze piosenki na temat Labienusa, znajdując dokoła siebie zaraz kółko słuchaczów, gdy Cyngetoryks, obudzony tym, podniósł się nagle na nogi.

– I pomyśleć tylko, żem ja sam zabił ich dziś z pięciuset! – rzekł.

Odpowiedział mu na to śmiech ogólny.

– No, więc niech będzie dwudziestu pięciu – i nie mówmy więcej o tym! Ale któż to powiedział, żeśmy zostali zwyciężeni?!... Rzymianie stracili więcej ludzi od nas. Pójdźcie no zobaczyć, co zostało z dwunastego legionu! Na próżno porozkładali tyle ognisk w obozie, to w tym celu tylko, aby nam dać fałszywe pojęcie o swych siłach. A pole bitwy, czyż nie pozostało przy nas?... Tylko że my zajmujemy jego lepszą – bo wyższą – część, gdy Italczycy nabawią się reumatyzmu śpiąc tam w dole na nizinie wilgotnej. Niech no im tylko przyjdzie do głowy wznieść jutro arkę triumfalną! Zobaczycie, że wystawię im obok drugą, dwa razy wyższą, z hełmów i zbroi rzymskich, któreśmy opróżnili z żywego ciała!

Tak nasz kogut galijski, jakkolwiek mocno poturbowany i podskubany, ostrzył już dziób i szpony i zaledwie zdążywszy przygładzić roztrzepane pióra, wskakiwał na pierwszy lepszy spotkany płot i bił skrzydła mi zwycięsko, śląc ku niebu śpiew dumny i wyzywający.

W gruncie rzeczy czyż to nie lepiej niźli poddawać się zniechęceniu? Gdy się tylko rozwidniło, ujrzeliśmy na równinie legiony uszykowane już do marszu, z rozwianymi sztandarami i orłami uniesionymi wysoko, z muzyką na czele. Na równinie nie było widać ani jednego trupa żołnierza rzymskiego: Italczycy zdążyli już pochować swych poległych. Nasi natomiast leżeli na pobojowisku rozciągnięci sztywno, odarci z odzieży, nadzy, otwartymi, nieruchomymi oczami patrząc w niebo. Pod jednym ze wzgórz wznosiła się, jak przepowiedział Cyngetoryks, arka triumfalna z hełmów, tarcz i znaków wojennych galijskich. Na dany sygnał do wymarszu cztery legiony, poprzedzane przez konnicę, ruszyły miarowym krokiem. Zauważyliśmy, że w odstępach pomiędzy kohortami toczyły się wozy z wielkich koszów, uplecionych z gałęzi łozy i postawionych na kołach, jedne obciążone zdobyczą, większość jednak – rannymi. Widzieliśmy, jak się przeprawiali przez Rzekę Bobrów i szli następnie pod częstokołem Szarej Skały. Myślałem przez chwilę, że mi spalą wioskę, lecz widocznie śpieszyli się tak bardzo, że szkoda im było czasu na zabawianie się po drodze. Pomimo iż wojsko szło krokiem przyśpieszonym, jeszcze trybuni konni uwijali się wzdłuż kolumn, słowami, a niekiedy i razami popędzając opieszałych. Kierowali się w stronę Agendicum. Oczywiście nie troszczyli się już wcale o nas. Dzik rzymski ostrymi kłami otworzył już sobie drogę i śpieszył teraz ku legowisku. Kamulogen miał słuszność – tym gorzej dla nas, żeśmy się znaleźli na drodze dzika.

Zbiegliśmy zaraz ze szczytu Lukotycji na zroszone jeszcze krwią pole wczorajszej bitwy, stopniowo inne oddziały naszych poczęły także wyłamać się z lasów pokrywających sąsiednie wzgórza – i niedługo znaleźliśmy się na równinie pod Lukotycją w liczbie mniej więcej sześciu tysięcy ludzi. Cyngetoryks nie przechwalał się na próżno. Uszanowaliśmy co prawda trofeum Rzymian, ponieważ było poświęcone bogom lecz na terenie, gdzieśmy tak dobrze przetrzepali legion dwunasty, wznieśliśmy drugą arkę triumfalną, doprawdy nie mniej wysoką jak i tamta – i to z oręża rzymskiego, znalezionego po różnych zakątkach doliny i wśród lasów na zboczach wzgórz. Następnie zabrałem głos i przemówiłem do zebranych w te słowa:

– Otośmy jeszcze dość silni i liczni – rzekłem. – Ustąpiliśmy tylko wyższości taktyki rzymskiej i przewadze liczby, a i nie na wszystkich punktach ustąpiliśmy Rzymianom. Wprawiliśmy się też w ten sposób do rzemiosła wojennego i postąpiliśmy w sztuce zwyciężania. Nie mamy więc już teraz pomiędzy sobą nowicjuszów. Niech więc ci spomiędzy nas, którzy są ranni lub zbyt zmęczeni, pozostaną tu, aby pochować ciała naszych poległych, oddać Kamulogenowi honory należne jego zasługom i odbudować Lutecję. Lecz silni i zdrowi niechaj stają znowu w szeregu! Czyż pozwolimy Labienusowi, który niewątpliwie będzie się przechwalał, że nas zgniótł do szczętu, dokonać bezpiecznie odwrotu? Ścigając armię, która się cofa, ma się łupy wojenne i trofea do zdobycia. Gdy Rzymianie po raz drugi będą przechodzili Sekwanę przez mosty Melodunum i ich armia podczas przeprawy zostanie przedzielona na dwie części, czyż bogowie nie mogą użyczyć nam jeszcze pięknego na nich odwetu?... Ja zaś, gdyby nawet nikt z was nie chciał iść za mną, pójdę chociażby sam ze swymi ludźmi! Będziemy mieli obiad z zapasów, które wiozą ze sobą Rzymianie!

Huczne oklaski były odpowiedzią na tę propozycję i natychmiast około dwóch tysięcy co najdzielniejszych wojowników ofiarowało się iść ze mną. Bojoryksowi oraz innym ciężej rannym sam zaleciłem, aby powrócili do domowych pieleszy, z tym że gdy wyzdrowieją, przyjdą połączyć się z nami. Na polu bitwy spożyliśmy skromny posiłek z zapasów z naszego obozu, pilnowanego przez Lutecjan, którego Rzymianie już nie zdążyli zrabować. Następnie zaś udaliśmy się w drogę śladem legionów, które posuwały się tak szybko, że wkrótce poczęły porzucać poza sobą chorych, słabych i rannych, nie mogących nadążyć forsownemu pochodowi. Niedaleko od Melodunum wydaliśmy bitwę ariergardom Labienusa, zdobywając na nich chorągiew, gdy zaś następnie wchodziłem na przedmieście Melodunum, znajdujące się po tej stronie rzeki, przechodząc przed jakąś chatką usłyszałem rozlegające się w niej krzyki. Wszedłem tam i ujrzawszy leżącego na wiązce słomy rannego centuriona, któremu kilku naszych zabierało się właśnie poderżnąć gardło, wyciągnąłem nad nim mój miecz obnażony oświadczając, że człowiek ten jest mym jeńcem i chcę, aby go oszczędzono.

– Ależ to żołnierz Labienusa... – rzekła mi Ambioryga, zdziwiona, tonem wyrzutu.

– To ranny – odpowiedziałem – nieszczęśliwy ranny!... Czyż chciałabyś bezbronnemu odbierać życie?

Centurion pochwycił oburącz moją rękę i ściskając ją z wdzięcznością, zawołał:

– O, ja wam bratem nawet! Pochodzę z Galii Przedalpejskiej, z doliny rzeki Pad – i tu wymówił kilka słów w języku Cenomanów – dodając, iż język ten jest tam u ludu jeszcze w użyciu tak samo, jak i mowa Rzymian.

Chcąc odpocząć chwilę, wdałem się z nim w pogawędkę, wyciągając go na opowiadania o jego kraju. Centurion powiedział nam, że nazywa się Gnaeus Maro, i wyznał w trakcie rozmowy, że Galowie z tych stron stali się w gruncie rzeczy od dawna już Italczykami. Ze wzruszeniem opowiadał nam o cudnych jeziorach tej Galii italskiej, czystych i błękitnych jak niebo pogodne, o stadach łabędzi, które się chronią na noc w gaje różane i migdałowe, o winnej łozie, która przerzuca się tam z drzewa na drzewo, przystrajając pola festonami zieleni i gronami jagód purpurowych lub złotych jak promienie słoneczne. Tak by pragnął raczej tam żyć, w tym swoim kraju, orać pługiem ziemię ukochaną i hodować pszczoły... Lecz wzięto go do wojska, gdy miał lat dziewiętnaście, i dzięki swemu dobremu sprawowaniu się oraz męstwu

doszedł do stopnia centuriona – teraz, gdy mu już włos posiwiał, a w ustach nie stało zębów... Nie pójdzie wyżej, gdyż te wyższe stopnie zachowuje się dla synów senatorów lub przynajmniej jeźdźców. Gdy stanie się już niezdatnym do służby, odeślą go wreszcie z jakimś jeszcze medalem na pociechę i gdzieś około jego ojczystej Mantui wyznaczą mu mały kawałek gruntu, do którego uprawy nie będzie już miał sił nawet... Podniecony widocznie gorączką z powodu ran, rozrzewnił się następnie – mówiąc o swym młodym bratanku, imieniem Publiusz Wergiliusz, młodzieńcu wykształconym, który rokował najpiękniejsze nadzieje, gdyż już teraz pisywał po łacinie wiersze, którymi się zachwycano w samym nawet Rzymie! Szczególnie pięknie opisywał uroki wsi, tak iż łzy się cisnęły do oczu, gdy się czytało jego utwory.

– Ci Rzymianie są to ludzie tacy, jak i my – powiedziałem do Ambiorygi, której dobroć wrodzona wzięła stopniowo górę nad zawziętością córy wodza, ściganego w swym własnym kraju przez Rzymian jak dzikie zwierzę.

Przed wyruszeniem w dalszą drogę zarządziłem, aby przy Maronie pozostał jeden z mych pieszych wojowników, ranny także, zalecając mu czuwać nad życiem tego człowieka i bronić go powagą mego imienia od mieszkańców przedmieścia, gdy powrócą wściekli na Rzymian do swych obrabowanych domów. Wychodząc już, rzekłem jeszcze do centuriona:

– Jesteś wolnym, bracie, i nie żądam od ciebie żadnego wykupu nawet. Proszę tylko bogów, aby się nam nie zdarzyło spotkać na polu bitwy, gdyż byłoby mi przykro teraz przelać krew twoją!

– Ja mam tym więcej powodów, aby się wzdragać przelać twoją – odpowiedział mi Maro. – Będę też prosił wielkiego Jowisza, abyśmy się spotkali raczej w takich okolicznościach, żebym mógł ci odpłacić za twą wspaniałomyślność!

Legiony nie przeprawiły się przez Sekwanę w Melodunum, jak przypuszczałem, lecz poszły szybko dalej wzdłuż wybrzeża rzeki, dosięgając w ten sposób niedługo brzegów Yonny. Miałem za mało ludzi, aby wzbronić im przeprawy przez tę rzekę, lecz wziąłem się raz jeszcze do kohort tylnej straży. Ubiliśmy im przy tej sposobności sporo żołnierzy i jednego centuriona, któregom sam przeszył dzidą, co uspokoiło nieco skrupuły, które dręczyły mnie z powodu oszczędzenia życia Rzymianinowi. Zdobyliśmy też dwie maszyny do wyrzucania pocisków oraz – rzecz pierwszorzędnej dla nas wagi – dość znaczną ilość wozów z zapasami żywności. Na przeciwległym brzegu Yonny opodal Agendicum legiony Labienusa połączyły się z legionami Cezara.

Nie było już co się kusić o stoczenie walki z nimi i pozostawało nam tylko postarać się o to, aby co prędzej połączyć się z armią Wercyngetoryksa, który wyznaczył nam miejsce spotkania w Bibrakte, stolicy Eduów.

Rozdział X

ŚWIĘTA BIBRAKTE

Przybyliśmy do Bibrakte równocześnie prawie z Wercyngetoryksem i jego armią, których podróż uległa opóźnieniu z powodu ustawicznych zamieszek wewnętrznych i wahań w senacie Eduów. Lud ten liczył prawie tyleż stronnictw, co rodów, i gdy tylko jeden z nich czynił krok w naszą stronę, drugi natychmiast usiłował to odrobić, czyniąc krok w stronę Cezara. Tak na przykład partia stronników Litawika uwięziła w Cabillon trybuna Arystiusza, wypędziła kupców italskich, zrabowała im magazyny i nastawała na ich dobytek; partia zaś przeciwna zaraz uwolniła Arystiusza i w dodatku jeszcze przedstawiciele jej poczęli płaszczyć się przed tym trybunem, błagając go pokornie o przebaczenie, a przedstawiając, że wszystko, co zaszło, było dziełem zgrai złoczyńców. Senat skazał Litawika na konfiskatę dóbr, jego zaś krewnych na wygnanie; lecz gdy wiatr powiał z innej strony, odwołał oddziały swojej armii, dane na pomoc Cezarowi, i ci sami ich naczelnicy, Eporedoryks i Wirydomar, którzy dowodzili nimi w walce z nami, skierowali je teraz na Noviodunum, gdzie Cezar miał swych zakładników galijskich, magazyny ze zbożem, skarbiec i znaczną część bagażów armii. Tam wysiekli straż pilnującą magazynów i skarbca, zrabowali je, uwięzili kupców italskich i w końcu spalili miasto.

Posłowie, których senat eduski wysyłał niekiedy do Wercyngetoryksa, mówili coraz to inaczej, co zależało od tego, kto u nich w pewnej chwili miał przewagę. Czasem więc stawali przed *Pen-tiernem* w roli pokornych petentów mówiąc, że Eduowie są zgubieni, jeśli syn Celtila nie przyjdzie im na pomoc ze swą niezwyciężoną armią. Kiedy indziej znów traktowali Wercyngetoryksa niemal arogancko – jako klienta swej republiki, żądając odeń wyniośle, aby się stawił przed ich senatem dla otrzymania instrukcji względem dalszego prowadzenia wojny. Wywoływały zaś to wszystko w głównej mierze niechęć i zawiść, które Eduowie stale żywili ku Arwernom, gdyż znana była powszechnie odwieczna rywalizacja tych dwu ludów o panowanie nad plemionami Sekwany, Loary i Sewennów, datująca się od czasów Hannibala, kiedy to Arwernowie dostarczyli mu posiłków, Eduowie zaś wraz z swą klientelą usiłowali go powstrzymać przy przejściu przez Rodan. Toteż ich naczelnicy burzyli się na myśl służenia pod rozkazami Wercyngetoryksa, a Eporedoryks i Wirydomar przesadzali doniosłość swych czynów w Noviodunum – i to do takiego stopnia, że ośmielali się twierdzić nawet, iż odnieśli tam świetniejsze zwycięstwo niźli syn Celtila pod Gergowią!... Chlubne zwycięstwo, zaiste!... Zdobyć miasto otwarte, którego nikt nie broni, pobić inwalidów pilnujących magazynów, zrabować składy, wyrżnąć bezbronnych kupców! I cóż się stało, warto by zapytać w dodatku, z bogatą zdobyczą w Noviodunum? Zboże winno było wzbogacić magazyny armii, konie i oręż powinny przejść na potrzeby wojska, pieniądze należało przelać do skarbca publicznego. Tymczasem gdy senat eduski zażądał rachunków, okazało się, że wszystko było w najgłupszy sposób zniszczone, spalone, powrzucane do rzeki albo też złupione ostatecznie. Senat i naczelnicy Eduów w gruncie rzeczy lękali się tyleż prawie Wercyngetoryksa co Cezara, dążyli też, manewrując tak i owak, do tego tylko, aby zawrzeć osobno pakt przymierza z Rzymem, gdy tylko trafi się po temu sposobność.

U stóp góry świętej, na której wznosi się świątynia bogini Bibrakte, spotkali nas nowi posłowie senatu eduskiego, którzy zaprosili nas na szczyt tej góry gdzie w ich *nemedhu,* to jest w ogrodzeniu, w którego środku wznosiła się świątynia, zebrali się już na naradę senat i na-

czelnicy. Wercyngetoryks miał się tam wytłumaczyć przed nimi ze wszystkiego, co uczynił dotąd, i ugodzić względem przyszłego postępowania.

– Doprawdy, ci Eduowie przemawiają z nadto wysokiego tonu! – rzekł gniewnie Wergassilaun do mnie.

– I – dodałem – mają tak szczególny sposób zapraszania ludzi, że przypomina mi on bardzo ten, którego używa się u nas po to, aby... szli sobie swoją drogą!

Całe otoczenie Wercyngetoryksa było oburzone; duma ludzi z Wysokich Ziem burzyła się przeciwko pysze znikczemniałych Eduów, panów żyznych równin i rzek spławnych. Lecz – zupełnie niespodzianie – usłyszeliśmy nagle głośne okrzyki radości, pochodzące z tysięcy piersi, a rozlegające się na pochyłości góry. Po stromej drodze, na której pięć par wołów z trudem tylko może uciągnąć wóz snopów, dążył powitać nas ogromny tłum ludzi, w którym znajdowały się nawet matki z dzieciakami u piersi lub trzymającymi się ich sukien, starcy, drepcący ostrożnie z boku drogi, aby ich nie stratowano, kalecy nawet, podrygujący na swych kulach. Był to tłum ludzi pracy – i większość z nich widocznie przed chwilą tylko oderwała się od swej roboty, gdyż byli albo w zapaskach skórzanych, albo z rękami umalowanymi po łokcie różnymi farbami, niektórzy mieli nitki wełny rozsiane po całej swej odzieży, inni jeszcze twarze posmolone od pracy w kuźni. Ale wszyscy wywijali trzymanymi wysoko w ręku zielonymi gałązkami i wołali głośno i zgodnie:

– Gergowia! Gergowia! Oto idzie on! Oto on! Wercyngetoryks!

– *Pen-tiern!* Syn Celtila! Gergowia! Gergowia!...

Był to cały ubogi lud z Bibrakte i jej bliższych okolic, w którego prostych, szczerych sercach dusza Galii żyła życiem daleko żywszym niźli w sercach ich dumnych „złotych naszyjników". Mało się troszczyli ci dzielni ludzie o jakieś tam zadawnione zatargi pomiędzy Eduami a Arwernami, o zawiści Eporedoryksa i Wirydomara, o to, kto zostanie *vergobretem,* a kto prefektem konnicy. Na wieść o zbliżaniu się zwycięzcy spod Gergowii przybiegali z pośpiechem, aby powitać w nim swego wybawcę od jarzma cudzoziemców i śmiejąc się a płacząc z radości tłoczyli się dokoła nas, ciskając pod kopyta rumaka Wercyngetoryksa zielone gałązki, kwiecie, nawet swe tuniki z dni świątecznych; potrącali się i popychali z wilgotnymi ze wzruszenia oczami, aby się tylko docisnąć doń, ucałować kraj jego płaszcza, dotknąć grzywy jego konia. Na zakręcie drogi cały ten tłum schodzący z góry przystanął chwilę, następnie zaś zawrócił i począł wstępować z nami znów na górę, śpiewając po drodze hymny, które się śpiewa u nas, w Galii, zazwyczaj, gdy się rodzi rok nowy, to jest w dzień wiosennego zrównania dnia z nocą. Pośród tych śpiewów a morza zieleni i kwiatów jechaliśmy naprawdę jak gdyby w triumfie jakimś! Nawet na szyje koni i na nasze hełmy ponarzucano girlandy splecione naprędce i rękojeście naszych mieczów i groty dzid stały się niewidzialne pod pokrywającymi je bukiecikami. Wercyngetoryks jechał bardzo wolno, co chwila ściągając cugle wierzchowca z obawy, aby nie stratować kogoś, zwłaszcza z dziatwy, która sypiąc kwiaty cisnęła się pod same nogi jego konia, widocznie też był głęboko wzruszony i co chwila oczy wznosił ku niebu, jak gdyby w niemej modlitwie.

Nie wiem czemu, przyszło mi nagle na myśl, iż to tak właśnie pośród śpiewów, kwiatów, zieleni i procesji ludu prowadzą na śmierć ofiary bogom – wspaniałe wielkie byki białe, bez żadnej wady lub skazy, wybrane spośród wielu, wielu stad... Serce drgnęło mi bolesnym przeczuciem. Zwróciłem się do jadącej obok Ambiorygi, aby podzielić się z nią tym wrażeniem i ujrzałem, iż jej błękitne oczy zwilża rosa łez. I jej równocześnie przyszło to samo na myśl...

Tłum mieszał się pomiędzy wojowników, podając nam owoce i czary wina, które wybornie smakowały strudzonym i okrytym kurzem dalekiej drogi, mali zaś chłopcy, kręcąc się pomiędzy piechurami, prosili o tarcze lub dzidy do niesienia, aby nam ulżyć – i gdy im powierzono te rzeczy, kroczyli u boku żołnierzy niezmiernie zadowoleni i przejęci zaszczytem piastowania tych narzędzi wojny, które niekiedy z trudem tylko mogli udźwignąć. U bram

miasta powitały nas w końcu i „naszyjniki złote", które zapewne nieco znudziły się długim wyczekiwaniem na Pagórku Rady – wyniosłym występie skały, górującym nad miastem – albo, co też być może, widząc zapał ludu, obawiały się nazbyt go drażnić swym chłodem względem syna Celtila. Znaleźli się więc teraz przed bramami miasta jak gdyby trochę niespodzianie dla siebie samych, porwani burzliwym wybuchem uczuć ludu, lecz w większości z minami niezadowolonymi, chmurząc się, gdy okrzyki wybuchały głośniej, jak gdyby każdy okrzyk na cześć bohatera Galii kłuł ich w serce. Gdyśmy wjechali w ulice miasta, zaledwie podobna było widzieć domy, ginące w powodzi draperii z kraciastych tkanin galijskich o żywych barwach i nawet kobierców italskich, a i konie nasze stąpały po takichże kobiercach i tkaninach, które im słano pod nogi. W ten sposób przybyliśmy do Pagórka Rady, u którego senatorowie kazali rozstawić Unię żołnierzy, aby powstrzymać napór tłumu. Wercyngetoryks również pozostawił poza tą linią całe swe wojsko, biorąc ze sobą naczelników tylko.

Podczas obrad oczywiście Eduowie poczęli wysuwać zaraz pretensje. Słuchając ich zdawało się, że oni to wszystkiego dokonali. Gergowia – było to zwycięstwo ich, Eduów. Za pierwszym razem, gdyśmy o mało nie zdobyli obozu rzymskiego, była to ich zasługa, ponieważ za ich właśnie sprawą Cezar opuścił obóz, dążąc z dwoma legionami na połączenie się z Litawikiem i jego oddziałami. Za drugim – postawa sprzymierzonych oddziałów eduskich zdecydowała o losie bitwy. A przy tym Gergowii przeciwstawiali swe świetne zwycięstwo w Noviodunum! Stali się tam panami zakładników Cezara, i ludy, które ich dostarczyły, widząc swych zakładników w ręku Eduów, zostały tym zmuszone oświadczyć się za wojną z Rzymem. Przechwalając się bogactwem i potęgą swej republiki, wyliczali ludy, które mieli w swej klienteli, i liczbę oddziałów wojska, które w niedługim czasie miało rzekomo nadejść pod ich sztandary. Oni to byli panami wszystkich przejść w Sewennach północnych oraz brodów w rzekach i strumieniach; oni to odgraniczali Cezara od Prowincji i na skutek ich przystąpienia do sprawy wojnę przenosiło się na samąż granicę nieprzyjaciela. Wobec tego wszystkiego – czyż za wiele było żądać, aby im to właśnie powierzono obecnie kierownictwo wojny? Po tych słowach naczelnicy innych ludów – oburzeni – wszczęli taki hałas, dzwoniąc i szczękając orężem, że Eduowie nie śmieli nastawać. Spuścili też zaraz z tonu i zniżyli pretensje do tego, aby przynajmniej dowództwo nad armią zostało podzielone, i to w ten sposób, że dodano by Wercyngetoryksowi dwóch naczelników eduskich, którzy mieliby równe prawa, jak i on. Lecz gdy w toku rozpraw doszło do tego: komu powierzyć ten zaszczytny urząd – przestali się ze sobą zgadzać i rozpoczęły się pomiędzy nimi sprzeczki i kłótnie. Wówczas Wercyngetoryks, który dotąd słuchał tylko w milczeniu, powstał i rzekł:

– Jakże moglibyście, przyjaciele, zapewnić zjednoczenie Galii, gdy nie możecie się zgodzić nawet pomiędzy sobą? Jak skłonić tyle ludów, które dzielą waśnie przeszłości, do zgodnego współdziałania? Czy chcecie uniknąć poddaństwa Rzymowi, które zagraża nam wszystkim? Jeśli tak, to nie powinno być teraz ani Eduów lub Arwernów, ani Piktów czy Wenetów, tylko – przynajmniej aż do chwili decydującego zwycięstwa – niechaj w Galii będą Galowie jedynie! Ja zaś nie starałem się o naczelne dowództwo, które niebezpieczeństwo kraju samo mi włożyło w ręce. Gotów jestem złożyć je każdej chwili w ręce męża, którego uznacie za godniejszego tego zaszczytu. Wszystkie nieomal ludy Galii mają tu swych przedstawicieli, więc wódz naczelny, którego to zgromadzenie wybierze, może liczyć na zaufanie i posłuszeństwo wszystkich ludów od wybrzeży oceanu po szczyty Sewennów. Lecz – zaklinam was – nie dawajcie armii więcej nad jednego wodza!... Tylko w takim wypadku decyzje mogą być szybkie, a działalność pewna i stanowcza. Spójrzcie na Rzymian: wielu z nich zazdrości Cezarowi, inni nie ufają mu, a jednak nikt nie dzieli jego władzy nad wojskiem. Najpyszniejsi nawet z legatów, taki choćby Labienus lub Krassus, nie czynią nic innego, tylko stosują się posłusznie do jego rozkazów. Jeden jest imperator w armii rzymskiej – i dość będzie jednego *Pen-tierna* dla naszej armii!

Po tych słowach rozbrzmiały huczne okrzyki przy wtórze uderzeń mieczów o tarcze:

– Tym jedynym wodzem ty bądź, synu Celtila!... Ty, ty!... Sami bogowie wskazali nam ciebie! Prowadź nas ku nowym zwycięstwom!

Lecz Eduowie, jakkolwiek podzieleni w łonie własnego społeczeństwa, łączyli się ze sobą we wspólnej niechęci do uznania najwyższej władzy Wercyngetoryksa. Z wysokości Pagórka Rady widzieliśmy zgromadzony na dużym placu lud Bibrakte, prawdziwe morze głów ludzkich – wzburzone morze, z trudem tylko powstrzymywane przez kordon wojska. Ludzie ci nie mogli słyszeć wszystkiego, co się mówiło między nami, lecz z pewnością dolatywały ich oderwane wyrazy i zdania, rozpoznawali też mówców, którzy kolejno powstawali ze swych miejsc, aby przemawiać, i bez trudu mogli dostrzec, że się toczą dysputy i spory. Niecierpliwili się też, widząc tylko, że tracimy czas na próżne gadanie i – że rzeczy nie idą po ich myśli. Niedługo też poczęły się aż do Pagórka Rady donosić ich głośne wołania:

– Nie chcemy więcej wodzów jak jednego!... Wercyngetoryks! Wercyngetoryks! Syn Celtila! Gergowia!

I właśnie kiedy Litawik podniósłszy się zaproponował, by zasięgnąć zdania ludu, co przewiduje prawo kraju w wypadkach, jeśli senat nie może dojść do zgody, a Eporedoryks, Kot i inni sprzeciwiali się temu – nagle głos tłumu rozległ się znacznie bliżej, tuż koło nas. Okazało się, że masy przerwały kordon. Wkrótce ujrzeliśmy to wzburzone morze głów ludzkich, wspinające się jak gdyby w przypływie na zbocza naszego pagórka, za chwilę zaś zalało nas ono ze wszystkich stron i zostaliśmy niemal ogłuszeni okrzykami:

– Wercyngetoryks! Wercyngetoryks! Nie dzielić władzy! Jedna jest Galia i niech będzie jeden wódz tylko! Wercyngetoryks! Wercyngetoryks! Syn Celtila! Gergowia! Gergowia!

„Złote naszyjniki" Eduów nie były w stanie dojść do słowa. Gdy tylko który z nich powstawał ze swego miejsca, aby zabrać głos, zaraz wznosił się dokoła dziki wrzask:

– Wercyngetoryks! Wercyngetoryks! Nie trzeba innego! Syn Celtila! Wercyngetoryks!...

Siadali więc z powrotem, czyniąc gest zniechęcenia. W końcu zmuszeni byli ustąpić i jeden po drugim dali ręką znak zgody.

– Brawo! Brawo! – przyklasnął lud dookoła Pagórka Rady. – Lecz trzeba teraz, *Pentiernie,* aby nasze „naszyjniki złote" dały ci zakładników! Nie ufaj im, synu Celtila!

Gdy zaś senatorowie wahali się jeszcze, kamienie ze świstem poczęły przelatywać nad ich głowami. Zgodzili się więc i na danie zakładników. Wercyngetoryks wówczas podniósł się po raz drugi i w krótkich a uprzejmych słowach podziękował ludowi i starszyźnie. Następnie uprzedził jednych i drugich, że prawdopodobnie ciężkie ofiary będą z ich strony konieczne. Czy są zdecydowani dla ogłodzenia legionów poświęcić, być może, swoje wioski i miasta na pastwę płomieni, tak jak się to stało w kraju Biturygów?

– Tak! tak! – wołał lud. – Oddajemy wszystko na twe rozkazy, nasze mienie i życie, byleby tylko Italczyków wygnać za Alpy!

Wieczorem dnia tego ujrzeliśmy z naszego obozu na równinie zbocza i szczyty góry Bibrakte – bo ta góra ma parę szczytów – świecące gwiazdami ogni jak strop niebieski. Dla uczczenia tego dnia uroczystego najbiedniejsi nawet z mieszkańców Bibrakte postawili w oknach swych mieszkań choć po parę zapalonych lampek.

Rozdział XI

BITWA NAD VINGEANNE

Wercyngetoryks polecił kilku naczelnikom udać się z oddziałami piechoty i konnicy do pogranicznych ludów: Sekwanów, Segasjonów, Allobrogów, Helwetów i innych. Mieli oni wzniecić tam bunt przeciwko Rzymowi i skłonić owe plemiona, by przyłączyły się do sprawy, a w razie potrzeby – zmusić do tego. Mieliśmy jednak nadzieję, że wszystkie te ludy celtyckie usłyszawszy nasz okrzyk wojenny nadbiegną z ochotą same i połączą się z nami. Niemiłą było też dla nas niespodzianką, iż tam, gdzieśmy się spodziewali wyciągniętych do nas przyjaźnie ramion bratnich, powitań w języku pokrewnym, poczciwych brodatych i wąsatych modą galijską twarzy – widzieliśmy twarze wygolone, obelżywe słowa w języku latyńskim, bramy miast zamknięte przed nami i zamiast uczty gościnnej dostawaliśmy nieraz chmarę strzał na powitanie. „Jak to?... Byliż to bracia nasi?!... Chyba zamieniono nam ich u mamki!" – mówiliśmy pomiędzy sobą w przykrym zdumieniu. Co prawda, to Rzym był im „mamką" coś już około stu pięćdziesięciu lat. Toteż Allobrogowie, jak gdyby zapomniawszy o okrucieństwach popełnianych u nich niezbyt dawno jeszcze przez prefekta Fontejusza, przeszkodzili nam przeprawić się przez Rodan, aby zanieść zarzewie powstania w Alpy; a i Helweci zachowywali się względem nas opornie. Bądź co bądź jednak Cezar i Labienus byli zamknięci na Yonnie pierścieniem powstania wszystkich otaczających ich ludów i z tej całej obszernej Galii, na której podbój Cezar siedem lat poświęcił, nie posiadali właściwie nic więcej, jeno ziemię pokrytą ich obozami i udeptaną sandałami ich żołnierzy. Z kraju Eduów nie otrzymywali ani worka zboża, z Prowincji – ani jednego rekruta. Wówczas Cezar powziął zamysł zbrodniczy. Jego wysłańcy poczęli przebiegać ziemie zamieszkane przez szczepy germańskie – te same, które jego miecz zdziesiątkował tak niedawno, w których wioski niósł rzeź i zarzewie pożarów aż poza Ren – najmując tam wojowników. A jeszcze się chwalił na zebraniu w Samarobriva, że wybawia Galię od najazdów germańskich! Teraz zaś sam ich szczuł na nas.

Ci Germanie nie mają serca. Nie pamiętają nawet swych własnych krzywd i zniewag i gdy się im tylko obiecuje złoto i łupy wojenne, gotowi są zapomnieć wszystko. Między tymi najemnikami zza Renu byli tacy, którzy nosili jeszcze na twarzach blizny pochodzące od mieczów rzymskich. Lecz Cezar wskazał im nasze bogate wioski nad Yonną, Saoną i Rodanem – i przybywali natychmiast. Są oni tak chciwi, że powołani przez Cezara jako jego sojusznicy – rzucili się nawet na jego własny obóz nad Mozą, aby złupić dobytek legionów. Ci ludzie obdarliby rodzonego ojca. Wzrost mają przeważnie olbrzymi i atletyczną budowę ciała, lecz mimo to wyglądają raczej nędznie z powodu skąpej i ubogiej odzieży. Są oni naprawdę bardzo ubodzy tam u siebie, w swych lasach i błotach – i to ubodzy nawet wtedy, gdy mają złoto, nie wiedzą bowiem, co by z nim zrobić, i chowają je po dziurach. Chodzą półnago w największe mrozy, lecz nie po to, aby popisać się swą wytrzymałością, jak to czynimy czasem my przez brawurę, ale po prostu dlatego, że nie mają umiejętnych tkaczy i sukienników. Powiadają o nich, że są podobno trzeźwi i wstrzemięźliwi – lecz to z ubóstwa jedynie, bo gdy im się zastawia ucztę, to gotowi potopić się w beczkach i zjeść wołu z wnętrznościami. Za całą odzież służą im zarzucone na ramiona skóry zwierząt, pod tym zaś noszą, a i to nie zawsze, tunikę z grubego płótna, niektórzy zaś paradują zupełnie nago, przystrojeni tylko w nacięcia na skórze, napuszczone farbą. Broń mają dziwną, jak na przykład *bang,* który jest dzidą

połączoną z harpunem, a okrutne zadaje rany. Niektóre zaś ich drużyny są tak dalece pozbawione skrupułów, że nawet zanurzają końce swych strzał w płyny trujące. Nie umieją robić siodeł, więc jeżdżą oklep na koniach niewielkich i nędznie wyglądających z pozoru, o długim włosie, pokudłanym jak i włosy ich panów. Szkapy te, jak się przekonałem, biegają wybornie jednak. Cezar z początku zaniepokoił się nawet widokiem tych nędznych koni i kazał dać swym nowym przyjaciołom konie italskie, zmieniając część swej konnicy na piechotę. I uczynił dobrze, gdyż Rzymianie, którzy mają nieporównaną piechotę, miernymi są jeźdźcami. Co się tyczy zaś Germanów, to nie wiem doprawdy, jak się tam oni mogą trzymać na tych swoich biegunach, lecz że siedzą na nich, jak gdyby przyrośnięci do grzbietów końskich, za to już wam ręczę! To nie są konni wojownicy, którzy atakują nieprzyjaciela, lecz jakieś dziwne potwory, półludzie, półzwierzęta, jakieś pociski, które nalatują na was jak gdyby wystrzelone z procy – ba! nie z procy nawet, lecz z potężnych katapult rzymskich. Pędzi to jak wicher wpośród przerażającego wycia i wrzasku (samaż ich nazwa w języku celtyckim oznacza krzykaczy). I w swych źle wyprawionych, cuchnących skórach zwierząt, nieraz krwawych jeszcze, z włosami wysmarowanymi zjełczałym masłem, z zapasem podróżnym surowego, często dobrze już nadpsutego mięsa w torbie lub pomiędzy grzbietem konia a ciałem jeźdźca, roztaczają dokoła siebie woń tak przenikliwą, że można ich wyczuć węchem przedtem jeszcze, zanim się ich zobaczy.

Wyśmienita konnica, zapewniam was; lecz to są dzikie bestie, nie ludzie.

W parę dni po naszym wjeździe do Bibrakte rozłożyliśmy się obozem przy drodze, którą Cezar winien był iść znad brzegów Yonny do Prowincji. Rzymianie nie kazali na siebie długo czekać i wkrótce znaleźliśmy się tylko o parę tysięcy kroków od nich. Przed bitwą Wercyngetoryks zwołał naczelników konnicy na małą naradę w swym namiocie i zaznaczył z naciskiem, że chwila, która nadchodzi, może stać się rozstrzygającą dla losów całej naszej przyszłej wojny. Należało przede wszystkim znieść konnicę Cezara, o ile się da; a wówczas pozbawionym swych skrzydeł legionom nie pozostanie nic innego, jak tylko wlec się ciężko z miejsca na miejsce lub też zamykać w swych obronnych obozach jak jeż, który będąc zmuszony zwinąć się w kłębek i nastawić swoje ostre kolce, nie może już posuwać się naprzód. Złożyliśmy wszyscy uroczystą przysięgę, że nie ujrzymy domu rodzinnego, naszych rodziców, żon i dzieci, zanim nie przedrzemy się konno co najmniej dwukrotnie poprzez szeregi nieprzyjacielskie.

Wkrótce obłok kurzawy, posuwający się po drodze, zwiastował nam bliskość legionów. Podzieliliśmy się na trzy oddziały, z których najsilniejszy zajmował miejsce pośrodku, aby powstrzymać natarcie centrum armii rzymskiej, dwa zaś pozostałe miały za zadanie atakować jej skrzydła. Ja z moimi ludźmi, z oddziałem Wergassilauna i oddziałami sprzymierzeńców naszych znad Sekwany stałem na lewym skrzydle. Cezar naśladował natychmiast ten nasz rozkład i przeciwstawił nam również trzy oddziały swej konnicy, przy tym zdawało się, że piechota z jednej i z drugiej strony, na początku przynajmniej, będzie tylko biernym świadkiem bitwy.

My na naszym lewym skrzydle pierwsi zaatakowaliśmy z furią stojący naprzeciw oddział konnicy rzymskiej, przebiliśmy się przezeń, aż pyski koni naszych znalazły się przed nastawionymi groźnie długimi *pila* piechoty, wobec czego cofnęliśmy się pod chmarą strzał i pocisków. Lecz po chwili powtórnie uderzyliśmy na tenże oddział konnicy nieprzyjacielskiej, który się już tymczasem zdążył na nowo sformować, gwałtownym impetem swego natarcia złamaliśmy jego szeregi, rozproszyliśmy jego resztki na prawo i lewo tak, że się pochowały między manipule piechoty. Wtem z przeciwległego skrzydła armii nadbiegają na nas Numidzi afrykańscy. Pozwoliliśmy im się zbliżyć dostatecznie – i raptem zaatakowaliśmy ich z boku; oni również zostali zmuszeni do odstąpienia i powtórnie zderzyliśmy się z czworobokami piechoty, najeżonymi kopiami. Ale tym razem byliśmy już na to przygotowani. I krzyżując nasze miecze i dzidy z ich *pila* próbowaliśmy właśnie złamać te żelazne szeregi, gdy zupełnie

niespodzianie – nie wiedzieliśmy bowiem wcale, że Cezar przywołał na pomoc hordy germańskie – z boku rozległ się tętent ogromnej masy koni. Wrzaski nieludzkie i wycia, wydawane głosem gardłowym i ochrypłym, poczęły rozdzierać nam uszy, woń ostra napełniła powietrze. Ujrzeliśmy pędzących jak wicher w szalonym galopie jeźdźców na oklep na koniach, z rozwiewającymi się od gwałtownego ruchu długimi rudymi włosami, półnagich, z lekka przykrytych tylko zarzuconymi na ramiona skórami zwierzęcymi. Okazało się później, że przed spuszczeniem na nas ze smyczy tych dzikich psów Cezar kazał dać im do woli co najtęższego wina, a wiadomą wszak rzeczą, że gdy jeździec jest pijany, koń staje się szalonym. Pędzili też na nas z piętami wciśniętymi w boki swych rozhukanych już i tak biegunów, z twarzami rozpłomienionymi, oczami łyskającymi dziko – i mimo iż to wszystko trwało krótką tylko chwilę, pamiętam, że widziałem, jak niektórzy, pijani widocznie ponad wszelką miarę, spadali w biegu z konia ciężko na ziemię. Ci wojownicy zaledwie czynili jakiś użytek ze swych dzid i *bangów*. To nie był atak konnicy, lecz natarcie wściekłego byka, który zmiata wszystko na drodze przed sobą po prostu przez swój rozpęd i olbrzymią wagę ciała. Nieszczęście chciało, że nie byliśmy jeszcze, jak się należy, sformowani po ostatnim naszym ataku, a natarcie to nastąpiło z boku kolumny. Cyngetoryks na widok pędzących na nas Germanów rzekł*:*

– Zjadłbym sam jeden z dziesięciu tych „krzykaczy", gdyby nie było ich tak czuć zepsutą zwierzyną.

Lecz nie zdążył jeszcze dokończyć tych słów, gdy już leżał potrącony i obalony razem z koniem i cała olbrzymia fala germańskiej konnicy przeleciała po nim. Żadna z naszych turm nie miała czasu sformować się w koło, ba! nie utrzymała się na nogach ani minuty. Koń, pchnięty w bok potężną siłą, padał z rozmachem odrzucony o jakieś dziesięć kroków, jeździec, o ile zdążył wyrzucić nogi ze strzemion, leciał o piętnaście kroków lub dalej. Mnie, Ambiorygę oraz kilku naszych, najbliżej stojących, uratowało to, żeśmy się schronili co prędzej poza grupę olch, o które Germanowie uderzali w ślepym rozpędzie, zabijając się nawet czasem lub odpadając na prawo i na lewo jak pociski z procy. Było to coś w rodzaju straszliwej trąby powietrznej, która przeszła na ukos przez całe pole bitwy, zaścielając je poprzewracanymi ludźmi i końmi. Stratowawszy nas bowiem wpadli, również z flanki, na środek i prawe skrzydło naszej konnicy, druzgocąc je jak taran ścianę z gliny, potem z kolei na kilka kohort latyńskich, które się zwarły właśnie z piechotą arwemeńską, kładąc pokotem zarówno przyjaciół, jak wrogów, dalej na oddział artylerii rzymskiej, w tym samym szalonym ślepym pędzie przewracając inżynierów i rzemieślników, rozbijając im machiny, łamiąc dyszle, osie, szprychy, windy, rwąc liny pośród krzyku i przekleństw Italczyków – i pędzili dalej, póki nie wparli się w grząskie błota nad Vingeanne. Można było chyba nie lękać się, że prędko stamtąd powrócą. Lecz wówczas piechota rzymska ruszyła do ataku i wzorowy legion arwerneński – jeden legion na połączone siły Cezara i Labienusa – przywalony przewagą liczby, został zniesiony niemal do szczętu. Prawie połowa naszej konnicy, jako też kwiat konnicy eduskiej poległy lub wpadły w ręce Rzymian. Pomiędzy tymi, którzy dostali się do niewoli, znajdowali się prefekt konnicy i wódz piechoty eduskiej, Kot i Kawarill. Zaledwie miałem czas z garstką naszych jeźdźców dokonać odwrotu, cofając się poza linie piechoty. Ale i nas ogarnęła już panika – i całe to nasze tak piękne do niedawna wojsko w postaci bezładnego tłumu odpływało teraz z pośpiechem ku Alezji, *oppidum* Mandubiensów, ulegając temu ślepemu pędowi, który pociąga zawsze armie w odwrocie do miast obronnych.

Rozdział XII

ALEZJA

I znowu więc, tylko tym razem w rozkwicie lata, stanęliśmy obozem na zboczu góry u stóp murów obronnego miasta. Ale teraz było to po porażce. Nadzieje, które ożywiały nas w Gergowii, uleciały – i serca nasze były smutne i zniechęcone.

W Alezji, rozumie się, nic nie było przygotowane na potrzeby tak znacznej ilości wojska, gdyż nie plany wodzów, tylko ślepy przypadek i hasło popłochu przywiodły nas tutaj. Góra Alezji podobna jest nieco do góry Gergowii z tego, że się kończy obszernym płaskowzgórzem szczytowym, na którym wznosi się oppidum; jest jednak od Gergowii przynajmniej o połowę niższa, zbocza ma mniej strome i w ogóle jest znacznie dostępniejsza. Zewsząd pierścieniem otaczają ją wzgórza, które dosięgając takiejże prawie jak Alezja wysokości, zakrywają widok z jej szczytu przed oczami ze wszystkich stron prawie, gdyż tworzą jak gdyby krawędzie olbrzymiej misy, w środku której wznosi się *oppidum*. Wzgórza te tylko w stronie zachodniej rozstępują się cokolwiek, ukazując kawałek równiny, gdzie rzeki Osa i Ozeren łączą się z Brenną. Była to pozycja ze wszech miar niekorzystna dla nas. Wzgórza te na ogół są bardzo zbliżone do Alezji – i ponieważ nie zdołaliśmy ich zawczasu obsadzić, było jasne, że zajmą je Rzymianie, ściskając nas w ten sposób ze wszystkich stron jak żelazną obręczą, a panując zarazem nad wszystkimi wyjściami z kotliny i wszystkimi polami bitew, które byśmy mieli pokusę spróbować wybrać. Co do samego grodu, to zaledwie był on w stanie pomieścić w swych ścianach oprócz stałych mieszkańców tłumy ludu z wiosek okolicznych, które szukały tu schronienia wraz ze stadami i dobytkiem domowym.

Przy tak wielu niedogodnościach wody jednak przynajmniej mieliśmy pod dostatkiem – i to nie tylko z Osy i Ozerenu, lecz bliżej także – z dwu źródeł, które wytryskają na północno-zachodniej pochyłości Alezji, a przez Mandubiensów są uważane za cudowne. Jedno z tych źródeł daje wodę chłodną, drugie zaś gorącą. Z początku, podzielając cześć Mandubiensów dla ich świętych źródeł, nie śmieliśmy czerpać z nich wody, lecz potrzeba jest silniejsza niźli wszystko, toteż niedługo tymi wodami cudownymi z chłodnego źródła poczęliśmy myć konie, a na wodzie gorącej z drugiego cudownego źródła przyrządzać sobie zupę żołnierską.

Cała nasza armia zmuszona była oczywiście rozłożyć się obozem na zboczach góry, przy czym pośpiesznie zabezpieczyliśmy się chociaż trochę zbudowanym na prędce takimże jak w Gergowii murem sześciostopowym. Wercyngetoryks zaś natychmiast rozesłał we wszystkie strony po zapasy żywności i paszy, używając na to naszej konnicy, nikt bowiem przed bitwą nad Vingeanne nie zamierzał czynić z Alezji schronienia dla takiej masy ludzi i zwierząt – i zapasy, które *oppidum* zawierało, byłyby zgoła niedostateczne w razie przewidywanego przezeń oblężenia. Niektórzy z naszych mieli nadzieję, że Cezar postąpi tak, jak Labienus pod Lukotycją, rad, iż otworzył sobie drogę, zadowolony z zadanego nam mimochodem ciosu, poprowadzi swe wojsko do Prowincji. Ale Cezar miał obecnie jedenaście legionów pod ręką, co czyniło najmniej pięćdziesiąt pięć tysięcy ludzi, poza tym osiem tysięcy konnicy i około dwudziestu tysięcy wojsk posiłkowych: numidyjskich, kreteńskich, balearskich i... galijskich. Powrócić z tą całą armią do Prowincji znaczyłoby dać broń w ręce licznym wrogom domowym. Niedługo wyjaśniło się, czego się mamy trzymać, gdyż nazajutrz po naszym przybyciu na górę Alezji ujrzeliśmy już Rzymian zakładających swe obozy dokoła nas. Obozy konnicy rozbijano nad

strumieniami w dolinach, obozy zaś piechoty wznosiły szańce na wzgórzach właśnie tak wysoko, jak mury naszego *oppidum,* toteż nie mogliśmy widzieć, co się dzieje w ich wnętrzu.

– Cóż to jest znowu? – mówiono u nas tu i ówdzie, nieraz śmiejąc się nawet. – Cezar tak rozprasza swe obozy!... Zniesiemy mu je jeden po drugim i te, co są na północy, nie będą nawet widziały wcale, co się będzie działo na południu, ani też te, co na wzgórzach – tego, co zajdzie w dolinach!

Lecz już nazajutrz rankiem pomiędzy obozami poczęły wyrastać wysokie okopy z ziemi i wkrótce Rzymianie mogli przechodzić swobodnie z jednego swego obozu do drugiego, chronieni szańcami i fosami. Wówczas Wercyngetoryks kazał cichaczem dać sygnał do wsiadania na koń i cała nasza konnica zbiegła w dół na równinę od strony zachodniej, tej, którą zrasza Brenna, skąd tak niespodzianie rzuciliśmy się na pracujących Italczyków, iż ci w jednej chwili zostali powrzucani do fos wraz z koszami szańcowymi. Lecz w obozach rzymskich rozległo się natychmiast gwałtowne trąbienie na alarm i niedługo zostaliśmy zaatakowani przez konnicę rzymską i sprzymierzeńczą, do której należeli znowuż Germanowie. Lecz ci nie byli już teraz dla nas niespodzianką. Oswoiliśmy się z ich dzikim wyglądem, ich wonią, wyciem nieludzkim; przy tym ci wojownicy mogą rzeczywiście nieraz wziąć górę swym gwałtownym impetem natarcia, lecz ich uzbrojenie jest znacznie gorsze od naszego i my lepiej od nich umiemy władać mieczem. Toteż gdy oni wysoko podnosili do góry ramię ze swym *bangiem,* wbijaliśmy im nieraz nader celnie ostrza naszych mieczów między dwa żebra, a w te szerokie i półnagie piersi tym łatwiej i tym niebezpieczniejsze można było zadawać rany. Z godzinę już mniej więcej trwała ta walka konnicy i równina poczynała pokrywać się obficie zabitymi jeźdźcami nieprzyjacielskimi, ciągnionymi jeszcze nieraz za nogę wśród kurzawy przez spłoszonego konia, gdy nadejście piechoty rzymskiej odwróciło od nas losy walki. Z wysokości grodu rozległ się sygnał do odwrotu. Z wielkim trudem tylko mogliśmy się cofnąć do swych obozów, ścigani chmarami ciskanych w nas włóczni i dzirytów – i wielu z naszych dostało się do niewoli, gdy właśnie chcieli przesadzić ów mur sześciostopowy, któryśmy wznieśli dla własnej obrony. Bitwa była z naszej strony prowadzona znacznie lepiej tym razem niźli na tej przeklętej równinie nad Vingeanne, lecz i ta niestety była bitwą przegraną; i jeśli straty były mniejsze, to jedynie dlatego, że *Pen-tiern* nie pozwolił piechocie naszej wziąć w niej udziału. Wieczorem na naradzie naczelników rzekł nam:

– Sprawiliście się bardzo dobrze dzisiaj, lepiej niźli parę dni temu. Ale widzicie: dziesięć tysięcy konnicy galijskiej zaledwie może się mierzyć z ośmioma tysiącami konnicy Cezara. Co zaś do piechoty, to już trzeba nam przygotować się na to, aby nie wysyłać jej do boju inaczej, jak w stosunku trzech do jednego. Jesteśmy nie mniej waleczni od Italczyków, może mężniejsi nawet – i to tym więcej, że walczymy w obronie naszej wolności i naszego kraju. Lecz nie mamy takiej wprawy w różnych obrotach wojskowych i – co ważniejsze bodaj – nie jesteśmy przyzwyczajeni do ślepego posłuszeństwa władzy. Spójrzcie na te linie ich okopów, które rozciągają się coraz to dalej a dalej dokoła nas; za kilka dni będziemy tu zamknięci jak mysz w pułapce. Nie pozostanie nam wkrótce nawet tyle miejsca, aby móc rozwinąć naszą konnicę, a niepodobna też będzie jej wyżywić, bo tu nie Gergowia, gdzie trzysta tysięcy nieprzyjaciela nie byłoby wystarczyło, aby nas otoczyć, i dlatego obozy nasze mogły być codziennie obficie zaopatrzone w żywność i paszę. Uchodźcie więc stąd, wy, jeźdźcy, korzystając z tego, że linie szańców rzymskich nie są jeszcze zamknięte. Wymknijcie się cicho pod osłoną nocy. Dla naszej piechoty już nie czas na to: zostałaby wyrżnięta, zanimby zdążyła odejść kilkaset kroków. Gdy zaś powrócicie do domów waszych, niech natychmiast każdy z was powoła cały swój lud do broni. Trzeba teraz, żeby nie tylko klasa wojowników, lecz każdy zdrowy mężczyzna pochwycił za oręż – miecz, dzidę lub łuk przynajmniej, aby cała Galia powstała jak jeden mąż. A śpieszcie się... Pamiętajcie, że pozostaje nas tu sześćdziesiąt tysięcy samego wojska, nie licząc ludności miejscowej i zbiegów. Jeśli uszczuplimy nasze racje

żywności do tego tylko, co jest niezbędne, aby nie umrzeć z głodu, to i tak mamy żywności na trzydzieści dni tylko. Gdy spóźnicie się, zastaniecie tu, na wyżynie Alezji, sto tysięcy trupów naszych...

Byłem ranny w nogę w ostatniej bitwie i nie mogłem trzymać się na koniu, toteż powierzyłem komendę nad mym oddziałem Karmannowi i uścisnąwszy ze łzami na pożegnanie jego i senatora Weriugodumno, zaklinałem ich nie opuszczać nas i wracać prędko z pospolitym ruszeniem Paryzów. Około północy cała konnica nasza zeszła wśród możliwie jak największej ciszy w dół, dążąc w kierunku równiny Brenny. Nie było trąbki ani na wsiadanie, ani na wymarsz żadnego sygnału... Należało wyśliznąć się niepostrzeżenie w cieniach nocy. Patrząc w ciemność za nimi z wysokości murów *oppidum,* wytężaliśmy słuch niespokojnie, drżąc, aby głuchy odgłos uderzenia końskich kopyt o miękką ziemię lub niespodziane rżenie konia nie zdradziły naszych zbiegów, aby nie usłyszeć trąbki na alarm w obozach rzymskich. Księżyc zasnuł się właśnie lekkimi chmurkami, gdy zaś się wynurzył znowu, zdawało się nam, że rozróżniamy niejasno w oddali metaliczny odbłysk oręża i Unie szeregów, niknące w dali z oczu – i myśleliśmy ze smutkiem, iż gdy gwiazda Belizany po raz drugi zabłyśnie znowu w swym pełnym blasku, będzie już skończone z nami... przynajmniej, jeśli Galia nie zbawi nas swym najwyższym, ostatnim wysiłkiem.

Wercyngetoryks rozumiejąc, że przetrzymać jeden dzień więcej lub mniej jest dla nas kwestią życia i śmierci, zarządził bezzwłocznie zgromadzenie w magazynach wszystkiej żywności, jaka była w *oppidum.* Szukano jej w dołach, wykopanych dla przechowywania ziarna przez miejscowych mieszkańców na zboczach góry, w domach, chałupach, nawet najuboższych lepiankach, w wozach ludzi, którzy tu przybyli szukając schronienia – zrewidowano wszystko, aż do sakw żołnierskich. Następnie wszystkie te zapasy żywności zostały zamknięte w magazynach, u ich drzwi postawiono straże z obnażonymi mieczami, i co ranka każdy z walczących otrzymywał rację dzienną, każdemu zaś z nie walczących wydzielano pół porcji. Jakże dłużyło się nam tych dni trzydzieści!... Cierpieliśmy z powodu niedostatecznego pożywienia, z powodu upałów, na skutek coraz to wzrastającego niepokoju, który nurtował nas wszystkich... Cóż, jeśli te trzydzieści dni upłynie, a wielka armia galijska nie przybędzie nam z pomocą?

Ze szczytu Alezji nie mieliśmy tak rozległego widoku jak z Gergowii lub nawet Bibrakte i wszędzie wzrok tu uderzał o pobliskie wzgórza, a raczej nienawistne oczom naszym obozy rzymskie. Naprawdę jednak ten krajobraz kraju Eduów był ładny tą krasą natury pogodną i uśmiechniętą, która zdawała się urągać naszym mękom. Lecz te doliny, tchnące świeżością, te łąki zielone, te pagórki o łagodnie zaokrąglonych zboczach traciły teraz cały urok – poryte, podziurawione, powydrążane motykami i łopatami Italczyków, tu wydrążone w głębokie fosy, tam usypane w okopy, których martwa białość raziła oczy w blaskach czerwcowego słońca. We dnie i w nocy słyszeliśmy ustawicznie tę głuchą robotę jak gdyby całej armii kretów. Co ranka wznosiła się albo jakaś nowa fortyfikacja – grzyb ponury, który wyrósł w mrokach nocy, albo też czerniły się nowe fosy, pokrywające teren siatką linii tak zagmatwaną i niejasną, iż trudno nam było odgadnąć nawet plan nieprzyjaciela. Zda się, że to są jakieś zaklęcia, wypisywane przez czarnoksiężnika, zaklęcia, których litery piekielne otaczały i spowijały nas dokoła straszliwą zagadką nie do rozwiązania, jakąś formułą przekleństwa i zguby...

Nie myślcie jednak, żeśmy im pozwolili pracować w spokoju, o nie!... O każdej niemal godzinie dnia przeszkadzaliśmy im, ile się dało, w ich pracy i o każdej niemal godzinie nocy naczelnicy nasi przesuwali się cicho po obozach, budząc ludzi bez żadnych trąbek czy innych sygnałów, po prostu dotknięciem ich ramienia, po czym zbiegaliśmy w milczeniu po zboczu góry ze strony, z której – jak przypuszczaliśmy – byliśmy najmniej oczekiwani, aby spaść jak burza na te krety italskie. Wśród mroków nocy gwizdały strzały i pociski, włócznie i dziryty przeszywały powietrze i krwawe nieraz walki zawiązywały się wśród poprzewracanych szańców. Ale pewnej nocy na krótko przed świtem, gdyśmy właśnie zabierali się zaskoczyć znie-

nacka pracujące jak zwykle „krety", nagle – zabrakło nam gruntu pod nogami. Czoła naszych kolumn wpadły w fosę na sześć stóp głęboką, szesnaście stóp szeroką, o ścianach zupełnie prostopadłych. Następnej nocy nie mogliśmy zajść nawet tak daleko, gdyż już druga fosa, w którą w dodatku skierowano wodę z pobliskiej rzeki, otwierała przed nami ziejącą paszczę.

Musieliśmy więc obecnie przebywać dwie fosy, aby móc przypuścić szturm do szańców rzymskich, wysokich na sześć stóp, a obwarowanych palisadą, skąd u dołu sterczały *cervi,* jak zowią Rzymianie pnie drzew wkopane poziomo w ziemię z pozostawionymi z jednej strony gałęźmi, które – umyślnie zaostrzone jeszcze – zwracały ku szturmującym końce ostre jak pochylone, do ataku rogi tura. W dodatku przed palisadą wznosiły się *loricae,* czyli wielkie czworokątne ściany, splecione z łozy, ze strzelnicami oraz w pewnych odstępach czteropiętrowe wieże drewniane, również zbrojne w *loricae,* skąd jak roje os wylatywały na nas całe chmary strzał i pocisków, gdyśmy się tylko zbliżali do nich. Niedługo uniemożliwiono nam nawet przystęp do najbliższej fosy, brzeg jej bowiem najeżył się *cippi,* czyli wałem z gałęzi o zaostrzonych końcach, podobnym do *cervi,* cały zaś teren przed tą fosą zasiano *stimuli,* czyli żelazami w rodzaju tych, które się u nas zastawia na lisy i wilki, ukrytymi chytrze pod darnią, wiązkami chrustu lub przysypanymi ziemią – oraz głębokimi „wilczymi dołami", w których głębi jak słupek w kwiecie lilii wznosiły się zaostrzone na końcach pale. W ten sposób poszóstna już linia pułapek wszelkiego rodzaju otaczała nas dokoła, zacieśniając się coraz bardziej.

Nie mogliśmy już nawet zaczerpnąć wody z Osy lub Ozerenu, żeby się nie narazić na grad pocisków – i znajdowaliśmy się przy podobnych okazjach tak blisko Rzymian, iż nieraz zdarzało się nam skrzyżować z nimi nasze dzidy lub miecze ponad strumieniem. Jeśli więc chcieliśmy obecnie atakować ich obozy, to musieliśmy narażać się naprzód na nadzianie na pale w owych wilczych dołach, zwanych przez nas „kwiatami lilii", na schwytanie nogi w *stimuli* lub – w najlepszym razie – na głębokie jej rozdarcie, potem na kaleczenie się o ostrza *cippi,* potem trzeba było przebyć jedną głęboką i szeroką fosę, po niej drugą – obie pełne wody – i wreszcie mieć przed sobą *cervi, loricae,* palisady i wieże pełne łuczników oraz machin wyrzucających pociski. Z tych katapult rzymskich wypadały na nas chmary strzał o skrzydełkach z brązu i niezmiernie ostrych grotach stalowych, które wirując w powietrzu uderzały tak silnie, że im żadna zbroja oprzeć się nie mogła. Inne ich maszyny, zwane *onagry,* o większe jeszcze przyprawiały nas straty, gdyż wyrzucały z siebie z straszliwą siłą duże okrągłe kamienie, które rozbijały głowy i piersi, łamały kości, kładły pokotem całe szeregi ludzi... I po każdej naszej wycieczce nocnej mieliśmy potem przed oczami dzień cały, nieskończenie długi dzień letni, widok naszych nieszczęsnych braci, którzy daremnie usiłując się uwolnić z kleszczów *stimuli* lub z ostrzy pali w owych złowrogich „kwiatach lilii", okryci innymi jeszcze ranami, dręczeni strasznym pragnieniem, próżno wyciągali do nas ręce i błagali o pomoc, umierając wolno w naszych oczach w mękach nie mniej okrutnych jak męka krzyżowa...

Zaiste, trzeba było geniuszu przewrotności, natchnionego chyba przez duchy z kręgu piekieł, aby wymyślić te wszystkie tak chytre i podstępne pułapki, które – przyczajone w swych kryjówkach jak żmije jadowite – zdradziecko i w okrutny sposób tępiły ludzi! I z rozpaczą w sercach myśleliśmy, iż nigdy chyba – nigdy, nigdy! – nie będziemy w stanie przekroczyć linii tych ich pułapek przeklętych, tylekroć już zbroczonych krwią naszych...

Rozdział XIII

GŁÓD

Jedyną naszą nadzieją, której czepialiśmy się jak tonący wątłej deseczki, była odsiecz naszych. Spodziewaliśmy się, że nadejdą w wielkiej masie i wezmą obozy rzymskie w obroty z tamtej strony. Niedługo jednak daleko na równinie poza liniami obozów rzymskich spostrzegliśmy snujących się tu i tam kopaczy italskich, ba! nawet tłumy galijskich wieśniaków, którzy pod kijem dozorcy zmuszeni byli pracować na zgubę swych braci, wznosząc nowe szańce, kopiąc nowe wilcze doły i fosy, ustawiając palisady, *loricae, cervi i cippi,* zakładając żelaza jak na dzikie zwierzęta. A więc i z tej strony Cezar podejmował pracę kolosalną, tak okrutnie pomysłową, pracę, która od strony Alezji zaledwie została ukończona! Na ten widok odstąpiła nas odwaga. Ma więc uniemożliwić przyjaciołom naszym szturm do obozów rzymskich, tak jak nam uniemożliwił wszelką walkę? Do zamkniętych na głucho drzwi naszego więzienia dodawał więc jeszcze wierzeje, zaryglowane od strony nadziei pomocy?

Powszechne zniechęcenie i rozpacz zapanowały pomiędzy nami – poddawali im się nawet najmężniejsi. Niektórzy płakali jak kobiety, wyrzekając na swą nieszczęsną dolę, inni milczeli, kuląc się jakby z chłodu, jeszcze inni krzyczeli i rzucali się w bezsilnej wściekłości, miotając groźby i obelgi przeciwko Wercyngetoryksowi. Ten zaś, choć niewątpliwie z sercem rozdartym niemym bólem, lecz spokojny na pozór, głuchy na zniewagi i złorzeczenia, przebiegał co dnia wszystkie nasze obozowiska, pocieszając, podtrzymując odwagę, dodając ducha i nadziei, ukazując nam na rozstępujące się nieco ze strony zachodniej wzgórza, skąd pewnego dnia – bliskiego z pewnością! – wiatr przyniesie nam odgłos trąb galijskich, może nawet fanfarę zwycięstwa... Gdy widział nazbyt już wielkie przygnębienie i upadek ducha między wojownikami, zarządzał małą wycieczkę, aby ratować ich od zabijającej nudy i bezczynności – i w tych godzinach wśród szczęku oręża znowu budziła się w nas nadzieja. Resztę czasu pozostawał zamknięty sam w namiocie, gdzie – jak mówiono – prowadził rozmowy z duchami.

Trzydzieści dni upłynęło. Wercyngetoryks znowu nakazał jak najskrupulatniejsze poszukiwania zapasów żywności, które by jeszcze mogły być gdzie ukryte. Stare jakieś *silo*, wydrążone w skale, a zapewne zapomniane przez swego właściciela – który może już nie żył – zostało w ten sposób znalezione i zabrane zeń zboże pozwoliło nam przetrzymać jeszcze kilka dni. Lud wydawał okrzyki radości i odprawiono uroczyste nabożeństwo, składając dzięki bogu Mandubiensów Morystagowi oraz duchom źródeł cudownych. Mimo to *Pen-tiern* rozkazał zmniejszyć nasze racje do połowy, w trzy dni potem – do jednej czwartej. Ostatnie krowy zostały zabite na mięso, a dzieci Mandubiensów, pozbawione mleka – jedynego prawie swego pożywienia, poczęły teraz umierać dziesiątkami. Stopniowo zjedliśmy psy i koty, które znajdowały się jeszcze w *oppidum, i* poczęliśmy zawzięcie polować na pomniejsze gryzonie. Za szczura płacono teraz tyle, co za cielę, a za mysz, co dawniej za barana. Niektórzy z naszych, przyzwyczajeni do obfitego i pożywnego pokarmu, po prostu nikli w oczach; ich muskularne do niedawna ramiona wiotczały i zwisały bezsilne, twarze stawały się podobnymi do lic niedołężnych starców. A gdy wypadła im służba na warcie, opierali się ciężko na dzidach lub nawet siadali na ziemi, nie mogąc już utrzymać się na nogach. Gorączka głodu podniecała mózgi, wywołując różne przywidzenia i złudy, toteż ludzie o na pół obłąkanych oczach nieraz wykrzykiwali dziwne oderwane wyrazy lub zdania, w których przesąd doszukiwał się związku, biorąc je za proroctwa.

Doprowadzeni do rozpaczy wojownicy rzucali się niekiedy w pojedynkę na szańce rzymskie, gdzie ginęli naturalnie natychmiast... Żołnierze zaś nieprzyjacielscy bawili się podniecaniem jeszcze naszych mąk głodu. Nad palisadą swych szańców pokazywali nam z góry swe chleby, rozcięte przez pół, abyśmy mogli podziwiać ich pulchność i białość, lub zawieszali na palach częstokołu porżnięte woły i barany i ćwiartowali je umyślnie tak, abyśmy mogli się temu przyglądać. I niektórzy z naszych rzeczywiście wpadali na ten widok w stan niebezpiecznego szału, tak iż bywaliśmy zmuszeni ich wiązać. Wypatrywaliśmy oczy nasze, te oczy, które z trudem już mogły znosić światło dnia, spoglądając wciąż w dal na równinę – i zdawało się nam ustawicznie, że dostrzegamy połysk oręża wśród srebrzystych liści wierzb pochylonych nad strumieniem. Wieczorami o zachodzie słońca dostrzegaliśmy cienie dzid, zarysowujące się ciemniejszymi smugami na tle zarumienionego zorzą nieba. Co chwila też jakaś fałszywa pobudka porywała nas na nogi czy to ze snu gorączkowego w nocy, czy też równie niespokojnej drzemki dziennej. Byle jaki zwykły sygnał w obozie rzymskim brzmiał nam w uszach jako trąbienie na alarm, wołano zaraz:

– To nasi atakują ich! To nasi!...

Byle jacyś gońcy przybyli do Cezara, brano ich zaraz za przednie straże wielkiej armii galijskiej. Pewnego dnia jeden z Mandubiensów przywołał mnie do siebie z oznakami radości.

– Czy widzisz ten oto mały lasek tam na równinie? – rzekł do mnie. – Otóż on nie jest dziś na tym samym miejscu, co wczoraj... Nie ulega wątpliwości, że to są nasi, którzy go wycięli i podpełzają teraz ku obozom rzymskim, przykrywając się zielonymi gałęźmi!...

Tak ludziom w gorączce oczekiwania i głodu zdawało się, że widzą – widzą naprawdę na własne oczy – wojsko przychodzące z odsieczą, wieńczące lasem dzid wzgórza okoliczne; potem, zawiedzeni w nadziejach raz jeszcze, kładli się bez siły na ziemię bladzi jak trupy, aby za chwilę porwać się nagle na skutek jakiegoś nowego alarmu, równie fałszywego jak tamte. Tak minęło osiem dni. Dziewiątego dnia Wercyngetoryks zwołał znowu naczelników na naradę wojenną. Nie potrzebował wielu słów, aby przedstawić nam stan rzeczy. Był on okropny: żywności w razie wydawania nawet nie więcej niźli po pół ćwierci racji dziennej starczało już na trzy dni tylko. Rzekł zatem:

– Niech każdy powie swe zdanie...

Kilku naczelników wyraziło pogląd, że skoro upłynęło już osiem dni ponad termin trzydziestodniowy, można uważać, iż wszelkie nadzieje na odsiecz zawiodły; nie pozostaje zatem nic innego, jeno kapitulować na możliwie najlepszych – a raczej możliwie najmniej złych – warunkach i otworzyć bramy *oppidum.* Przedkładali jednak to wszystko z wbitymi w ziemię oczami, głosem cichym i bezbarwnym, jak gdyby wstydząc się swego zdania... Głośne okrzyki oburzenia dokoła nakazały im milczenie. Inny naczelnik powstał i rzekł:

– Kapitulacja!... Gdyśmy już zadali Cezarowi tak dotkliwy cios pod Gergowią!... Gdy od czterdziestu dni zatrzymujemy go tu, drżącego z niecierpliwości poza swymi szańcami, służąc w ten sposób zawiści i intrygom jego wrogów w Rzymie, odwłócząc jego triumf, łamiąc jego powodzenie!... Kapitulacja!... Nie ma jej dla nas, tylko są topory liktorów dla nas, naczelników, żelazna obroża niewolnika dla żołnierzy!... Kapitulacja!... Tak jak w Avaricum!... Czy nie lepiej, dopóki głód nie wyssał nam wszystkiej krwi z żył naszych, raz ostatni spróbować wedrzeć się na ich szańce?... Naprawdę, nie mamy już po co się oszczędzać. Mniejsza, ile to będzie kosztowało ofiar, aby zapełnić wilcze doły, zatkać ciałem ludzkim wszystkie ich *stimuli, cervi* i *cippi,* wznieść z trupów naszych szaniec tak wysoki, jak szańce Rzymian! Przeżyje nas zawsze dość jeszcze, aby wedrzeć się wreszcie na te szańce, poburzyć palisady, wyczerpać na naszych piersiach zapas strzał i dzirytów rzymskich, poszczerbić miecze i utrudzić ramiona legionistów. Reszta przejdzie. A gdyby nawet... gdyby nie miało pozostać z nas nikogo... cóż!... Galia nie będzie mogła wyrzucać nam naszej śmierci, której sama będzie winna. Przechylmy na naszą stronę szalę zwycięstwa mocą śmierci naszej lub niech śmierć nasza przerazi świat!...

Wówczas zabrał głos Krytognat Arwern i powiedział:

– Nie heroizm to, a słabość duszy raczej, że nie możemy wytrzymać kilku jeszcze dni nędzy... Częściej spotyka się mężnych, którzy gotowi są lecieć na śmierć na oślep, niźli takich, którzy potrafią cierpliwie znosić różnego rodzaju udręczenia. Uznałbym słusznym projekt wycieczki, gdyby w tej grze jedyną stawką było życie nasze. Ale nie o nas jedynie chodzi. Pomyślmy o Galii; wezwaliśmy ją całą na pomoc. Gdy ci wojownicy, bracia nasi, znajdą tu sto tysięcy pomordowanych – czyż to natchnie ich męstwem i ufnością w powodzenie sprawy?

– Bracia nasi? Oni są bardzo daleko! – zawołał jeden z naczelników. – Galia? Opuściła nas!... Od czterdziestu dni nie pokazał się ani jeden wysłaniec od nich. Przed naszymi oczami, wpatrzonymi ustawicznie w dal, widnokrąg wciąż pusty!

– Skądże wiesz, że nie wysłano do nas emisariuszy? W jakiż sposób mogliby przebyć obozy Rzymian?... Jeśli zaś czekacie na poselstwo, oznajmiające zbliżanie się odsieczy, to spójrzcie tylko dokoła naszego *oppidum*; same te roboty, które obronę z tamtej strony mają na celu, a które wykonywa się z tak gorączkowym pośpiechem, są zwiastunami nadejścia naszych! Czy sądzicie, że Cezar kazałby swym żołnierzom pracować we dnie i w nocy, że na tak rozległej przestrzeni dwudziestu kilku tysięcy kroków z takim nakładem pracy byłby przewracał grunt z dołu do góry i odwrotnie – gdyby nie wiedział, że spadnie na niego galijska nawała?...

Słowa te dodały nam nieco otuchy; ale zakończenie mowy Krytognata przejęło nas przerażeniem i zgrozą. Stary Arwern przypomniał nam, iż ojcowie nasi, którzy zamknięci w swych *oppidach* w czasie wielkiego najścia Cymbrów znosili najokrutniejsze katusze głodu, przekładając wszystko raczej nad poddanie się, żywili się w końcu – mięsem ludzkim! Przy czym zjadano najpierw nieużytecznych już do walki starców, następnie kobiety i dzieci... Za tę cenę znużono wściekłą zawziętość najeźdźców i skończyło się tym, że Cymbrowie oddalili się, pozostawiając nam nasze prawa, obyczaje, nasze pola i wolność – nietknięte.

Gdy skończył, głuche milczenie zaległo dokoła. Wszyscy pospuszczali nisko głowy, zgrozą przejęci. Czuło się, że podobne słowa nawet, a tym bardziej czyny, obrażają bogów! Bogów, którzy pozwalają przecie śmiertelnym, aby nie podejmowali wysiłków ponad możność ludzką... Ale nikt się nie odezwał ani nie ośmielił zaprotestować stanowczo. Któż wie?... Może i ta ostateczność czeka nas jeszcze...

– Zanim zdecydujemy się na to, co proponuje nam Krytognat – odezwał się wreszcie jeden ze starszych naczelników – należałoby zastanowić się, czy nie ma innego jeszcze jakiegoś środka przedłużenia naszego oporu, chociażby na kilka dni... Znam taki środek. Jest on niemal równie okropny jak proponowany nam przed chwilą, lecz ten właśnie bywa używany powszechnie w miastach oblężonych. Jest nim wyprawienie poza ściany grodu wszystkich gąb niepotrzebnych: starców, kobiet, dzieci, nawet mężczyzn, którzy nie posiadają oręża lub też nie umieją się nim posługiwać...

– Cóż się z nimi stanie?...

– Ha, cóż... może Rzymianie przyjmą ich i będą żywić, aby sprzedać następnie na targach niewolników. Zresztą, gdyby zginęli nawet *z* głodu lub pod żelazem wroga, śmierć ich poprzedzi naszą nie więcej niźli o parę dni tylko. Może zaś posłużyć za środek, który zbawi armię naszą – i przez ich śmierć Galia będzie wolna.

Zostaliśmy więc do tego doprowadzeni, że nie było już dla nas innego wyboru, jak tylko między jedną okropnością a drugą.

Zdecydowano się na tę ostatnią – i tegoż dnia wszyscy ci nieszczęśliwi zostali wygnani poza mur sześciostopowy, którego wrota zatrzasnęły się za nimi. Wypędziliśmy w ten sposób bez litości biednych Mandubiensów, którzy gościnnie przyjęli nas do domów swoich.

Ten tłum wynędzniałych istot ludzkich, płacząc, zawodząc i łamiąc ręce, począł zwolna zstępować z pochyłości góry. Gdy się znaleźli na równinie, padli wszyscy na kolana i wycią-

gnęli ręce ku szańcom rzymskim, błagając, aby ich przyjęto tam jako niewolników. Salwa z katapult była na to odpowiedzią i – widok jeszcze okropniejszy niźli pole bitwy zasłane trupami wojowników – skrwawione i poszarpane ciała kobiet, dzieci i starców zasłały ziemię. Pozostali przy życiu, przerażeni, półobłąkani z trwogi i rozpaczy, zawrócili znów na górę ku nam, wzywając wszystkich bogów Galii; starcy przywoływali swych synów, dzieci – ojców, kobiety – mężów, braci... Ale bramy pozostały zamknięte. Błądzili w ten sposób pół dnia pomiędzy obozami rzymskimi a naszym obozem, rażeni bez miłosierdzia pociskami, gdy się tylko zbliżali do tych pierwszych. W końcu, wyczerpani, pokładli się na ziemię, chyba po to, aby umrzeć... Widok ten tak rozdzierał nam serca, że odwracaliśmy oczy, oskarżając o okrucieństwo bogów i siebie samych. Wielu z tych wygnanych, wycieńczonych głodem, pomarło tegoż wieczora. To tu, to ówdzie można było widzieć ciało kobiety lub starca, które nagle poczynało drżeć – następnie zaś wyprężało się i sztywniało. Na zimnych łonach matek płakały gdzieniegdzie małe dziatki. Skarga zwłaszcza jednego z tych maleństw była tak przejmująca, kwilenie, chociaż słabe, tak ciągłe, tak trwające bez przerwy i tak żałosne, że najbardziej nawet zahartowani na okropności wojny nie mogli ani jeść pomimo głodu, ani spać, chociaż już noc zapadła. Ambioryga, która nie została objęta wyrokiem wygnania, gdyż należała do walczących, płakała tylko cicho w milczeniu. W końcu rzekła do mnie:

– Wenestosie! Serce moje nazbyt cierpi... Płacz tego dziecka będzie mnie prześladował w snach aż do końca dni moich... stanie się klątwą rzuconą na miłość naszą!... Pójdź po nie!...

Zeszedłem. Odszukałem i wziąłem dziecię, które przestało płakać, gdy je ukryłem pod połą mego ciepłego płaszcza i powróciłem z nim do obozu przez bramę. Wszyscy dokoła zdawali się nie spostrzegać, co czynię; gdym przechodził przez wrota, wartownicy odwrócili się, patrząc pilnie właśnie w przeciwną stronę. Tam zaś na dole, błądząc w mroku i potykając się pomiędzy zmarłymi i umierającymi, dojrzałem coś jeszcze straszniejszego niźli śmierć sama. Żołnierze rzymscy – także bez zezwolenia swych naczelników – wymykali się ukradkiem spoza swych szańców i głosem przytłumionym przywoływali do siebie tych nieszczęsnych. Tu i ówdzie podnosiły się na to wezwanie cienie ludzkie i ciągnęły ku nim. Legioniści, nie widząc dobrze w mroku nocy, badali je po omacku; jeśli to była młoda kobieta lub wyrostek, ktoś, za kogo można było jeszcze wziąć pieniądze, dawali znak swym towarzyszom i zawieszone na sznurach cienie ludzkie wciągano do obozów. Jeżeli zaś byli to ludzie w wieku podeszłym lub małe dzieci, z którymi za wiele byłoby kłopotu, zaciskali im mocno ręką usta, aby nie słyszano ich jęku, i – podrzynali im gardła...

Rozdział XIV

WIELKA ARMIA GALIJSKA

Tak więc zgroza otaczała nas dokoła i bogowie opróżniali na głowy nasze czarę przekleństw. Tejże nocy udawszy się do Wercyngetoryksa rzekłem mu:

– Przyjaciele nasi nie wyobrażają sobie nawet, w jakim jesteśmy tu położeniu. Obyczajem galijskim nie troszcząc się zbytnio o ścisłość terminu, prawdopodobnie stoją stąd niedaleko, tracąc czas na rozprawach i sporach, jakby najlepiej nam przyjść z pomocą. A nie wiedzą, iż tu chodzi o to przede wszystkim, aby przyjść jak najśpieszniej... Należałoby skomunikować się z nimi. Rozglądając się przez czas tak długi w rozkładzie obozów rzymskich oraz ich po-

sterunków, wypatrzyłem punkt, którędy jeden człowiek w noc ciemną mógłby, jak sądzę, wymknąć się niepostrzeżenie... Pozwól mi spróbować! Jeśli zginę, będzie to tylko o jedną śmierć więcej w armii naszej; może zaś uda mi się przyśpieszyć nadejście odsieczy. A przy tym będziesz mógł obwieścić jutro z rana, iż wysłałeś posła do wielkiej armii galijskiej – i to da znowu naszym trochę nadziei, chociażby na czas krótki jeszcze.

– Gdyby to był kto inny, Wenestosie – odparł mi *Pen-tiern* – przypuszczałbym, że pragnie tylko skończyć z męką co prędzej. Lecz znam twoje oddanie się sprawie ogółu. Idź więc – i oby bogowie prowadzili cię bezpiecznie!...

Z namiotu Wercyngetoryksa udałem się do pewnego kupca z Massylii, wyjętego spod wyroku wygnania, gdyż był pożytecznym armii, znając bowiem wybornie obyczaje i charakter Rzymian, służył nieraz *Pen-tiernowi* dobrą radą i cennymi wskazówkami.

– Czy masz jeszcze trochę swej oliwy z Prowincji? – spytałem go.

– Prawie już wcale – odrzekł. – Ale odkądże to ludzie północy prowadzą kuchnię na oliwie?

– Odkąd w ogóle nie prowadzi się kuchni! – roześmiałem się w odpowiedzi.

Dał mi odrobinę tej oliwy, którą opłaciłem drożej niźli na wagę złota. Następnie wpadłem na chwilkę tylko do lepianki służącej za mieszkanie Ambiorydze, której powierzyłem swój zamiar. Narzeczona moja ucałowała mnie w milczeniu i odwróciwszy się poczęła płakać cicho. W namiocie mym rozebrałem się do naga, zatrzymując tylko skórznie na nogach oraz na szyi naszyjnik z talizmanami i pierścieniem Cezara, i natarłem sobie całe ciało i włosy mieszaniną sadzy z oliwą. Tak uczerniony mogłem przesunąć się niepostrzeżenie w ciemnościach nocy, łatwiej mi było poruszać się w wodzie i ręce, które by mnie chciały zatrzymać, niełatwo mogły uchwycić moje ciało śliskie i pozbawione odzieży. Straże u bram omal nie poprzewracały się na wznak z przestrachu, ujrzawszy przed sobą niespodzianie to czarne widmo. Lecz otworzono mi naturalnie, gdy pokazałem *tesserę Pen-tierna* i dałem się poznać. Zeszedłem ostrożnie w dół z północnej strony wzgórza, tam gdzie jego podnóże omywa Osa, w miejscu bowiem, gdzie ten potok przerywa szańce rzymskie, tworzył się w nich wyłom, przez który właśnie, spływając w dół na falach, miałem nadzieję się wydostać, oszukując czujność straży rzymskich, stojących na obu brzegach.

Noc była mniej ciemna, niźlibym sobie życzył. Lecz chmury, pędzone dość silnym wiatrem, przesuwały się wciąż po niebie i księżyc wpośród ich mas skłębionych ukazywał się z rzadka tylko i wnet znikał. Gdy się z nich wynurzał, zdradzieckim światłem zalewając całe zbocze góry, tuliłem się do ziemi pomiędzy trupami pomarłych lub pozabijanych wczoraj wygnańców naszych, ukryty w cieniach, które ciała rzucały na nierówną powierzchnię gruntu. Gdy zaś księżyc chował się za chmury, przepełzałem pomiędzy trupami jak lis. W ten sposób dotarłem pomyślnie do strumienia; wsunąłem się do wody pomiędzy dwiema wierzbami, osłonięty ich cieniem i starając się to zrobić jak najciszej, aby fale nie plusnęły nawet. Leżąc w wodzie jak długi, z rzadka tylko znajdowałem dno dość głębokie, aby móc płynąć, przeważnie zaś musiałem po prostu pełzać wśród kamyków i mułu, pokrywających dno, co mogłem czynić dość swobodnie, gdyż od promieni księżyca, który czasami wychylał się zza lekkich chmurek, chroniły mnie teraz wierzby, rosnące gęsto po obu stronach strumienia tak wąskiego, że nawet łączyły czasem nad nim swe gałęzie o bladych liściach. Zbliżając się jednak do owej przerwy w szańcach rzymskich, tworzonej przez Osę, spostrzegłem, że zabraknie mi wkrótce tego zbawczego cienia. Rzymianie bowiem pościnali w tym miejscu wierzby na swe *loricae, cervi* i *cippi*. Na dobitkę, gdy dosięgałem właśnie tego niebezpiecznego miejsca, księżyc wynurzył się zza chmur. Przewróciłem się wówczas na wznak, najciszej jak mogłem, i leżąc tak w wodzie na plecach z twarzą nawet zalaną wodą, a oddychając przez trzymaną w ustach, wziętą umyślnie przeze mnie w tym celu słomkę, której koniec wysuwał się cokolwiek nad powierzchnię strumienia, spoglądałem tylko niekiedy ukradkiem spod półprzymkniętych powiek przez warstwę mętnej wody. Wkrótce ujrzałem na obu przeciwległych

brzegach Osy u dwu występów szańców wartowników rzymskich i usłyszałem, jak przez wąską rzeczkę rozmawiali ze sobą półgłosem.

– Zaczynamy się tu już starzeć, doprawdy! – mówił jeden.

– Ba! – odpowiedział mu drugi – oni tam na górze także się nie weselą, lecz zdychają z głodu...

– Zapewne, że się nie umiera tam z przejedzenia. Ale w każdym razie i nasze położenie nie należy do najprzyjemniejszych. Z tej strony nieprzyjaciel, którego oblegamy, z tamtej ten, który nie dziś, to jutro nas oblegnie...

– Przeciwnie, położenie nasze jest właśnie jak najlepsze. Jesteśmy przecież wybornie zabezpieczeni z tej i z tamtej strony. To jest podobne do polowania na lwy w Afryce. Myśliwy zamyka się w klatce zbudowanej z mocnych prętów żelaznych i dzikie bestie próżno krążą dokoła, nie mogąc się doń dostać. Drwi sobie z ich wściekłości. I gdy ciskają się nań rycząc gniewnie, smagając się ogonami po bokach, drąc ziemię pazurami, on spokojnie wymierza w nie strzały...

– Jeśli tylko ci z *oppidum* nie wiedzą o tym, że ich rodacy się zbliżają! Jeśli tylko tamci z równin nie są uprzedzeni, że ci na *górze* są już doprowadzeni do ostateczności!

– Skądże mogą wiedzieć cośkolwiek jedni lub drudzy? Nikt nie może wyjść z *oppidum,* ani też tam się dostać. Wczoraj jeszcze przyłapano jakiegoś wysłańca z równiny, którego Cezar rozkazał ukrzyżować – i takiż los oczekuje posłów, których by chcieli wysłać z *oppidum.*

W tej chwili jeden z rozmówców pochylił się nagle ku rzeczce z ręką przyłożoną do czoła, aby lepiej widzieć.

– Patrz! Jeszcze jeden z ich trupów, które strumień unosi! – rzekł.

– To chyba raczej wydra, czatująca na ryby...

– Eee, cóż znowu! Wydry wyniosły się stąd co do jednej od czasu, gdy się tu robi tyle wrzawy!

– Powiadam ci, że to wydra; przecie to jest czarne!

– Czekaj, zaraz się przekonamy!

I kamyk, ciśnięty z góry, na szczęście niezbyt celnie, plusnął w wodę tuż koło mnie, wytrącając mi słomkę z zębów.

– A ty tu co robisz?! – zawołał nagle jakiś groźny głos poza plecami żołnierza z lewej strony. – I ty tam, z drugiego brzegu, także? Pozwalacie sobie na gawędy stojąc pod bronią?

I *vitis honorata* w ręku centuriona poczęła okładać plecy winowajcy z lewego brzegu Osy. Żołnierz zaś – z prawej, bezpieczny poza strumieniem, zawrócił z miejsca na pięcie i z miną niewinną, z *pilum* wspartym na ramieniu, wyprostowany, począł przechadzać się tam i z powrotem po wybrzeżu krokiem miarowym.

Księżyc znów schował się za chmury. Zawsze w tej samej pozycji ciała, z lekka tylko poruszając rękoma jak płetwami, płynąłem dość szybko z biegiem wody, bystrej w tej górskiej rzeczce, a szczególnie w tym zwężonym miejscu. Niedługo znalazłszy się znowu w cieniu wierzb, zatrzymałem się tam chwilę i nastawiłem uszu. Żadnego podejrzanego odgłosu. Popłynąłem więc dalej, w miejscu zaś, gdzie Osa łączy się z Brenną, cichutko podniosłem się z wody i wyjrzałem ostrożnie pomiędzy dwiema olchami w kierunku obozów rzymskich. Lecz nie było żadnych oznak, że mnie zauważono. Przepłynąłem Brennę, która w tym miejscu jest nie szersza od Osy, wyszedłem na jej brzeg przeciwległy i znalazłem się na równinie, tu i ówdzie porośniętej krzakami. Teraz byłem już bezpieczny, chyba żeby mi się zdarzyło natknąć na patrol; zresztą usłyszałbym wszak z daleka zbliżanie się patrolu i miałbym czas jeszcze ukryć się w zaroślach. Czołgając się po ziemi, gdy mi się zdawało, iż słyszę jakieś podejrzane odgłosy, chwilami zaś idąc, a nawet biegnąc, zrobiłem niemało drogi i gdy niebo poczynało blednąć, zapowiadając świt, miałem już pomiędzy mną a Rzymianami około pięciu tysięcy kroków. Gdybym tylko nie był tak głodny – tak już od dawna ustawicznie głodny!

Drżałem cały z chłodu i czułem się tak osłabiony, że ciemno mi się robiło przed oczami, w głowie mi się kręciło, w uszach szumiało i obawiałem się, iż lada chwila mogę upaść i nie mieć sił podnieść się, by podążyć dalej.

W pewnym miejscu ujrzałem pod krzakami trupa wieśniaka galijskiego, leżącego twarzą do ziemi, z piersią przebitą dzidą tak silnie, że grot dzidy wysuwał się nawet nieco pomiędzy jego łopatkami. Odzież jego była poszarpana, jak gdyby jakaś dłoń niecierpliwa szukała w niej czegoś. Był to oczywiście wysłaniec naszej wielkiej armii galijskiej, zabity przez patrol rzymski, który mu zabrał listy lub znaki dane mu celem doręczenia w Alezji. Zaciągnąłem trupa głębiej w zarośla, zdjąłem zeń odzież i ubrałem się w nią sam. W sakwie poległego znalazłem rzecz cenniejszą dla mnie obecnie nad wszelkie skarby świata: kawał chleba. Polałem go łzami, myśląc o swych towarzyszach broni zamkniętych w Alezji, o Ambiorydze, która bohatersko znosiła głód już od tak dawna. Gdy jednak spożyłem ten spory kawał chleba, krew żywiej poczęła mi krążyć w żyłach i poczułem się znów silny. Pokrzepiony, ruszyłem w dalszą drogę. Gdy słońce, niewidzialne jeszcze, poczynało już zabarwiać niebo purpurą wschodu, przybyłem na obszerną równinę między dwoma lasami, gdzie z niemałym zdumieniem zobaczyłem mnóstwo zwierza leśnego przebiegającego polanę w widocznym popłochu, przy czym wilki lub lisy nie myślały wcale napadać zajęcy i jeleni. Wszystkie biegły ze strony, w którą się udawałem, tak iż można by myśleć, że uciekają przed niewidzialnymi myśliwcami. Przebyłem i ten drugi las. Gdym się znalazł u jego wyjścia, nagle niespodziany widok przykuł mnie do miejsca. Przede mną rozciągała się obszerna, nieco falista równina, która wydała mi się tak najeżona włóczniami i dzidami, jak pole ścierniem po żniwie. Nie było widać tych, co trzymali te dzidy i włócznie, gdyż wzniesienie gruntu zakrywało ich przed mym wzrokiem; lecz za nimi na dalszych nieco pagórkach zarysowywały się w niepewnym świetle poranka linie uszykowanego w porządku wojska i ukośne promienie słońca nieciły iskierki w metalu uzbrojenia wojowników. Serce skoczyło mi w piersi – i ze wszystkich swych sił popędziłem wprost przed siebie. Spod lasu dzid, których szczyty tylko widziałem z daleka, wynurzyły się przede mną stopniowo grzebienie hełmów, następnie całe postacie wojowników; kilku jeźdźców przejeżdżało tam i z powrotem przed frontem.

– Patrz! – rzekł jeden z nich do drugiego zauważywszy mnie – co to za człowiek? Murzyn jakiś...

– Może szpieg rzymski... Warto by weń cisnąć włócznią!...

– Dajże pokój! A gdyby tak był to ktoś z Alezji?

– Wojownicy! Bracia! – wołałem do nich z dala jeszcze, zadyszany od szybkiego biegu. – Nie jestem szpiegiem, nie jestem Murzynem, chociaż chwilowo mam skórę czarną! Przybywam w misji – bardzo pilnej! Bardzo! Co prędzej prowadźcie mnie do Wergassilauna!

Lecz tenże przejeżdżał właśnie zwolna konno opodal. Przy pierwszych moich słowach drgnął i żywo zawrócił konia w mą stronę.

– Głos Wenestosa! Tyżeś to, bracie? – zawołał. – Ale w jakiż sposób stałeś się Murzynem?

– Później ci to opowiem... Zwołaj co prędzej naczelników na zebranie, zaraz, natychmiast!... Ani chwili do stracenia!... Ach, jakżeście się spóźnili!

Naczelnicy poczęli się zbiegać z pośpiechem na wieść, że przybył poseł z Alezji, ja zaś za pomocą zwilżonej gliny i wody pozbyłem się czarnej powłoki sadzy z oliwą i z Murzyna stałem się znów Galem o białej skórze i rudoblond włosach; gdy zaś Wergassilaun kazał mi dać jeszcze odzież i uzbrojenie wojownika, powróciłem zupełnie do swej właściwej postaci. Pomiędzy zebranymi byli Eporedoryks i Wirydomar eduscy oraz Komm, król Atrebatów, którzy wraz z Wergassilaunem dzielili we czterech dowództwo nad tą całą armią. Wszyscy poschodzili z koni i otoczyli mnie kołem, ja zaś z gorączkowym pośpiechem, drżąc cały ze wzruszenia, począłem opowiadać im o strasznej sytuacji Alezji, o oblężniczych robotach rzymskich, o wygnaniu przez nas za mury *oppidum* starców, kobiet i dzieci, o okropnej nędzy i najwyższym niebezpieczeństwie oblężonych.

Naczelnicy słuchając mnie płakali tak, że łkania podnosiły im z chrzęstem zbroje na piersiach; ale zaraz też poczęli kłócić się pomiędzy sobą.

– A nie mówiłem wam! – krzyczał prawie Wergassilaun w uniesieniu. – Rozprawy w senatach, rozprawy pomiędzy naczelnikami każdego plemienia, każdej doliny, bodaj w każdej z najmniejszych wiosek nawet! Nie było temu końca! Zmarnowaliście najpierw trzydzieści dni, potem dalsze dziesięć! Na dobitkę zewsząd oddziały przybywały nie tylko z opóźnieniem, lecz źle uzbrojone, źle wyekwipowane, bez wozów i bydląt pociągowych do przewożenia żywności. Wszystko na nowo organizować, wszystko poprawiać!...

– Spóźnilibyśmy się jeszcze więcej, gdyby słuchano ciebie! – przerwał mu Wirydomar. – Jeśli mieliśmy ci wierzyć, to Wercyngetoryks wymagał postawienia na nogi wszystkich, którzy tylko są w stanie broń udźwignąć, nie tylko ludu wolnego, lecz nawet niewolników, ba! zapewne nawet starców i dzieci! Któż by uprawiał ziemię podczas naszej nieobecności?... A przy tym tłum bezładny nie jest wojskiem. Niemały to już będzie kłopot wyżywić chociaż to, co mamy!

– Zrobilibyśmy najlepiej pozostawiając każdy lud u siebie w domu – wtrącił z powagą Komm Atrebata. – Wojnę prowadzi się dobrze tylko na gruncie ojczystym. Zamiast jednej wojny, którą toczy obecnie, Cezar miałby wówczas dwadzieścia wojen, sto wojen w różnych punktach równocześnie.

– Tak... aby tym łatwiej nas zgnieść, jednego po drugim!... – odrzekł z gniewem Wergassilaun. – Nie robimy przecie nic innego od lat siedmiu! Jakież stąd skutki? Nie należało w takim razie rzucać Wercyngetoryksa i jego sześćdziesięciu tysięcy wojska na górę Alezji, gdzie umrą z głodu, oczekując naszej odsieczy.

– On sam wybrał tę pozycję.

– Wcale nie! To Eduowie narzucili mu ją, aby bronić swego kraju!

– Bynajmniej! To Arwernowie, aby odwrócić od siebie klęski wojny.

– Powszechne pospolite ruszenie jest szaleństwem.

– Dlaczego szaleństwem? Skoro stoimy niżej od Rzymian pod względem taktyki wojennej i uzbrojenia, musimy rachować na naszą przewagę liczebną. Zmiażdżmy ich ciężarem naszej masy, zapełnijmy ich fosy żywą faszyną!

– Człowiek nie jest faszyną! Wiązka łozy daje się bez oporu zepchnąć do fosy; człowiek gani, sądzi, iść nie chce... Wreszcie – faszyny nie trzeba karmić! Pospolite ruszenie jest niedorzecznością!

Rzuciłem się na kolana pośrodku całego tego zgromadzenia i wyciągając błagalnie ręce, zawołałem:

– Bracia! bracia!... Ileż tu słów próżnych!... Każde z nich, każda stracona chwila kosztują życie kilku naszych!... Czyż więc chcecie znaleźć kilkadziesiąt tysięcy trupów na tej górze, gdzieście pozostawili wyborowe nasze wojsko załogą?...

Naczelnicy zawstydzili się mych łez, które gorącym strumieniem spływały mi po policzkach, i ucichli. Po chwili oświadczyli wszyscy, iż teraz już, bądź co bądź, nie pozostawało nic innego do uczynienia, jak tylko pośpieszyć z odsieczą, i że dziś jeszcze należało stanąć pod Alezją. Gdy wydano odpowiednie rozkazy, udaliśmy się wszyscy na wzniesienie, aby stamtąd lepiej widzieć porządek wyruszenia wielkiej armii w pochód. Na czele dziarsko przemaszerowali Arwernowie z całą swą klientelą: Kadurkami, Gabalami i innymi w liczbie – jak powiadano – trzydziestu pięciu tysięcy ludzi; po nich – w takiejże podobno sile – Eduowie wraz ze swymi klientami, potem Biturygowie, tak ciężko doświadczeni przez wojnę, dalej niezdecydowani długo Sekwanowie, zacięci wrogowie Rzymu – Karnuci i Senonowie. Rutenowie, Petrokorowie, Nicjobrygowie, którzy przypominają Akwitanów nosząc się czarno jak tamci, Helweci w końcu, siłą zmuszeni do zerwania przymierza z Rzymem. Z centrum Galii nadeszli Lemowikowie, znad brzegów Loary Andegawowie, Turonowie, część Cenomanów; z pobrzeża oceanu – Piktowie, Santonowie, Weneci oraz inne ludy Armoryki. Z radością ujrzałem

pomiędzy nimi i powitałem ruchem dłoni swego starego przyjaciela, Galgaka, który szedł na czele oddziału. Poznawałem krewnych mej matki między Aulerkami, za którymi postępowali Bojakosowie, Leksowowie i Wenelle. Serce mi się wzruszyło na widok Paryzów, którzy mimo tak ciężkich strat pod Lukotycją, wystąpili jednakże w sile ośmiu tysięcy wojownika. W ich szeregach odnalazłem wszystkich swych przyjaciół: Bojoryksa, który schudł nieco wskutek ran odniesionych, lecz zawsze jeszcze wyglądał imponująco, Dumnaka i Arwiraga z mymi ludźmi z szarej Skały, Karmanna z resztą Bobrów, następnie Lutecjan. Za nimi ukazali się ludzie z krajów północy, o jasnoblond włosach i wzroście olbrzymów: Swesjonowie, Atrebatowie, Ambiowie, Morenowie, Menapowie. Głośne okrzyki i oklaski powitały mały oddział, który postępował raźno i w dobrym porządku, dumnie wznosząc wysoko do góry swe znaki wojenne z koniem bez uzdy i siodła – jak u Arwernów.

– Nerwiowie! Nerwiowie! – wołano z radosnym zdumieniem. – Pozostało więc ich trochę jeszcze po tych strasznych rzeziach?... I tę odrobinę krwi, zapomnianej przez Cezara w ich żyłach, gotowi są wylać dla sprawy ogółu!

– A gdzież tu są Bellowakowie? – zapytałem Wergassilauna.

– Tam oto, widzisz, ten mały oddział, który postępuje za Atrebatami, około dwóch tysięcy ludzi...

– Tak mały oddział!... Bellowakowie mogliby wszak postawić pod bronią z pięćdziesiąt tysięcy...

– Bez wątpienia. Lecz nie bierzesz w rachubę szalonej pychy Bellowaków. Odkładają pospolite ruszenie swego ludu na chwilę, gdy Cezar sam do nich przybędzie! Tego zwycięzcę Galii i całego świata mają nadzieję zwyciężyć w jakimś zakątku swych lasów. Niepodobna było w żaden sposób przemówić do rozsądku ich naczelnika, dumnego Corre, jakkolwiek osobiście jest bardzo odważny. Tylko na prośbę swego przyjaciela, Komma Atrebaty, zgodził się dać nam chociaż te dwa tysiące wojowników. Samego Corre nie ma z nimi... Nie chce zwycięstwa dzielonego pomiędzy Galię a niego!...

– Oby bogowie nie kazali mu opłacić zbyt drogo tego sobkostwa i pychy! Ale i Atrebatów widzę mało. Czyż to tak dużo na ich kraj te cztery tysiące ludzi?

– Ba! I trzeba było jeszcze podzielić dowództwo nad armią z ich naczelnikiem!... Komm miał bodaj ochotę naśladować Bellowaków. Słyszałeś go przed chwilą. To już tak w tym duchu zawsze: „Każdy u siebie – każdy za siebie”...

– Mniejsza już o to! – rzekłem. – Przecie to i tak niezliczone zastępy, na których widok świat zadrży w posadach! Ale dlaczego tak stosunkowo mało macie konnicy?...

– W istocie, mamy jej osiem tysięcy tylko: mniej niźli w bitwie nad Vingeanne. Cóż chcesz?... Siedem już lat wojny, siedem lat ustawicznych rekwizycji rzymskich. Kwiat naszej konnicy zginął w walkach, a rekwizycje opróżniły nasze stajnie. Cała ta nawet nasza wielka armia składa się przeważnie nie z wojowników, lecz z ludu wieśniaczego.

Przyjrzawszy się uważnie piechurom spostrzegłem, iż rzeczywiście uzbrojenie ich wiele pozostawiało do życzenia. Nie mówiąc już o odzieży, broń nawet mieli bardzo rozmaitą, ba! niekiedy taką, która zapewne od czasu najścia Galów na Rzym nie była w użyciu!

Splądrowano widocznie wszystkie schowki, może nawet grobowce, a już bardzo prawdopodobne, że druidowie dali na tę wojnę świętą trofea chowane od wieków po świątyniach. Krótki miecz iberyjski, powszechnie obecnie używany przez wojowników, w tych szeregach był rzadkością; odczyszczono zaś z rdzy długie i niezmiernie ciężkie dzidy z żelaza lanego, pamiętające chyba czasy Brennusa, drewniane włócznie a rohatyny ujrzały znów światło dnia, niektórzy mieli zdobyczne *pila* rzymskie, większość zaś – tylko połyskujące w blaskach porannego słońca kosy osadzone sztorcem na drzewcach, widły do podnoszenia snopów, cepy zbrojne w ogromne gwoździe żelazne, które pouczepiano na nich, wreszcie rozdwojone u końca haki, służące do karczowania. Mieszkańcy puszcz dźwigali ciężkie maczugi oraz topory; pasterze, którzy harcując konno pilnują swych stad półdzikiego bydła, mieli ze sobą długie

sznury z pętlą na końcu, zamierzali widocznie łowić w nią legionistów, jak się łowi w biegu rozhukanego byka; rybacy zaś z wybrzeża morza nieśli na plecach ciężkie sieci o gałkach z ołowiu, mając zapewne nadzieję chwytać w nie nieprzyjaciela, tak jak się łapie w sieć jesiotra lub szczupaka. Wszyscy prawie szli boso albo w ciężkich chodakach drewnianych, bez hełmów na głowach, nieraz nadzy do pasa. Szczęście jeszcze, że wśród tej piechoty mieliśmy niezliczone mnóstwo łuczników i procarzy, było się więc czym zmierzyć z Kreteńczykami i Balearami.

Wielu z naszych wojowników nosiło naszyjniki z amuletów, najczęściej z muszelek, czasem zaś z drobnych kamyków, nieraz oprawnych w kruszec. Przy oddziałach postępowali często z boku druidowie w wiankach dębowych i bardowie, którzy przygrywając sobie na harfach śpiewali pieśni bohaterskie, gdy równocześnie pospolici muzykanci na trąbkach, fletach, różkach i kobzach wygrywali nie tyle harmonijnie, co hałaśliwie melodie każdego z tych ludów galijskich – i to najczęściej taneczne, a zresztą wszelkie, jakie im tylko na myśl przyszły.

Przyjemnie było widzieć, z jak dziarskimi minami, jak raźno postępowali ci nowozaciężni żołnierze, podziwiać muskularność ich ramion, siłę płuc, które wydawały potężne okrzyki wojenne, oraz świecącą w ich oczach ufność i odwagę. Jeden i ten sam okrzyk rozbrzmiewał zgodnie ze wszystkich piersi: Alezja! Alezja!... Można by pomyśleć, że każdy z tych ludzi tam na górze, której nie widział nigdy, a nazwy może nie słyszał do wczoraj, ma swą rodzinę, chałupę i rolę.

Znałem dotąd mnogie ludy galijskie, bolgijskie, akwitańskie, ludy wiecznie współzawodniczące ze sobą, skłonne do nienawidzenia się, nawet zabijania się nawzajem; teraz dopiero po raz pierwszy ujrzałem – Galię!... I po raz pierwszy usłyszałem bicie jej serca... Tego ludu wieśniaczego, tych pasterzy, rybaków, nie ciągniono przemocą na wojnę, przeciwnie raczej: oni to właśnie najczęściej zmusili swych naczelników, wahających się jeszcze lub obojętnych, dosiąść konia, aby wskazać im drogę ku zwycięstwu! Obraz ten wzruszał mnie, cieszył i smucił zarazem. Czułem się szczęśliwy na widok zjednoczenia ludów galijskich, a także na myśl, iż opuściwszy tej nocy Alezję jako zbieg, powrócę wkrótce do niej w szeregach tak olbrzymiej armii, jakiej świat chyba nie widział dotąd!... Lecz odczuwałem i smutek na myśl, że jutro już, być może, znaczna część tych dzielnych ludzi nie ujrzy światła dziennego.

W końcu ruszyliśmy i my także wśród obłoków kurzu, pod gorącym już słońcem letniego poranka w takt melodii harf, kobz, trąb i fletów, których dźwięki radowały nam serca i wlewały w nie męstwo. Gdyśmy przybyli na wzgórza wznoszące się dość daleko jeszcze od Alezji z jej strony zachodniej, ujrzeliśmy nagle przed sobą jak na dłoni to miasto święte, jego ciemne ściany z kamienia i grubych kłód drzewa, obozy nasze rozrzucone po pochyłościach góry, mur sześciostopowy w połowie jej wysokości. Wszystko to było pełne małych z oddalenia jak mrówki i biegających tu i ówdzie jak one ludzi, którzy niewątpliwie widzieli nas również i na nasz widok nadbiegali coraz liczniej.

Nie wiem, czy to było przywidzenie, czy oczy moje osiągnęły nagle możność widzenia nad zwykłą miarę ludzką, lecz poprzez łzy, jak przez te lekkie chmurki deszczowe, które zmniejszają odległość, ujrzałem – zdawało mi się, że widzę – pomiędzy hełmami wojowników jeden, spod którego wysuwały się pukle jasnoblond włosów, oraz kształtną białą rękę, wymachującą na nasze powitanie mieczem w powietrzu. Ledwiem ją ujrzał, gdy w tejże chwili jakaś postać nadludzko olbrzymia, subtelna i przejrzysta jak tęcza i jak tęcza świetlista, dwakroć co najmniej wyższa niźli cała góra Alezji, wzniosła się nad córą Ambioryksa, okrywając ją leciuchną jak mgiełka szatą i chroniąc wyciągniętymi ponad nią rękoma. Miała ona rysy, długie faliste włosy i białą suknię mej matki, gdy ta, żyjąca i uśmiechnięta, schodziła do grobu swego męża. Była to z pewnością matka wszystkich nas, Galów, nasza matka–ojczyzna, która ukazała mi się pod postacią Eponiny, objawiając się widocznie każdemu pod złudnym pozorem tego, co kto miał najdroższego na ziemi, abyśmy ją mogli kochać tym więcej.

Przetarłem oczy z łez, które je zalewały – i widzenie znikło. Góra Alezja wznosiła się przede mną jak przedtem, lecz w słabo widzialnym z powodu odległości mrowieniu się ludzi po niej nie było nic nadprzyrodzonego. Długi głód, wzruszenia tej bezsennej nocy, teraz znów pochód pod palącymi promieniami letniego słońca – wszystko to wpłynęło, być może, na nieco chorobliwe podniecenie mych zmysłów.

Tymczasem zaś dużo bliżej od nas, jako surowa rzeczywistość, dzieląca nas od snu o wyzwoleniu, leżały obozy rzymskie, zarysowywały się czyste i twarde linie szańców, chronionych przez *loricae* z zaostrzonymi i sterczącymi naprzód jak pochylone do ataku rogi tura gałęźmi, wznosiły się do góry ramiona potężnych machin wojennych, wieże wyniosłe, przed tym zaś wszystkim rozciągały się pola, poryte jak gdyby przez olbrzymie dziki. I ostre a donośne docierały aż tu, do naszych uszu, dźwięki trąbek rzymskich, trąbiących na alarm.

Rozdział XV

OSTATNI WYSIŁEK

Wielka armia galijska zatrzymała się na pochyłości jednego ze wzgórz naprzeciwko szańców nieprzyjacielskich, o trzy tysiące kroków od wroga, o cztery zaś tysiące kroków od *oppidum*. Z jak największym pośpiechem otoczono się fosami i na usypanych z wyrzuconej z nich ziemi szańcach ustawiono częstokoły, po czym w ogrodzenie tego obozu wprowadzono natychmiast wszystkie zwierzęta pociągowe oraz wozy z bagażami, żywnością i zapasem broni.

Nazajutrz słońce się podniosło nad horyzontem promienne i jasne. Jakież czyny ludzkie miało oświecić?... Zabrzmiała trąbka na wsiadanie. Stanąłem na czele oddziałów Paryzów, wybrany i okrzyknięty ich wodzem przez wszystkich naczelników oraz wojowników z Lutecji, Rzeki Bobrów i sąsiednich dolin. Nigdy nie było piękniejszej sposobności dla dzielnych zuchów, aby zwyciężyć lub umrzeć. Patrzyły na nas wyborowe wojska Italii, wyborowe nasze wojska – kilkaset tysięcy walczących, stawaliśmy do walki przed oczami wszystkich ludów Galii i przedstawicieli wszystkich naszych miejscowych rodów, ludzi, którzy nas znali od dni naszego dzieciństwa; bardowie patrzyli i słuchali, aby z czasem przekazać potomności wszystko, co zajdzie, bohaterskie czyny mężnych, jako też hańbę tchórzów. I o ile chodziło o mnie, to jeszcze tam, na górze Alezji, czyjeś oczy, wiem, szukały mnie wśród szeregów...

Z szalonym impetem zaatakowaliśmy konnicę nieprzyjacielską latyńską i germańską, które wyjechały naprzeciwko nas, zmusiliśmy je do cofnięcia się, a zwinni młodzi piechurzy, którzy pędzili jak wiatr obok nas, uwieszeni jedną ręką u grzyw końskich, poczęli natychmiast kaleczyć brzuchy koniom przeciwników i dopomagać w szukaniu serc jeźdźców poprzez szczeliny ich zbroic. Przez cały ten pierwszy dzień na równinie pomiędzy obozem rzymskim i naszym odbywały się tylko walki konnicy. Niestała bogini zwycięstwa przenosiła się wciąż to na jedną, to znów na drugą stronę – żadnej nie dając stanowczej przewagi. W tych krwawych utarczkach Katuabodua obfite zbierał żniwo. Nasz zapał wojenny podniecały w dodatku donoszące się spoza linii obozów rzymskich okrzyki załogi Alezji, która ze swej strony także atakowała Italczyków co chwila. Sądziliśmy, że ujrzymy na zniszczonych szańcach skrzydlate hełmy braci Galów. Ale tymczasem noc zapadła, rozdzielając walczących. Wieczorem w obozie naczelnicy zebrali się na naradę.

– Mieliśmy dziś świetny dzień – rzekł Wergassilaun – lecz jest to niestety dzień stracony. Te wysokie i mocne ściany z ziemi i gałęzi, wynik dobrej roboty mularskiej, nie dadzą się znieść z pomocą harców konnicy i najbardziej nawet bohaterskie czyny nie nakarmią naszych głodnych braci w Alezji. Jutro bezwarunkowo trzeba nam się wziąć do ścinania drzew i obrąbywania gałęzi i od tego właśnie winni byliśmy zacząć, gdybyście mnie słuchać chcieli. Musimy bowiem mieć masę faszyny do zapełnienia ich fos i wilczych dołów, masę haków, dobrze obsadzonych na długich drągach, aby wyrywać ich *loricae*, mnóstwo również mocnych i długich drabin, aby się wdzierać na ich szańce... Naśladujmy Rzymian, jeśli chcemy ich zwyciężyć...

Zdanie Wergassilauna wyjątkowo nie spotkało się z opozycją pozostałych wodzów naszej armii. Nazajutrz o świcie wzięliśmy się – wszyscy bez wyjątku – do roboty. W krótkim czasie okolica tak pozbyła się zieloności, jak gdyby szarańcza przeszła po niej. Pracowaliśmy dzień cały. Gdy mrok zapadł, na dany przez Wergassilauna znak niezmierne zastępy naszej piechoty ruszyły ku obozom rzymskim. Na przedzie szli łucznicy i procarze, obrzucając szańce nieprzyjacielskie strzałami i pociskami, za nimi postępowali wyglądający dziwacznie w cieniach nocy ludzie z pękami gałęzi na głowach, zgięci pod ciężkimi workami z ziemią lub też potykający się pod długimi drabinami, niesionymi na plecach. Z początku mieliśmy pewną przewagę nad Rzymianami dzięki niezmiernej liczbie naszych łuczników i procarzy, przy czym ci wzięli się na sposób, a mianowicie poczęli celować wprost... w obłoki, na skutek czego strzały ich i pociski spadały następnie wewnątrz obozów rzymskich, dosięgając w ten sposób nieprzyjaciela za, jego szańcami i bodaj tarczami nawet, i przerażając go tymi niespodzianymi ciosami, które sypały się jak z nieba. Była to prawdziwa ulewa, która z szumem wezbranej rzeki biła na szańce i poza szańce Rzymian i ci w mroku nocy nie wiedzieli nawet, jak mają nastawić machiny wojenne przeciwko niewidzialnym wrogom. Wszystko było dobrze, dopókiśmy się nie zbliżyli do niebezpiecznego pasa pułapek, który otaczał obozy rzymskie. Wówczas bowiem ujrzeliśmy naszych ludzi, którzy pochwyceni w te niewidzialne szpony krzyczeli i wyli z boleści, niby pokąsani przez żmije jadowite lub jak wilk, który wpadł w zastawione nań żelaza; inni zaś zapadali nagle pod ziemię, zanurzeni aż po ramiona w straszliwe „kwiaty lilii", miotając się tam i wyjąc również z boleści, jak gdyby jakieś ukryte pod ziemią zwierzę drapieżne szarpało im wnętrzności... Linie naszych szeregów poczęły chwiać się i łamać; pęki faszyny wypadały z rąk, pokurczonych męką lub zesztywniałych chłodem śmierci, i drabiny, puszczone znienacka, padały ciężko z hałasem – nieraz na hełmy i czaszki swoich...

– Naprzód! – komenderowali naczelnicy. – Naprzód!... Odwagi!... Czy nie słyszycie okrzyków wojennych naszych braci z Alezji?... Zduśmy Rzymian między naszymi dwiema armiami!

Więc szło się dalej naprzód, wciąż naprzód, po ciałach naszych ludzi, miotających się w konwulsjach bólu – i ofiar przybywało coraz więcej. Wkrótce i machiny wojenne rzymskie, ustawione wreszcie jak należy, rozpoczęły pracę niszczycielską. W kilku miejscach zbliżyliśmy się już o tyle do szańców rzymskich, że udało się nam przerzucić mosty przez fosy i przystawić nasze drabiny do ich częstokołów, pozbawionych dzięki naszym hakom loryk. Walczyliśmy więc tam już na miecze z legionistami, ale stojąc na chwiejnych podstawach i w chmarze ciskanych na nas dzirytów. A przy tym ten lub inny punkt, gdzie – jak można by sądzić – wszyscy przeciwnicy zostali przez nas pozabijani lub zmuszeni do cofnięcia się, kiedyśmy już byli bliscy wtargnięcia do obozu, zapełniał się nagle nowymi kohortami, które jak gdyby wyrastały spod ziemi, przybywając z jak największym pośpiechem z innych miejsc obozów rzymskich. Trąbki rzymskie dźwięczały ciągle, niespokojnie, śpiesząc się, zadyszane. Ale w tym pozornym bezładzie i w mrokach nocy w obozie rzymskim był duch, który czuwał wszędzie, wszystko przewidywał, wszystkim zarządzał, wszystko poprawiał. Na nasze nieszczęście – był to geniusz Cezara. Toteż wznoszące się na horyzoncie słońce, oświecając po-

rozrzucane tu i ówdzie szańce rzymskie, oświeciło też zarazem klęskę naszą i żałobne żniwo śmierci. Każda z naszych kolumn, która szła do szturmu czy to prąc naprzód, czy też cofając się – usypała drogę poległymi i rannymi, przy czym ci ostatni ginęli przeważnie w męczarniach w straszliwych szponach *stimuli* lub na ostrzach pali „kwiatów lilii". Pełne zgrozy zdumienie ogarnęło naszą armię. Nasi nowozaciężni żołnierze – wieśniacy, nie znający dotąd świata poza granicami swych wiosek, nigdy jeszcze nie widzieli podobnych okropności, ani nawet nie słyszeli o nich. Toteż harfy i kobzy milczały, a twarze były blade. Zebrano się znowu na naradę wojenną.

– Więc otóż miałeś swoją bitwę piechoty! – wołał z gniewem Wirydomar do Wergassilauna. – Nie lepszy jej wynik niż naszych walk konnicy!... Nie możemy nic przeciwko tym przeklętym szańcom i pułapkom na ludzi, które są chyba dziełem jakiegoś złego ducha z kręgów piekieł!...

– Bo i cóż to doprawdy za szaleństwo – rzecze ze zwykłą sobie powagą i godnością Komm Atrebata – gdy wszystkie siły Rzymian są skupione na jednym polu, kusić się o wydarcie jego właśnie? Czyż nie zdarzało się nam zwyciężać w miejscowych walkach z nimi, każdy z ludów u siebie?... Od podjęcia walk z Rzymem jeden tylko legion został zniesiony, a stało się to w lasach Eburonów. Spytajcie Cezara, co myśli o puszczach i skalistych wąwozach Eburonów, o błotach Menapów i Trewerów, kolczastych zaroślach Moryngii...

– Naturalnie! – przyświadczył mu Eporedoryks. – Ludzie z błot najlepiej się biją w swych bagnach, górale w wąwozach i ciasnych przejściach górskich, mieszkańcy puszcz najlepiej umieją manewrować w gęstwinach leśnych. Zwycięstwo pod Gergowią dał nam geniusz miejsca, Wergassilaunie! Bo ziemia rodzinna ożywa, aby pomagać bronić się swym dzieciom. Jest jak dobry rumak, który zgaduje myśl swego pana, jak miecz, do którego ręka tak się nałożyła, że zdaje się być jej przedłużeniem... Uchodźmy stąd!... Ci, którzy uparcie obstają przy tym, aby tu walczyć, niechże walczą sobie sami!...

– A ci, którzy chcą uciekać haniebnie jak nikczemni tchórze, niechże uciekają sami! – odparł na to Wergassilaun. – Tak wam śpieszno poddać swe ludy pod rękę prokonsulów rzymskich?

– A czy dobrze im się dzieje pod ręką Wercyngetoryksa? – odrzekł Eporedoryks. – Nic się nam nie wiedzie: ani walki konnicy, ani walki piechoty, ani bitwa w otwartym polu, ani szturm do obozów rzymskich. Na cóż więc masz nadzieję? Czegóż się spodziewasz jeszcze? Mamy żywności już na dwa dni tylko. Jakże wyżywić te kilkaset tysięcy wojska w spustoszonym kraju? Czy dlatego, aby załodze w Alezji nie dać umrzeć z głodu, trzeba te setki tysięcy naszych ludzi narazić na to samo? Czy zguba naszej armii pocieszy cię po stracie armii z Alezji? Zrobiliśmy dla nich wszystko, co było można. Cześć jest ocalona!...

Próżno Wergassilaun przedkładał, prosił i błagał trzech innych wodzów wielkiej armii, nie mógł ich przekonać. Komm Atrebata czynił już przygotowania do wyjazdu, a nie ulegało wątpliwości, że gdyby się tylko ruszył, inni poszliby zaraz za jego przykładem. Wielkiej armii galijskiej groziło rozprzężenie i rozpadnięcie się. Eporedoryks i Wirydomar szeptali coś ze sobą cicho na stronie; kto wie, czy nie omawiali, jakie warunki poddania się można by uzyskać od Cezara. Lecz gdy ci trzej wodzowie chcieli dać znak odwrotu, jednogłośny okrzyk oburzenia przebiegł armię.

Wieśniaczy lud galijski nie chciał odwrotu, nie chciał opuszczać w niebezpieczeństwie syna Celtila, którego wszyscy czcili i kochali!... Nie chciał skazywać na śmierć głodową swych braci w Alezji... Szczególnie w szeregach Arwernów i Paryzów rozległy się groźne okrzyki:

– Kto mówi o odwrocie?! Może o poddaniu się?!... Precz ze zdrajcami!...

Toteż przechodzący mimo tych oddziałów wodzowie milkli zmieszani i starali się tylko minąć je co prędzej, a Wergassilaun uzyskał wreszcie od nich zgodę na jeden dzień zwłoki.

– Nie proszę was już o więcej, o jeden dzień tylko! – błagał ich. – Jeszcze jedna próba – jeszcze jeden wysiłek!... Tej nocy, jeśli zgoda – lub, jeśli wolicie, jutro rano... Powiadacie, że i tym razem nam się nie uda? No, to już nie będę żył... i nie będziecie mnie tu mieli między wami, abym wam przeczył.

Na północny zachód od Alezji niedaleko od przerwy w linii szańców rzymskich, tworzonej przez Osę, wznosi się góra dość wysoka, zwana Rhea, która ku północy przechodzi w obszerne płaskowzgórze porosłe lasem. Na zboczu góry zwróconym ku Alezji Cezar kazał założyć jeden ze swych obozów, nie mógł jednakże objąć jego granicami całej tej góry, a zwłaszcza szczytowego płaskowzgórza; tylko z powodu, iż ta wyniosłość gruntu panuje nad innymi wzgórzami, założony na niej obóz ufortyfikował z większym jeszcze staraniem niźli inne i postawił tam dwa legiony pod dowództwem legatów Reginusa i Rebilusa. Wergassilaun powziął zamiar, aby na ten to właśnie obóz wykonać niespodziany atak ze szczytu wzgórza i zaskoczywszy Rzymian znienacka przebić sobie tędy drogę oraz podać rękę oblężonym w Alezji. Pragnąc mieć ze sobą raczej mniejszą ilość, lecz wprawniejszych do boju i lepiej uzbrojonych wojowników, wziął tylko oddział Arwernów, którym dowodził sam, Lemowików, którym przewodził ich naczelnik Sedull, i Paryzów pod moją komendą, za co gorąco mu podziękowałem. Bądź co bądź, znajdowaliśmy się w sile sześćdziesięciu tysięcy ludzi. Pod osłoną zapadającej nocy tajnymi ścieżkami leśnymi znanymi tylko miejscowym ludziom, których mieliśmy trochę pomiędzy sobą, Wergassilaun przeprowadził nas w lasy porastające płaskowzgórze u szczytu Rhei, niepostrzeżenie dla wart rzymskich, którym pozostawiliśmy przed oczami cały nasz ogromny obóz. Na szczycie Rhei zatrzymaliśmy się na nocleg, przy czym Wergassilaun wzbronił palić ognie i zalecił nam zachowanie ciszy.

– Śpijcie! – powiedział nam. – Nabierzcie sił na jutro. Obudzę was sam, gdy chwila nadejdzie...

Lecz czyż podobna było spać tej nocy? Każdy z nas, największy bodaj prostak, czuł, że ta noc rozstrzygnie losy Galii: będzie ostatnią nocą władzy Rzymian nad nią lub też ostatnią nocą jej wolności... Godziny nam się wlokły strasznie długie; lecz oto wreszcie i dzień zaświtał. Czemuż nie zaczynaliśmy?... Jakiegoż, na Kamula, czekano hasła? Cały długi poranek spędziliśmy pod bronią, zirytowani zwłoką i gorączką oczekiwania, niecierpliwi. Wergassilaun chodził tam i z powrotem, zginając wysoką postać pod gałęziami drzew, sam zniecierpliwiony, niespokojny, gdy z głównego obozu nadbiegali ku nam coraz to nowi wysłańcy.

– Posłuchajcie – rzekł w końcu do mnie. – Miejcie cierpliwość. Ach, zaiste, trzeba jej mieć dużo!... Moi towarzysze–wodzowie postanowili teraz, że atak nasz ma nastąpić dopiero w południe. Mają nadzieję, że zaskoczymy Italczyków podczas ich słodkiego wypoczynku popołudniowego... Czyż żołnierze Cezara są tak rozpieszczeni, żeby się wylegiwać po obiedzie?! Czyż oni nie znają Rzymian?... Myślę, że po prostu chcą, aby sprawa trwała krócej... Prosiłem ich o zezwolenie na bitwę, oni nam użyczają czasu na pół bitwy.

Wreszcie słońce stanęło u zenitu.

– Naprzód! – zakomenderował Wergassilaun z wybuchem prawie.

I przez zarośla, które zakołysały się jak pod tchnieniem burzy, sześćdziesiąt tysięcy ludzi poczęło schodzić z góry na obóz Reginusa i Rebilusa śpiesznie, a cicho i ostrożnie zarazem. Na naszej drodze żadnych wilczych dołów, żadnych pułapek, nic prócz fosy, którą w mgnieniu oka zapełniono faszyną i workami z ziemią. Natychmiast też wzięto się z naszej strony do wyłamywania przeszkód za pomocą haków osadzonych na długich drzewcach rzymskich, do podkopywania częstokołów, przystawiania drabin, a nasi łucznicy i procarze dzielnie nam pomagali, obrzucając swymi pociskami każdy hełm, który się ukazywał nad częstokołem. Lecz warty rzymskie wszczęły natychmiast alarm i w bardzo krótkim czasie obóz stanął w gotowości do boju. Po niedługiej chwili szańce zaroiły się od wojska, chmary strzał, pocisków i dzirytów poczęły się sypać na nas i usłyszeliśmy skrzypienie machin wojennych, które widocznie przesuwano z miejsca na miejsce. Tymczasem na równinie z naszej prawej strony ukazała się konnica wielkiej armii galijskiej, pędząca kłusem, za nią zaś postępowały masy naszej piechoty, najeżone dzidami, kosami, widłami, maczugami – i galijskie okrzyki wojenne poczęły dolatywać aż do nas. Na ich odgłos zerwała się natychmiast na nogi i odpowiedziała podobnymi okrzykami załoga Alezji – i za chwilę ujrzeliśmy zbiegający po pochyłości góry tłum wojowników z bronią i długimi drabinami w ręku.

W tym czasie moi Paryzowie wdarli się już na szańce i hakami wyrywali właśnie nowe *loricae,* umocnione w ziemi u stóp palisady. Bojoryks pochwycił jedną taką lorykę obu szeroko rozłożonymi ramionami, lecz opór tej elastycznej ściany z łozy, która to się gięła, to znów prostowała, wymykając się z uścisku, zwodził długo jego siłę Tytana, w końcu też w tej niesławnej walce z tak kruchym, a jednak upartym przeciwnikiem pośliznął się i upadł, przy czym w upadku zaczepił się jakoś i zawisł na ostrzu loryki nad fosą. Zwieszony w ten sposób, począł wywijać w powietrzu swymi olbrzymimi rękoma i nogami, bijąc rozpaczliwie próżnię; w tym smutnym położeniu przypominał byka, którego za pomocą bloku i lin podnoszą z ziemi, aby go złożyć na pokładzie barki. Naraz runął w głąb fosy, lecz i duży kawał loryki, pociągnięty wielkim ciężarem jego ciała, spadł także, wyrywając kawał parapetu szańców. W tę przerwę wśliznął się zaraz nasz słynny z chudości Karmanno, za nim kilku innych, kłując dzidami w nieokryte pancerzem brzuchy legionistów. Bojoryks zaś wkrótce wydostał się jakoś z fosy, wściekły na zapory, przede wszystkim wyrwał jeden kół z palisady i strzaskał go jak słomkę, następnie zaś począł wywierać swój gniew na dalszych palach częstokołu, wyrywając je i łamiąc jedne po drugich ku osłupieniu naszych kopaczy–wieśniaków, którzy brali się we czterech do wykopania takiego pala. Myśmy zaś skorzystali z wyjątkowej złości tego tak dobrodusznego zazwyczaj olbrzyma i oto już Dumnak i Arwirag skrzyżowali miecze z legionistami, a ja swą dzidę z jakimś centurionem. Jakkolwiek zmuszeni byliśmy nacierać z dołu, wzrok nasz sięgał już do wnętrza obozu i mogliśmy tam widzieć formujące się do bitwy kohorty i ich legatów oraz trybunów, którzy wyciągniętym przed się mieczem wskazywali im miejsce na szańcach. Pomiędzy nogami żołnierzy rzymskich – bo głowy nasze znajdowały się jeszcze tylko na poziomie ich stóp – widzieliśmy przeciwległą palisadę obozu wstrząsaną gwałtownie, miecze galijskie, przechodzące na wskroś przez nią, i słyszeliśmy okrzyki naszych wojowników, rozróżniając nawet pojedyncze głosy.

Serce mi zadrżało, gdyż wydało mi się, że poznaję jeden z tych głosów...

Nie chcąc zdradzać tajemnicy, zawołałem tylko:

– Ambioryks! Ambioryks!...

I oto naprawdę głos córy Ambioryksa z tamtej strony palisady odkrzyknął mi wesoło:

– Wenestos! Wenestos!...

I pomyśleć tylko, że dzieliła nas przestrzeń zaledwie kilkunastu długości dzid. Podwoiliśmy wysiłki. Obóz rzymski poczynał już trzeszczeć jak boki zapaśnika w kleszczach dwojga potężnych ramion, między naszymi dwiema armiami, które już, już, zdawało się, miały się ze sobą spotkać... Ale rzuciłem okiem na równinę, by przekonać się, co się tam dzieje. Wielka armia nasza, która doszła właśnie do pasa „kwiatów lilii", wilczych dołów i innych pułapek, nie posuwała się już ani o krok dalej. Zdawać by się mogło, że drzewce ze znakami wojennymi Komma oraz dwóch innych wodzów zapuściły korzenie. Za plecami „złotych naszyjników", które wahały się i namyślały, niecierpliwiła się piechota, lecz nie ruszała także. Niekiedy jakaś pojedyncza kolumna piechurów na rozkaz wodzów przesuwała się pomiędzy turmami konnicy, rzucała – zbyt daleko zazwyczaj – pęki faszyny w kierunku wilczych dołów i fos i powracała znowu na miejsce.

– Ruszajcie! – wołał do nich co sił w płucach Wergassilaun, stojąc na wysokim występie góry. – Naprzód! Na Kamula! Występujcież raz! Mamy tu dwa legiony na karku. Czy chcecie, abyśmy się doczekali dziesięciu?!

Lecz trzej inni wodzowie byli zbyt daleko, aby go słyszeć, albo też udawali, że go nie słyszą. Wielka armia stała dalej na miejscu lub też posuwała się co nieco jak żółw, upewniając się, jaki ma teren. My zaś pracowaliśmy co sił i ponad siły. Biliśmy się w cieniu prawie, tak gęstą chmurą przelatywały strzały nad naszymi głowami, a w bardzo niewygodnej pozycji, gdyż byliśmy zmuszeni zadawać ciosy z dołu, gdy legioniści kłuli nas z góry dzidami i rąbali mieczami po naszych hełmach i wzniesionych z bronią ramionach. Co zaś najważniejsze, mimo naszych wysiłków szeregi legionistów zgoła nie przerzedzały się, przeciwnie nawet,

zdawały się zgęszczać coraz. Ze znakami wojennymi legionów Reginusa i Rebilusa mieszały się już znaki innych legionów. Naraz usłyszałem silny basowy głos Labienusa, znany mi z pola bitwy pod Lukotycją, który wołał:

– Trzymajcie się dobrze, byki!... Przyprowadzam wam sześć kohort jeszcze!

Dalej zaś nieco na szańcach również znany mi ze zgromadzenia w Samarobriva głos Cezara:

– No, Fabiuszu, teraz twoje sześć kohort! Pośpiesz się, Brutusie – i twoje siedem kohort nie będą tu zbyteczne.

Tak więc Rzymianie wysyłali przeciwko nam całe niemal wojsko, którym mogli rozporządzać, kohorta za kohortą, gdyż nasza wielka armia prawie wcale nie sprawiała im kłopotu. Wkrótce też dalsze posuwanie się naprzód stało się dla nas niepodobieństwem. Wysiłki załogi Alezji zdawały się napotykać także coraz to wzrastające przeszkody i już z daleka teraz zadyszany jakiś, błagamy prawie, raz jeszcze rozległ się okrzyk:

– Wenestos! Wenestos!

I ja, również zadyszany, wyczerpany, zmęczony, odpowiedziałem najgłośniej, jak tylko mogłem:

– Ambioryks! Ambioryks!

– Nie ma go tu, tego waszego Ambioryksa! Tego zbója! – huknął mi na to w odpowiedzi z bliska gruby głos Labienusa. – Zdechł w jakimś bagnie ten dziki wieprz z Ardenów! Damy wam tu Ambioryksa, kupo warchlaków!

I na placach poza szańcami, z prawej i z lewej strony, usłyszeliśmy głuchy odgłos przesuwania jakichś ogromnych i ciężkich przedmiotów: to z odsieczą wojska nadchodziły także machiny wojenne. Niedługo poczęły sypać się na nas gęsto i z nieludzką siłą strzały ze skrzydełkami z brązu i ciężkie bryły kamienia, zmiatając po prostu uczepione u parapetów całe grona wojowników, dziesiątkami odrzucając ludzi o jakieś dwadzieścia kroków. Nagle mignął nam przed oczami płaszcz purpurowy i spośród szeregów rzymskich wzbił się aż pod niebiosa ogromny krzyk:

– Imperator! Niech żyje Juliusz Cezar!

– Do mieczów, przyjaciele! Do mieczów! Kończmy z tym! – odpowiedział im spokojnym, równym głosem człowiek w purpurowym płaszczu z odkrytą łysawą czaszką.

Gwałtowne natarcie na nas nastąpiło po tych słowach. Rzymianie sami teraz wyrywali i obalali swe loryki, aby walczyć z nami możliwie z bliska, zastępy szturmujących zostały zepchnięte ze szczytu szańców i miecze rzymskie poczęły kuć po hełmach galijskich tak zawzięcie i z takim hałasem, jak gdyby tysiące kowali pracowało w jakiejś olbrzymiej kuźni. Zaraz też prawie otworzyło się równocześnie dwoje wrót obozu, z naszej prawej i z lewej strony, i lunęły stamtąd dwa potoki jeźdźców. Odcięto nas w ten sposób od naszej wielkiej armii i konnica rzymska, numidyjska, germańska wsiadły nam na karki. Byliśmy więc dziesiątkowani pociskami katapult z boku, rąbani przez konnicę z tyłu, a tymczasem piechota rzymska z coraz to wzrastającą, zda się, siłą napierała na nas z frontu. Po niedługim czasie oddział nasz został odrzucony w nieładzie do lasu. Spoza przeciwległej palisady obozu rzymskiego wśród mroku zapadającej już nocy donosiły się do nas krzyki rozpaczy i boleści załogi Alezji, którą widocznie wybijano bez litości. Poprzez strumienie potu i krwi, które mi zalewały oczy, ujrzałem w pewnej chwili Bojoryksa, trzymającego za nogi zaduszonego przez siebie Rzymianina, którego używał jak maczugi, gdy wtem uderzył go prosto w pierś i położył na miejscu pocisk z machiny strzelniczej, głaz tak ogromnych rozmiarów i wyrzucony z tak straszliwą siłą, iż byłby uśmiercił nawet słonia. Drugi pocisk z tejże machiny zmiażdżył dwie głowy bratnie Dumnaka i Arwiraga, którzy runęli z szańców w dół obaj razem. Trzeci rozdzielił na dwie części szczupłe ciało Karmanna. W końcu i ja dostałem tak potężne cięcie mieczem przez hełm, że straciłem przytomność i stoczyłem się w dół szańców pospołu z martwymi lub umierającymi.

Rozdział XVI

PO KLĘSCE

Jak długom przeleżał, przygnieciony poległymi i rannymi, zalany krwią ich i swoją, nie wiem, lecz ocucił mnie w końcu chłód poranka. Gwiazdy świeciły jeszcze na niebie, lecz na wschodzie nad obozem, który atakowaliśmy wczoraj, ukazywało się już słabe światło brzasku. Wydostałem się jakoś spomiędzy tych ciał drgających niekiedy jeszcze w konwulsjach agonii i dalej leżąc na ziemi między trupami ujrzałem na polu wczorajszej bitwy snujące się tu i ówdzie cienie, które obdzierały zabitych i dobijały rannych. Pierwszą moją myślą było sprawdzić, czy mam jeszcze swój miecz u boku; przekonawszy się, że go mam, począłem czołgać się po pobojowisku powolutku i ostrożnie, kryjąc się pomiędzy trupami, starannie unikając jednak potrącenia leżących, z obawy, aby nie wywołać głośnego jęku jakiegoś rannego. W ten sposób dotarłem szczęśliwie do skraju lasu, tego samego, z którego poprzedniego dnia wypadliśmy tak niespodzianie na obóz rzymski. Tam stanąłem na nogi, lecz zaledwie zrobiłem kilka kroków w gęstwinie, gdy musiałem usiąść i oprzeć się plecami o drzewo. Czułem zamęt i ból w głowie, doznawałem wrażenia, jak gdyby uciskał mi ją niezmierny ciężar – i na mym lewym ramieniu broczyły krwią dwie duże rany. Z wyjątkiem zwykłych okrzyków wart w obozach rzymskich panowała cisza i nie mniej milcząca wznosiła się naprzeciwko mnie góra Alezji. Obie strony były wyczerpane wysiłkiem i zwycięstwo ciche było, jak i porażka. Ale tylko... tylko okrzykom warty z obozów rzymskich odpowiadały okrzyki ze szczytu Alezji w języku Rzymian... Na równinie od strony zachodniej, na którą kładły się teraz wydłużone cienie wież szańców rzymskich, żadnego znaku życia. Kilkaset tysięcy ludzi naszej wielkiej armii znikło jak sen, który pierzcha po obudzeniu się, i tylko jakieś ciemnawe kupy, rozproszone to tu, to ówdzie po równinie, znaczyły drogę jej odwrotu.

Czułem się tak oszołomiony fizycznie i duchowo, że z trudem tylko mogłem zebrać myśli, jak gdyby jakaś próżnia utworzyła się w moim mózgu. Wiedziałem, że przed chwilą zaszło coś straszliwego i niepowetowanego, coś, co kamieniem przytłaczało mi serce, lecz trudno mi było uświadomić sobie jasno, co by to było takiego... I wspomnienia moje unosiły się nad wypadkami dalszymi, nie mogąc się jakoś zatrzymać na najbliższych. Byłem jak gdyby pogrążony w jakimś na pół sennym, bolesnym rozmarzeniu. Widziałem dobrze przed sobą to *oppidum* Alezji z zatkniętymi na jego murach znakami wojennymi Rzymian – milczące, ten obóz nieprzyjacielski, tę równinę, z której znikła wielka armia nasza...

Lecz myśl moja była leniwa i nie mogłem z tego wszystkiego wysnuć żadnego wniosku, a raczej niejasno odczuwałem tylko straszliwą grozę prawdy. Był to więc koniec... koniec... koniec... Czegoż? Koniec... niepodległości Galii... jej zjednoczenia... wolności... sławy... Cóż jeszcze?... Moi towarzysze broni, moi przyjaciele z lat dziecinnych... wszyscy pozabijani dokoła mnie... Tyle więc nadziei, żywionych od tak dawna, tak długa cierpliwość, takie również długie a staranne przygotowywanie się do ostatecznej walki, przysięgi składane na krew byka, poświęconego na ofiarę bogom przez wszystkie niemal ludy Celtyki, jedna dusza, wchodząca w miliony serc, samaż stara ziemia Galii, która popchnęła do walki na śmierć i życie w swej obronie nawet najpokorniejszych ze swych synów – tych, co żyją i pracują najbliżej jej łona... wszystko to zatopione w potokach krwi, zaduszone pod tymi stosami martwych ciał... Co jeszcze? Co jeszcze?... Wergassilaun, mój wódz ukochany, Wercyngetoryks, światło Galii... Cóż się z nimi stało?... Gdzież byli teraz, o bogowie nieśmiertelni?!... Ale oprócz tego

wszystkiego coś jeszcze... coś jeszcze... coś ważnego, bardzo ważnego... cóż by to było takiego?... Nagle myśl moja się ocknęła i z piersi mimo woli wydarł się półgłośny krzyk:

– Ambioryga!!...

Jednym skokiem znalazłem się na nogach jak rumak bojowy, który ostatkiem sił porywa się jeszcze do biegu na dźwięk trąbki i pod ciosem ostróg. Popatrzyłem na linie obozów rzymskich, później na oppidum. Byłaż ona tam, w tym mieście zdobytym, czy też w obozach nieprzyjacielskich? Gdzie jej szukać?... Może jest okrutnie ranna?... Może dostała się do niewoli?... Może... może już nie żyje?...

– Pójdę po nią! – powiedziałem sobie nagle stanowczo. – Jeśli nie zdołam wyrwać jej z niewoli lub dowiem się, że nie żyje, umrę także!

Lecz jak przedostać się do tych obozów nieprzyjacielskich, jak znieść wzrok zwycięzców?... Mniejsza o to!... Czyż dla bojownika o wolność Galii życie ma teraz jaką cenę, aby obawiać się je narażać?... Poszedłem poszukać jakiegoś źródła w lesie i na szczęście znalazłem je niedaleko. Zaspokoiwszy palące pragnienie umyłem sobie starannie twarz i ręce i nawet opłukałem odzież tam, gdzie była zbroczona krwią, następnie przyłożyłem parę szmat zmoczonych na rany. W sakwie jednego z zabitych, leżącego u skraju lasu, znalazłem kawał chleba i posiliłem się. Potem przyprowadziłem do porządku swój strój wojskowy i postarałem się przybrać wygląd zewnętrzny jednego z tych Galów – sprzymierzeńców Rzymu, którzy służyli w wojsku rzymskim. W tym celu odrzuciłem na me lewe, okryte ranami ramię cały prawie płaszcz i podniosłem wysoko do góry prawy rękaw tuniki. Z moją bujną czupryną, którą przeczesałem sobie palcami odrzucając ją w tył, z sumiastymi, dużymi wąsami, których końce starannie zakręciłem i podniosłem do góry, z pasem kowanym z brązu, złotym naszyjnikiem i takimiż naramiennikami, z mieczem otartym starannie o mech leśny i włożonym w pochwę, którą oczyściłem także, miałem jeszcze wcale niezłą minę, jak się przekonałem o tym przejrzawszy się w źródle. Trudno byłoby zgadnąć, żem spędził noc na pobojowisku pod stosem trupów. Zeszedłem prędko ze wzgórza i krokiem zdecydowanym ruszyłem do najbliższej bramy obozu rzymskiego.

– Kto idzie? – zawołał żołnierz na warcie.

– Gal-sprzymierzeniec! Z poselstwem do imperatora!

Italczyk z widoczną nieufnością przyglądał mi się długo w milczeniu. Lecz stałem przed nim sam jeden przecież, prawie bez broni prócz miecza u boku – i był już biały dzień na świecie; oczywista, że nie było powodu mnie się obawiać. Toteż po chwili furta z boku bramy uchyliła się nieco i ukazał się w niej centurion.

– Czego chcesz? – zapytał.

– Powiedziałem to już. Przychodzę z poselstwem do imperatora. Tego, co mam do powiedzenia, nie mogę powtórzyć nikomu innemu, jemu tylko.

– Skąd mogę wiedzieć, że nie kłamiesz?

– Jestem naczelnikiem galijskim i mógłbym za te słowa zażądać od ciebie rachunku! – odpowiedziałem dumnie. – Lecz jeśli chodzi o dowód – oto on!

I pokazałem mu pierścień Cezara, który centurion, tylko rzuciwszy nań okiem, poznał natychmiast.

– Tak... – rzekł. – Nawet musisz być jednym z bliskich mu, skoro powierzono ci klejnot podobny. Ale imperatora nie ma w obozie. Właśnie pojechał objąć w posiadanie Alezję.

I odwróciwszy się klasnął w dłonie.

– Dwóch ludzi straży niech towarzyszy temu posłowi do imperatora!

Tak więc pod przewodnictwem i opieką dwu zbrojnych żołnierzy rzymskich przebyłem ich obóz, następnie zaś tę część pola bitwy, która się zawierała między liniami obozów a murami *oppidum*. I tu roztaczał się widok nie mniej okropny niźli ten, który widziałem o świcie. Rzymianie uprzątnęli już z pola bitwy swoich poległych; lecz trupy naszych gęsto pokrywały pobojowisko, szczególnie skupione u stóp szańców rzymskich i przeważnie w okrutny sposób

poszarpane i pokaleczone przez pociski machin wojennych i te wszystkie chytre pułapki italskie. I tu tak samo żołnierze i czeladź obozowa błądzili po polu, obdzierając ciała ze wszystkiego, co tylko mogło przedstawiać jakąś wartość. Chciwością i okrucieństwem odznaczali się zwłaszcza Numidowie, którzy kaleczyli niekiedy rannych dla zabawki, wybuchając przy tym dzikim śmiechem, przypominającym rżenie konia.

– To są wstrętne dzikusy! – rzekł do mnie jeden z mych towarzyszów. – Rzymianie nie postępują tak na wojnie, jak ci barbarzyńcy.

Lecz tu, dostrzegłszy coś błyszczącego w kupie trupów kobiecych, bo znajdowaliśmy się już niedaleko ścian *oppidum,* nachylił się i wyrwał razem z ciałem dwa kolczyki z uszu kobiety, następnie zaś wyciągnął miecz z pochwy i odciął jej jeszcze palec, aby wziąć pierścień. Cokolwiek dalej przechodząc obok jęczącego z bólu rannego, dobił go i rzekł do mnie:

– To cios łaski. Numidowie znęcaliby się nad nim!

Przekroczyłem bez żadnych trudności bramę *oppidum,* bardzo zadowolony, że nie było potrzeby wystawiać na pokaz pierścienia Cezara, oświadczenie bowiem towarzyszących mi żołnierzy, że jestem posłem, uznano za wystarczające. Widok grodu był jeszcze okropniejszy niźli pola bitwy. Dla zapewnienia bowiem porządku i sprawiedliwego rozdziału zrabowanych rzeczy miasto podzielono na dzielnice i kwartały, każdy kwartał przeznaczono dla jednej z kohort rzymskich lub też dla któregoś z oddziałów wojsk sprzymierzonych – i każdy legion, każda kohorta, każda manipula wreszcie wybierały delegowanych, którzy – sprowadzeni przez centuriona – metodycznie i skrupulatnie rabowali w przeznaczonym sobie kwartale każdy dom z osobna aż do ostatniego w nim gwoździa, po czym – przed udaniem się dalej – rzucali całą zgromadzoną zdobycz przed drzwiami domu, pozostawiając zatkniętą na tym stosie dzidę z kartką, na przykład: dziesiąty legion, trzecia kohorta, druga manipula. Przed jedną z chałup widziałem, jak żołnierze rzymscy przypiekali gorącymi węglami stopy wieśniaka, zmuszając go w ten sposób do wyznania, gdzie schował pieniądze. Czynili to bez gniewu i nie z chęci znęcania się, tylko po prostu dlatego, aby wieśniak nie wyrządził szkody ich ogółowi ukrywając swoje mienie. Inni lali wodę na podłogę z ubitej ziemi w chałupach dla przekonania się, czy nie była świeżo poruszona, jeszcze inni rozprawiali z jakimiś kupcami italskimi o podejrzanej minie. Targowali się z nimi zawzięcie, tyleż prawie chciwi i przebiegli, co i ci przekupnie, o cenę jakiejś tuniki zbroczonej krwią lub takiegoż płaszcza. Prezentowali im to rosłego i silnego wojownika–Gala, to znów smukłego młodzieńca, każąc tym *mercanti* podziwiać ich siłę i piękność, zmuszając swych jeńców do obracania się, chodzenia, biegania i podnoszenia ciężarów, otwierając im usta jak koniom, aby pokazać, iż mieli zdrowe zęby. Wojownicy galijscy, czekając na swoją kolej z rękami związanymi na plecach, siedzieli na ziemi pod ścianami domów i płakali ze wstydu. Lecz gdy przychodziła ich kolej, żołnierze rzymscy, przykładając im koniec dzidy do gardła, zmuszali ich, aby wstali i szli pokazywać się kupczykom, którzy umyślnie przybierali miny obojętne i pogardliwe:

– Phi... to się tak źle sprzedaje dzisiaj! – mówili. – Przepełniliście nimi rynki Italii. A wszystko to tak wynędzniałe! Tak chude!... Ileż to trzeba wydatków, żeby ich opierzyć znowu choć trochę!

Niekiedy to z tej, to z owej strony rozlegały się krzyki i jęki. To żołdactwo rzymskie wypędziwszy na ulicę nową partię jeńców czyniło pomiędzy nimi wybór, zabijając bez litości zbyt osłabionych lub wątłych czy chorych, lub wreszcie ciężko rannych – słowem tych, którzy nie mieli wartości jako towar. Po wąskich uliczkach miasta wszędzie płynęła krew. Myślałem chwilami, że w jednej lub drugiej partii tych nieszczęśliwych ujrzę Ambiorygę. Ale nie, nie!... Ona się nie dała wziąć żywcem. Nie żyje. Powinienem raczej szukać jej u stóp szańców rzymskich w tych stosach poległych, skoro wiem, że brała udział w szturmie. I gniew mnie porywał, pomieszany z rozpaczą. Po co ja idę właściwie?!... Co za sens szukać Cezara?... Co mu powiem?... O co go zapytam?... Ona nie żyje. Lepiej zadusić mych dwóch strażników i rzucić się następnie na tych żołnierzy rzymskich, zabijających bezbronnych jeń-

ców, aby zginąć przynajmniej z mieczem w dłoni!... I już kładłem dłoń na rękojeść miecza, aby swą myśl w czyn wprowadzić, gdy na zakręcie uliczki ujrzałem nagle centuriona, który szedł kulejąc, wsparty na drzewcu dzidy.

– Jak to, to ty? – rzekł na mój widok, zdziwiony. – Cóż tu robisz?

– Gnaeus Maro! – wykrzyknąłem. I pozostawiając na miejscu towarzyszących mi żołnierzy, którzy przez szacunek dla centuriona przystanęli opodal z lewą ręką na rękojeści miecza, prawą u przyłbicy hełmu, zbliżyłem się szybko do Marona. Znajdowaliśmy się tak blisko od siebie, żeśmy mogli rozmawiać szeptem.

– Moja narzeczona jest tu... – powiedziałem doń cicho. – Udaję się właśnie do Cezara, aby prosić o jej uwolnienie...

I zaledwiem wyrzekł te słowa, gdy już ich pożałowałem. Prosić prokonsula o wydanie branki galijskiej... Ten centurion wyśmieje mnie z pewnością. Lecz Maro tylko popatrzył na mnie smutno.

– Nie zapomniałem, żem ci winien życie, i pragnąłbym móc narazić swoje dla ciebie – odrzekł mi. – Ale nie pomyślałeś zapewne, na co się ważysz... Ty – stanąć przed Cezarem! Bo tyś jest powstaniec – i twe obnażone prawe ramię nie zwiedzie go, jak nie zwodzi i mnie także. Tak więc mało zależy ci na twych rękach i nogach?...

– Ech! Tak dalece mało, że aby uwolnić mą narzeczoną, dałbym przybić je do krzyża!

– Uwolnić ją! Otóż to najtrudniejsza sprawa.

– Ty coś wiesz? Mów, mów!... Czy już nie żyje? Czy... gorzej jeszcze? Powiedz! Mogę znieść wszystko!...

– Owszem żyje, nie poległa; lecz to nie lepiej ani dla ciebie, ani dla niej. Podniesiono ją na pół żywą, przygniecioną ogromnym odłamem loryki. Na Herkulesa! Inaczej bodaj niepodobna by jej było wziąć żywcem, gdyż to jest demon, nie kobieta, ta twoja narzeczona! Zabiła nam lub pokaleczyła z tuzin ludzi. Gdy ją ujęto, nie wiedzieliśmy nawet w ogóle, że to kobieta, lecz pewien Gal-sprzymierzeniec, który służy w konnicy Reginusa, Paryz, jak się zdaje, poznał ją i zawołał: „Nie czyńcie jej nic złego! To jest kobieta! Do Cezara z nią!”... Zaprowadzono więc ją do Cezara, który z początku miał wielką ochotę kazać jej wprost poderżnąć gardło. Lecz ów naczelnik galijski tak go prosił i błagał, aby dał mu ją jako niewolnicę, że Cezar popatrzył nań, popatrzył i odpowiedział, że zobaczy...

– A więc nie przyrzekł mu nic?!...

– Nie. Lecz czy sądzisz, że będzie się wahał w wyborze pomiędzy Paryzem, który służy pod naszymi sztandarami, a takim, który walczył przeciwko nam? Zresztą może nie dać jej ani tamtemu, ani tobie, tylko dorzucić ją do przeznaczonej dla żołnierzy zdobyczy lub podarować ją jakiemuś centurionowi albo – jeśli będziecie zbyt go nudzić całą tą historią – po prostu kazać ją wrzucić do jakiej studni...

– Czyż jest tak okrutny?...

– W ogóle nie; lecz jest obecnie niezmiernie rozgniewany na was, że tymi wiecznymi powstaniami przeszkadzacie mu pilnować jego spraw w Rzymie. Bywa zaś nawet więcej niż łaskawy. Na przykład przy podziale jeńców pomiędzy niego a armię zatrzymał dla siebie wszystkich Eduów i Arwernów – i powiadają, że chce wypuścić ich na wolność, podobno nawet bez okupu, aby raz jeszcze spróbować, czyby się nie dało zjednać wreszcie te ludy dla przymierza z Rzymem. Widzisz więc, jak jest bezinteresowny i wspaniałomyślny!

– Idę do Cezara – powiedziałem nagle. – Żegnaj! Być może, nie zobaczymy się już nigdy. Przyjmij w upominku od przyjaciela tę sprzączkę złotą; oddasz ją, jeśli chcesz, swemu bratankowi – poecie. I powiedz mu ode mnie, iż ma słuszność, że kocha sielankę wsi. Gdyby był widział wojnę tak z bliska, jak my ją widzimy, czułby do niej tym większą odrazę. A nie zapominajcie, żeście i wy trochę Galami!... Żegnaj!...

Ruchem ręki przywoławszy do siebie swych towarzyszy–legionistów, udałem się z nimi w dalszą drogę.

Rozdział XVII

PIERŚCIEŃ CEZARA

Towarzyszący mi żołnierze bez trudu dopytali się o dom, w którym znajdowała się kwatera imperatora. Otaczał ją tłum złożony z Rzymian oraz Galów: naczelników i senatorów ludów sprzymierzonych lub zwyciężonych, którzy przychodzili z prośbami różnymi – i gromad jeńców z powiązanymi na plecach rękami. Z obu stron drzwi stali wyprostowani i sztywni jak posągi legioniści i ruchem stanowczym odsuwali ciekawych, którzy chcieli zaglądać do środka, przy czym niekiedy zmuszeni byli krzyżować swe *pila,* aby zagradzać nimi drogę. Serce mi się boleśnie ścisnęło na widok naszych sztandarów i znaków wojennych, rzuconych bezładnie na kupę pod ścianą domu, z materią chorągwi podartą i krwią zbroczoną, pogiętymi figurkami z brązu, połamanymi drzewcami. Te nasze sokoły i orły o rozpostartych skrzydłach, tury z nastawionymi rogami, dziki o ostrych kłach, rumaki bez siodła i uzdy, często powtarzający się skowronek – ulubiony ptak Galii – wszystko to było dla mnie jak gdyby uwięzione dusze ludów galijskich i każdy z tych wziętych przez nieprzyjaciela znaków wojennych oznaczał jeszcze jeden oddział armii naszej zniesiony przez Rzymian, jeszcze jeden lud zgnębiony przez wroga. Odwróciłem głowę, aby przynajmniej nie dojrzeć pomiędzy nimi okrętu Lutecji i bobra rzeki.

Doczekawszy się swej kolei zostałem wprowadzony wreszcie do sali posłuchań, gdzie znalazłem prawie więcej moich współrodaków o obnażonym prawym ramieniu niźli Rzymian. Wielu naczelników galijskich błagało imperatora o łaskę dla „zbłąkanych", jak powiadali, zapewniając, iż czynili wszystko, co mogli, aby powstrzymać tych szaleńców. Inni zaś prosili po prostu za siebie, czołgając się na kolanach u stóp wzniesienia z desek, na którym stało krzesło prokonsula z kości słoniowej, płaszcząc się przed Cezarem wobec tych wszystkich widzów obojętnych lub pogardliwych, ciskając przed się na znak pokornego poddania się miecz i tarczę. Cezar przemawiał do nich tonem twardym i cierpkim, jak gdyby obrażony tylokrotnymi „powrotami do złego" z naszej strony, taką bezsilnością swych przyjaciół, takim uporem swych wrogów. Niektórym poprzez burze swego gniewu, poprzez groźby i wyrzuty pozwalał jednak dojrzeć jakiś błysk nadziei. Innym – po prostu oznajmiał oschle, że miasta w ich krajach zostaną zburzone, a całą ludność czeka sprzedaż do niewoli.

Kilku z najbardziej płaszczących się przed nim pochwyciły nawet na jego skinienie straże i wyprowadziły z sali.

– Do więzienia z nimi! – rozstrzygnął krótko ich sprawy.

Kilku naczelników eduskich ze zwykłą sobie zręcznością tłumaczyło się przed Cezarem zwłaszcza z zajść w Noviodunum i Cabillon, zrzucając wszystko na Litawika, Kota i ich stronników. Ponieważ stanowczo przeczyli wszelkim chociażby posądzeniom ich o udział w powstaniu, uroczyście zapewniając o swej niezmiennej dla Rzymu wierności, Cezar przyjął ich dość łaskawie. Lecz gdy następnie poczęli orędować za swymi klientami, przerwał im natychmiast ruchem ręki, jak gdyby odpychając od siebie wszelką myśl przebaczenia i odwracając twarz nawet:

– Nie, nie, nie! Potrzeba, aby sprawiedliwość została wymierzona! Ci wasi Swesjonowie!... Ileż to już razy przebaczałem im na wasze prośby! Lecz łaskawość ma swe granice...

W tej chwili z zewnątrz budynku doniosły się aż tutaj rozdzierające serce krzyki i jęki.

– Słyszycie?... To są jeńcy nerwijscy, których kazałem przepędzić przez miecze... To samo czeka wszystkie ludy, które znajdę niepoprawnymi!

– A jednak – wtrącił łagodnie jeden z naczelników Remów – mówią, że masz zamiar przebaczyć Arwernom i Eduom. Och! nie chcemy mówić przeciwko nim. Lecz któreż ludy zawiodły twe zaufanie okrutniej niż Eduowie? Wszak oni podnieśli rękę na bezbronnych Rzymian w Noviodunum i Cabillon! Gdy tymczasem Swesjonowie...

– Co do Eduów i Arwernów – przerwał mu Cezar – będę nieubłagany dla tych, którzy pobudzali do powstania. Może jednak oszczędzę tłum zbłąkanych. U innych ludów zaś wszyscy byli winni, od wielkich do małych. Tacy wasi Swesjonowie na przykład! albo Nerwiowie! albo Paryzowie!...

Tu wzrok jego padł nagle na mnie.

– Ktoś jest? Co tu robisz? – spytał ostro, swym przenikliwym spojrzeniem zaglądając mi jakby do głębi duszy.

– Jestem Wenestos, syn Beboryksa, naczelnik Doliny Rzeki Bobrów, ludu Paryzów... – odpowiedziałem.

– Paryzów!... Dobrześ się wybrał. Wszyscy jesteście winni! Nie dość, żeście powstali przeciwko Labienusowi. Przyszliście aż tutaj, aby walczyć z nami. Nie oszczędzę ani jednego z was! Nie, właśnie jednego tylko, który walczył pod orłami legionów. Resztę każę rozprzedać na targi niewolników. Paryz tu, w Alezji? Paryz tu może być tylko albo trupem, albo jeńcem, albo zbiegiem. W jakimże więc charakterze stajesz przede mną?

– Żałuję, żem nie padł w boju. Ale nie jestem jeńcem ani zbiegiem. Staję przed tobą z własnej woli i nie o swoją wolność chcę cię prosić...

– Więc o łaskę dla swego ludu?

– Gdybym cię prosił o łaskę dlań, dla sławy twej prosiłbym o łaskę. Nazbyt wysoko wynieśli cię bogowie w tych dniach krwawych, abyś miał w duszy niskie chować uczucia. Jestże zbrodnią naśladować cię starając się o wielkość swej ojczyzny?... Z jakiegoż to kruszcu ulana jest twa sława, jeśli nie z naszego mężnego oporu i naszej waleczności?...

Mówiłeś przed chwilą o zamiarach łaski względem wielkich ludów, Eduów i Arwernów, i nieubłaganej surowości względem małych. Czyż zniewaga jest większa przez to, że od małego, nie zaś wielkiego ludu pochodzi? I czyżeś nie dość wielkim, abyśmy przed tobą wszyscy zdali się być równymi?...

Śmiałość mych słów, spojrzenia i gestów wprawiła wszystkich obecnych w osłupienie. Szczególnie Remowie wciskali po prostu głowy w ramiona, tocząc dokoła przerażonym wzrokiem i bez wątpienia widząc mnie już w wyobraźni poćwiartowanym na kawały. Centurionowie zaś straży Cezara rzeczywiście zbliżali się ku mnie zwolna z mieczami wyciągniętymi do połowy z pochew, na pół zwróceni do prokonsula, oczekując tylko rozkazu.

– Dobrze mówisz... – odrzekł mi imperator z odcieniem subtelnej ironii. – Widzę, że mówcy nawet małych ludów potrafią także używać wielkich słów. Tymczasem zaś, ponieważ nie jesteś ani trupem, ani jeńcem, ani zbiegiem – możesz odejść. Jesteś wolny.

– Nie o moją wolność tu chodzi, powiedziałem to na wstępie. Przyszedłem cię prosić o uwolnienie mej żony, Nehaleny z plemienia Aulerków, którą twoi żołnierze wzięli do niewoli u stóp szańców obozu Reginusa.

– Ach! To twoja żona... Winszuję ci jej. Prawdziwy dziki kot. Zamierzałem oddać ją pod miecz liktorów dla przykładu. Dość wasi mężowie sprawiają mi kłopotu. Cóż będzie, jeśli jeszcze niewiasty poczną mieszać się do walki? Lecz później – darowałem jej życie. W każdym razie ona należy do mej części zdobyczy i rozporządziłem już nią w myśli!

– Odkupię ją od ciebie...

– Doprawdy?... W takim razie zażądam za nią okupu, którego nawet wszyscy Paryzowie razem wzięci nie będą w możności zapłacić!

– Mam jednak nadzieję, że zdołam zapłacić go sam jeden. Okup za okup, zgoda?... Bo i ja także mam ci coś do zwrócenia... twoją... niewiastę...

I zbliżywszy się doń ruchem nagłym wydobyłem i podałem mu mój zdobyczny pierścień z Gergowii. Cezar wziął go i mimo iż panował nad sobą tak wybornie, rysy jego okazały zdumienie i najżywsze poruszenie wewnętrzne.

– Gdzieżeś znalazł... czy ukradł ten klejnot? – zapytał.

– Nie jestem złodziejem i nie znalazłem go także. Zdobyłem go w otwartej walce... na tobie... jak i twój miecz zarazem!

Tym razem Remowie popatrzyli już na mnie jak na człowieka zgubionego niechybnie; obecni zaś w sali Rzymianie byli widocznie niezmiernie zdziwieni i oburzeni mym niesłychanym zuchwalstwem. Przypominać Cezarowi ten tak niemiły dlań epizod jego niepomyślnych w ogóle walk w Arwernii!... Gdy samaż nazwa Gergowii stała mu się nienawistna! Gdy w raportach do Rzymu musiał się tłumaczyć i wykręcać, zrzucając na nieostrożność swych centurionów i żołnierzy odpowiedzialność za tę tak dotkliwą porażkę!... Gdy rad by zrównać z ziemią tę górę i miasto, zgładzić je aż do ich imienia i pamięci o nich... Należało być, naprawdę, bardzo znużonym życiem, aby się ważyć budzić w pamięci Cezara to wspomnienie, które miało takąż własność wywoływania na jego czoło płomieni gniewu, jak i wspomnienie legionu zniesionego przez Ambioryksa w kraju Eburonów. I co gorsza, przedstawiałem się jeszcze jako bohater tej tak przykrej dlań przygody!

Imperator patrzył mi prosto w oczy przyglądając mi się pilnie i czułem, jak jego orle spojrzenie przenika mnie, zdawałoby się, na wskroś... Wytrzymałem jego wzrok bez zmrużenia powiek, mając dziwnie jasną świadomość, że nigdy jeszcze nie byłem tak bliskim – śmierci... Kiedy Cezar mi się przyglądał, i ja przyglądałem mu się nawzajem i widziałem, ale to po prostu widziałem jego myśli, przebiegające mu przez głowę jak podmuchy wiatru po toni jeziora. Pierwszą myślą, która wracała mu z uporem kilkakrotnie, było skinąć na liktorów i kazać im przybić mnie do krzyża. Lecz inne myśli zwalczały tę i jak gdyby ją odpędzały. Człowiek, który miał zaszczyt walczyć z nim osobiście, nie mógł być traktowany jak niewolnik!... I przez to samo, żem się otarł o jego majestat, stawałem się dlań już czymś wyższym nad tłum pospolity. Nadto byłem żywym świadkiem niebezpieczeństw, na które się osobiście narażał, i moja brawura podnosiła sławę jego męstwa. Nie wiem, czy wierzył w bogów swego kraju, słyszałem jednak później, iż miał przesadną obawę nemezys, karzącej czyny zbyt okrutne lub też dumę ludzką zbyt wyniosłą. Los, przez chwilę mu przeciwny, oszczędził go jednak; miałżeby być więcej odeń niełaskawym względem mnie?... Tenże los łączył nas po raz drugi. Może wiązały nas jakieś niewidzialne nici przeznaczeń?... Nemezys, zagroziwszy mu raz przeze mnie, może zachowała mnie po to, aby go wesprzeć właśnie w jakiejś chwili rozstrzygającej los jego życia?... Cezar obracał pierścień w ręku, przypatrując się to mnie, to znów rzeźbionej w kamieniu pierścienia bogini, wykręcającej swe włosy, z których spływały łzy morza. Zdawało się, iż ją pyta o radę. Wszyscy dokoła – i w tej liczbie ja z rękoma skrzyżowanymi na piersiach – milczeli i czekali.

– Przyprowadzić tę brankę! – rozkazał wreszcie Cezar zwracając się do jednego ze swych ludzi. Ten wyszedł natychmiast i za chwilę powrócił z Ambiorygą. Na jej wybladłych licach, pokrytych jeszcze plamami krwi i błota, widoczne były ślady przebytej strasznej nędzy w Alezji oraz tylu wzruszeń wstrząsających i bolesnych. Zawsze jednak piękna była z tymi dużymi błękitnymi oczyma, które wydawały się teraz większe jeszcze na skutek bladości twarzy, z tymi drobnymi, delikatnymi rysami, które tak dziwnie odbijały od dumnego wyglądu wojownika galijskiego – wojownika zwyciężonego, który czynił wstyd zwycięstwu... Serce zabiło mi tak gwałtownie, jak gdyby mi z piersi chciało wyskoczyć, i omal żem się nie rzucił ku niej. Lecz – wobec tych wszystkich oczu ciekawych, zwróconych na mnie – powstrzymałem się. I ona także stała nieruchoma, pozornie obojętna i chłodna jak posąg. Cezar przyjrzał się jej przez chwilę uważnie i rzekł:

– Zgoda więc! Przyjmuję zamianę. Za twój pierścień zwracam ci moją brankę. Lecz – zatrzymuję ciebie. Nie obawiaj się! Nie sięgam po twą wolność. Nie niewolę zachowuję dla ciebie, lecz sławę! Jesteś mężnym i dzielnym – wiem coś o tym. Rzym potrzebuje walecznych wojów i lepszy można zrobić użytek z tych twoich przymiotów niźli upierać się przy walce z Rzymem, którego złote orły trzymają zwycięstwo w szponach. Sam przekonałeś się o tym chyba... Zrozumiałeś mnie?

– Szczęśliwy byłbym – odpowiedziałem – służyć pod twymi rozkazami, chociażby dlatego tylko, aby poznać drogę zwycięstwa. Lecz – przebacz szczerość moją – nie mogę przecież walczyć przeciwko swym rodakom!...

– Czy nie chciałbyś wypadkiem, abym cię użył przeciwko Rzymianom?... – odparł Cezar z jakimś dziwnym, nieokreślonym uśmiechem, przygryzając swe wąskie wargi. – Nie, nie będziesz walczył przeciwko swym rodakom, nawet tym, którzy się jeszcze buntują... Już ja ich biorę na siebie. Świat jest wielki – i mógłbym nawet skierować cię po ścieżkach, którymi niegdyś szli przodkowie twoi. Cóż byś powiedział na przykład o pięknej kampanii w Ilirii, która jest jedną z prowincji mego prokonsulatu?... I to jako trybun w legionie galijskim, mimo iż ten legion będzie uzbrojony po rzymsku, z którymś ze znaków wojennych twego kraju na jego sztandarach?... Albo wolałbyś może dowodzić skrzydłem konnicy, która będzie kłusowała u jego boku – konnicy złożonej również z Galów o wysokich skrzydlatych hełmach?... Aby rozpocząć formowanie tego legionu, upoważnię cię do wybrania pięćdziesięciu najlepszych wojowników z jeńców–Paryzów, którzy się znajdują w mojej części zdobyczy.

Spojrzałem pytająco na Ambiorygę; ku memu zdumieniu pochyliła lekko głowę na znak, że należało przyjąć. Cezar zaś dodał jeszcze:

– Daję ci do wieczora czas do namysłu. Teraz zaś zabieraj sobie stąd tę swoją Aulerkę i idźcie. Nie twoją tylko sprawę mam na głowie!

Wyszliśmy. U drzwi jakiś centurion włożył mi do ręki *tesserę* z ołowiu, która miała nam zapewnić bezpieczeństwo pośród obozów rzymskich.

Rozdział XVIII

KONIEC ZDRAJCY

Nie uszliśmy stu kroków, gdy na zakręcie jednej z uliczek grodu ukazał się nagle przed nami Keretoryks, śpieszący, jak się zdaje, ku kwaterze imperatora. Na nasz widok przystanął i aż się cofnął. Następnie popatrzył na nas, z początku zdumiony ponad wszelką miarę widocznie, potem rozgniewany, wściekły wreszcie, jak gdyby zrozumiał bez słów wszystko, co zaszło.

– Skąd idziesz? Dokąd?... – krzyknął rzucając się ku mnie.

– Co ci do tego? – odparłem. – Idź swoją drogą, która nigdy nie była moją...

Mówiłem ze spokojnym umiarkowaniem, obawiając się, aby odgłos sprzeczki nie ściągnął ku nam patrolu rzymskiego i nie zmusił do tłumaczeń i wyjaśnień. Lecz na szczęście uliczka była zupełnie pusta, jeśli nie brać w rachubę trupów leżących tu i ówdzie pod jej płotami lub pod ścianami domów. Zresztą ani żywej duszy prócz nas.

– Och! – ciągnął dalej Keretoryks z uniesieniem. – Wiem, skąd przychodzisz! Idziesz z kwatery Cezara, gdzie, ma się rozumieć, dokonałeś przed chwilą aktu poddania się, gdyż otoś, jak i ja, z prawym ramieniem obnażonym aż do pleców!

– To ciebie nie obchodzi...

– Właśnie, że mnie to obchodzi! – krzyczał, cały purpurowy na twarzy z szalonego gniewu. – Bo za cenę twego poddania się uprosiłeś Cezara widocznie, aby zwrócił ci tę brankę!...

– Być może...

– Ta kobieta należy do mnie! Ja to wczoraj wyrwałem ją z rąk, które już miały ją rozszarpać; ja także kazałem zaprowadzić ją do imperatora – i imperator mi ją przyrzekł w nagrodę za me usługi i męstwo!...

– Wiesz przecie, że Nehalena jest moją narzeczoną – odrzekłem mu tonem łagodnej perswazji. – Zresztą, zapłaciłem za nią Cezarowi okup. A imperator ma jedno słowo tylko!

– Hm... być może... być to może... iż on ci oddał Nehalenę Aulerkę... Lecz...

– Lecz co?

– Lecz nie byłby ci przecie wydał córy Ambioryksa!... Już ja się przewiedziałem o niej wszystko, bądź pewien! Tak... ona jest córą Ambioryksa!

– Ciszej, nędzniku!...

– Zataiłeś prawdę przed Cezarem. I ja, co prawda, zataiłem ją także. Ale teraz nie mam już po co zachowywać tajemnicy. Biegnę...

Stanąłem w poprzek jego drogi z rozpostartymi szeroko ramionami.

– Keretoryksie, tak śpieszno ci, aby ją wydać na śmierć i męki?... Czyż nie rozumiesz tego?!... Dość, aby Cezar powziął najlżejsze podejrzenie...

– Podejrzenie, powiadasz? Będzie miał pewność. Czyż ja nie rozumiem!... Bądź spokojny, to jest właśnie to, czego chcę. Tę kobietę Cezar albo zatrzyma przy sobie jako zakładniczkę, aby zwyciężyć opór jej ojca, albo też, co również może się zdarzyć, skaże ją nawet na śmierć, aby się w ten sposób zemścić na nim. Będzie stracona dla mnie, zapewne. Ale będzie stracona i dla ciebie! Niechże nie należy do żadnego z nas! A co ważniejsze – i ty będziesz zgubiony z nią razem!

Spróbowałem jeszcze łagodnymi słowy trafić do tej duszy zepsutej, aby obudzić w niej jakąś może niedogasłą iskierkę szlachetności, jakąś resztkę miłości do rodzinnego kraju.

– Keretoryksie! – rzekłem poważnie – zastanów się!... Z oziębłego patrioty stałeś się zdrajcą, ze zdrajcy chcesz stać się zabójcą, zabójcą kobiety, skrytobójcą... Przypomnijże sobie, czyim jesteś synem!... przypomnij, żeś nam bratem–Galem!...

Ale gniew i zazdrość tak go zaślepiały, że słowa moje podrażniły go tylko.

– Ach, tak! – odpowiedział mi z uniesieniem – teraz jestem wam bratem!... A dawniej zawszeście wyszydzali mój dom, moją odzież, moje upodobanie do rzeczy z Italii!... Na waszych ucztach byłem przedmiotem waszych barbarzyńskich żartów, ba! dla twego Cyngetoryksa – to nawet i u własnego stołu czymś w rodzaju błazna, z którym na wszystko można sobie pozwolić! Omal że nie dawano mi szczutków, aby rozśmieszyć współbiesiadników... Ta oto harda dziewka przyjęła mnie przecież jak żebraka – natręta! Dawaliście wiarę wszystkim posądzeniom, wszystkim oszczerstwom mych wrogów i sług niewiernych... Taki choćby Poredoraks, który mnie zdradził, został przyjęty przez ciebie z otwartymi ramionami; na naznaczony mym prętem grzbiet tego krnąbrnego sługi narzuciłeś tunikę jeźdźca! Moich podwładnych, którzy mnie opuścili na polu bitwy pod Lukotycją – rzecz niesłychana – wcieliłeś do zastępu swych wojowników. I nadto po owej bitwie pod Lukotycją wasz przesławny senat Lutecji ogłosił zabór mych ziem, niesławę mego imienia, a wasi druidowie wzbronili mi nawet ognia i wody!... Mówisz mi o czci wojownika, o ojczyźnie... Ale skoroście mnie odarli z czci, skoroście mnie pozbawili ojczyzny, czyż nie jestem banitą wyjętym spod prawa?... Córa Ambioryksa!... Cóż to za świetna niespodzianka dla Cezara! Jakaż to pyszna, pikantna przyprawa do jego wspanialej już uczty Alezji!...

– Keretoryksie!... Nie dajże się zaślepiać namiętności!... Chcesz się chyba wydać gorszym, niźli jesteś.

– Przestań, Wenestosie! – przerwała mi nagle Ambioryga, milcząca dotąd. – Nie wysilaj się na próżno, by przekonać tego nędznika. Niech czyni, co chce. Niech idzie donieść Cezarowi! Gdy żołnierze prokonsula nadbiegną po naszych śladach, nie zastaną mnie żywej.

– I ja nie przeżyję ciebie – odparłem spokojnie, lecz stanowczo.

Miałem szaloną pokusę rzucić się na Keretoryksa i przebić go mieczem, zanimby hałas naszej kłótni ściągnął tu jakiego szpiega rzymskiego. Lecz niezmierne utrudzenie poprzedniego dnia, rany moje, a w końcu silne wzruszenia duchowe tak mnie osłabiły, żem zaledwie trzymał się na nogach. Ambioryga zaś była bezbronna. Co najwyżej, mogłaby pochwycić mój miecz i nim działać, ale taki manewr za wcześnie byłby zwrócił nań uwagę przeciwnika. Keretoryks, jak gdyby zgadując nasze myśli, wysunął już nawet do połowy swój miecz z pochwy, lecz następnie wsunął go z powrotem i rzekł:

– Walczyć z wami?... Cóż znowu! Śmierć wasza z rąk liktorów sprawi mi daleko większą przyjemność!

W tej chwili w pustej dotąd uliczce rozległy się miarowe kroki zbliżającego się patrolu. Byliśmy zgubieni. Nie mogłem już ani rzucić się z mieczem na niegodziwca, ani przeszkodzić mu wymówić imię, które za cenę mego życia pragnąłbym wepchnąć mu z powrotem do gardła. Zrobiliśmy machinalnie kilka kroków naprzód, ale już nie uśmiechnięta promiennie wolność oczekiwała nas u końca drogi, lecz śmierć, śmierć pełna hańby lub własną zadana ręką. Keretoryks zawołał mnie po imieniu i, gdym się na to odwrócił, krzyknął jeszcze:

– Do prędkiego zobaczenia się, drodzy przyjaciele! Przekonacie się wkrótce, czy umiem spłacać długi wdzięczności!

Od pewnego już czasu zdawało mi się, że coś porusza się pomiędzy mnóstwem trupów leżących pod płotami, pochłonięty jednak rozmową z Keretoryksem nie zwracałem prawie uwagi na to, co widzę. Nagle spomiędzy tych ciał, które mieliśmy za martwe, podniosło się jakieś blade, skrwawione widmo z łukiem napiętym w ręku. Zanim rozpoznałem w nim Poredoraksa, strzała gwizdnęła w powietrzu i Keretoryks, trafiony celnie między łopatki, padł twarzą ku ziemi, nie zdążywszy krzyknąć nawet. Poredoraks po wykonaniu tego wyroku śmierci padł bez sił również jak martwy na ziemię i jego gasnące oczy patrzyły jeszcze na mnie chwilę. Gdym pośpieszył doń, nie mógł już mówić – i za chwilę nie żył. Nadbiegł patrol; ale nie było co prawować się z umarłym. Co zaś do Keretoryksa, to żołnierze odwrócili jego trupa, przypatrzyli mu się chwilę – i następnie jeden z nich odrzucił go niedbale nogą z drogi pod płot.

– Cóż? O jednego Gala mniej, oto wszystko!...

I poszli dalej, nie zapytawszy mnie nawet o tesserę. Tak więc ręka bogów dosięgła nikczemnego zdrajcy, którego dusza, obciążona zbrodniami, spadła z pewnością do kręgu mroków. Myśmy zaś udali się w dalszą drogę do furty w murach i minąwszy ją usiedliśmy na występie góry, już za oppidum.

Z miejsca, gdzieśmy spoczęli, roztaczał się rozległy widok na całą dolinę Brenny, obóz Reginusa na wzgórzu Rhei i wszystkie pola bitew niedawnych. Rzekłem do Ambiorygi:

– Więc otom już prawie w służbie Cezara. Ja, żołnierz Wercyngetoryksa!... Dlaczegoś pochyliła głowę na znak – jak to zrozumiałem przynajmniej – że mam przyjąć propozycję?

– Dlaczegom dała ci znak?... Doprawdy sama nie wiem. Nie z własnego natchnienia uczyniłam to – jakaś siła wyższa zmusiła mnie zgiąć kark hardy. Lecz bogowie nie mogą nas mylić!...

Milczała chwilę, pogrążona w zadumie, i widziałem, iż lazur jej oczu pociemniał i zmącił się, jak to bywało zwykle, gdy nawiedzały ją duchy. Nagle głosem, który zdał mi się dziwnie obcym, rzekła:

– Czy widzisz tam, tam, daleko stąd, na równinie z rzadka usianej drzewami nie znanymi w naszym kraju, pod niebem bardziej błękitnym niż nasze, nad jakąś rzeką szeroką... widzisz te dwie armie, które ścierają się ze sobą? Z jednej i z drugiej strony są legiony rzymskie...

legiony w swym szyku bojowym, uzbrojeniu, z chorągwiami i znakami. Okrzyki wojenne rozbrzmiewają w jednym i tym samym języku. Patrz, z jaką zawziętością rzucają się jedne turmy konnicy na drugie!... To są *pila,* nie zaś dzidy galijskie, które przeszywają zbroje legionistów; na połyskujących złotymi błyskawicami tarczach rzymskich wyszczerbiają się miecze, kute przez młoty italskie. Nigdy w walce przeciwko Galom Rzymianie nie byli tak wściekli, tak zawzięci, jak zawzięci i wściekli są jedni na drugich teraz synowie Wilczycy... Ileż to poległych... ile krwi... potoki krwi!...

Zamilkła; za chwilę podjęła dalej:

– Na wybrzeżu błękitnego morza widzę ludzi, którzy przynoszą Cezarowi jakąś głowę, głowę Rzymianina, który był równie prawie wielki jak on sam. A teraz... teraz jest jakaś olbrzymia biała sala... Wpośród białych marmurowych kolumn i posągów bogów zasiada tam na wysokich tronach zgromadzenie ludzi w białych szatach, bramowanych purpurą. Wszyscy zwracają oczy ku temu z nich, który zajmuje miejsce wyższe nieco, ku człowiekowi o czole wysokim, łysawej czaszce, orlim spojrzeniu...

Niektórzy zbliżają się doń, jak gdyby chcąc mu coś mówić... lecz ja widzę, widzę w fałdach ich szat błyski ukrytych sztyletów... Dwadzieścia sztyletów podnosi się nagle i spada nań. I jeszcze raz podnosi się – i uderza znowu... Patrz, patrz na ten przestrach paniczny, na tę bezładną ucieczkę sprawców zbrodni i tych, którzy byli pozostali na swych miejscach, te trony poprzewracane, tę salę opustoszałą tak nagle, świecącą próżną białością, splamioną tylko wąskim strumykiem krwi, która spływa po polerowanym marmurze... I jeszcze nowe pola bitwy – jeszcze – i jeszcze... Zabijają się wzajem na lądzie i na morzu.

Ambioryga mówiła to wszystko z oczami zgubionymi w jakimś dalekim widzeniu; była przejęta zgrozą i triumfem zarazem i oburącz ściskała mi dłoń aż do bólu prawie.

– Daj pokój, droga. Przesadzasz – powiedziałem łagodnie, chcąc przerwać te jej widzenia, obawiałem się bowiem, aby takie wysilone napięcie wszystkich władz duszy nie osłabiło ostatecznie tego ciała, wyczerpanego już i tak bardzo.

Ona milczała chwilę, potem zaś odrzekła patrząc mi w oczy spokojniejszym wzrokiem:

– To bogowie przeze mnie wyrażają swą wolę. Ujrzałam przyszłość wówczas w tym zaledwie dostrzegalnym uśmiechu Cezara, gdy ci powiedział: „Czy chciałbyś, abym cię użył przeciwko Rzymianom?" Tak jest. On cię użyje przeciwko Rzymianom. Myśmy nie mogli pokonać legionów rzymskich, lecz oto one poczną niszczyć się nawzajem. A gdy Rzymianie w tym pomieszaniu swych sztandarów będą służyli zawiściom i celom osobistym, ty swój sztandar zachowaj w sercu. Zapomnij, że walczysz pod znakiem Cezara, lecz patrz na te, które będzie miał przed sobą w szeregach przeciwników: tego Labienusa, którego widziałam przed chwilą w mym widzeniu, powstającego na Cezara, tego Pompejusza, który mu użyczył swych legionów, aby nas pognębić, tego senatu rzymskiego, który nakazywał składanie ofiar dziękczynnych bogom za każdym razem, gdy który z ludów galijskich padał zwyciężony, unicestwiony lub bywał rozprzedany w niewolę. Cezar będzie myślał, że to jego geniusz wszystko prowadzi, wszystkim kieruje; lecz to duch wielkiego Teutatesa, unosząc się nad tym pogrzebem Rzymu, będzie używał Cezara jak miecza latyńskiego w swoich rękach celtyckich. To on, nasz Teutates, skieruje go jak byka, którego się prowadzi za nozdrza na ofiarę bogom, aż do owego kamienia ofiarnego, gdzie go czekają wyostrzone sztylety jego wrogów. On to pod Gergowią wyrwał Cezara z twych objęć, zachowując go jako narzędzie swych zamierzeń. Nie, ty nie staniesz się, żołnierzu Wercyngetoryksa, żołnierzem Cezara!... Pozostaniesz żołnierzem galijskiego boga zniszczenia! Wracaj więc do prokonsula i powiedz mu: „Rozporządzaj mną!"

Wieczorem stawiłem się znów przed Cezarem, który przed przyjęciem mnie na swą służbę kazał mi złożyć przysięgę, że nie będę brał udziału w żadnych dalszych powstaniach przeciwko Rzymowi. Jakże mógłbym teraz brać jeszcze udział w jakimkolwiek ruchu zbrojnym?... Wiedziałem, że w mej wiosce nie znajdę już ani jednego wojownika konnego czy

pieszego, ani nawet wieśniaka lub niewolnika, którzy by mogli stanąć pod bronią; wszyscy albo polegli, albo też zostali wzięci do niewoli, jeśli nie w bitwie pod Lukotycją, to na równinie nad Vingeanne lub pod murami Alezji. W mych stajniach nie było już ani jednego konia bojowego, w mym domu i mej wiosce ani jednej dzidy lub miecza, albo tarczy czy włóczni zdatnych do użytku.

– Teraz wracaj do siebie – powiedział mi Cezar w końcu – i postaraj się o to, aby uspokoić umysły Lutecjan i innych waszych Paryzów. Każdy zatarg, który by mnie zatrzymał tu, w Galii, będzie powodem opóźnienia mych szerokich zamysłów względem przyszłej drogi sławy, którą mamy przebiec razem.

A po chwili dorzucił:

– Nie sądzę, abym cię potrzebował przed upływem roku. Gdy przyjdzie czas, powołam cię:

Rozdział XIX

ODWET GALII

Po powrocie do Szarej Skały z Ambiorygą i pięćdziesięciu wojownikami–Paryzami, których Cezar pozwolił mi wybrać ze swych jeńców, znalazłem swoją posiadłość spustoszoną i bezludną. Wszyscy naczelnicy z Doliny Rzeki nie żyli już. O ile pozostały po nich dzieci, oddawałem im dziedzictwo ich ojców; jeśli zaś nie – włączałem ich wioski do swoich ziem. Były one teraz aż nadto obszerne dla mnie, gdyż tym, co nadaje wartość ziemi, są ludzie, którzy ją uprawiają; w walkach zaś z Rzymem padło mych wieśniaków tak wielu, że do uprawy musiałem używać teraz starców, wyrostków lub kobiety. Przy tym na wojnie wyginęły nam niemal wszystkie konie, bydło zaś poszło na wyżywienie wojska, toteż do soch trzeba było zamiast koni lub wołów zaprzęgać osły, a czasem niewolników nawet. Chlewy, ma się rozumieć, opustoszały nie mniej niż obory. Trawy pogniły na sianożęciach, łany zaś zboża, zdeptane przejściem wojska, zbite burzą, poryte przez dziki, dały mi zaledwie czwartą część zwykłego żniwa. Brakowało mi ludzi nawet do wymłócenia cepami tego skąpego zbioru, więc kobiety, biorąc w rękę garście kłosów, uderzały nimi o ściany, aby wysypać w ten sposób ziarno. Przeszukałem jak najstaranniej znane mnie samemu tylko schowki, gdzie zakopałem w ziemi na wypadek ostatecznej potrzeby małe ilości złota i srebra, sprzedałem Lutecjanom kilka kawałków ziemi od strony góry Lukotycji, wreszcie zapożyczyłem się u nich jeszcze – i w ten sposób udało mi się zapełnić znów, choć jako tako, moje stajnie, obory i chlewy. Za pośrednictwem mego przyjaciela Gnaeusa Marona wykupiłem sporą ilość mych wieśniaków od italskich sprzedawców niewolników, poza tym zaś chętnie przyjmowałem na swe ziemie czy to wieśniaków zbiegłych ze swego kraju z powodu klęsk wojny, czy też jeńców, którym udało się jakoś wymknąć z niewoli rzymskiej i którzy, nieraz nie mając już do czego powracać, z ochotą pozostawali u mnie i pojmowali za żony wdowy po mych poległych wieśniakach.

Moje zaślubiny z Ambiorygą dalekie były od wspaniałości. Miały za świadków tylko trochę naszych biednych wieśniaków, kilku senatorów z Lutecji, która prędko odradzała się z popiołów, oraz paru naczelników z dolin sąsiednich, naczelników ocalałych jak i ja cudem prawie. Ślubne podarki były też skromne, bo wszyscy dokoła byliśmy teraz bardzo ubodzy,

lecz ofiarowano je nam ze szczerego serca!... Stary druid, którego tak czciła moja matka i który w ciągu tego ostatniego roku postarzał, zda się, o wiek cały, trzęsącym się głosem wyrzekł nad naszymi pochylonymi głowami słowa błogosławieństwa. Ceremoniom ślubnym, które wszystkie mówią o szczęściu, bogactwie, płodności, obfitości, zdawał się przeczyć widok nędzy i zniszczenia dokoła i osnuwać je mgłą smutku. I smutkiem przyćmiewało nasze wesele wspomnienie rzeczy, które były, oraz obawa nowych przejść. Ziarna zboża, które się sypie złotym deszczem na nowo zaślubioną parę jako wróżbę dostatku, odmierzono skąpą ręką – mieliśmy go tak mało na zasiewy!... Toteż z oczami wilgotnymi od łez, a sercem pełnym smutku i powagi poszliśmy oboje uklęknąć u stóp kopca sławnej pamięci Beboryksa i Eponiny, aby i ich cieni prosić o błogosławieństwo.

Smutna była także skromna uczta weselna. Gdzież się podzieli ci, którzy swym dowcipem i werwą tak rozweselali niegdyś wieczorne biesiady w Szarej Skale?... Kędyż są teraz Cyngetoryks – Kogut, Bojoryks – Żubr, Karmanno – Kukułka, gdzie nierozłączni przyjaciele Dumnak i Arwirag?... Gdzież ta ufność bez granic w siłę naszych męskich ramion, te przechwałki naszych wojowników, te opowieści o sławnych czynach wojennych i bohaterskie lub wesołe pieśni?... W jakimże kręgu szczęśliwości brzmiała teraz harfa Wandila i marzył łagodny Prydano?...

Ale smutek i żałoba, wpośród których odbyły się nasze zaślubiny, nie zmniejszyły mego wielkiego szczęścia. Poślubiłem kobietę prawdziwie przeznaczoną mi przez bogów, którzy postawili ją na mej drodze, mężną jak wojownik, czystą jak kapłanka, kobietę, pod której wpływem serce moje stało się równe najmężniejszym, pod której wpływem rozwinęło się we mnie i wzrosło jak kwiat poczucie wspólnej naszej ojczyzny. Lecz odkąd bogowie zesłali nam pierwsze dziecko, nastąpiła w niej wielka przemiana. Nigdy już odtąd nie doświadczała tych dających jej wizje prorocze nawiedzeń duchów – i nigdy odtąd nie chciała dotknąć miecza. Gdym patrzył na nią, jak kołysała w ramionach maluchną dziecinę, uśmiechając się do pierwszego uśmiechu dziecka, z trudem mogłem uwierzyć, że to jest ta sama kobieta–wojownik, która swą stopę postawiła na złotym orle zwyciężonego legionu rzymskiego.

Cieszyliśmy się też naszym szczęściem całą duszą – i to tym bardziej, że każda chwila zbliżała nas do dnia, w którym goniec Cezara mógł mi przynieść rozkaz wyruszenia. Dokoła nas tu i ówdzie wybuchały jeszcze niekiedy pomniejsze rozruchy przeciwko Rzymianom, lecz echo tych odgłosów burzy dochodziło do nas bardzo osłabione i późne. Nie były to już czasy, gdy od wioski do wioski przebiegali wysłańcy, swą opowieścią podnosząc jednym uczuciem całą Galię, tę Galię naszą, która teraz leżała bezwładna, niby jakieś ogromne, lecz wyczerpane strasznym upływem krwi ciało. Przypadkiem też prawie dowiedzieliśmy się, że Corre, naczelnik Bellowaków, który przez dumę i sobkostwo nie chciał przyłączyć się do wielkiej armii naszej, padł w ostatniej walce z Rzymianami. Pychę swą okupił śmiercią bohaterską, otoczony bowiem przez cały legion żołnierzy rzymskich, którzy podziwiając jego zuchwałe męstwo wołali, aby się poddał, wszedł na korzenie dębu, wsparł się plecami o jego pień i tak dzielnie bronił się mieczem, że Italczycy nie mogli sobie z nim poradzić inaczej, jak tylko ulewą strzał kładąc go w końcu trupem. Komm, król Atrebatów, po mężnym również oporze, poddał się ostatni spośród naczelników północy – i to kładąc ten dumny warunek, że nigdy nie będzie zmuszony sam udawać się do Rzymu, ani też nigdy nie będzie widział u siebie żadnego Rzymianina. Znacznie później jeszcze dowiedzieliśmy się o ostatnich, rozpaczliwych wysiłkach Luktera, naczelnika Kadurków, o upadku ich grodu Uxellodunum, prawdziwie orlego gniazda, sprzedanego przez zdrajcę, i o srogiej pomście, którą wywarł Cezar na obrońcach tej ostatniej twierdzy galijskiej. Tak więc wszyscy niemal bohaterowie Galii mieli koniec tragiczny. Jedni – najszczęśliwsi – padli w boju, inni zostali wzięci do niewoli lub też dali głowy pod topór liktorów. Do tych ostatnich należał między wielu innymi i Wercyngetoryks, którego Cezar pięć lat więził, aby wreszcie kaźnią jego uświetnić swój triumf. Kilku zaś, jak mój teść Ambioryks, dzielny Dumnak Andegaweński i paru innych, po prostu zniknęło

bez śladu. Kto wie? Może znaleźli schronienie w dalekich krainach, gdzie można było jeszcze żyć wolnym – lub jakąś bezpieczną kryjówkę w głębi puszcz bagnistych i niedostępnych – lub też śmierć tam. Obecnie więc Galia była już „uspokojona", jak powiadają w Rzymie – i na Kwirytów, na italskie wille i pałace miały spaść burze wojny.

W dwa lata po upadku Alezji olbrzymia armia Cezara, w której oprócz jego legionów znajdowało się także dwadzieścia kilka kohort nas, Galów ze skowronkiem brązowym na drzewcach wojennych, została zgromadzona w samym sercu Italii, wśród wspaniałych niw zboża, festonów winnej łozy przerzucającej się z jednego platanu na drugi i gajów oliwnych. W szeregach naszych było wielu wojowników, którzy niedawno jeszcze walczyli o niepodległość Galii, a i ja sam kłusowałem z mymi turmami jeźdźców na skrzydłach tej piechoty galijskiej. Byli to wszystko dzielni wojownicy – żądni sławy i przygód wojennych, z którymi w ciągu czterech lat walczyłem w służbie Cezara. Z nim razem przebyliśmy gniewne fale Adriatyku, cierpieliśmy głód pod murami oblężonego Dyrrachium, atakowaliśmy na równinie pod wioską Farsalą legiony rzymskie, tonące niemal w tłumie sprzymierzeńców azjatyckich, i goniliśmy przed sobą uciekających na słoniach królów wschodnich, przybranych we wspaniałe tkaniny. Tam walczyliśmy – i zwyciężaliśmy – jeden przeciwko trzem. Cezar sam nas nauczył, jak łamać szyki piechoty rzymskiej, jak odbijać atak rzymskiej konnicy mieczami nastawionymi w łona jeźdźców. Żołnierze zaś Cezara nauczyli nas odmawiać łaski zwyciężonemu, zanurzać mu miecz w usta rozwarte prośbą o życie, ponieważ w takich wojnach, jakieśmy toczyli obecnie, każda niemal śmierć pozostawia bez pana jakieś ziemie i inne bogactwa, które się następnie dzieli między najwaleczniejszych... A zresztą zwyciężonego Rzymianina nie można było nawet uczynić niewolnikiem, gdyż był „obywatelem rzymskim"; więc był mniej wart niźli Gal zwyciężony. Dochodziło też do tego, że Rzymianie wyrzucali nam, barbarzyńcom, jak oni mówią, zbytek łagodności względem ich braci!

Następnie, po przebyciu z Cezarem błękitnego morza na galerach, wylądowaliśmy na ziemi tonącej w olśniewającym blasku słońca, gdzie ujrzeliśmy przed sobą znowu konnicę numidyjską, jak niegdyś w Galii, i słonie, jak w Tesalii, z jadącymi na nich innymi jeszcze królami, którzy tutaj mieli twarze jak gdyby z brązu – no i... znowu legiony rzymskie. Wszystko to pierzchało przed nami, nie wyłączając kohort Labienusa i samegoż Labienusa. Cezar nas nauczył, jak należy straszyć słonie, aby zawróciły i zamiast nas poczęły tratować wojsko naszych przeciwników; jak brać szturmem umocnione obozy rzymskie. Miasta afrykańskie, zamieszkane w znacznej mierze przez Italczyków, dosyć chętnie otwierały przed nami bramy i gdyśmy wkraczali w nie jako zwycięzcy, tłumy padały przed nami na kolana, a kapłanki o cerze barwy bursztynu tańczyły przed nami, wprawiając w ruch bębenki i cytry, aby złagodzić nasz gniew.

Po Tesalii i Afryce przyszła kolej na Iberię; Farsala, Thapsus, Munda! Pod Mundą na polu bitwy, owianym wonią kwitnących gajów cytrynowych i pomarańczowych, ujrzeliśmy przed sobą na czele naszych przeciwników Labienusa, tegoż Labienusa, który wytępił prawie do szczętu Eburonów, następnie zaś niemal tak samo Paryzów pod Lukotycją – i który sądząc, że ma sprawę z Italczykami, chciał widocznie wystąpić do nas z przemową, zamierzając bez wątpienia wzruszyć nas i zakląć w imię ojczyzny rzymskiej i Kapitolu Romy, aby siłą swej wymowy przeciągnąć nas z powrotem pod orły senatu. Wyprzedzając też swój oddział, podjechał do nas konno, zdejmując nawet po drodze hełm, abyśmy go łatwiej mogli poznać. Lecz gdy był już blisko, poznał nasze niebieskie oczy, nasze sumiaste rude wąsy, bobry na tarczach, skrzydła u hełmów, a na znakach wojennych miłą ptaszynę, która wcale nie rości pretensji, aby być orłem. Ściągnął też natychmiast wodze, włożył hełm na głowę i chciał zawrócić konia – lecz za późno!... Mój miecz dosięgnął go właśnie i dusza jego w gorącym potoku krwi wyszła z ciała, podczas gdy przebijając go jeszcze drugi raz i trzeci, wołałem nad nim:

– To masz za Lukotycję! To za Eburonów! To za Alezję!...

Zatrzymałem sobie jego miecz i medale, dorzucając je do wielu złotych naszyjników, naramienników i bransolet, a nawet paru koron królów azjatyckich i afrykańskich, które podjąłem na polach bitew. Rzecz naturalna, że oprócz skarbów zdobyłem sobie w tych walkach niejedną bliznę.

Toteż zwycięstwami nas, Galów, i dzielnymi czynami naszych wojowników wynieśliśmy Cezara tak wysoko ponad ogół jego rodaków, iż Rzymianie, przerażeni, poczęli mu stawiać posągi jak bogu w swym mieście republikańskim i na jego głowę o rzadkich włosach, które się stały jeszcze rzadsze, nakładać złote wawrzyny. Nie dość więc, że czcili dotąd bałwany z marmuru, lecz teraz oto jeszcze poczynali oddawać cześć boską śmiertelnikowi ku tym większemu swemu poniżeniu, a naszemu urągowisku; oddawali cześć człowiekowi, któregom sam trzymał w ramionach z mieczem na jego gardle!... W końcu stanęliśmy obozem pod... murami Rzymu. W ten sposób Cezar, zastępując naszego Brennusa, był nam przewodnikiem po wszystkich drogach przodków naszych w Grecji, Afryce, Iberii, aż wreszcie przywiódł nas pod szańce miasta Jowisza. Dość mu było dać znak – a bylibyśmy przypuścili znów szturm jak przed wiekami do Kapitolu. Ale Cezar nie dał nam tego znaku. Przeciwnie. Przed wejściem triumfalnym do Rzymu zwolnił nas, pozwalając nam powrócić do domów.

– Jestem z ciebie zadowolony – rzekł przed rozstaniem do mnie. – Sprawiłeś się dobrze i biłeś dzielnie. Oddałeś znaczne usługi sprawie wolności rzymskiej.

Po wąskich wargach Cezara przebiegł znów jakiś dziwny, nieokreślony uśmiech, gdy wymawiał te słowa.

– Jedź więc teraz do domu, aby wyleczyć się z ran – dodał. – Być może, powołam was z czasem znowu... A wiesz, że byłby z ciebie wcale dobry senator rzymski?...

Cezar źle zrobił, że nie zatrzymał nas przy sobie. Nie bylibyśmy przecie pozwolili zasztyletować go tym patrycjuszom rzymskim, którzy pierzchali przed nami na polach bitew!... Gdym w pewien czas po powrocie do domu dowiedział się o zabójstwie Cezara, doświadczyłem na tę wieść jakiegoś pomieszanego, szczególniejszego uczucia. Naturalnie, nie mogłem mu zapomnieć całego zła i krzywd, które nam wyrządził, jego okrucieństw w Armoryce, Avaricum, Alezji, Uxellodunum, jego barbarzyństwa względem syna Celtila, względem Luktera Kadurka i tylu, tylu innych dzielnych. Lecz kto walczy kilka lat pod rozkazami wodza, ten musi się przywiązać choć trochę do niego, a zwłaszcza gdy ten wódz zawsze prowadzi do zwycięstwa.

Dwie też są dla mnie pamiętne rocznice, dwa dni w roku, w które bywam smutny: pierwszy z nich to dzień, kiedy Wercyngetoryks złożył swój miecz u stóp zwycięzcy, drugi – kiedy Cezar został zakłuty. Czyżby było dwóch ludzi we mnie?... Czy może bliski jestem zostać z Gala Rzymianinem, jak się to już niemal stało z Galami na południu?... Och, nie! Nie!... Gdy się zastanawiam głębiej nad swymi uczuciami, przychodzę do wniosku, że, być może, nie zachodzi nawet tak znów wielka sprzeczność w tym, że żywię cześć dla obu mych dawnych wodzów. Mam nie tylko wiele szacunku i podziwu dla geniuszu wojennego Cezara, ponadto wdzięczny mu jestem, iż prowadząc nasze wojsko galijskie po pełnych sławy drogach przodków naszych, wskazał nam także drogę do sławy w przyszłości. Jaka będzie ta przyszłość? Nie wiem. Ale Rzym sam wziął na się zadanie połączenia wszystkich naszych odosobnionych dotychczas plemion galijskich pod jarzmem jednej władzy zwierzchniczej; zmusił nas zapomnieć w niedoli ogólnej nasze odwieczne współzawodnictwa i waśnie, kładąc koniec temu rozdziałowi pomiędzy nami, który był przyczyną naszej słabości, a jego zwycięstw; w końcu zaś uzbroił nas przeciwko sobie w umiejętność sztuki wojennej. Toteż nasze ciężkie doświadczenia mogą stanowić posiew przyszłości, nie przewidywanej przez Rzym i Cezara, gdyż bóstwo czuwające nad losami Galii przewyższa ich swą mądrością. Przeczuwam, że przyjdzie dla synów Teutatesa świetna chwila odwetu. I kto wie, czy kto z naszych prawnuków nie odziedziczy nawet tego panowania nad światem, które Rzym chce dzierżyć na swą wyłączną własność. Powiecie może, że to są niedorzeczne marzenia? Bogowie widzą dalej niźli śmier-

telnicy. Rozumiecie więc, dlaczego moja nienawiść do Cezara, którą żywiłem dawniej, złagodniała obecnie – i to tak znacznie.

Lecz nieszczęsny syn Celtila, tak przedziwnie szlachetny, taki światły, tak mężny?... Ach! Tego kocham bez zastrzeżeń, podziwiam i wielbię bez miary i cześć dla niego zlewa się w mym sercu w jedno prawie z czcią bogini Ojczyzny!... On był moim pierwszym najukochańszym, najbardziej przeze mnie szanowanym wodzem ze wszystkich, których miewałem później nad sobą, i – przysięgam na Kamula! – pozostałem mu wiernym nawet w swych walkach pod znakami Cezara!.... Zapewne, słodkie to jest sercu wojownika przebiegać w zwycięskim pochodzie dalekie krainy, widzieć pierzchające przed sobą w popłochu szeregi Wojska rzymskiego, tłumy barbarzyńskich sprzymierzeńców, królów Azji i Afryki, unoszonych w galopie przez oszalałe ze strachu wspaniałe rumaki. Lecz nic nie dorówna rozkoszy narażania codziennie życia w najbardziej nierównej walce, znoszenia głodu i chłodu, gdy się to wszystko czyni dla obrony kraju, który widział nasz pierwszy uśmiech i strzeże grobów przodków naszych. Dla tej to tylko ziemi rodzinnej, tej świętej ziemi płodnej w żniwa i dzielne serca, dla tych łąk, lasów i pól naszych, gdzie spośród złotych fal zboża, które *nas* karmią, wyglądają wdzięczne główki bławatków – zaprawdę pięknie jest umrzeć lub zwyciężyć!...

O roku przeklęty i błogosławiony! Roku o zimie surowej i burzliwym lecie, w którym przeżyliśmy wszystkie radości i nadzieje zwycięstwa oraz wszystkie męki konania! Roku Gergowii i Alezji! Jeśli pomiędzy wszystkimi latami mego długiego żywota jest taki rok, który chciałbym przeżyć raz jeszcze, to z pewnością byłby ten właśnie!... Nie tylko nie żałuję, żem zniósł w nim tyle ciężkich przejść, cierpień i rozpaczy, lecz gdyby nawet stał się dla mnie ostatnim, uważałbym, iż zszedłem ze świata syt życia. Tak, zostaliśmy pokonani. Ale prawo może być po jednej stronie, a powodzenie po drugiej. Rzymianie mogli się później przekonać o tym na podstawie własnego doświadczenia. Nie żałujcie więc tego roku, dzieci moje, jak to czynią niektórzy fałszywi mędrkowie dni dzisiejszych pod pozorem, że ponieśliśmy wówczas straty nadmierne i nie usprawiedliwione rozsądkiem. Czyż godność człowieka wolnego i cześć wojownika stały się obecnie mniej cenne od krwi i złota?

Gdy Trzy Matki, które znużonymi palcami tak długo już przędą nić mego żywota, przetną ją wreszcie, nie składajcie mnie do grobu z mymi trofeami spod Farsali, Thapsus lub Mundy, nawet nie z mymi trofeami spod Gergowii – niech będę pochowany z mym wyszczerbionym mieczem i pogiętą od ciosów zbroją, którą miałem pod Alezją!

I jeśli zapożyczycie od Rzymian zwyczaj, przez wielu naśladowany już zwyczaj – którego nie ganię – kładzenia na grobowcach płyt z marmuru, z wyrytymi na nich napisami, to umieśćcie na moim kamieniu grobowym te tylko proste słowa:

TU LEŻY ŻOŁNIERZ WERCYNGETORYKSA

Koniec

Korekta: Katarzyna Michalska